

Venturi Maria

Zwycięstwo miłości

Zakład Nagrań i Wydawnictw

Związku Niewidomych

Warszawa 1996

Przełożyła z włoskiego
Joanna Ugniewska

Tłoczono pismem punktowym dla
niewidomych w Drukarni Zakładu
Nagrań i Wydawnictw Związku
Niewidomych,

Warszawa, ul. Konwiktorska 9

Przedruk z Wydawnictwa

„Książnica”,

Katowice 1994

Pisała K. Pabian
Korekty dokonały
E. Chmielewska
i I. Stankiewicz

Zwycięstwo miłości” to
powieść
psychologiczno_obyczajowa znanej pisarki i dziennikarki włoskiej.

Małżeństwo Chiary i Marca należy do udanych, świetnie im się powodzi, cieniem na ich życiu kładzie się tylko brak dziecka. Wreszcie i to marzenie się spełnia. Niestety radość trwa krótko. Chiara nie może donosić ciąży. I wtedy pojawia się ta trzecia - piękna, pełna inwencji, zaborcza. Marco odchodzi. Chiara zaś, straciwszy wszystko, na czym jej zależało, musi nauczyć się na powrót żyć. Cztery lata później w klinice dla dzieci nieprzystosowanych, gdzie jest psychoterapeutką, spotyka córkę byłego męża i jego drugiej żony...

I

Chiara otworzyła oczy, przechodząc jak zwykle od razu od snu do rzeczywistości. Spojrzała na budzik: była dopiero szósta dziewiętnaście, fosforyzujące wskazówki rzucały zielonkawe światło na ciemny jeszcze pokój. Uniosła się powoli, żeby nie obudzić Marca, i oparła plecami o wezglowie łóżka.

Budzik zadzwonić miał o siódmej. Lubiła tak leżeć i nie myśleć o niczym, nasłuchując spokojnego oddechu męża i hałasów dobiegających z ulicy, która zaczynała budzić się do życia.

Żaluzja piekarni podniosła się z łoskotem, silnik ciężarówki warknął kilka razy i zapalił. W chwilę później w willi naprzeciwko ktoś otworzył okiennice i rozległ się przenikliwy płacz dziecka, może noworodka domagającego się porannego karmienia.

Ostrożnie, powstrzymując oddech, Chiara dotknęła palcami piersi. Były nadal obolałe i jak jej się zdawało, nieco twardsze niż wczoraj. Dziewięć dni opóźnienia, nie zdarzyło się to już od niepamiętnych czasów. Czyżby była w ciąży? Ogarnęło ją tak przejmujące uczucie szczęścia, że aż się przeraziła.

To zwykłe opóźnienie i nie powinnam się łudzić, skarciła się w duchu. Daremne od ośmiu lat oczekiwanie na dziecko stawało się pomału prawdziwą obsesją; jeśli jednak się odpręży i przestanie tej sprawie codziennie poświęcać uwagę, może mieć jeszcze jakąś szansę. Tak mówił przynajmniej jej ginekolog, a i ona była tego świadoma: obroniła przecież pracę magisterską na temat psychopatologii bezpłodności. Ale było to sześć lat temu, kiedy zaczynała się dopiero odrobinę niepokoić i nie myślała jeszcze bez przerwy o dziecku.

Był to więc najprawdopodobniej przypadek psychologicznej bezpłodności. Umysł Chiary, pragmatycznej i zrównoważonej dwudziestoośmiolatki, zablokował się i „zabraniał” jej narządom funkcjonować prawidłowo.

A może ona i Marco nie dopasowali się do siebie pod jakimś względem? Ostatnio pojawiła się i taka hipoteza: istniało coś, nie bardzo wiadomo co, co powodowało, że Chiara nie mogła zajść w ciążę. Pochyliła się nad mężem i doznała po dziewięciu latach tego samego uczucia niedowierzania i dumy, jak wtedy, kiedy obudziła się obok niego po raz pierwszy. Ten wspaniały mężczyzna należał do niej. I wybrał właśnie ją.

Czy w naszej sytuacji, pomyślała przyglądając mu się z miłością, można mówić o jakimkolwiek niedopasowaniu? Lubimy ze sobą rozmawiać i całować się, podobają się nam te same książki i ci sami ludzie, mamy zbliżone poglądy, a przede wszystkim podobamy się sobie nawzajem.

„Szaleję za tobą i chcę się z tobą ożenić. Teraz, zaraz”, powiedział jej dziewięć lat temu. Znali się zaledwie od trzech miesięcy. Była studentką pierwszego roku psychologii w Padwie i wynajmowała pokój u pani Egle, starszej bezdzietnej wdowy, która uwielbiała rozmawiać, gotować i matkować wszystkim. Opowiadała jej często o Marcu, zwariowanym bratanku, który porzucił studia medyczne i zajął się „pończochami, perfumami i herbatnikami”. Pewnego popołudnia Marco przyjechał z Mediolanu, żeby odwiedzić ciotkę. Zaraz na początku wyjaśniło się, na czym polega jego dziwny zawód: pracował, jako pomysłodawca w agencji reklamowej. A pod koniec wieczoru wiedziała już, że zakochała się w tym chłopaku, nieco przysadzistym, o rudawych włosach i roześmianych jak u dziecka oczach.

W następną sobotę wpadł znowu, by oznajmić jej całkiem zwyczajnie, że przez cały tydzień myślał tylko o niej. Po trzech miesiącach, jedenastu spotkaniach i jednej nocy spędzonej wspólnie w hoteliku w Wenecji poprosił Chiara o rękę. Agencja, dla której pracował zatrudniła go na stałe, proponując oprócz pensji pięcioprocentową prowizję od każdego kontraktu, do którego podpisania się przyczyni. Nie było więc żadnego powodu do zwlekania ze ślubem.

„Będę cię utrzymywał, żebyś mogła skończyć studia”, dodał wielkodusznym tonem. A potem powiedział wybuchając śmiechem: „Liczę bardzo na te pięć procent, ale potrzebuję bodźca”.

Przez cały ten czas nie przeżyliśmy żadnego zawodu, pomyślała Chiara. Kochaliśmy się i wspierali, rozumieli i dodawali sobie nawzajem sił. Od czterech lat Marco kierował własną, świetnie prosperującą agencją i spłacił niemal w całości kredyty zaciągnięte w bankach. Nie zawiedliśmy się w swoich oczekiwaniach, pomyślała jeszcze. A może nie? A może cierpiał i był rozczarowany z powodu jej bezpłodności?

Miał na sobie slipki w drobniutką biało-niebieską kratkę tamtego dnia, kiedy poddawał się pierwszemu badaniu, analizie spermy. Potem była biopsja jąder i wreszcie test postkoitalny. Wszystko w porządku: to nie była jego wina, że nie zachodziła w ciążę. Zmusiwszy Marca do tych wszystkich niepotrzebnych i kłopotliwych badań, którym poddał się bez sprzeciwu, choć z zażenowaniem, czuła się jeszcze bardziej odpowiedzialna za ten stan rzeczy.

Ale teraz być może wszystko to minie. Dziewięć dni opóźnienia i coraz twardsze piersi, a także te rozkoszne, delikatne skurcze w dole brzucha... Na chwilę zapomniała, że nie wolno jej się łądzić; budzik zadzwonił i przywołał ją do rzeczywistości rozpoczynającego się dnia. Pięknego dnia, bo pod wieczór opóźnienie będzie jeszcze większe.

- Ejże, przysniła ci się wygrana w totolotku? - zażartował Marco.

Obudził się już. Z potarganymi włosami i w wymiętej piżamie wyglądał, jak gdyby we śnie stoczył jakąś walkę.

- Masz promienną twarz - stwierdził dotykając jej uda.

- A ty obleśną minę maniaka seksualnego.

- To prawda, chętnie bym cię zgwałcił, ale o dziewiątej czeka na mnie klient. Maniacy mogą przynajmniej myśleć tylko o jednym i uwielbiają szybkie panienki.

On natomiast nie. W miłości, pomyślała po raz tysięczny Chiara, był tkliwy i namiętny, lubił wędrować rękami po jej ciele, tak jakby po dziewięciu latach było ono wciąż ładem pełnym nie odkrytych miejsc.

Teraz pieścił jej biodro, miał przymknięte oczy i usta lekko wygięte w uśmiechu.

- Czyżbyś się trochę zaokrągliła?

Wzruszyła ją ta uwaga. Być może wkrótce rzeczywiście utyje. Przytuliła się do męża i poszukała miejsca na jego ramieniu.

- Marco... a gdybym w tym miesiącu zaszła w ciążę? - usłyszała zdziwiona własny głos.

Poczuła, że się odsuwa.

- Postanowiliśmy przecież, że nie będziemy już więcej poruszać tej sprawy. Nie zamierzam więc do niej wracać - odpowiedział oschle. - Jesteśmy bezdzietnym małżeństwem i czy tego chcesz, czy nie, tak właśnie musimy nauczyć się myśleć o naszym życiu.

- Czy nie byłbyś szczęśliwy, gdybyśmy mieli dziecko?

- Gdyby się urodziło, na pewno byłbym szczęśliwy. Ale jeśli nie, nie będzie tragedii. Chciałem ciebie i ty mi wystarczasz. Ja również chciałbym wystarczać tobie.

- Wiesz dobrze, że tak jest, Marco - oburzyła się.

- Nie, wcale nie wiem. Czasami czuję się przy tobie jak byk rozplodowy. To upokarzające kochać się w przeświadczeniu, że twoja żona pragnie tylko jednego: żebyś ją zapłodnił. Ja o wszystkim zapominam, a ty koncentrujesz się na znalezieniu najlepszej pozycji, żeby moje cholerne plemniki dotarły do twojego

cholerne jajeczka. To łóżko stało się miejscem do uprawiania gimnastyki rozrodczej. Gdzie się podzielałamiętność, rozkosz, oddanie?

Przerwał nagle i pytanie pozostało bez odpowiedzi.

- Nie wiedziałam, że jesteś aż tak nieszczęśliwy - powiedziała Chiara po chwili milczenia.

- Wcale nie. Ale jeśli nie uwolnisz się od tego paranoicznego oczekiwania na dziecko, wkrótce będziemy nieszczęśliwi oboje.

Marco był teraz wściekły.

- Przepraszam. Wybacz mi.

- Kochać, to znaczy nigdy nie przepraszać - wyrecytował ironicznym tonem.

Chiara poczuła ogromną ulgę widząc, że w jego spojrzeniu pojawił się cień tak dobrze znanego jej uśmiechu.

- Przykro mi, że mogłeś odnieść takie wrażenie - powtórzyła. - Ja... kocham cię bardzo i jestem ci naprawdę oddana.

Marco poklepał ją po policzku.

- W porządku. Wyczerpaliśmy temat. A teraz jazda z łóżka, zrobiło się późno.

Miała zamiar powiedzieć mu jeszcze tyle rzeczy, a przede wszystkim oczekiwała, że ją obejmie i uspokoi. Marco pobiegł jednak do łazienki i wkrótce usłyszała, że bierze prysznic. Skuliła się w łóżku pod wpływem dreszczu, jaki nią wstrząsnął, a nie z powodu zimna. Po raz pierwszy nie dopowiedzieli wszystkiego do końca i Chiara czuła się zalękniona, rozczarowana. Chciała powiedzieć mu też o opóźnieniu, wyjaśnić, że to jego dziecka pragnie.

Szczególnie zaś chciała, by zrozumiał, jak bardzo go kocha.

Ale nie było po temu okazji. Kiedy ustał plusk wody, rozległ się szum maszynki elektrycznej. Chiara sięgnęła po szlafrok, włożyła go i poszła do kuchni. Otworzyła okiennice, postawiła na gazie ekspres do kawy. Wycisnęła dwie pomarańcze, przykryła stół serwetą, posmarowała miodem dwie grzanki: te same czynności co zwykle... Dziś rano jednak wykonywała je z niemal zabobonna starannością, przerażona myślą, że dotąd uważała to wszystko za coś oczywistego. Marco mógłby przestać mnie kochać, pomyślała, a ja zostałabym w tej wielkiej kuchni i nie miałabym komu nakrywać do stołu, smarować grzanek, podawać jedzenia. Uczucie przygnębienia ustąpiło nagle miejsca euforii. Chiara nie zastanawiała się głębiej nad tym, co mogło ją wywołać, choć podejrzewała, skąd się bierze: powodem było owo dziewięciodniowe opóźnienie, nadzieja, która w głębi jej duszy przemieniła się już niemal w pewność.

Ogarnęła ją złość, że z takim historycznym uporem zabrania sobie dotąd być szczęśliwą. Stałam się masochistką, wywołuję w Marcu kompleks kastracji, niezły sukces jak na magistra psychologii z dwoma latami praktyki. Ale teraz jestem w ciąży i nasze życie wkrótce się odmieni. Nie chcę myśleć o niczym innym i nie pozwolę, by tę radość zmacił jakiś lęk.

Poczuła, że przyjemne podniecenie przenika każdy jej nerw.

- Marco, śniadanie gotowe!

Wyłonił się z łazienki tak jak co dzień, zawinięty w ręcznik, z mokrymi włosami. Odsunął z hałasem krzesło, wyciągnął rękę po grzanki.

- Dwie zamiast czterech - roześmiał się. - Widzę, że jestem na diecie.

Kłótnia sprzed kwadransa zdawała się zapomniana.

- Nie chcę mieć tłustego męża, ostatnio nieźle przytyłeś!

- Tylko dwa kilo - sprostował. - To wszystko przez te twoje kanapki, które zjadam na lunch w biurze.

Ostatnio ukończył dwie kampanie reklamowe, jedna dotyczyła herbatników, druga samochodu przeznaczanego specjalnie dla kobiecej klienteli, a pod koniec roku miał dostarczyć projekt reklamy nowych perfum.

- Kiedy będziesz mógł trochę odpocząć?
- spytała Chiara nalewając mu kawy.
- Nie wcześniej niż za rok, mam nadzieję. W tej chwili „Agencja Zambiasi” świetnie prosperuje, muszę więc to wykorzystać, żeby podtrzymać jej renomę i zdobyć nowych klientów - odpowiedział kończąc jeść grzanekę. Rzucił okiem na zegarek.
- Idę się ubrać, jestem już spóźniony.
W południe...
- Wiem. Zjesz coś na chybcika i nie wrócisz do domu - zaśmiała się. - To jasne.
- Najbardziej w tobie lubię to - powiedział wesoło - że nie narzekasz i nie gderasz jak inne żony.

Bo tłumię w sobie wściekłość i frustrację, chciała odpowiedzieć.

- Mam nadzieję, że lubisz we mnie jeszcze coś innego - odparła kokieteryjnie.

Marco objął ją serdecznie.

- Uwielbiam w tobie wszystko, jesteś kobietą moich marzeń - wyszeptał niemal uroczystym tonem, całując ją w szyję. - A ty jakie masz plany?
- Paolo zaprasza mnie na obiad do restauracji, a po południu przyjmuję w gabinecie doktor Valsecchi.

Zamierzała mu zakomunikować, że zaprzyjaźniona doktor psycholog przekazała jej swoje dwie pacjentki, ale nie zdażyła.

- Po dwudziestu latach Paolo wciąż jeszcze nie rezygnuje, co? - zauważył Marco.

W jego żartobliwym tonie domyślić się można było lekkiej irytacji i Chiara uświadomiła sobie zawstydzona, że sprawiło jej to przyjemność.

Mając trzydzieści pięć lat Paolo Lusardi był jeszcze kawalerem i zastanawiał się czasami nad tym, jak potoczyłoby się jego życie, gdyby owego odległego wieczoru w Padwie Chiara nie wyznała mu w trakcie jedzenia pizzy, że się zakochała. „Bierzemy ślub za trzy tygodnie”- dodała.

Paolo osłupiał, a jednocześnie poczuł się urażony. „A uniwersytet? A twoje plany? Co na to matka?” - zasypał ją gradem pytań.

„Będę dalej studiować. Matka jest wściekła, ale zakochałam się i musi to zrozumieć” - odpowiedziała niemal uroczyście, dając kelnerce znak, by przyniosła drugą pizzę.

Była wtedy uroczym i zawsze głodnym stworzeniem i Paolo natychmiast się w niej zakochał. Nigdy więcej nie spotkał dziewczyny równie spontanicznej i prostolinijnej, a zarazem tak zdecydowanej i upartej. Zrezygnował dwa lata wcześniej ze studiów, Chiara wszakże zmusiła go do podjęcia ich na nowo i zdania brakujących egzaminów. I jeśli dziś był obiecującym ortopedą z nadzieją na objęcie stanowiska ordynatora, być może zawdzięczał to właśnie jej wytrwałości. Nie widzieli się przez jakiś czas, potem natknęli na siebie przypadkowo, a kiedy zrobił specjalizację i przeniósł się do Mediolanu, zaczęli znów spotykać się regularnie. Chiara uważała go za swego najlepszego przyjaciela, lecz on nie mógłby uczciwie powiedzieć tego samego o swoim stosunku do niej; było coś więcej niż uczucie przyjaźni w trudnym do określenia podnieceniu, które ogarniało go za każdym razem, gdy rozmawiał z Chiara przez telefon albo na nią patrzył. Nie miał jednak żadnych szans; choć niechętnie się do tego przyznawał, lubił Marca Zambiasiego i uważał go za idealnego męża dla Chiary.

Dostrzegł ją z daleka. Weszła właśnie do restauracji i zdejmowała futro. Zobaczył, że kelner pokazuje stolik, a dwaj starsi panowie przyglądają się jej, kiedy ich mija i podchodzi do niego, siedzącego w prawej części sali.

Chiara jest jedyną znaną mi kobietą niewielkiego wzrostu, pomyślał, która mimo to przyciąga wzrok: może dlatego, że chodzi z wysoko uniesioną głową, podświadomie wyniosła, przez co wydaje się nieprzystępna.

- Cześć, królowo - pozdrowił Chiare wstając z krzesła i składając na jej policzku braterski pocałunek. - Widzę, że jesteś w świetnej formie.

- Nie mylisz się. Jestem istotnie w doskonałej formie - odpowiedziała z naciskiem siadając obok niego. Gdy patrzył na nią z bliska, nie widział już zarozumiałej damy, lecz figlarną dziewczynę z masą kruczoczarnych loczków okalających twarz i podkreślających jasny błękit oczu.

- Kiedy wreszcie zaczniesz wyglądać jak dostojna mężatka? - spytał Paolo. Wyglądała rzeczywiście niemal tak samo jak w dniu, w którym ją poznał, co miało miejsce dziesięć lat temu.

- Kiedy zostanę matką. Przypuszczam, że mniej więcej za osiem miesięcy - oznajmiła Chiara, uśmiechając się promiennie.

- I dopiero teraz mi o tym mówisz? To wspaniale! Co powiedział ginekolog?

- Prawdę powiedziawszy, jeszcze się do niego nie wybrałam. Zadzwoń dzisiaj, żeby ustalić termin wizyty. To już dziewięć dni opóźnienia.

Na twarzy Paola pojawił się wyraz zdziwienia.

- Nie zrobiłaś testu ciążowego?

Jedynym objawem jest...

- Mam prawie stuprocentową pewność, że jestem w ciąży - przerwała mu. - Ale test i tak zrobię.

Paolo powitał z ulgą pojawienie się kelnera.

- Na co masz ochotę?

Mógł w ten sposób zyskać na czasie i uporządkować myśli.

- Na befsztyk z rusztu i sałatę. Nie chciałabym zamienić się w grubą matronę.

- Dla mnie to samo - powiedział Paolo.

- I proszę nam przynieść szampana.

Kiedy już zostali sami, zauważył ostrożnie:

- Chiaro, dziewięć dni to nic takiego...

- W moim przypadku, tak. Mam bardzo regularny cykl. I nie zamierzam cię słuchać.

- A co na to Marco?

- Nic, bo jeszcze o niczym nie wie - odparła łagodnie Chiara, pragnąc zatrzeć wrażenie, jakie wywołał jej ostry ton.

- Cieszę się. Ale to może być fałszywy alarm i zanim wzniesiemy toast szampanem, wolałbym, abyś była pewna, że to naprawdę ciąża. Zmieńmy w takim razie temat. Jak twoja praca? Dalej jesteś niewolnicą wielkiej Valsecchi?

- Valsecchi jest wybitną

psychoanalityczką - zachmurzyła się - i daje dowód wielkiego zaufania do mnie, udostępniając swój gabinet i przekazując niektórych pacjentów.

- Ale wysokie honoraria otrzymuje ona, a dla ciebie pozostają grosze. Kiedy wreszcie sama otworzysz gabinet i zaczniesz pracować na własny rachunek? Masz po temu wszelkie dane.

- Nie wiem, jak może wpływać uspokajająco na pacjentów psychoanalityk, który nie ma nawet trzydziestki. A poza tym nie czuję się jeszcze gotowa. Valsecchi jest wysokiej klasy specjalistką i pozwala mi zdobyć niezbędne doświadczenie. Nie poradziłabym sobie, gdybym nie miała w niej oparcia.

- Zgoda, zostawmy również i ten temat.

Od jakiegoś czasu rozmowa z tobą przypomina stąpanie po zaminowanym polu - zaśmiał się Paolo.

Chiara spojrzała na niego zaniepokojona.

- Naprawdę sprawiam takie wrażenie?

Stałam się drażliwa i nieznośna?

- Kto jeszcze tak twierdzi?

- Mój mąż. Od pewnego czasu kłócimy się i on utrzymuje, że złościsz się bez powodu. Może rzeczywiście moje reakcje są histeryczne.

Przyjrzała mu się znowu.

- Zaczynasz siwieć - zauważyła bez związku.

- Niedługo skończę trzydzieści sześć lat. Podobno szpakowate skronie dodają mężczyźnie uroku. Ale nie mówmy już o mnie. Chiaro, twój problem polega na tym, że...

- Czy wiesz, że przypominasz Richarda Gere'a?

- ...że siebie nie doceniasz. Myślisz, że jedynie rodząc dziecko, możesz zasłużyć na miłość, a ponieważ nie masz dzieci, uważasz, że jesteś zerem. I zachowujesz się tak, jakbyś naprawdę nic nie była warta.

- Nie ma już o czym mówić - przerwała mu - ponieważ jestem w ciąży.

W oczach Chiary pojawił się błysk egzaltacji i Paolowi zrobiło się jej żal. Kelner przyniósł befsztyki, zaczęli jeść w milczeniu. Był to mimo wszystko smutny obiad i trwał bardzo krótko. Już kwadrans po drugiej wyszli z restauracji.

II

Chiara zdjęła spódnicę, pozbyła się szybko bielizny i położyła na fotelu ginekologicznym. Doktor Ursi czekał z uniesioną w górę prawą ręką w gumowej rękawiczce. Dwudziesty grudnia, dwadzieścia dwa dni opóźnienia i potwierdzenie z laboratorium: jest w ciąży.

Rozchyliła nogi, po raz pierwszy bez zażenowania, i poczuła w pochwie delikatne palce Ursiego. W trakcie badania podnosił lekko głowę, miał skupiony wyraz twarzy i wzrok utkwiony gdzieś w przestrzeń.

Tym razem jednak Chiarze zdawało się, że jest zadowolony. A może to ona była odprężona i nie napinała mięśni szyjki, jak robiła dotąd, szukając niespokojnie jego spojrzenia.

Delikatne palce penetrowały jej wewnątrz i Chiara nie potrafiła powstrzymać jęku. - Cierpliwości, jeszcze chwilę - powiedział Ursi. Ucisk zelżał i gdy zdejmował rękawiczkę, popatrzył jej wreszcie w oczy. Uśmiechał się: w ciągu dotychczasowych wizyt nic takiego się nie zdarzało.

- Wszystko w porządku - oznajmił. - Nie powinno być żadnych problemów. Dam pani skierowanie na badanie moczu i krwi, a za kilka tygodni zrobimy także test hormonalny.

- Czy mam leżeć? Zachowywać szczególną ostrożność?

Ursi znów się uśmiechnął.

- Nic podobnego. Mówiłem już, że wszystko jest w porządku. Niech się pani tylko zbyt nie przemęcza i unika długiej jazdy samochodem. Poza tym proszę robić to co zawsze i nie zamieniać niepokojów związanych z oczekiwaniem na dziecko na niepokoje związane z ciążą - polecił jej na koniec.

W żadnym wypadku, postanowiła Chiara wychodząc z gabinetu. I teraz, kiedy nie było już wątpliwości, mogła wreszcie powiedzieć Marcowi o swoim szczęściu.

Próbowała wyobrazić sobie jego reakcję:

najpierw skrzyczy ją, gdyż będzie myślał, że to znów fałszywy alarm. Ale ona w odpowiedzi pokaże mu wynik analizy z wydrukowanym słowem „pozytywny”. Niedowierzanie Marca przemieni się w osłupienie, a osłupienie w wybuch radości. Kochany, pomyślała, wiem, jak bardzo czekałeś na to dziecko i ile kosztowało cię udawanie, że ci na nim nie zależy. Głos Marca dochodzący z oddali: „Jest pewna przeszkoda w zawarciu małżeństwa”.

„Jaka?” - zapytała ogarnięta paniką.

„Chcę mieć dużo hałaśliwych i nieznośnych dzieciaków. Marzę, żeby zostać sędziwym patriarchą. Jeśli masz inne plany, powiedz mi o tym teraz albo nigdy.”

Spojrzała na zegarek: południe. Nie mogła zwlekać do wieczora z obwieszczeniem mu tej ważnej nowiny. Wkrótce Marco będzie miał w pracy krótką przerwę. Nagle postanowiła pojechać do niego do agencji. Ruszyła w stronę pandy zaparkowanej byle jak na piazza Diaz i w pewnym momencie zauważyła, że biegnie.

Jeśli to będzie dziewczynka, nazwiemy ją Caterina, pomyślała zwalniając kroku, a jeśli chłopak, Andrea. Miała niemal ochotę się roześmiać na wspomnienie wszystkich tych imion, które wybierała i odrzucała przez dziewięć lat oczekiwania na dziecko. Kolejno były to Sabina i Luca, Simona i Pietro, Lucia i Michele, Gilda i Matteo... Każde z nich miało twarz i wspaniałą przyszłość. Ale także krótki żywot, który trwał tak długo, jak długo trwało złudzenie. Kiedy znów powracała nadzieja, zmieniały się twarze i imiona.

Przeżyłam wiele nieszczęśliwych lat, pomyślała Chiara, czując, że łzy napływają jej do oczu. Teraz zaś, gdy koszmar się skończył, po raz pierwszy zdawała sobie sprawę z tego, jakie katusze musiał znosić Marco, skazany na przebywanie z tak przewrażliwioną kobietą i cierpiętnicą, jaką się stała. Dostyc, dostyc, dostyc, nakazała sobie wyprostowując się i przyspieszając ponownie kroku.

Za wycieraczkę pandy wsunięty był mandat za zaparkowanie w niewłaściwym miejscu. Wydał jej się symboliczną karą za ból zadawany sobie i mężowi i znowu ogarnęła ją radość na myśl, jak lekka była kara i jak wielkie szczęście, które ofiarowywał jej los.

Agencja Marca znajdowała się na początku via Salvini, zaraz za zakrętem. Jechała wolno, starając się nie denerwować w labiryncie jednokierunkowych ulic i objazdów, rozkoszując się błogostanem, który ją ogarnął. Poczowała się w absurdalny sposób rozczarowana nie widząc czerwonego światła i długiego sznuru samochodów. Uświadomiła sobie, że wcale się nie spieszy, żeby dojechać na miejsce; to była magiczna chwila i należała tylko do niej. Wkrótce Marco się dowie, a potem powinna zadzwonić do matki i siostry. Następnie zaś do teściowej i cioci Egle.

Wieczorem wszyscy już będą wiedzieli, że oczekuje dziecka, i wszyscy będą o tym mówić i cieszyć się. Doznała niedorzecznego uczucia, jak gdyby została z czegoś ograbiona, jakby krewni i przyjaciele musieli czerpać z jej radości, aby zaznać szczęścia. Na ostatnim skrzyżowaniu, mimo zielonego światła, Chiara zahamowała gwałtownie i jadący za nią samochód nerwowo zatrąbił. Żółte, czerwone, znów zielone. Chiara ruszyła, skręciła w prawo i wjechała na podziemny parking agencji.

Zamiast sprowadzić windę, weszła na piechotę na pierwsze piętro. Była za pięć pierwsza i Bea, jedna z sekretarek, poinformowała ją, że Marco jest na zebraniu.

- Czy zechce pani poczekać w saloniku?

- Nie, zajrzę do niego - powiedziała zdejmując futro i kładąc je na krześle.

Bea machinalnie wstała i powiesiła je na wieszaku. Kierując się w stronę sali zebrania, Chiara czuła na sobie zaciekawione i nieco krytyczne spojrzenia dziewcząt zatrudnionych w biurze.

Marco siedział na końcu długiego prostokątnego stołu i zapalał właśnie papierosa.

Na jej widok nie okazał wcale zdziwienia, jak gdyby żona regularnie go odwiedzała. Chiara natomiast uzmysłowiła sobie, że przyszła tu po raz pierwszy od pół roku. Dwie młodziutkie dziewczyny i czterej mężczyźni tworzący zespół pomysłodawców chcieli podnieść się z krzeseł, ale ich powstrzymała.

- Nie przeszkadzajcie sobie - powiedziała. - Przechodziłam tędy i pomyślałam, że wstąpię i zjem z wami kanapkę.

Marco uznał to również za rzecz całkiem naturalną, podszedł do Chiary, pocałował ją czule w policzek, przysunął krzesło.

- Usiądź, musimy jeszcze popracować jakieś pół godziny. Możesz się nam przydać jako psycholog. Zastanawialiśmy się właśnie, co skłania kobietę do kupienia nowych perfum..

- Powinniście już wiedzieć - zaśmiała się Chiara. Przez ostatnie cztery lata wylansowaliście co najmniej sześć gatunków.

- W tym cały problem - wyjaśnił poważnym tonem Marco.

- Każde nowe perfumy muszą mieć swój niepowtarzalny styl, który odróżniałby je od wszystkich innych. Trzeba mieć na nie pomysł, wymyślić chwytliwy slogan reklamowy.

Jedna z dziewcząt, zauważyła Chiara, miała na sobie żakiet najwyraźniej od Armaniego. To ona powiedziała: - Utknęliśmy na tym, do jakich mechanizmów należy się odwołać, żeby pobudzić fantazję i skłonić panie do zakupu nowych perfum.

- Stosunek kobiety do perfum - wtrącił Marco - przypomina jej stosunek do męża. Kobiety stałe w uczuciach używają zawsze tego samego gatunku perfum. Między nimi a zapachem powstaje niemal cielesna więź, na którą składa się poczucie pewności i miłość. Natomiast kobiety zmienne bardziej skłonne są do zdrady: kochają być może męża perfumy, ale nie potrafią oprzeć się pokusie nowości, podniecającej przygodzie.

Teraz zabrał głos jeden z mężczyzn.

- Próbuje właśnie wykorzystać urok transgresji. Musi być subtelny i nieodparty, tak by pokonać opór wiernych żon i skusić wielkie grzesznice.

Chiara roześmiała się: -

Zapomnieliście o takich kobietach jak ja, z zasady nie używających perfum. O zatwardziałyach starych pannach, których po przemieni od razu najbardziej wyrafinowany zapach w słodką woń zakładu fryzjerskiego. - Potem dodała poważnie: - Wasze argumenty są przekonujące, ale moim zdaniem należy zacząć, od czegoś innego: zanim uzna się za oczywiste, że pomiędzy kobietami a zapachem perfum istnieje niemal miłosna więź, powinniście się zastanowić, jak ona powstaje i dlaczego?

- Mogłabyś to lepiej wytłumaczyć? - zapytał Marco zainteresowany.

Chiara poczuła, że ogarnia ją podniecenie. Od tak dawna nie ćwiczyła umysłu, nie myślała o niczym innym prócz dziecka, które nie chciało przyjść na świat... Ze zdumieniem spostrzegła, że zapomniała o celu, który ją tu sprowadził, i o dziwo, jeszcze bardziej się ożywiła. Uwolniłam się od obsesji, coś w niej krzyczało. Jestem wyleczona, wyleczona, wyleczona.

Zmarszczyła brwi, starając się odnaleźć wątek. Potem, otworzywszy szeroko bardzo błękitne oczy i wpatrując się w coraz bardziej uważny wzrok Marca, wyjaśniła:

- Sądzę, że perfum nie kupują te kobiety, które nie lubią samych siebie. Perfumy to rodzaj... zbytku.

Przerwała szukając odpowiednich słów.

Po chwili ciągnęła dalej:

- To znaczy, że nie są one niezbędne.

To coś dodatkowego, przejaw samouwielbienia, potrzeba samopotwierdzenia, zabłyśnięcia, oczarowania innych. Na to, jak mniemam, trzeba położyć nacisk, a nie na transgresję, o której była mowa.

Teraz przyglądali się jej wszyscy, wyraźnie zaintrygowani tym, co powiedziała. Druga dziewczyna skorzystała z krótkiej przerwy i zauważyła: - Nie zawsze używanie perfum oznacza miłość do samej siebie. Często przeciwnie, kobiety niepewne i zakompleksione stosują perfumy, bo chcą jak gdyby się za nimi ukryć. Chiara uśmiechnęła się.

- W gruncie rzeczy mówimy o tym samym: najważniejsze to wzbudzić miłość do własnej osoby, szczególnie u kobiet tego typu. Znowu przerwała: - Czy te perfumy mają już jakąś nazwę? - zapytała, zastanawiając się nad czymś.

- Nie - odpowiedział Marco. - To będą perfumy wyprodukowane przez przemysł kosmetyczny, a nie przez stylistę. Ponieważ nie firmuje ich żadne słynne nazwisko, trudniej wymyślić ich reklamowy wizerunek.

- Ale i łatwiej - wtrącił młody blondyn siedzący po prawej stronie obok Marca. - Nie tylko dlatego, że wielcy styliści tracą coraz bardziej na autorytecie, lecz także dlatego, że przemysł kosmetyczny pozwala nam na dużo więcej swobody.

- Zgadzam się z panem - odparła Chiara. - Czemu więc nie zaczniecie od ustalenia odpowiedniej nazwy? Z zasugerowaniem motywów kupna nie powinniście potem mieć kłopotu. Powtarzam raz jeszcze: postawcie na miłość.

- „Amore” brzmiałoby nieźle - skostatował cicho ten sam blondyn.

- To zbyt banalne. Produkt ma utrafić w gusty wyrafinowanej klienteli: mały flakonik perfum będzie kosztować sto pięćdziesiąt tysięcy lirów - wtrącił Marco kategorięcznym tonem, którego Chiara nie znała.

- Cofam wszystko, co powiedziałam! - wykrzyknęła wesoło, żeby zatrzeć uczucie niepokoju, którego przyczyn nie umiała sobie wytłumaczyć. - To niemożliwe, aby kobieta, która stać na wydanie stu pięćdziesięciu tysięcy lirów na flakonik perfum, mogła mieć problemy z życiem i samą sobą.

- Czasem bywa i tak - zauważył ironicznie najstarszy z mężczyzn, około pięćdziesiątki, szpakowaty, w okularach w rogowej oprawie nienagannej tweedowej marynarce. - Dowodzi tego przykład Christiny Onassis.

- Flakonik zaprojektowany został przez Migneca - oświadczył Marco profesjonalnie. - Pomysł nie jest oryginalny, ale przynajmniej podnosi wartość wyrobu i uzasadnia jego wysoką cenę. Teraz w każdym razie proponuję przerwę. Wznawiamy posiedzenie o piętnastej trzydzieści.

- Żadnych kanapek? - spytała Chiara.

- Nie. Podsunęłaś nam ciekawy pomysł i zasłużyłaś na solidny posiłek. Do jakiej restauracji chciałabyś pójść?

Obie dziewczyny wyszły pierwsze, po nich opuścili salę czterej współpracownicy Marca.

- A więc? - zwrócił się do Chiary Marco, kiedy zostali sami.- Gdzie mam cię zabrać?

- Jeśli nie wyda ci się to zbyt... banalne - powtórzyła za nim - proponuję romantyczny obiad we dwoje. Muszę z tobą pomówić.

Restauracja, nawet najspokojniejsza, nie była najlepszym miejscem do oznajmienia mężowi, że oczekuje dziecka.

Myśl, że jest w ciąży, powróciła i Chiare znów ogarnęła euforia. Musiała przymknąć oczy, żeby nie dostrzegł jej rozradowania. Było tak, jakby szczęście, które odczuwała godzinę temu, wybuchło na nowo.

Marco przyglądał się jej z niepewnym wyrazem twarzy: - Źle się czujesz? Coś nie tak?

- Nie, nie. Przeciwnie, czuję się świetnie. Ale pomówimy o tym w domu - powiedziała pospiesznie, biorąc go pod rękę. Bea podała jej futro i otworzyła drzwi.

Mieszkali w okolicy Targów, na via Alberto Mario. Ulica była zacieniona i spokojna. Nie odnosiło się wrażenia, że to Mediolan, patrząc na niskie domy i wille tonące w zieleni. Ich była jednopiętrowa z małym ogrodem z tyłu i dużym tarasem, na który wychodziło się z salonu. Dom, wybudowany przez dziadka w 1910 roku, Marco odziedziczył, kiedy chodził jeszcze do liceum.

Przez długi czas wynajmowali go zbiedniali swego czasu, rozrzutni arystokraci, którzy zawsze spóźniali się z płacaniem czynszu. Ich dwójka dzieci, niszcząc wszystko wokół, zachowywała się niczym gromada Hunów. Gdy przy pomocy adwokata rodzina pozbyła się wreszcie uciążliwych lokatorów, dom był w fatalnym stanie: obdrapane i podziurawione tynki, potłuczone i nie nadające się do użytku sanitariaty, wyrwane z zawiasów okna i drzwi. A jednak Chiarze spodobało się tu od samego początku. Była połowa lutego, a w pierwszych dniach marca ona i Marco mieli się pobrać. Po dziewięciu latach pamiętała jeszcze to nieuchwytnie wrażenie, jakiego doznała krążąc po wielkich pokojach: zdawało jej się, że na nią czekały, że ona również czekała aż do tej chwili tylko na to, by się tam znaleźć.

- To jest dom... serdeczny - oświadczyła Marcowi, który rozglądał się wokół i robił rejestr szkód. I to wrażenie silnej emocjonalnej więzi z domem przy via Alberto Mario już jej nie opuściło.

Niewiele ponad miesiąc potrzebowali murarze, cieśle i hydraulicy, aby przywrócić willi dawną świetność. Remont był prezentem ślubnym od rodziców Marca, matka Chiary zaś podarowała im duże białe kanapy do salonu oraz stary stół z orzecha do jadalni z sześcioma cudem ocalałymi jednakowymi krzesłami.

Od Salvatora Fiume, który był najlepszym przyjacielem jej ojca, dostała obraz olejny: przedstawiał kobietę, która wydała się Chiarze najszczęśliwszą istotą na ziemi. Choć malarz namalował ją w pozie półleżącej, pozornie biernej, wyrażała jednak żarliwe pragnienie życia.

Kiedyż to przestałam na nią patrzeć, zazdroszcząc jej niemal tego żaru, który już we mnie wygasł? - zastanawiała się Chiara, wchodząc do salonu i obejmując wzrokiem obraz, meble, rośliny i ściany, jak gdyby chciała nawiązać z nimi na nowo dawno zerwany uczuciowy kontakt. Zagubiłam się w swoim domu i w swoim życiu, pomyślała i pożałowała od razu, że ucieka się do takich banalnych zwrotów.

- A więc - Marco stanął za nią - jak wygląda menu? Co takiego ważnego miałaś mi do powiedzenia?

Chiara odwróciła się. Może powinniśmy usiąść i coś wypić... Może lepiej byłoby powiedzieć mu o tym wieczorem, kiedy nie będzie już musiał wracać do biura. Może...

Przełknęła ślinę. Podniosła na niego wzrok.

- Marco, będę miała dziecko. Zrobiłam badania i dziś rano ginekolog potwierdził moje przypuszczenia - dodała pospiesznie. Nie mogła znieść wyrazu zniecierpliwienia i niedowierzania w jego oczach.

- Jesteś pewna? - zapytał Marco obojętnym tonem, jak gdyby nie usłyszał tego, co mu zakomunikowała.

- Tak, byłam u ginekologa dziś rano - powtórzyła spokojnie. Dlaczego nagle poczuła w sobie taką pustkę i smutek? Wszystko jednak zniknęło, kiedy znalazła się w ramionach Marca, obejmujących ją z namiętą czułością.

- Och, Marco, tak długo czekałam...

- Kochanie, nic nie mów. Chciałbym, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Przytulona do męża słyszała, jak jego serce bije w szalonym rytmie.

- Tak cię kocham - wyszeptała.

- Ja ciebie też. Po dziewięciu latach wciąż szaleję za tobą. I...

- Co we mnie jest takiego niezwykłego?

- przerwała mu uszczęśliwiona.

- Jesteś jak twoje imię. Chiara, jasna... Jesteś świetlistym promyczkiem, najwspanialszym prezentem, jaki otrzymałem od losu. A teraz dasz mi dziecko. Chciałbym, żeby to była dziewczynka, taka sama jak ty. Dumą napawa mnie myśl, że uczestniczyłem w akcie prokreacji, rozumiesz? Nigdy natomiast nie zależało mi na ojcostwie jako takim i na powielaniu genów.

- Dziewczynka przeżyje poważny wstrząs, kiedy zauważy, że kochasz ją tylko ze względu na matkę... - zażartowała wzruszona.

- Jeśli zrobi, co do niej należy, i urodzi się z główką całą w czarnych loczkach i z niebieskimi oczami takimi jak twoje, będę ją kochał całym sercem. Chiaro, co powiedział ginekolog?

Wszystko w porządku?

- Chyba tak. Obawia się tylko, że mogę być zbyt przewrażliwiona na punkcie ciąży i zachowywać się jak słaba i chorowita mamusia.

Marco spojrzął na zegarek.

- Muszę pędzić do biura - oznajmił. - Chcę wziąć dziesięć dni urlopu. Pomyśl tylko, ja i ty w jakimś romantycznym i niezbyt odległym zakątku - postanowił w jednej sekundzie.

- Ale nic jeszcze nie zjadłeś - zaprotestowała. - Poczekaj, zrobię ci chociaż kanapkę.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia na propozycję spędzenia razem upojnych chwil?

Jest wspaniałym mężczyzną, pomyślała Chiara, zarzucając mu ręce na szyję. - Jakież to upojne chwile może mi zaproponować zestresowany i wygłodzony mąż? - zażartowała.

- Masz rację. Niech będzie kanapka.

Ale dziś wieczorem żądam wykwintnej kolacji i co najmniej sześciu pomysłów na zimowe wakacje. Wybierz się do jakiegoś biura podróży i dowiedz wszystkiego. Moglibyśmy wyjechać dwudziestego szóstego albo dwudziestego siódmego grudnia. Co o tym sądzisz?

- Uważam, że to świetny pomysł. Po południu muszę tak czy owak wyjść z domu. Matka i siostra jeszcze o niczym nie wiedzą, chcę też powiadomić twoją rodzinę.

- To twoja wielka chwila - zaśmiał się Marco. - Zrobisz triumfalny obchód, by zebrać gratulacje i dary.

Chiara, która szła już w stronę kuchni, obejrzała się. To był jej rudy i piegowaty chłopak o szczerym wyrazie twarzy i wesołym, czułym spojrzeniu. Jak wyglądałoby jej życie, gdyby go nie spotkała? Sama myśl o tym wydała się jej przerażająca.

Lucia Basile została wdową, kiedy miała czterdzieści dwa lata. Na wychowaniu pozostały jej dziesięcioletnie bliźniaczki: Chiara i Giovanna. Urodzona w zamożnej mieszczańskiej rodzinie, jedyna córka znanego lekarza o świetnej pozycji zawodowej, lecz chłodnym usposobieniu, spotkała już jako trzydziestolatka ubogiego pisarza, marzyciela i optymistę. Wyszła za niego za mąż, buntując się w ten sposób jedyny raz w życiu i dokonując pierwszego samodzielnego wyboru.

Nigdy tego nie żałowała, choć spadły na nią wszystkie obowiązki, w tym i obowiązek utrzymania męża, a potem bliźniaczek. Rozpieszczona jedynaczka musiała pracować jako guwernantka i pielęgniarka, dorabiać nocnymi dyżurami przy chorych staruszkach i bieganiem od domu do domu z zastrzykami. Nie załamały jej jednak ani fizyczne zmęczenie, ani staroświecka postawa rodziców, którzy zerwali wszelkie z nią stosunki. Wystarczyło, że wróciła do domu i zobaczyła swojego Giacomę, jak zrywa się od stołu i biegnie, aby ją uściskać, a znów odzyskiwała energię i wiarę we własne siły. Nie zdarzyło się też, by wyrzucała sobie, że popełniła „szaleństwo”, jak nazywano w rodzinie jej postępek.

Po dziesięciu latach bezskutecznego wysyłania maszynopisów mężowi Lucii udało się wreszcie opublikować pierwszą powieść. Zdażył zaledwie zaprosić żonę i córki do eleganckiej restauracji na prawdziwego szampana: w dwa miesiące później zmarł na zawał. Śmierć Giacomę wydała się Lucii straszliwym i niezasłużonym nieszczęściem. Wyglądało na to, że jej umiłowanie życia skończyło się wraz z odejściem ukochanego. Przez jakiś czas była zgorzkniała i nerwowa, nieufna i przygnębiona. Wkrótce po mężu opuścił ją ojciec; bardziej się go bała, niż kochała. Zbawienny spadek, którego nie można już było prawnie jej pozbawić, rozwiązał przynajmniej wszystkie materialne problemy. Lucia zaznała ponownie przyjemności mieszkania w pięknym domu i wszelkich wygod, jakie niesie ze sobą dobrobyt. Wreszcie nie musiała pracować i mogła poświęcić się całkowicie wychowaniu bliźniaczek, odprowadzać je do szkoły, siadać z nimi do obiadu, przygotowywać posiłki, przyglądać się ich zabawom.

Występowanie w roli matki na pełnym etacie nie przyniosło początkowo Lucii sukcesów wychowawczych: zauważyła z przerażeniem, że Chiara i Giovanna wyrosły na prawdziwe dzikuski i nie uznają żadnej dyscypliny. Całymi dniami bawiły się na podwórzu razem z dziećmi z sąsiednich domów, jadły, kiedy były głodne, myły się, kiedy sobie o tym przypomniały, odrabiały lekcje, gdy nie miały ochoty już więcej szaleć.

Młoda wdowa postanowiła wypełniać obowiązki jedynej żywicielki z misjonarskim zapałem i uczuciem, którego siłę wzmożyły jeszcze wyrzuty sumienia. Stała się wymagająca i stanowcza, a jednocześnie opiekuńcza i przyjazna. Miewała jednak również chwile słabości, kiedy z ogromną czułością odnosiła się do córek i ścisła je niemal z zabobonnym lękiem. Chiara szybko nauczyła się kochać tę ekscentryczną kobietę tak różną od wszystkich innych matek, czasami też

zauważała ze zdziwieniem, że mimo swego młodziutkiego wieku traktuje ją z macierzyńską troskliwością.

Druga bliźniaczka, choć ubóstwiała Lucię, sprawiała jej niemało kłopotów: była uparta i całkowicie niezależna. Pod względem fizycznym przypominała do złudzenia siostrę. W miarę upływu lat owo podobieństwo zaczęło się jednak zacierać kiedy dorosły, nie było już po nim śladu. Giovanna niemal codziennie wyglądała inaczej, raz kruczoczarna, innym znów razem płomiennie ruda, zbyt żywiołowa, by zdecydować się na jakiś wizerunek: z łobuziaka przemieniała się w wampa, w zależności od kaprysu i chwilowych fascynacji.

Miała silniejszą osobowość niż siostra, ale Chiara nie czuła się przez nią zdominowana ani tym bardziej jej nie zazdrościła. Przeciwnie, wręcz ją uwielbiała. Broniła, podziwiała, ukrywała jej wybryki. Giovanna kochała ją równie gorąco, doceniając z kolei jej siłę woli, wewnętrzne zdyscyplinowanie, umiejętność obdarzania innych miłością.

Parkując samochód i kierując się w stronę rodzinnego domu na viale Caldara, Chiara przypomniała sobie owo odległe popołudnie, kiedy oznajmiła bez wahania, że poznała pewnego chłopaka i zamierza natychmiast wyjść za niego za mąż. Lucia najpierw wpadła w osłupienie, a potem w furję. Wymyślała Chiarze i błagała, aby się opamiętała, groziła i straszyła. Aż wreszcie, wyczerpana, opadła zemdlna na fotel. Chiara patrzyła na nią sparaliżowana strachem, ale mimo to niewzruszona. To Giovanna pobiegła do kuchni, chwyciła dzbanek z wodą i chlusnęła nią w twarz matce. „Twoja siostra chce wyjść za nie wiadomo kogo, bez grosza i bez zawodu...”, szlochała Lucia, odzyskując przytomność.

Podpierając się pod boki, Giovanna odparła bezczelnym tonem: „Może z twoim Giacometem było inaczej?”

„Nie opowiadaj głupstw! Twój ojciec był kimś wyjątkowym, człowiekiem jedynym w swoim rodzaju!”

„Ale tylko ty się na nim poznałaś! Dlaczego więc nie chcesz pozwolić, by Chiara zrobiła to samo?”

Chiara weszła do środka i czekała teraz na windę. W odróżnieniu od niej Giovannie nie śpieszyło się wcale do zamałpójścia. Miała wielu przyjaciół („kochanków”, jak mówiła Lucia zbolalym i oburzonym głosem), ale oczywiście żaden nie zasługiwał na to, by zrezygnować dla niego z wolności. Prowadziła więc nadal swobodny tryb życia, choć mieszkała ze swoją nadopiekuńczą, kapryśną, bardzo zmienną w nastrojach matką.

Być może kocha Lucię mocniej niż ja, pomyślała Chiara, potrafi się nią opiekować, rozśmieszać ją tak, jak mnie nigdy by się nie udało.

Drzwi otworzyła Giovanna. Bardzo długie włosy miała zawinięte w ręcznik, twarz pokryta maseczką o konsystencji i w kolorze błota.

- Wejdz na palcach i nic nie mów, mama dopiero co usnęła. Twierdzi, że od miesiąca nie zmrużyła oka. Jej zdaniem to przypadek bezsenności wywołanej stresem.

- Powodem tego stresu jesteś oczywiście ty - wyszeptała Chiara rozbawiona.

- Brawo, zgadłaś. W nagrodę dostaniesz kawy. A może chcesz coś przekąsić?

- Co wolisz. Szykujesz się do wyjścia?

- Nie, to są, że tak powiem, prace konserwatorskie. Ale również zawodowy obowiązek: wypróbuję nową maseczkę, która zdaniem pracowników laboratorium powinna zdziałać cuda.

Giovanna była szefową działu handlowego poważnej firmy kosmetycznej, toteż obdarowywała nieustannie siostrę masą szminek, pudrów, cieni do powiek, nie zwracając uwagi na drobny fakt, że Chiara prawie wcale się nie maluje.

W pewnej chwili oczywiście powiedziała: - Mam próbkę cieni, które doskonale pasują do twoich oczu. ~a propos, jakiego kremu używasz? Masz wspaniałą cerę.

- Hormony... własnej produkcji - odparła Chiara, uśmiechając się tajemniczo. - Jestem w ciąży.

- Och.. - Zdziwienie Giovanny trwało krócej niż ten cichy okrzyk. Objęła ją w pół, podniosła wrzeszcząc na całe gardło i zaczęła wirować niczym w szalonym tańcu.

- Pst, przecież mama śpi - próbowała uwolnić się z uścisku Chiara.

- Kto mógłby spać przy takim hałasie?

- Lucia pojawiła się w drzwiach i patrzyła na córki z wyraźną dezaprobatą.
- Dzięki za wizytę - powiedziała zwracając się do Chiary. - Już od tygodni nie zaszczytasz nas swą obecnością.
- Chiara jest w ciąży. Będzie miała dziecko - oznajmiła Giovanna, znów unosząc siostrę w górę.
- O Boże...
- Mamo, proszę, nie mdlej.
- I mówicie mi o tym dopiero teraz? No tak, jak zawsze o wszystkim dowiaduję się ostatnia. - Lucia zacisnęła wargi i uniosła podbródek jak w najgorszych chwilach, kiedy czuła się niedoceniana jako idealna matka.
- Dowiedziałam się o tym dopiero dzisiaj. Dokładnie mówiąc, dziś rano.

Lucia natychmiast przestała się dąsać. W jej oczach błysnęły łzy. - To wspaniała wiadomość. Wyobrażam sobie, jak Marco musi się cieszyć.

Stłumiła w sobie dawną niechęć i kochała teraz bezgranicznie jedynego zięcia, który, jak twierdziła, przypomina jej biednego Giacoma. Gdy zaś Giovanna zwróciła jej uwagę, że określiła go kiedyś jako „nie wiadomo kogo, bez grosza i bez zawodu”, odpowiedziała oburzona, że to kompletne bzdury.

- Marco oczywiście jest szczęśliwy - oświadczyła Chiara. - Zaraz po Bożym Narodzeniu wyjedziemy na kilka dni.

- Nie przemęczaj się za bardzo! Nie szalej jak zwykle! Kobieta w ciąży powinna na siebie uważać! - wykrzyknęła Lucia.

Była to jedyna znana im osoba, w której głosie słyszało się tak wyraźne akcentowanie wyrazów. Kiedy bliźniaczki były małe, śmiały się z tego często.

- Ginekolog twierdzi, że wszystko jest w porządku - odparła Chiara - i że powinnam zachowywać się normalnie. Ciąża to nie choroba i ty wiesz o tym najlepiej: oczekiwałaś bliźniaczek i harowałaś do siódmego miesiąca.

- Ja musiałam pracować, ale ty nie. W odróżnieniu od Giacoma Marcowi się powiodło i możesz sobie na wiele pozwolić.

- Mamo, wyjeżdżamy z Mediolanu, bo mamy zamiar odpocząć i побыć trochę razem.

- Cóż, róbcie, jak chcecie. Pamiętaj jednak, że ginekolodzy to świetni chirurdzy, ale fatalni lekarze. Położne miały kiedyś sto razy więcej zdrowego rozsądku niż oni. Powinnaś jeść i wypoczywać, jeśli nie chcesz stracić zdrowia albo, nie daj Boże, dziecka. Giovanna, zrób nam herbaty. I zmyj czym prędzej z twarzy to paskudztwo!

III

Nie było już miejsc. Ani jednego wolnego miejsca w samolocie i w hotelach. W przeddzień Wigilii Chiara obeszła wszystkie biura podróży; na początku miała ambitne plany, ale pod koniec była już gotowa zgodzić się na jakąkolwiek miejscowość i jakikolwiek środek transportu. Nic z tego: wyglądało na to, że połowa Włoch zamierza wyruszyć na podbój świata. Gdzie tylko weszła lub zadzwoniła, mówiono jej, że koniec października to ostatni moment, by zaplanować wyjazd na sylwestra. Nie wszędzie jednak obsługa była jednakowo uprzejma. Poza uczynnymi paniami, które udawały, że im przykro, natknęła się także na niegrzeczne i aroganckie, które traktowały ją jak osobę nie całkiem normalną: też coś, wydaje się jej, że o tej porze gdzieś jeszcze mogą być wolne miejsca... To Marco, dzięki szczęśliwemu przypadkowi, znalazł rozwiązanie. W Wigilię na ostatnim spotkaniu pojawił się pewien klient spóźniony o godzinę. Z Zurychu bez uprzedzenia przyjechali do niego teściowie, udaremniając tym samym jego plany

związane z urlopem, który zamierzał spędzić z żoną w Selvie w Val Gardenie. Na szczęście nie odwołał jeszcze rezerwacji, Marco zaproponował więc, by zadzwonić do hotelu i powiadomić recepcję, że umówionego dnia zamiast państwa Mullerów w Val Gardenie stawia się państwo Zambiasi.

Pomysł zachwycił Chiareę. Chociaż jeździła na nartach ostrożnie i gorzej od siostry, to jednak kochała góry, szczególnie zimą. Lubiła jechać kolejką linową wśród ciszy, ośnieżonych szczytów i jodłowych lasów. A kiedy mknęła ze stoku w dół, doznawała upajającego wrażenia wolności; to były jedyne chwile, gdy czuła się panią własnego ciała. Mogła nim kierować, pochylać się, prostować, a także poddawać z ufnością pędowi.

Marco wymusił na niej obietnicę, że w tym roku nie będzie codziennie jeździć na nartach, co najwyżej wybierze się tylko raz czy dwa na jakąś łatwą trasę. Ale nie uspokoiło to wcale matki Chiary.

- Potrzebujesz ciepła, a nie mrozu na wysokości dwóch tysięcy metrów - powtarzała Lucia, nie przyjmując do wiadomości, że Selva leży zaledwie na wysokości tysiąca pięciuset metrów.

Jak co roku, zostali zaproszeni na Wigilię do rodziców Marca. Wszyscy zebrali się w dużym salonie, udekorowanym kolorowymi girlandami. Nie zabrakło tradycyjnej jemioły i choinki.

Po kolacji wręczano sobie prezenty:

paczuski zawinięte w ozdobny papier z dołączonym często dowcipnym bilecikiem; towarzyszyły temu jak zawsze okrzyki zdziwienia, podziękowania, pocałunki.

Nastrój tegorocznej kolacji wigilijnej był bardziej podniosły niż zwykle.

- W przyszłym roku - powiedział ojciec Marca, wznosząc toast - nasza rodzina się powiększy. Piję już teraz za mojego wnuka, który jest wśród nas, choć go jeszcze nie widać.

Chiara, wyraźnie wzruszona, podeszła, by go uściskać. Z teściową nie potrafiła nawiązać serdecznych stosunków, ale za to kochała całym sercem tatę Zambiasiego. Pragnęła mieć ojca, który byłby do niego podobny: dowcipny, bezpośredni, serdeczny i troskliwy. Zastanawiała się często, czy teść jest szczęśliwy z tak egocentryczną i płytką kobietą jak jego żona, Teresa. Nie potrafiła też pojać, jak ona mogła urodzić kogoś tak wspaniałego, jak Marco.

Teresa nie zamierzała ukrywać, co sądzi o urlopie w Val Gardenie.

- Jestem pewna, że to twój pomysł - powiedziała do synowej. - A poza tym postanowiliśmy przecież spędzić sylwestra i Nowy Rok wszyscy razem w Monte Carlo.

- To dopiero byłoby męczące - wtrącił Marco. - Możecie przecież pojechać bez nas - przeciął dyskusję, wręczając matce paczuszkę. - Otwórz - poprosił stanowczym tonem. - Popełniłem dla ciebie szaleństwo.

Była to broszka z białego złota i szafirów imitująca starą biżuterię. Radość Teresy nie trwała jednak długo, gdyż zauważyła, że Marco podarował niemal identyczny prezent teściowej.

- Masz doprawdy szczęście Lucio, że trafił ci się taki zięć jak mój syn - skomentowała kwaśnym tonem, nie próbując nawet ukryć złego humoru.

- A ty to nie? - wtrącił szybko mąż Teresy. - Myślisz, że łatwo znaleźć taką synową?

Chiara znów chciała go uściskać, ale się powstrzymała. Teresa traktowała niemal jako osobistą zniewagę każdy objaw sympatii, jaka łączyła teścia i synową. Żeby nie sprawiać jej przykrości, Chiara i Marco już od lat ofiarowywali sobie prezenty - zawsze bezsensownie drogie - dopiero po powrocie do domu: to była ich własna Wigilia, która przeciągała się niekiedy aż do świtu. Tym razem Marco podarował oficjalnie żonie chustkę od sióstr Fendi, a Chiara wręczyła mu krawat od Krizii. O wpół do drugiej przyjęcie się skończyło. Następnego dnia starsi państwo Zambiasi mieli pójść na obiad do kuzynki Teresy, Chiara zaś i Marco na via Caldara, do Giovanni i Lucii. To również należało do świątecznych zwyczajów.

Wyjechali do Selvy dwudziestego szóstego grudnia, o wpół do siódmej rano. Panował silny mróz, ale ciemne jeszcze niebo usiane było gwiazdami. Zapowiada się piękny dzień, pomyślała Chiara, wkładając ostatnią torbę do bagażnika volva. Ulice były prawie puste, dotarli więc do obwodnicy w niecały kwadrans. W jakiś czas potem znaleźli się u wylotu autostrady. Zazwyczaj Marco jeździł szybko i łatwo tracił cierpliwość. Jest i świetnym kierowcą, twierdziła Lucia. Raczej nieostrożnym, dodawała w duchu Chiara. Tego ranka nie przekroczył jednak ani razu stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Zatrzymali się najpierw na kawę w autogrillu w Erbusco, niedaleko Brescii. Jak tylko wyjechali na autostradę Verona_Bolzano, Chiara poczuła silny głód, więc znowu stanęli; zjadła dwa kawałki strudla i Marco musiał niemal siłą odciągnąć ją od tortu migdałowego, na który rzucała łakome spojrzenia.

- To nie apetyt, to czyste szaleństwo

- zganił ją żartobliwie, kiedy znów wsiedli do samochodu.

- A cóż to za różnica? Podziwiam szaleńców, jest coś bohaterkiego w braku umiaru, jaki ich cechuje.

- Coś takiego. Odkąd to moja rozsądna żoneczka stała się obrończynią szaleńców?

- Odkąd się dowiedziałam, że jestem w ciąży - odpowiedziała Chiara poważnym tonem. - To tak, jakbym znalazła się nagle w świecie, w którym nie ma letnich uczuć ani słabych wrażeń. Kocham ludzi, dobrze mi z samą sobą, wdycham świeże powietrze i chłonę wszystkie zapachy, jedzenie ma nowy smak. Chciałabym wszystkiego spróbować, wszystkiego dotknąć...

Marco ujął jej dłoń.

- Czy jest w tym i dla mnie jakieś miejsce?

- Dla ciebie przede wszystkim. Czuję cię na sobie, w sobie, jesteś częścią mego ciała. Gdyby cię ode mnie oderwano, wykrawiłabym się na śmierć. Sam widzisz, że w miłości brak mi umiaru! A dziecko, które urodzę, jest jej symbolem. Nie mogłam znieść myśli, że nasz związek - jest bezpłodny, martwy.

Marco uściskał jej rękę.

- Nie, Chiaro. Cieszę się, że będziemy mieli dziecko, ale moja miłość do ciebie zawsze była niezależna od okoliczności.

- Czasem się zastanawiałam - powiedziała Chiara niby to do siebie, przymykając oczy - jak to się stało, że wzbudziłam w tobie tak głębokie uczucie. Nie jestem znowu taka nadzwyczajna.

- Ale nadzwyczaj odpowiadasz mojemu wyobrażeniu o idealnej kobiecie. Zrozumiałem to, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy u cioci Egle. Jesteś silna, a jednocześnie wrażliwa i pełna ciepła. Delikatna dziewczyna, która potrafi udźwignąć największy ciężar i nie załamie się pod nim. To nie takie częste, kochanie.

Minęli już Trento, po obu stronach autostrady ciągnęły się teraz sady, w których rosły jabłonie. Na ich widok Chiarze do ust napłynęła ślina: nie wiedziała, czy to z powodu głodu czy mdłości. Przechyliła do tyłu głowę i odetchnęła głęboko. Zaraz poczuła się lepiej.

- Chcesz, żebyśmy się zatrzymali?

Przed Bolzano jest jeszcze jeden autogrill.

Nic nie może ująć uwagi Marca, pomyślała.

- Nie, wszystko w porządku - uspokoiła go.

Na trasie od Bolzano do Chiusy Chiara zdrzemnęła się. Gdy otworzyła oczy, Marco jechał już drogą pnącą się w górę w kierunku Selvy.

Dotarli na miejsce przed południem. Hotel „Tyrol” przypominał rzeczywiście stary, solidny dom tyrolski. Ich pokój okazał się ciepły i przytulny, ściany pokryte były częściowo drewnem, fotele obite materiałem w kwiatki, na łóżku leżały dwie czyste kołdry. Przez okno wpadał słoneczny blask, łańcuch białych szczytów na tle błękitnego nieba w ramie okiennej przypominał obraz.

- Chcesz chwilę odpocząć? Jest jeszcze trochę czasu do obiadu - zaproponował Marco, obejmując żonę.
- Nie, lepiej rozpakować walizki i zjeść obiad jak najwcześniej. Będziemy mieć dla siebie całe popołudnie i możemy pójść na spacer.
- Nie wolno ci się przemęczać. Mamy przed sobą dziesięć dni, będzie jeszcze czas na przechadzki.
- Ale ja nie chcę, żebyś był ciągle ze mną! Lubisz narty, masz tu wspaniałe nartostrady. Ja chętnie porozglądam się po okolicy. Niewykluczone, że któregoś dnia przypnę deski. Tylko na łatwych trasach, oczywiście - zapewniła męża Chiara.
- Zważywszy na twój brak umiaru, nic a nic ci nie ufam. Kto mi zaręczy, że nie zjedziesz na łeb, na szyję z Sasslongu?
- Musisz mi wierzyć na słowo. A teraz, zamiast gadać, pomóż mi ułożyć rzeczy. Czyż nie jestem kruchą kobietką w ciąży, która potrzebuje pomocy?

Dwudziesty siódmy grudnia też okazał się słonecznym i pięknym dniem. Chiara musiała długo nalegać, aby Marco sam poszedł na narty.

- Nie chcę mieć cię cały dzień na głowie - zaprotestowała w końcu zdenerwowana.
- Kiedy ty będziesz zjeżdżał, ja posiedzę sobie w kawiarni, poczytam gazety, pochodzę po miasteczku. Nie możemy być bez przerwy razem!

Choć niechętnie, Marco dał się w końcu przekonać. Gdy spotkali się o wpół do drugiej, miał twarz zaczerwienioną od słońca i uszczęśliwioną minę.

- Sasslong to niesamowita trasa, pokazałem, co potrafię. Jestem jeszcze w formie
- oświadczył z zadowoleniem.

Odtąd ich krótkie rozstania codziennie wyglądały mniej więcej tak samo: on szedł na narty, ona czekała na niego w miasteczku. Po Sasslongu Marco odkrył Cir i Ciampinoi, ale radość tym wywołana zaprawiona była poczuciem winy.

W sylwestra rano pozwolił Chiarze wreszcie zjechać. - Trasę prowadzącą z Selvy możesz zaliczyć nawet ty. Oczywiście ze mną. No jazda, zabieraj deski i ruszamy.

Była to istotnie kilkukilometrowa trasa, łagodna i bardzo łatwa. Zjeżdżając ze stoku, Chiara doznała tego samego co zawsze uczucia swobody i lekkości. Czuła, że pozostaje w idealnej harmonii z własnym ciałem, pejzażem, Markiem; było coś dziwnie niepokojącego w stanie absolutnego niemal zjednoczenia z zewnętrznym światem.

Nadejście Nowego Roku świętowali w hotelu. Gdy wybiła północ, Marco podniósł kieliszek szampana, żeby wznieść toast.

- Za życie - powiedział poważnym tonem, patrząc na nią z oddaniem. - Nie chcę o nic prosić ani wypowiadać jakichkolwiek życzeń. Pozostawmy to losowi. Nigdy nie byłem tak pełen ufności jak dziś.
- Ani ja - wyszeptała Chiara, wybuchając niespodziewanie płaczem. - Nie zwracaj na mnie uwagi, proszę cię, nie przejmuj się. Jestem po prostu bardzo szczęśliwa.

Marco pochylił się w stronę żony i ujął w dłonie jej twarz.

- Nie mogę znieść twoich łez. Nie płacz już, błagam.
- A ja nie mogę znieść twojego smutnego wzroku. Już mi przeszło, wybacz.

Wzniesli wreszcie toast, a potem zatańczyli. Na koniec, objęci, wrócili do pokoju. Jak tylko Chiara położyła się do łóżka, od razu zapadła w głęboki sen. Marco, przytulony do niej, długo nie mógł zasnąć.

Piątego stycznia, w przeddzień wyjazdu, zrobili wycieczkę po Gruppo Sella. Na podstawie mapy i korzystając z rad kelnera, członka górskiego pogotowia ratunkowego, Marco obmyślił najłatwiejszą trasę, której całkowicie bezpieczne i krótkie odcinki można było pokonać na nartach.

Wyruszyli z miasteczka kolejką linową i zjechali do Pian de Galba, omijając z boku Ciampinoi. Stamtąd dotarli do Passo Sella, najpierw wyciągiem

krzeselkowym, potem orczykowym. Wreszcie znaleźli się w „kamiennym mieście”, w przejmująco majestatycznej scenerii. Droga wiodła pośród gładów u stóp Sasslongu, łagodne wzniesienia przeplatały się z niewielkimi odcinkami zjazdu. Marco towarzyszył żonie i ani przez chwilę nie spuszczał z niej wzroku. Robił sobie wyrzuty, że zabrał ją aż tutaj, choć Chiara zjeżdżała bardzo ostrożnie i nie wyglądała wcale na zmęczoną. Słońce nadało jej twarzy złoty odcień, spod czapki wymykały się niesforne kosmyki. Od czasu do czasu zatrzymywała się i rozglądała, zachwycona wszystkim dookoła.

Chciała dotrzeć aż do tarasu na

Pordoi, skąd roztaczała się przepiękna panorama gór, lecz tym razem Marco nie ustąpił.

- Nie ma mowy. Jedziemy teraz do restauracji „Pod Białym Wilkiem”, coś zjemy, pobędziemy trochę na słońcu i wracamy. Jak na narciarkę w ciąży to zupełnie wystarczy.

Kiedy wrócili do „Tyrolu”, była już piąta po południu i zaczynał zapadać zmierzch. Wzięli prysznic i zapakowali walizki. O wpół do ósmej zjedli kolację, po czym poszli do miasteczka na kawę. Niebo się zachmurzyło i wszystko wskazywało na to, że będzie padał śnieg. Oświetlone jednakże uliczki, pełne wystaw, kawiarni i spacerowiczów, sprawiały, iż można było odnieść wrażenie, że jest się w przytulnym salonie.

Weszli do małej kawiarni i usiedli przy stoliku w rogu salki. Chiara odczuwała przyjemne zmęczenie, kręciło jej się trochę w głowie.

- Upiłam się śniegiem i widokami - powiedziała. - To były wspaniałe wakacje.

- Wspaniałe - powtórzył Marco. - Nie chcę nawet myśleć o tym, że za dwa dni znów zaczniesz się cały ten młyn.

- Sądziłam, że uwielbiasz swoją pracę.

- Bo jestem nienormalny. Pamiętasz Rosatiego, mojego szefa sprzed ośmiu lat, który u szczytu powodzenia rzucił wszystko, przeniósł się do starego gospodarstwa w Valtellinie i został malarzem?

- Coś nic nie słychać o jego obrazach... - zauważyła Chiara.

- Spotkałem go przypadkiem kilka miesięcy temu. Gruby i szczęśliwy, z twarzą ogorzałą od wiatru, produkuje owcze serki. Może tak postępują ludzie dojrza...

Chiara przerwała mu oburzona: - To nie są ludzie dojrza... ale żałośni pozerzy. Zostawmy owcze serki prawdziwym góralom, tym, co wstają o czwartej rano, harują aż do wieczora i sami doją owce. Uważam, że ci, którzy kupują starą chatę i przenoszą się tam z całym swoim bogactwem i wszystkimi odmianami nerwic, nie mają z nimi nic wspólnego.

Chiara musiała przerwać, gdyż podeszła do nich kelnerka. Marco zamówił kawę, Chiara czekoladę z bitą śmietaną.

- Ale Rosati naprawdę wyglądał na szczęśliwego - upierał się Marco, gdy znów zostali sami.

- Jak wszyscy, którym udało się zrealizować swoje neurotyczne marzenie - odparła Chiara, nieubłagana.

- A jakie jest moje neurotyczne marzenie? - zapytał rozbawiony Marco.

- Nie masz takich marzeń. Jesteś zdrowym, ambitnym i zdyscyplinowanym dzieckiem społeczeństwa dobrobytu.

Wrócili do hotelu o dziesiątej. Zmęczenie Chiary nagle zniknęło. Czowała się całkowicie wypoczęta, gdy zawinięta w kołdrę czekała, aż Marco wyjdzie z łazienki i położy się do łóżka.

Wyszedł tylko w slipkach. - Włożyłaś moją piżamę do walizki - zauważył raczej, niż zapytał. Ma szerokie ramiona, płaski brzuch, silne ciało, pomyślała Chiara, przyglądając mu się z podziwem. Kiedy wyciągnął się obok niej, ogarnęło ją podniecenie.

Wyciągnęła rękę w geście pieśszoty.

Przysunął się bliżej.

- Śpijmy, kochanie. Jutro musimy wstać bardzo wcześnie, bo inaczej utkniemy w korku na autostradzie.
- Marco, czy jestem... dobrą kochanką?
- Co ci przyszło do głowy?
- Proszę cię, odpowiedz. Czy zaspokajam cię fizycznie? Czy mnie pragniesz?

Marco odsunął Chiare i śmiejąc się pocałował ją w policzek.

- Chyba tak. A czy ty mnie pragniesz?
- Czasami chciałabym, żebyś nie był... taki delikatny. Nie jestem krucha madonna - wyszeptała, pieszcząc jego tors i przesuając dłoń coraz niżej.
- Wygląda na to, że jesteś rozszalałą nimfomanką! To bardzo miła niespodzianka - zaśmiał się Marco, unosząc się na łokciach i przyglądając się jej z czułością.
- Poczekaj - odepchnęła go, kiedy chciał wsunąć ją pod siebie.
- Chcę na ciebie patrzeć, dotykać cię.

Zmusiła go, by położył się z powrotem na plecach, uklękła nad nim i zaczęła całować go w usta, szyję, sutki. Potem wzięła w usta jego pulsujący członek, podniecona chrapliwym oddechem Marca.

- Ja też chcę cię pieścić - wyszeptał.
- Zniknęła gdzieś dawna delikatność, zastąpiło ją pożądanie i gwałtowność, z jaką Marco oderwał ją od siebie. Ale nie było już pośpiechu w delikatnych i obezwładniających ruchach języka, które przenikały ją niczym płomień ognia. Niemal przeraziła się rozkoszy, która rozpaliła ją całą, rozkoszy tak przejmującej, że prawie graniczyła z bólem. Ręce Marca, zaciśnięte na jej biodrach, trzymały ją mocno i nie pozwalały się wyrwać. Dała się ogarnąć tym płomieniom, nie próbując nawet stłumić jęku.
- Kiedy wreszcie Marco podniósł głowę i poszukał jej ust, miał włosy mokre od potu i wyraz uwielbienia na twarzy.
- Kocham cię - powiedział.
 - Ja ciebie też, najdroższy. Weź mnie, weź mnie teraz.

Wszedł w nią powoli, lecz wkrótce nie mógł się już opanować. Rytm, w jakim się poruszał, stawał się coraz szybszy i teraz Chiara odbierała to tak, jakby jakiś miecz rozłupywał ją na pół. Nigdy jeszcze jej zapamiętanie nie było tak całkowite, nie potrafiła już odróżnić swego ciała od ciała Marca. Stali się jednością, były w tym tysiące światła, ogień, ekstaza. Jak gdyby dotknęli razem istoty życia.

Krzycząc z rozkoszy i lęku o siebie, osiągnęli jednocześnie orgazm. Leżeli potem chwilę w milczeniu, spleceni ramionami. Pierwszy poruszył się Marco. Uniósł się na łokciu i spojrzał na żonę.

- Nigdy tak cię nie pragnąłem - powiedział pod nosem.

Chiara kiwnęła głową: - Tak, tak. - Chciało jej się płakać.

Nagle Marco przypomniał sobie o czymś ważnym.

- Gdzie jest moja czarna saszetka? - zapytał.
- Chyba w łazience - odpowiedziała zdziwiona Chiara.

Marco wyskoczył z łóżka i wrócił po kilku sekundach. Trzymał w ręce małe pudełeczko. Usiadł na brzegu łóżka i podał je Chiarze.

- To mój prezent na Boże Narodzenie.
- Postanowiłem dać ci go dziś wieczór, żeby osłodzić wyjazd.
- Chiara otworzyła pudełeczko. Był w nim wisiorek z małych, błyszczących brylantów.
- Przeczytaj, co jest po drugiej stronie - poprosił i kiedy usiłowała odczytać napis, wyjaśnił: - Benedetta. To imię naszej cudownej dziewczynki.
 - A jeśli to będzie chłopiec?
 - Też dobrze. Bo to ty jesteś benedetta, błogosławiona.

Dwudziesty pierwszy marca, pierwszy dzień wiosny. Marco przed dwiema godzinami pojechał do agencji, natomiast Chiara wróciła do łóżka; chociaż była już dziesiąta, wylegiwała się nadal i nie miała wcale ochoty wstawać. Dwudziesty pierwszy marca. Benedetta powinna urodzić się mniej więcej za pięć miesięcy i jej obecność w łonie matki stawała się coraz bardziej widoczna. Chiara położyła rękę na brzuchu i pogłaskała się po miękkiej wypukłości z uczuciem zdziwienia i tkliwością, która nie opuszczała jej od wielu tygodni.

Czasami wydawało się jej, że Benedetta się porusza, ale było to tylko wrażenie. Za wcześniej: pewność, że tak niebawem będzie, dawał jej brzuch zaokrąglający się z dnia na dzień, coraz większe rozleniwienie, napady senności, która ogarniała ją w najbardziej nieprzewidywanych momentach.

Muszę kupić parę ciuchów ciążowych, pomyślała, unosząc się na poduszkach. „Skorzystaj z okazji, żeby odnowić trochę swoją nijaką garderobę”, skrytykowała ją Giovanna.

Siostra zarzucała jej zawsze brak fantazji. „To nie jest żaden swobodny styl, to po prostu przypadkowe dobieranie ubrań: wystarczy, żeby były w neutralnych kolorach i odpowiednim rozmiarze!”

I pomyśleć, roześmiała się Chiara, wstając niechętnie, że uważałam się zawsze za elegancką trzydziestolatkę! Wsunęła nogi w bambosze i podeszła do okna, by je otworzyć. Górne gałęzie dębu, rosnącego na środku ogrodu, zdawały się ją witać. Wiatr wiejący w nocy oczyścił powietrze. Żywopłoty, rośliny, drzewa nie obudziły się jeszcze z zimowego snu, ale wkrótce miały się pojawić na nich pączki i kwiaty. Życie gotowe było tu powrócić i Chiara czuła, że otrząsa się już ono z zimowego odrętwienia.

Odetchnęła głęboko i niechętnie odeszła od okna.

Angelica, dochodząca służąca, która dbała o porządek również w domu matki Chiary, już przyszła. Była świetnie zorganizowana i sprawna niczym robot. Sama otwierała sobie drzwi kluczem i zaczynała od razu sprzątać w milczeniu. Bardziej „ludzka” czyniły ją rozmaite drobne przyzwyczajenia, na przykład bezlitosne trzepanie dywanów albo nie odpowiadanie na telefony. Kiedy już musiała to zrobić, pytała niegrzecznie:

„Kto mówi?” i bazgrała nazwisko na kartce, przekręcając je do tego stopnia, że Chiara i Marco nigdy nie wiedzieli, kto tak naprawdę do nich dzwonił.

- Pije pani za dużo kawy - skrytykowała ją Angelica. - Pani matka tak twierdzi.

Słowa Lucii były dla niej święte.

- Ostatnio tylko trzy dziennie - broniła się Chiara.

- To też za dużo. Ekspres jest w zlewie, dopiero co go umyłam.

Angelica nie pochwałała jej „nałogu”; jeśli ma ochotę na kawę, niech ją sobie sama przygotuje. A może chciała w ten sposób dać do zrozumienia, że wie, iż Chiara zdażyła już jedną wypić?

Nie próbowała dociekać, co służąca miała na myśli, zwłaszcza że Angelica znowu zaczęła odkurzać w salonie. Ciągnęła właśnie stary odkurzacz w stronę okna, kiedy Chiara gotowa już była do wyjścia. Mimo początku wiosny na drodze panował przejmujący chłód i gdy zamykała bramę, wstrząsnął nią dreszcz. Uczucie zimna nie ustąpiło nawet wtedy, kiedy jadąc panda, włączyła ogrzewanie na cały regulator.

Profesor Ursi jeszcze nie nadszedł, ale Chiara zjawiała się u niego dziesięć minut za wcześniej. W poczekalni siedziały już dwie kobiety: były w ciąży, jak ona. Jedna z nich, sądząc po wielkim brzuchu, powinna wkrótce urodzić. Chiara skinęła głową na powitanie, usiadła i wzięła do ręki jakiś ilustrowany magazyn. Nie potrafiła się jednak skupić i nie miała wcale ochoty czytać. Rozmyślając o

tym, ile razy czekała bez iskiereki nadziei w tym samym pokoju, zaczęła sobie współczuć.

Nie mogła wtedy znieść widoku ciężarnych kobiet i zdarzało się, że przyglądała się ich wydętym brzuchom ze wzruszeniem, ale także z zawiścią. Niekiedy zawiść przemieniała się w złość. Czy były chociaż świadome cudu, jaki dokonał się w ich ciele? Pewnie nie - ciąża wydawała się im czymś oczywistym i nie miały nawet pojęcia, ile trudu trzeba sobie nieraz zadać, aby doprowadzić do spotkania plemnika z jajeczkiem, nie mówiąc już o upokorzeniach, które niosą ze sobą wszystkie badania i analizy.

Czasami, tak jak teraz, nie zdawała sobie sprawy, że koszmar już się skończył. Dopiero z wyrazu zdumienia na twarzy obu kobiet wynioskowała, że na skutek bolesnych wspomnień przygląda im się nieżyczliwie. Uśmiechnęła się zakłopotana. W tej właśnie chwili pojawił się w drzwiach doktor Ursi, przepaszając za spóźnienie. Kobieta z wielkim brzuchem weszła pierwsza do gabinetu. Opuściła go po dziesięciu minutach. Teraz podniosła się z krzesła druga pacjentka: musi być w czwartym miesiącu ciąży, oceniła Chiara. Znowu otworzyła czasopismo i zaczęła oglądać zdjęcia eleganckich kostiumów.

Ogarnęła ją nagle chęć, by kupić jeden z nich. A może nawet dwa. Jeśli Giovanna będzie mogła pochodzić z nią po sklepach dziś po południu, to czemu nie? Druga kobieta wyszła już z gabinetu. Następna w kolejce była właśnie Chiara. Ursi uśmiechnął się na jej widok szczególnie serdecznie, tak jej się przynajmniej wydawało.

- Jak się pani czuje? - zapytał.

- Nic mi nie dolega!

Zdjęła bieliznę, położyła się na fotelu ginekologicznym, rozchyliła nogi, czekając spokojnie, aż Ursi przystąpi do badania.

Zbadał ją bardzo delikatnie, na twarzy miał ten sam wyraz skupienia co zawsze. Potem zdjął rękawiczkę, poklepał ją po biodrze i powiedział:

- Wszystko w porządku. Szyjka zamknięta, macica odpowiednio powiększona... Niech pani jeszcze nie wstaje, zmierzę ciśnienie. Sto dwadzieścia na osiemdziesiąt pięć. Też w normie. Zobaczymy się mniej więcej za miesiąc. Skończy pani serię zastrzyków, które zapisałem ostatnim razem. Uważam, że to wystarczy.

- Czy nie powinnam jeszcze raz zrobić usg?

- Za miesiąc - odpowiedział Ursi. - Proszę się nie niepokoić, jest pani zdrową kobietą i ciąża przebiega prawidłowo.

Była za dwadzieścia pierwsza, kiedy Chiara wyszła z gabinetu. Biuro Giovanny znajdowało się przy via Ripamonti, nie spóźni się więc na umówione spotkanie.

Stało się to o drugiej w nocy z dwudziestego piątego na dwudziesty szósty marca, bez żadnych objawów ostrzegawczych. Marco wrócił zaraz po północy ze służbowej kolacji z klientem i prawie natychmiast zapadł w sen. Chiara, jak zdarzało się to od jakiegoś czasu, nie mogła zasnąć.

O drugiej wstała i nie włączając światła, poszła powoli do kuchni, żeby wypić szklankę gorącego mleka. Zapaliła gaz, nalała mleka do garnuszka i zamierzała wyjąć kubek z szafki. Wtedy poczuła, że coś wilgotnego i gorącego płynie jej po nogach. Zamarła z ręką uniesioną w powietrzu, myśląc naiwnie, że to może wody płodowe, ale zaraz uprzytomniła sobie, że to nie może być poród, gdyż jest dopiero w piątym miesiącu ciąży. Drżąc konwulsyjnie, pobiegła do łazienki.

Piżama była czerwona od krwi. Chciała krzyknąć, lecz nie była w stanie wydobyć głosu. Muszę zachować spokój, nakazała sobie. Niewielki krwotok nie oznacza jeszcze poronienia. Zauważyła jednak, że znowu chlusnęła z niej jakaś ciecz, równocześnie poczuła silny skurcz. Uchwyciła się umywalki, szcękając zębami. Boże, błagam cię, nie zabieraj mi tego dziecka, modliła się w duchu. Teraz skurcze następowały już jeden po drugim, jak gdyby to był poród. Trzymając się za brzuch, potykając, Chiara dotarła do sypialni, zapaliła światło i zaczęła szarpać Marca.

- Chiaro... co się stało?

- Muszę natychmiast jechać do szpitala. Mam... mam krwotok.

Wydawało jej się, że zbladł.

- Zaraz wezwę taksówkę - powiedział, wyskakując z łóżka.

Potrzebował dwóch minut, żeby nałożyć spodnie i buty. Błyskawicznym ruchem wyjął z szafy płaszcz i zarzucił go na ramiona Chiary.

- Uspokój się, proszę.

Objął ją i mieli już razem wyjść z domu, ale Marco pobiegł z powrotem do sypialni. Usłyszała, że wykręca numer, czeka kilka chwil i mówi coś w pośpiechu. Z kim mógł rozmawiać?

Wyjaśnił to, gdy prowadził Chiare ostrożnie w stronę bramy.

- Zawiadomiłem Ursiego. Może zastaniemy go już w szpitalu. Mówił, żebyś się nie denerwowała.

Zabrzmiało to jak ponury żart. Taksówka właśnie podjechała i Chiara wsiadła do środka, gryząc wargi.

- Bardzo źle się czuję - wybełkotała.

- Spróbuj się uspokoić, kochanie. Za dziesięć minut będziemy na miejscu.

Lekarz dyżurny zrozumiał od razu, co się stało.

- Obawiam się, że to poronienie - powiedział do Marca, jak gdyby była to najnormalniejsza rzecz w świecie.

- Uprzedziłem ginekologa żony, doktora Ursiego, lada moment tu będzie.

Przyjechał po dwudziestu minutach, kiedy Chiare zawieziono już na małą salę z dwoma łózkami. Leżała z zamkniętymi oczami, jak martwa. Ogarnął ją paraliżujący chłód. Nie odczuwała ani lęku, ani bólu.

- Jeszcze nie rezygnujemy - pocieszał Ursi. Jego głos dochodził jakby z daleka. Usłyszała, że wydaje jakieś polecenie lekarzowi dyżurnemu, dotknęła ją para czyichś rąk, a potem coś zimnego położono jej na piersi. I znów daleki głos Ursiego, a następnie głos Marca. Ktoś brał ją za ramię i coś w nie wbijał.

O szóstej rano, kiedy obudziła się z głębokiego snu pełnego majaków, ujrzała zaniepokojoną twarz Marca i odwróciła wzrok, nie mogąc znieść widocznego na niej rozczarowania i współczucia.

Zobaczyła obok siebie kroplówkę i spływający do jej żył biały płyn. Przyjrzała się swemu ramieniu; igła przymocowana była plastrem.

- Próbują ratować dziecko - szepnął Marco, usiłując spojrzeć jej w oczy. - Jest jeszcze nadzieja.

- Nie - odpowiedziała Chiara, zdziwiona twardym brzmieniem własnego głosu.

- Co... nie? - popatrzył na nią niepewnie.

- Nie ma żadnej nadziei.

Sen się skończył. Wszystko się skończyło, na zawsze. Była zmęczona. Tak zmęczona, że nie miała siły nawet cierpieć.

Rankiem dwudziestego siódmego marca, dwadzieścia osiem godzin po przyjęciu do szpitala, zawieźli ją na salę operacyjną i zrobili łyżeczkowanie macicy. Po południu dwudziestego dziewiątego wróciła do domu.

- Teraz już wiemy, że nie ma żadnych przeszkód, aby zaszła pani znowu w ciążę - powiedział jej Ursi na pożegnanie. - Takie wypadki zdarzają się niestety często pierworódkom, ale nie znaczy to wcale, że nie donosi pani następnej ciąży. Najpóźniej za rok - założymy się?

- przyjedzie tu pani, żeby odbyć poród.

Nie chcę go więcej widzieć na oczy. Nie chcę już mieć dzieci, pomyślała Chiara z nienawiścią, opuszczając gabinet.

Wpadła w złość, kiedy po powrocie do domu usłyszała, że Marco dzwoni do sekretarki i prosi ją, żeby odwołała wszystkie spotkania z klientami, gdyż chce wziąć trzy dni urlopu.

- Niczego mi nie trzeba! - krzyknęła.
- Nie traktuj mnie jak chorą, nic mi nie jest!
- A mnie tak. Potrzebuję cię. Chcę być z tobą.
- Zostaw mnie w spokoju. Jak sobie pójdiesz, wyświadcysz mi tylko przysługę.

Wyraz twarzy Marca, zboleły i proszący, sprawił jej sadystyczną przyjemność i wzmógł jeszcze furję.

- Wracaj do biura, słyszysz? Zabieraj się stąd, no już!

Chiara zamknęła drzwi na zasuwę, wyłączyła telefon i poszła do łazienki. Rozebrała się, wzięła prysznic, po czym włożyła dżinsy i sprany podkoszulek. Zawiązała włosy chustką i udała się do kuchni. Z szafki pod zlewem wyciągnęła kilka plastikowych worków na śmieci i skierowała się do pokoju, który miał być przeznaczony dla Benedetty, zdawał się czekać na jej przybycie. Chiarze udało się stłumić wszelkie uczucia. Metodycznie, z lodowatą wściekłością pozrywała ze ściany plakaty, opróżniła szuflady, zwinęła kaftanik w kulę i wrzuciła wszystko do przygotowanych toreb. Ale to nie wystarczyło: pokój wciąż wyglądał przytulnie.

Rozmontowała łóżeczko i kopnęła ze złością rozrzucone części. Zerwała z okien zasłony, przesunęła wszystkie meble w jeden kąt, wrzuciła do worka biały porcelanowy abażur w kształcie zajaczka i stłukła żyrandol, zawadziwszy o niego miotłą. Zatrzymała się ciężko dysząc; teraz było dużo lepiej. Usiadła na środku pokoju, ujęła głowę w dłonie i zaczęła powoli kołysać się w tę i z powrotem, opierając się łokciami o kolana. Odczuwała coraz większą pustkę...

Ktoś stukał głośno do drzwi wejściowych. Chiara uprzytomniła sobie, że musiała usnąć. Przez okno docierało już teraz błękitnawe światło wieczoru. Ten ktoś na zewnątrz nadal na przemian stukał i dzwonił.

- Gdzie się do diabła podziewasz?

Zaalarmowałam już policję.

To była siostra. Nie umalowana, zauważyła Chiara, i z takim samym jak u Marca współczującym wyrazem twarzy.

- Zdrzemnęłam się. Czego chcesz? - spytała Chiara, wpuszczając niechętnie do środka nieproszonego gościa.

- Jak to, czego chcesz? Przyszłam zobaczyć, jak się miewasz. Mama jest ledwie żywa z przerażenia, telefonuję do ciebie od dwóch godzin, a linia ciągle zajęta.

- Nic mi nie jest, czuję się świetnie.

- Uhm, nie powiedziałabym. Wyglądasz okropnie. Jak to się stało, że jesteś sama w domu?

- Marco miał pilną robotę - skłamała tchórzliwie Chiara. - Nie mógł ze mną zostać.

- A może go wyrzuciłaś? W każdym razie posiedzę trochę z tobą. Matko Boska, naprawdę wyglądasz okropnie! - powtórzyła Giovanna.

- Trzy godziny temu wyszłam ze szpitala. Już nie pamiętasz?

Chiara stwierdziła ze zdziwieniem, że w oczach bliźniaczki błysnęły łzy i że obejmuje ją z niespodziewaną serdecznością.

- Ala, wiem, co przeżywasz. Też jestem w rozpacz.

Kiedy Chiara usłyszała swoje imię, wypowiedziane zdrobniale jak w dzieciństwie, poczuła pokusę, by dać się pocieszyć, wybuchnąć płaczem, który mógłby przynieść ulgę. Giovanna zawsze broniła siostry, uspokajała, pocieszała. Taka pokusa była jednak luksusem i Chiara wiedziała, że nie może, nie powinna sobie na coś takiego pozwalać: życie ukarało ją za jakąś nie znaną przewinę i pozostawało jej tylko pokutować aż do końca. I bez niczyjej pomocy.

Wyrwała się z ramion Giovanny.

- Giovanni, potrzebuję teraz tylko samotności. Powtórz to mamie. To minie - kłamała, starając się, aby jej głos brzmiał przekonująco.

Ale Giovanna nie dała się zwieść tak łatwo.

- Jak będziesz tu siedzieć sama i rozmyślać, to na pewno nie minie. Musisz zacząć wychodzić z domu, spotykać się z ludźmi. Przede wszystkim jednak musisz zrozumieć, że możesz jeszcze mieć dziecko. Pamiętasz? mama też poroniła, a trzy miesiące później znowu była w ciąży.

- Nie chcę już mieć dziecka.

Giovanna nie wytrzymała: - Zawsze miałaś nieznośną skłonność do odgrywania heroiny. Przepadałaś za łzawymi historiami o biednych sierotach, bezdomnych żebrakach, okaleczonych psach. Wyobrażam sobie, że teraz wyżywasz się w roli nieszczęsnicy, której los nie pozwolił zostać matką!

- Wolno ci oczywiście tak myśleć - odparła Chiara. - A teraz, jeśli uważasz, że udało ci się mnie pocieszyć, możesz sobie pójść.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić oprócz odłożenia słuchawki na miejsce? - zapytała Giovanna, kierując się w stronę drzwi i przystając, aby zrealizować ów zamiar.

- Tylko zostawić mnie w spokoju - odpowiedziała Chiara z ponurym uśmiechem.

Giovanna nie zdążyła jeszcze wyjść, kiedy zadzwonił telefon. To był Marco.

- Czy twoja siostra ciągle tam jest?

Jak się czujesz?

- Dziękuję, dobrze.

Oczywiście to on poprosił Giovannę, żeby zajrzała na via Alberto Mario. Wszyscy traktowali ją jak małą dziewczynkę, wymagającą nieustannej opieki.

- Giovanna już wyszła.

- Najpóźniej za godzinę będę w domu.

- Nigdzie nie ucieknę - odpowiedziała, kładąc słuchawkę na widełki.

Dziesięć minut później znowu odezwał się telefon. Tym razem usłyszała teściową.

- Cały czas rozmawiasz - zaczęła z wyrzutem. - Już od godziny próbuję się do ciebie dodzwonić.

- Czy mama sobie czegoś życzy?

Wydawało jej się, że po drugiej stronie widzi obrażoną twarz matki Marca.

- Co za pytanie, przecież dopiero co wyszłaś ze szpitala, chciałam się dowiedzieć, jak twoje samopoczucie.

- Dziękuję, dobrze.

Kto wie, pomyślała Chiara ze złością, może dobrze byłoby nagrać to zdanie na taśmie i uruchomić automatyczną sekretarkę, zamiast powtarzać trzy razy w ciągu godziny, że czuje się dobrze.

- Nic takiego strasznego się nie stało

- mówiła dalej Teresa. - A poza tym wiesz przecież, że Marco cię uwielbia. Gotów pogodzić się z faktem, że nie będziesz mogła mieć dzieci.

Chiara poczuła, że dławi ją bezsilna złość.

- Tak, mamo, Marco jest istotnie człowiekiem niezwykłym - powiedziała słodkim głosem.

- Masz rację, radzę ci dbać o siebie.

My, kobiety, nie możemy o tym zapominać.

Czy powinnam czuć się zagrożona?, zastanawiała się Chiara trzy kwadransy po tym, jak Marco wrócił do domu i stanął w drzwiach osłupiały, zupełnie jakby zobaczył ducha. Chiara miała na sobie zakurzone dżinsy, chustka na głowie przekrzywiła się, prawy rękaw podkoszulka był rozerwany.

- Co ty na siebie włożyłaś? - zapytał w końcu.

- Trochę się... zaniedbałam - roześmiała się. Musiał to być bardzo wymuszony śmiech, ponieważ na twarzy Marca pojawił się wyraz zdziwienia.
- Wróciłem wcześniej, przygotowuję kolację.
- To bardzo miło z twojej strony
- Wcale nie jestem miły. Martwię się o ciebie, bo cię kocham.
- Twoja matka twierdzi, że mnie wprost uwielbiasz.
- Tak właśnie jest.

Zdjął płaszcz i poszedł do kuchni.

Chiara weszła tam za nim. - A jeśli się okaże, że nie będę mogła mieć dzieci, jakoś to przebolejesz. To też słowa twojej matki.

Marco odwrócił się i objął ją. - Posłuchaj uważnie, co ja mam ci do powiedzenia. Od lat powtarzam, że nie zależy mi wcale na dziecku. Ożeniłem się z tobą i z tobą chcę żyć.

- Jeśli dobrze pamiętam, chciałeś mieć masę hałaśliwych dzieciaków.

- Możliwe, ale potem odkryłem, że ty mi wystarczasz. Na tym chyba wyczerpaliśmy temat.

Wypowiedział to samo zdanie, co owego odległego ranka, gdy zaczynała nabierać pewności, że jest w ciąży. To był ten sam pełen złości głos. Ten sam wrogi wyraz twarzy. Och, tak, pomyślała Chiara, teraz naprawdę wyczerpaliśmy temat.

Kiedy wreszcie położyli się spać i Marco objął ją ramieniem, Chiara przesunęła się na drugi koniec łóżka. Wtuliła głowę w poduszkę. Miała ochotę się rozplakać, ale to też byłby luksus, na który nie mogła sobie pozwolić.

- Dobranoc, kochanie - powiedział smutnym głosem Marco.

V

To był bardzo gorący czerwiec.

Nieźnośnie gorący, stwierdziła Chiara. Nie była w stanie otworzyć oczu i zaczęła się zastanawiać, która może być godzina. Czuła, że ma włosy mokre od potu, a skronie ściska jej boleśnie obręcz. Z kuchni dochodził szum elektrycznego młynka do kawy, potem usłyszała, że ktoś zamyka delikatnie szafkę. Znacznie później, przynajmniej tak się Chiarze wydawało, rozległy się pod drzwiami jej pokoju lekkie kroki.

- Proszę pani, przyniosłam kawę. Już wychodzę, jest dwunasta.

To była Angelica i w jej głosie Chiara wyczuła wyraźną dezaprobatę.

Nie przejęła się tym jednak zbyt:

przedpołudnie minęło i śpiąc oszczędziła sobie wielu godzin jeszcze jednego okropnego dnia.

- Nie wypije pani kawy?

- Niech Angelica postawi tacę, dziękuję.

- Godzinę temu dzwonił pan Marco z Londynu.

- Czy coś przekazał?

- Nie, chciał tylko panią pozdrowić.

Zadzwoń dziś wieczorem, żeby powiedzieć, czy wraca w piątek, czy w sobotę.

- Dobrze, niech Angelica już idzie, zrobiło się późno.

Zdecydowała się wstać dopiero wtedy, kiedy za służącą zamknęły się drzwi. Nareszcie sama. Unosząc się na poduszkach, wyciągnęła rękę w stronę filiżanki.

Kawa miała bardzo gorzki smak. A może to ona obudziła się z goryczą w ustach? Obręcz wokół skroni zaciskała się coraz bardziej i Chiara zachwiała się, przy wstawaniu z łóżka. Pobiegła, zataczając się do łazienki, podniosła deskę klozetową i wymiotowała. Czuła, że twarz jej płonie.

Chciała się wyprostować, ale ostry zapach wydobywający się z muszli przyprawił ją znowu o mdłości. Wymiotowała raz jeszcze i ów wysiłek sprawił, że łzy napłynęły jej do oczu. Spuściła wodę, otworzyła okno i stanęła przed lustrem. Mam spuchniętą twarz i sine cienie pod oczami, zauważyła ze spokojem. Opakowanie odpowiada zawartości...

Umyła twarz i poszła do kuchni. Rozpuściła dwie tabletki alkaselzeru w pół szklanki wody, wypila i czekała, aż ból głowy ustąpi. Za dwadzieścia pierwsza i całe popołudnie przed nią. Konieczność dotrwania do wieczoru wydała jej się trudem ponad siły, alkaselzer nie zamierzał wcale zacząć działać.

Ostrożnie, jak gdyby były w niej dwie osoby, z których jedna próbuje ukryć swe postęпки przed drugą, otworzyła lodówkę i zamierzała wyjąć butelkę wódki. Tej jednak nie było w miejscu, gdzie ją wczoraj postawiła. Przez chwilę patrzyła z szeroko otwartymi ustami na pustą półkę niczym dziecko, które spodziewa się prezentu, ale nic nie dostaje. Osłupienie szybko przemieniło się w złość.

Czyżby Angelica wyrzuciła butelkę do śmieci? Niczego nie można było przed nią ukryć, sprawiało jej przyjemność, że może upokarzać swoją chlebobawczynię i patrzeć na jej nieszczęście. Chiara miała wrażenie, że zaczyna się dusić z irytacji. Nagle przypomniała sobie, że obudziła się o drugiej w nocy i ponieważ nie mogła zasnąć, wypila łyk wódki.

To przecież ona sama opróżniła butelkę... Angelica nie miała z tym nic wspólnego. A poza tym, pomyślała Chiara, idąc w stronę schowka za odkurzaczem, nikt nie wie, że sobie popijam. Zacieram bardzo starannie wszelkie ślady.

Z westchnieniem ulgi sięgnęła po nową butelkę. Wróciła z nią do kuchni i nalała porcję alkoholu do kieliszka. Jasna, przezroczysta, czysta wódka! Początkowo piła whisky. To właśnie whisky pozwoliła jej odkryć, jak beztrudnie, a nawet podniecające mogą być jałowe godziny, jeśli tylko człowiek trochę sobie pomoże. Jestem ci wdzięczna, przyjaciółko, zaśmiała się, napełniając znowu kieliszek, ale muszę cię zdradzić. Spotkałam nową kumpelkę, bardziej dyskretną i... czystsza niż ty. Podniosła kieliszek. Uwielbiała wódkę, jej bezbarwność i mało wyrafinowany smak. To było tak, jakby piła wodę ognistą, jakby piła... życie. Nie miała wyrzutów sumienia, nie uważała się za obrzydliwą alkoholizkę.

Czuję się lepiej, zaczynam czuć się lepiej, pomyślała, nalewając sobie po raz trzeci. Dosyć już, Chiaro!, nakazała jej druga Chiara, czujna i gderliwa. Oczywiście, bądź spokojna. Kto mówi, że alkohol ma ci umysł? Kiedy piję, mam umysł przeraźliwie jasny. Nawet lepiej prowadzę samochód. Nawet bardziej cię kocham, wiesz?

Dziesięć po pierwszej. Teraz się trochę prześpimy, a potem pojedziemy do miasta na zakupy. Sprawimy sobie ciuchy, masę pięknych ciuchów, cieszysz się? Musimy wziąć się w garść. To sprawa woli i... inteligencji. Chiara doszła do wniosku, że jest bardzo inteligentna, kiedy udało jej się schować butelkę i kieliszek pod stołem i nalać sobie ostaną kroplę tak, by druga Chiara niczego nie zauważyła. Obudziła się na kanapie o trzeciej po południu. Nie pamiętała, jak przeszła z kuchni do salonu. Ból głowy w każdym razie minął, wszystko docierało do niej jak przez mgłę, była mile odprężona. Czy zjadła coś przed zaśnięciem? Tego też nie pamiętała, ale nie miało to znaczenia, skoro i tak nie odczuwała głodu.

Miała już pójść do łazienki, żeby wziąć prysznic i ubrać się, gdy zadzwonił telefon. To była Valsecchi, „kapłanka”, jak ją nazywał Paolo Lusardi. Chciała powiadomić Chiarę, że następnego dnia o dziesiątej rano czekać będzie na nią w gabinecie nowa pacjentka.

- Dziękuję, przyjdę.

- To szesnastoletnia dziewczynka, która ma poważne problemy w związku z wypadkiem samochodowym, jakiemu uległa. Przeszła trzy operacje i chodzi jeszcze z trudem. Jesteś młoda i bardzo wrażliwa, na pewno potrafisz jej pomóc.

Czy to rzeczywiście była prawda? A może tak zręcznie udawała, że wmówiła w końcu w kogoś takiego jak Valsecchi, że jest „młoda i bardzo wrażliwa”? Chiara zdażyła się już oddalić od tych wszystkich zawiłych monologów, których musiała

wysłuchiwać, i czasami w trakcie psychoanalizy odczuwała coś w rodzaju wrogości wobec pacjentów: ich problemy wydawały jej się sztuczne. Rozwiązanie było proste i oczywiste, ale oni woleli błądzić w labiryncie słów, zamiast próbować dostrzec światełko w tunelu.

Zdarzało jej się też często rozmawiać z pacjentami, a nawet im przerywać, żeby udzielić jakichś praktycznych i banalnych rad. Nie podobało się to Valsecchi, która kilkakrotnie surowo ją skrytykowała.

- Kieruję się po prostu zdrowym rozsądkiem! - odpierała ataki zwierzchniczki Chiara.

- Nie jesteś ani rozsądną krewną, ani przyjaciółką z dzieciństwa, lecz psychoanalitikiem, nie możesz więc przyspieszać procesu dochodzenia do zdrowia ani tym bardziej niczego narzucać. Zadaniem psychoanalityka jest umożliwić pacjentowi podjęcie samodzielnej decyzji, kiedy już uwolni się od wszelkich zahamowań i wrogości wobec siebie. Żeby zaś zrozumieć, co jest przyczyną jego nerwicy, psychoanalitik musi słuchać, a nie mówić.

Nigdy nie będę chłodnym, sprawnym psychoanalitikiem, uświadomiła sobie nagle Chiara, odkręcając kurek prysznicu. Jestem zagubiona i zbyt nieszczęśliwa, by pomagać komukolwiek. Nacierając się rękawicą z włosia, postanowiła, że przed wieczorem zadzwoni do Valsecchi i poprosi, by odwołała spotkanie z szesnastolatką. A także z każdą inną pacjentką, którą w przyszłości chciałaby jej powierzyć.

Chodziła już od pół godziny po obu stronach via Spiga i coś powstrzymywało ją przed wejściem do któregoś ze sklepów. Eleganckie witryny wydawały się odpychające, tak jak i ubrania Krizii czy Versace. Zbyt kobiece, zbyt wytworne. Uznała, że na nie nie zasługuje, zupełnie jak wtedy, kiedy mama za coś ją chwaliła, a ona wiedziała, że pochwały są nieuzasadnione. Gdyby spróbowała włożyć któryś z tych modeli, odczułaby to samo: jej wymięta twarz i chorobliwie nabrzmiałe ciało nie pasowały do doskonałości kroju i harmonii kolorów.

Skierowała się w stronę via Manzoni, zła na siebie, gdyż nogi nie niosły jej tak szybko, jak by sobie tego życzyła, i weszła do baru. Widok kanapek i grubych tostów przyprawił ją o lekkie mdłości.

- Wódkę z lodem - poprosiła jednym tchem.

- Płaci pani w kasie.

Od razu rozpoznała Paola Lusardiego. Stał odwrócony tyłem i płacił za paczkę papierosów oraz bitter. Miał jak zawsze krótko obcięte włosy. Chiara położyła mu rękę na ramieniu.

- Chiara!

Wyglądał na bardzo zadowolonego ze spotkania. W ostatnich tygodniach tylko dzwonili do siebie, a Chiara w dodatku nie była zbyt rozmowna. Ucieszyła się, że nie przywitał jej słowami: „nic a nic się nie zmieniłaś” albo czymś w tym rodzaju.

- Co tu robisz? Mogę ci coś postawić?

- zapytał bez żadnych wstępów.

- Tak, wódkę.

- Hm. Zdaje się, że kiedyś byłaś abstynentką?

- Kiedyś - powtórzyła Chiara żartobliwym tonem.

- Naprawdę miło znowu cię widzieć. Jak się miewa Marco?

- Dobrze. Pojechał służbowo do Londynu.

- A więc możemy pójść razem na kolację? Nie odmawiaj, co masz do roboty w domu, kiedy nie ma męża?

- Jestem bardzo zmęczona - powiedziała Chiara, kończąc wódkę. Odczuwała niemal fizyczną potrzebę wypicia jeszcze jednej, ale nie miała odwagi o nią poprosić.

Paolo przyjrzał się jej uważniej.

- Nie jesteś w najlepszej formie.

Potrzebujesz ruchu i świeżego powietrza. W każdym razie dziś wieczór idziemy na kolację. Nie przyjmuję żadnego usprawiedliwienia. Czy masz coś jeszcze do załatwienia w mieście?

Chiara spojrzała na zegarek: za dwadzieścia szósta...

- Chcę sobie kupić jakiś modny ciuch - odpowiedziała. - Nie przypuszczałam, że to będzie takie trudne.

Paolo spojrział na jej wyblakłe dzinsy i sprany podkoszulek. Każda inna kobieta wyglądałaby niechlujnie w takim stroju, ale nie Chiara. Zgrabna sylwetka i długa szyja sprawiały, że we wszystkim prezentowała się szalenie elegancko.

- Postanowiłaś zmienić styl? - zażartował.

- Nabrałam po prostu ochoty na coś nowego.

- Masz rację, nigdy nie należy opierać się pokusom. Przyjadę po ciebie o ósmej. Oczekuję, że ubierzesz się wystrzałowo.

- Dziś wieczór... dziś wieczór jestem zajęta. Możemy odłożyć to do jutra? - spytała pospiesznie Chiara, rozzłoszczona, że nie potrafi zwyczajnie odmówić.

- Spróbuję wytrzymać jeszcze jeden dzień. Zatem do jutra.

Pocałował ją czule w policzek, a ona odprowadziła go wzrokiem do drzwi.

Wróciła szybko do kasy.

- Jedną wódkę - poprosiła. Czy jej się wydawało, czy też rzeczywiście kasjerka przyglądała jej się z ciekawością i naganą w oczach? Cóż, niech sobie myśli, co chce, musiała, musiała jeszcze się napić.

Kiedy opuściła bar, od razu poczuła się lepiej. Udała się raz jeszcze, tym razem szybkim krokiem, na via Spiga, weszła do sklepu Krizii, starając się nie okazywać nieśmiałości ani zażenowania.

- Chciałabym... tę - powiedziała do sprzedawczynie, która się do niej zbliżyła. Zauważyła, że wskazuje na pierwszy z brzegu model, wiszący naprzeciwko wejścia.

- O to pani chodzi? - spytała sprzedawczynie, sięgając po czarnosrebrną suknię z szerokimi plisowanymi rękawami, podobnymi do skrzydeł motyla.

- Tak.

- Proszę pójść ze mną. Zaprowadzę panią do przymierzalni.

- Nie - powiedziała Chiara pospiesznie. - Nie... ta suknia jest dla kogoś innego.

Miała wrażenie, że brakuje jej powietrza, chciała jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz.

- Jeżeli nie będzie pasować, wymienimy ją bez problemów - usłyszała głos sprzedawczynie. Podpisała drżącą ręką czek na milion osiemset tysięcy lirów i wybiegła ze sklepu z dużą torbą, która przy każdym kroku obijała się o nogę.

Niewiele pamiętała następnego dnia z tego, co się wydarzyło, jak gdyby jej miejsce zajęła jakaś obca osoba. W pewnej chwili przebudziła się z odrętwienia i stwierdziła, że jest siódma wieczór. Siedziała w kuchni. Czy coś jadła? Czy oglądała telewizję? A może spała? Nie miała pojęcia, co robiła, i nie zamierzała pytać tej obcej osoby. Zobaczyła pusty kieliszek i do połowy opróżnioną butelkę. Dotknęła jej pieszczotliwie palcami i od razu ogarnęło ją przyjemne uczucie spokoju; już miała sobie nalać odrobinę tej wspaniałej wody życia, kiedy przypomniało jej się, że jest umówiona na spotkanie z Paolem Lusardim.

Za niecałą godzinę miał po nią przyjechać i nie mógł zastać jej w takim stanie. Przestraszyłby się i zaczął zadawać pytania, zmuszając ją tym samym do kłamstw. Dumna z tego, że potrafi powstrzymać się od picia, poszła do łazienki.

Z drobiazgową dokładnością zabrała się za swoją toaletę. Rozpuściła w wannie sole do kąpieli i czekając, aż napełni się woda, nałożyła na twarz maseczkę kosmetyczną. Poleżała dziesięć minut z zamkniętymi oczami, doznając uczucia odprężenia podobnego do snu. Następnie wstała i skierowała na siebie strumień zimnej wody z prysznica.

Teraz przyszła kolej na włosy. Po umyciu wysuszyła je starannie, po czym usunęła z twarzy maseczkę za pomocą gąbki. Poszła do swego pokoju i włożyła bieliznę. Otworzyła szafę: miała zamiar ubrać się w suknię od Krizii, kupioną poprzedniego dnia. Wróciła do łazienki i zaczęła się malować. Maseczka na niewiele się zdała: nadal miała szarawą, zmęczoną twarz. Nałożyła więc na skórę dużo podkładu. Obrysowała kontur oczu ołówkiem, przyczerzyła rzęsy tuszem i umalowała usta jaskrawą szminką, dziękując w duchu Giovannie za to, że nie zważając na jej protesty, obdarowywała ją kosmetykami.

Była gotowa. Popatrzyła w lustro i owo wrażenie obcości, jakiego już doświadczyła, nasiliło się. Ujrzała odbicie nie znanej twarzy, smutnej, wyglądającej żałośnie w obramowaniu wielkich, błyszczących skrzydeł sukni. Uprzytomniła sobie z całkowitym spokojem, że przecież to nie ona, coś więc może ją obchodzić, że jest śmieszna i brzydka?

Dochodziła ósma, a Paolo zjawiał się zawsze bardzo punktualnie. Chiara narzuciła na siebie stary czarny płaszcz i rozejrzała się w poszukiwaniu kluczy od bramy. Za dwie ósma, zdaży jeszcze wypić łyk wódki, tylko trochę, żeby się rozkręcić. Zadzwoił domofon, kiedy napełniała kieliszek, wypila jednym haustem, wołając „już otwieram”, jak gdyby Paolo mógł ją usłyszeć, i zaczęła szukać drażetek miętowych. Wystarczy jedna, by nie poczuł zapachu alkoholu.

Paolo czekał przed bramą i jak zwykle ucałował ją na powitanie.

- Do ostatniej chwili obawiałem się - powiedział, biorąc ją pod rękę i prowadząc w stronę samochodu - że zadzwonisz i powiesz, że boli cię głowa albo że wypadło ci coś pilnego.

Na pewno bym to zrobiła, chciała odpowiedzieć Chiara, gdybym nie obudziła się godzinę temu. I było już za późno, aby coś wymyślić. Zamiast tego zapytała:

- Dokąd pojedziemy?

- Jeśli nie masz żadnych planów, możemy wpaść do restauracji, którą otworzono niedawno koło mnie, bardzo cichej i ze znakomitą kuchnią.

Miała teraz ochotę na cokolwiek, tylko nie na jedzenie. Kiedy Paolo zwolnił na skrzyżowaniu, poczuła, że ślina napływa jej do ust i ogarniają ją mdłości. Oparła głowę o zagłówek i odetchnęła głęboko.

- Kiedy wraca Marco?

- Jutro albo pojutrze.

Do diabła, przecież skontaktował się z nią w tej sprawie, ale nie pamiętała już, co powiedział. Zapomniała nawet, że w ogóle dzwonił.

- Moja nowa przyjaciółka powiedziała mi, że Marco robi karierę i że najprawdopodobniej jego agencja będzie miała wyłączność na kampanię reklamową firmy Dupont - oznajmił Paolo, zatrzymując się na światłach. - Ona też pracuje w reklamie.

- A kto to taki? - zapytała Chiara, pomijając milczeniem całą resztę.

- Nazywa się Linda i jest wysoką blondynką. Zreperowałem jej długą nogę, która złamała sobie na nartach.

- Sądziłam, że podobają ci się dziewczyny w innym typie - zaśmiała się Chiara. - W każdym razie etyka zawodowa zabrania ci chyba zakochiwać się w pacjentkach.

- A kto tu mówi o miłości? To sympatyczna dziewczyna, byliśmy kilka razy na kolacji i to wszystko. Ale, ale, jesteśmy na miejscu.

Chiara musiała przyznać, że była to naprawdę spokojna restauracja, najpewniej przerobiona z dawnego mieszkania. Sale jadalne były niezbyt duże, wyposażone w eleganckie antyki i dyskretnie oświetlone. Kelner zaprowadził ich do ostatniej sali, najmniejszej ze wszystkich. Oprócz ich stolika tylko jeszcze jeden był zajęty. Chiarze spodobały się białe koronkowe obrusy i błyszczące kieliszki.

- Czy życzą sobie państwo aperitif? - zapytał kelner. Paolo miał już odpowiedzieć, że nie, ale Chiara uprzedziła go:

- Tak, z lodem.

- Wyglądasz na zmęczoną - zauważył Paolo, biorąc ją czule za rękę.

- No i pomyśleć, że na tę okazję zrobiłam specjalnie staranny makijaż...

- Ładniej ci bez makijażu. Tak czy owak - powtórzył - nie wyglądasz dobrze. Dlaczego gdzieś nie wyjedziesz? Wyjazd dobrze by ci zrobił.
- Agencja będzie zamknięta w sierpniu, ale nie wiem, czy w tym roku gdzieś się wybiorę.

Przerwała. Kelner przyniósł aperitif i Chiara natychmiast opróżniła szklanekę.
- Powoli, to nie woda z kranu - zganił ją Paolo.

Zamówił dla obojga zapiekany makaron, eskalopki w kwaśnym sosie, mieszana sałata.

- Coś nie w porządku, Chiaro? - zapytał w chwilę później, gdy zobaczył, jak je powoli i z trudem.
- Sama nie wiem, to zależy od punktu widzenia.
- Kiedyś byłaś optymistką.
- Najwyraźniej się zmieniamy...

Odwróciła wzrok od jego oczu i chciała nalać sobie wina. Paolo musiał zamówić drugą butelkę: pierwsza, jak spostrzegła ze zdziwieniem Chiara, była już pusta.
- Czy nie pijesz za dużo, Chiaro?

Wzruszyła ramionami. Kelner zebrał nakrycia, talerz Chiary był prawie pełen, eskalopki też nie wzbudziły jej większego zainteresowania, a sałaty nawet nie tknęła.

- Poronienie to nie tragedia - powiedział niespodziewanie Paolo - a szczególnie w takiej sytuacji jak twoja. Wiesz już teraz, że możesz zajść w ciążę i że nie jesteś bezpłodna, jak to sobie kiedyś wbiłaś do głowy.
- Nie masz prawa wygłaszać kazań ani udzielać mi rad - odparła lodowatym tonem.
- Czy potrzebny jest do tego status członka rodziny? A może legitymacja Związku Wiernych Przyjaciół? Jeśli będziesz dalej tak postępować, zniszczysz swoje małżeństwo i sama się wykończysz.
- Nie ma już czego niszczyć, wszystko przepadło.
- Przecież Marco...
- Mieszkamy pod jednym dachem, ale... nie mamy już sobie nic do powiedzenia.

Nie, nie chciała deseru. Spytała kelnera, który tymczasem podszedł do stolika, czy mógłby przynieść koniak albo lepiej wódkę z lodem.

- Jest gorzej, niż myślałem - stwierdził surowo Paolo. - Alkohol szybko i nieuchronnie doprowadzi cię do katastrofy.

Nie miała żadnych wątpliwości: można się było domyślić z brzmienia jego głosu, że wszystko odgadł.

Wrócili do domu o północy i Chiara nie życzyła sobie, by Paolo dłużej jej towarzyszył.

- Jestem bardzo zmęczona i zamierzam zaraz się położyć - usprawiedliwiała się na pożegnanie.

Nie pamiętała, że zostawiła zapalone światło ani że nie zamknęła wejściowych drzwi. Nie mogąc już ufać swojej pamięci, pomyślała, zdejmując płaszcz i rzucając go na skrzynię stojącą w korytarzu. Spojrzała niechętnie w lustro i to, co zobaczyła, przeraziło ją: tusz spłynął, podkład na policzkach zamienił się w maskę pokrytą czerwonymi plamami, podkrażone oczy o szalonym wyrazie wpatrywały się w nią z najwyższą niechęcią.

Zbliżyła twarz do lustra i pokazała język temu żalósnemu klaunowi. Klaun też pokazał jej język i to ją rozśmieszyło.

- Mogłaś zostawić dla mnie wiadomość albo przynajmniej uprzedzić, że nie będzie cię w domu - usłyszała za sobą poważny głos.

Odwróciła się szybko.

- Marco... co tu robisz?
- Wróciłem dzień wcześniej. Przecież ci mówiłem.

No jasne, o telefonie z Londynu zapomniała. Marco wyglądał tak, jakby odczuwał raczej ulgę niż gniew, i to ją uspokoiło. Nie dojdzie zatem do kłótni.

- Przepraszam - powiedziała.

- Przestraszyłem się... Ani twoja matka, ani siostra nie wiedziały, gdzie jesteś.

- Jadłeś kolację? - zapytała, zdziwiona przytomnością swego umysłu pomimo wypitego wina, trzech kieliszków wódki i aperitif.

- Wystarczyła mi szklanka mleka, nie jestem głodny. Przebierz się, a ja tymczasem zawiadomię matkę i Giovannę, że wróciłaś. One też się o ciebie niepokoją.

Chciała odpowiedzieć, że to niedobrze wpadać od razu w panikę z powodu takiego głupstwa, ale zdała sobie sprawę, że nie jest dość trzeźwa, aby podjąć dyskusję. Kiedy zmierzała w stronę sypialni, potknęła się na dywanie. Cholera, jestem pijana, zakłęła w duchu. Żeby tylko Marco niczego nie zauważył. On nie może się zorientować! Udało jej się rozebrać i wciągnąć spodnie od piżamy. Poszła do łazienki umyć twarz i zęby.

Spostrzegła, że Marco stoi na progu i bacznie się jej przygląda.

- Gdzie się podziewałaś? - zapytał łagodnym i spokojnym tonem.

- Paolo uparł się, żeby zabrać mnie na kolację.

- Powinnaś była mnie uprzedzić.

- Jeśli się nie mylę, już to raz słyszałam - odpowiedziała szybko ze śmiechem, zadowolona, że głos ma dzwiczny, a w głowie nie czuje zamętu.

- Kochanie, nic ci nie jest?

Podszedł blisko i próbował ująć jej twarz w dłonie.

Zręcznie się wywinęła.

- Nie, nic. Chce mi się tylko bardzo spać.

- Naprawdę się przestraszyłem - powiedział, obejmując ją.

- Chyba się powtarzasz - zaśmiała się znowu. Starła się, aby to, co mówi, wypadało lekko i dowcipnie. - Nie wkładasz piżamy, nie zamierzasz się położyć?

Muszę wypić jeszcze kroplę, pomyślała Chiara, kiedy weszła do łóżka. Tylko łyczek, żeby się odprężyć i móc zasnąć. Usłyszała plusk wody. Jeśli się pospieszy, może się uda. Nie, to jednak zbyt ryzykowne. Wtuliła głowę w poduszkę, zamknęła oczy, czekając na sen.

Szum ustał, chwilę później usłyszała, że Marco wychodzi z łazienki, otwiera szufladę i szuka piżamy. Kiedy położył się obok niej, udała, że śpi. Poczuła, że otacza ją ramieniem, ale dotknięcie było tak lekkie, że gdyby spała rzeczywiście, wcale by tego nie zauważyła. Leżała nieruchomo, wstrzymując oddech.

Ręka przesunęła się wyżej, teraz delikatnie musnął jej policzek.

- Chiaro - szepnął cicho Marco.

Nie zareagowała. Zawołał ją znowu.

- Proszę cię, śpijmy już - jęknęła zasnym głosem i zaraz skorzystała z okazji, by przesunąć się na drugi koniec łóżka.

- Chiaro, musimy porozmawiać. Tak dalej być nie może, rozumiesz?

- Nie teraz! - Tym razem protest zabrzmiał prawdziwie.

- Właśnie że teraz. Nie mogę patrzeć na to, co robisz mnie, sobie, naszemu...

Przerwała mu: - Możesz zażądać separacji i znaleźć sobie taką kobietę, z którą będziesz mógł wytrzymać.

- Ty jesteś moją kobietą i kocham cię.

Chyba jeszcze bardziej niż przedtem. Dlaczego mnie odtrącasz? - I znów wyciągnął rękę w geście pieszczoty. - Pragnę cię - powiedział, przytulając się do niej.

Odepchnęła go rozwścieczona: - Zostaw mnie!

Dwa tygodnie po powrocie Chiary ze szpitala wziął ją w milczeniu w ramiona, a potem się kochali. Kiedy przygniatał ją sobą, taki męski i zakochany, łudziła się przez chwilę, że tak jak dawniej zacznie odczuwać pożądanie i tkliwość. Ale gdy Marco miał orgazm, poczuła się upokorzona i nieszczęśliwa: była uzurpatorka, która nie zasługiwała na miłość prawdziwego mężczyzny i w dodatku dopuszczała do marnowania się jego nasienia.

Nie mogę po raz drugi dać się upokorzyć, pomyślała w panice, próbując bezskutecznie odsunąć się od niego.

- Zostaw mnie - powtórzyła błagalnym tonem.

- Nie, nie zostawię. W tych dniach myślałem tylko o tobie. Chcę cię... Chcę, żeby wszystko było po staremu.

Wszedł w nią, brał ją zdecydowanymi, rytmicznymi ruchami, trzymając cały czas ręce na jej biodrach.

- Zgwałciłeś... mnie - wyszeptała, kiedy już skończył, zbyt poniżona, by odczuwać wściekłość.

Obudziła się o czwartej rano z wrażeniem, że coś przeszkadza jej spać. Lampka od strony Marca była zapalona, a on wciąż czytał.

VI

Okna były zakratowane, a drzwi do pokoju nie miały klucza. W nazwie „Dom Spokoju” ukryta była prawdziwa ironia, gdyż w istocie był to luksusowy dom wariatów.

„To sanatorium dla osób, które potrzebują pomocy”, zaprotestował Marco. A matka Chiary dodała: „Nie ma tam wariatów ani narkomanów”. Giovanna natomiast oświadczyła szorstko: „Jeśli wbiłaś sobie do głowy, że przywiążą cię do łóżka albo wrzucą nagą i wrzeszczącą do dołu pełnego węży, jak w starych hollywoodzkich filmach, to się grubo mylisz”.

To wszystko było prawdą.

Hospitalizowano ją, czy raczej umieszczono tam dwanaście dni temu, i nikt jej źle nie traktował. Przeciwnie, opiekunowie byli mili i troskliwi. Czy dobrze się pani czuje? Woli pani mięso czy rybę? Jak minęła noc? Czy ma pani jakieś życzenie?

Chcę spać, zamierzała odpowiadać na takie pytanie, albo znaleźć się daleko od tego miejsca, gdzie nie dochodzi żaden dźwięk, żaden głos. Gdzie panuje wyrafinowany komfort, który niekiedy doprowadza mnie do szału.

Po raz setny przeklinała owo popołudnie przed trzema tygodniami, kiedy upiła się i nie zdążyła wrócić jak zawsze do domu przed Markiem po to, aby czekać na niego na pewnych nogach i z ustami pachnącymi miętową drażetką. W ten sposób domyślił się wszystkiego, ona zaś trafiła do tego okropnego sanatorium.

Żeby być całkiem szczerą wobec siebie, musiała przyznać, że nie wszystko było tu nie do zniesienia. Na przykład codzienne seanse z Turrim, młodym psychologiem w okularach, były dość zabawne. Nie można zaprzeczyć, że jako psychoanalitik był niezły, ale za bardzo przejmował się teoriami Junga. Tak przynajmniej uważała ona, która była przecie z tej samej branży. Więć emocjonalna Chiary z matką i seks niewiele go obchodziły, za to wszystko, co mogło być interpretacją symboli, sprawiało, że oczy zaczynały mu błyszczeć zza szkieł.

Skończyło się na tym, że ze złośliwą satysfakcją Chiara opowiadała mu historie pełne ukrytej symboliki. Oczywiście takie, które nie pozwalały wątpić w jej zdrowie psychiczne. Nie zdołała jeszcze odgadnąć, w jakim stopniu Turri wierzył w te opowiastki, skoro Marco na pewno powiedział mu, że żona jest dyplomowanym

psychologiem. Tak czy owak dobrze się bawiła, a to już było coś w tym straszliwym grobie, w którym ją zamknięto.

O ósmej przychodziła pielęgniarka, żeby zrobić jej zastrzyk i dać dwa proszki uspokajające. Kwadrans po ósmej pojawiało się śniadanie, od dziesiątej do jedenastej była przewidziana przechadzka po parku (więzienny spacer, jak ją nazywała), o wpół do pierwszej obiad. Odpoczynek od drugiej do czwartej, znowu zastrzyk i kolejne dwa proszki zaraz po przebudzeniu, potem gimnastyka od czwartej do czwartej trzydzieści, seans z Turrim od piątej do piątej czterdzieści, nieobowiązkowy spacer po parku albo oglądanie telewizji we wspólnej sali od szóstej do siódmej, następnie aromaterapia i masaż, kolacja, ostatnie proszki i dobranoc: „Proszę się dobrze wyspać, jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę dzwonić”.

Była już prawie szósta i trzeba było się zdecydować: czy pójść na spacer, czy usadowić się przed telewizorem razem z milczącymi i bezkształtnymi towarzyszkami z więziennej celi? Na oko Chiara wyglądała na najmłodszą pacjentkę: średnia wieku wynosiła około pięćdziesiątki, ale trafiały się i siedemdziesięciolatki. Wydawało jej się niesprawiedliwe, że problemy nigdy się nie kończą, że nawet w podeszłym wieku można mieć psychiczne zaburzenia. Ale czy równowaga ducha związana jest z latami? Wszyscyśmy oszaleli, pomyślała Chiara. Nie ma już starców. Są ludzie w zaawansowanym wieku, jak gdyby starość to było coś wstydlivego i kompromitującego. Muszę stąd uciec, powiedziała głośno, ogarnięta nagle strachem, że utraciła mowę. Z nikim nie rozmawiam, zanikają mi struny głosowe. Przypomniała sobie jednak zaraz z ulgą, że przecież codziennie, przez czterdzieści minut, gawędzi z psychologiem.

Marco odwiedzał ją co wieczór, ale były to dla niego przykre wizyty, bo Chiara nie miała wciąż nic do powiedzenia. Turri prawdopodobnie mu je odradzał, tłumacząc, że czasami terapia odnosi lepsze skutki, kiedy pacjent całkowicie oderwie się od domu i rodziny. Dzięki temu może rozwiązać nurtujące go problemy, ujrzeć w nowym świetle swój stosunek do innych, uwolnić się od uczucia wrogości. Marco jednakże, jak zresztą i ona, miał wrodzone poczucie obowiązku i w każdej sytuacji musiał odgrywać rolę przykładowego męża: bywał więc w „Domu Spokoju”, lekceważąc rady lekarza.

Chiare ogarnęły wyrzuty sumienia; była niesprawiedliwa, wiedziała przecież doskonale, jak bardzo Marco jest do niej przywiązany. To z miłości, a nie z obowiązku chciał codziennie ją widywać. To ja, pomyślała ze łzami w oczach, stałam się bezradna i nieprzejeđnana. Potrafiłabym sobie pomóc, gdybym tylko chciała, ale przyszykowałam sobie ostry nóż i wbijam go w swe ciało nieustannie. Kiedy uświadomiła sobie, z jaką bezwzględnością dotąd się dręczyła, poczuła, że otwiera się przed nią przepaść: ogarnęło ją przerażenie i nie mogła złapać tchu. Zorientowała się, że zemdląa, gdy obudziła się rozebrana na łóżku i spod przymkniętych powiek ujrzęa Marca rozmawiającego szeptem z Turrim. Był sierpniowy zachód słońca. Musiała już minąć ósma, pomyślała i przysięęła sobie, że od tej chwili będzie bardziej uważać na to, co łyka: te wszystkie środki uspokajające niszczyły jej zdolność do reagowania. Ale czy nie tego właśnie pragniesz?, spytała milcząca w niej od jakiegoś czasu druga Chiara. Zamknęła ponownie oczy. Oczywiście, właśnie tego, odpowiedziała sobie wyczerpana.

Turri mówił teraz trochę głośniej: - Nie przed końcem października. Dwa miesiące to minimum.

Dlaczego?, zastanawiała się Chiara, usiłując dociec, o czym tak szepczą.

- Uważam, że jest już w lepszym stanie

- zawyrokował Marco. - Sam pan powiedział, panie doktorze, że nie najgorzej zniosła odtrucie i że to dobry znak. Chciałbym, żeby żonę wcześniej wypuszczono, mam zamiar zabrać ją w góry albo w jakąś podróż.

- Nie radzę panu - przerwał Turri stanowczym głosem.

Chiara, wstrzymując oddech, zrozumiała, że tym razem nie ma żadnego odwołania. Nadstawiła uszu.

- Pańska żona jest bardzo chora - wyjaśniał dalej tym samym tonem Turri. - Jeśli odniósł pan wrażenie, że jej samopoczucie się poprawia, to dzieje się tak dlatego, że potrafi ukryć to, co rzeczywiście myśli i czuje.

Brawo, Turri. Odkrycie jego niespodziewanych umiejętności zawodowych wprawilo ją w takie osłupienie, że zapomniała o niepokoju. Ale ta chwila już minęła i obawa przerodziła się w przerażenie. Jeszcze dwa miesiące tutaj i naprawdę zwariuje. Uznała, że powinna niezwłocznie zacząć działać. Nie pozwoli nikomu się zniszczyć, tylko sobie samej.

Może już zwariowałam, zaśmiała się w duchu, kiedy wyciągała spod materaca fartuch w różowo_białe paski, strój pielęgniarek z „Domu Spokoju”. Zakradła się do ich szatni i przywłaszczyła go sobie ze zręcznością, do jakiej zdolni są jedynie wariaci i pijacy w rzadkich chwilach jasności umysłu.

W labiryncie drzwi i korytarzy znalazła schody służbowe prowadzące do tylnego wyjścia. O dziesiątej będzie zmiana: musi poczekać, aż ruch ustanie, pokonać po cichu schody i dotrzeć do wyjścia, zanim drzwi i zewnętrzna brama zamkną się na noc.

Strój pielęgniarki pozwoli jej przejść przed budką portiera bez wzbudzenia podejrzeń. Nie miała pojęcia, czy w okolicy jest jakiś bar albo postój taksówek, na który można by zadzwonić. Wolała nie korzystać z telefonu w pokoju w obawie, że jest na podsłuchu.

Najważniejsze to minąć bramę. Kiedy będzie już poza terenem kliniki, znajdzie jakiś sposób, żeby dotrzeć do Mediolanu. „Dom Spokoju” stał w pobliżu Arese i Chiara pamiętała, że Marc jechał tu autostradą Mediolan_Lozanna.

Spojrzała na zegarek: dziesięć po dziesiątej. Za pięć minut musi ruszyć w drogę. Gdyby natknęła się na pielęgniarki zdążające z opóźnieniem na nocną zmianę, byłby niezły pasztet... Nie może również z góry zakładać, że brama będzie otwarta. No cóż, w każdym przypadku istniał jakiś margines ryzyka; pozostawało jedynie zdać się na szczęśliwy los.

Narzuciła fartuch, wzięła torebkę i zanim opuściła pokój, ułożyła na łóżku pod kocem dwie poduszki, dumna z siebie, ale i świadoma śmieszności sytuacji. Jazda, Papillon, zachęcała się w duchu, zamykając cicho drzwi. Droga wolna. Starając się iść bez pośpiechu, dotarła do schodów służbowych. Była na drugim piętrze, a musiała przecież dotrzeć do półpiwnicy.

Nagle usłyszała głos: - Siostró, jestem bardzo zdenerwowana, czy może mi pani dać jeszcze jeden proszek?

Chiara z trudem powstrzymała się, żeby nie ruszyć biegiem przed siebie. Odwróciła się jednak powoli, próbując zachowywać się jak najbardziej naturalnie. Zobaczyła kobietę około sześćdziesiątki, o dwóch kulach, która patrzyła na nią z wyczekiwaniem.

- Wracam za dwie minuty. Zejdę tylko na dół i zaraz będę z powrotem - powiedziała mając nadzieję, że ton głosu i miły uśmiech przekonają nieznaną. Zanim ta zdążyła się odezwać, Chiara była już na schodach. Droga do garażu była również wolna: dalej, na prawo, znajdował się krótki korytarz, prowadzący do wyjścia służbowego. Prędko zbliżyła się do niego, ale w dalszym ciągu starała się nie biec. W budce portiera paliło się światło, lecz w środku nie było nikogo. Przyspieszwszy kroku, Chiara minęła ją i skierowała się w stronę bramy. - Spóźniliśmy się, co? - Portier nadchodził z naprzeciwka i badawczo się jej przyglądał. Chiarze wydało się to podejrzane i poczuła, że serce podchodzi jej do gardła.

- Właśnie zamknąłem bramę - powiedział wreszcie. - Chodźmy, otworzę pani.

Krótką alejką prowadziła z kliniki do głównego traktu i Chiara miała nadzieję, że nikogo nie spotka. Byłaby to prawdziwa ironia losu, gdyby przypadkiem przechodził tędy Turri albo jakaś pielęgniarka, która ją znała. W końcu doszła do drogi, teraz już mogła czuć się bezpieczna.

Widziała jedynie światła samochodów. Nie było ich dużo, ale jechały bardzo szybko, a kiedy ją mijaly, droga pograżała się znowu w ciemnościach. Nie wiedząc, w jakim pójsć kierunku, Chiara zdecydowała się skrócić w prawo w nadziei, że dobrze wybrała i nie będzie musiała zbyt długo maszerować, aby natrafić na jakiś ślad życia.

O dziesiątej była u niej pielęgniarka;

Chiara nie połknęła proszków, ale nie mogła uniknąć zastrzyku, toteż teraz czuła się odrętwiała, a także bardzo zmęczona. Musiała mieć również spuchnięte stopy, bo uwierały ją buty. Wydawało się jej, że idzie tak już wiele godzin, kiedy jakiś samochód zwolnił i zahamował kilka metrów przed nią.

- Podwieźć panią? - zapytał, opuściwszy szybę, dystyngowany mężczyzna około pięćdziesiątki.

Zgodziła się bez wahania: lepszy gwałt niż przejście choćby jeszcze dziesięciu metrów na piechotę. Na szczęście kierowca okazał się prawdziwym dżentelmenem - ograniczył się do zapytania, dokąd chce jechać, i gdy odpowiedziała, że wysiadzie na pierwszym postoju taksówek w Mediolanie, znów zaczął prowadzić w milczeniu, nie zadając więcej pytań.

Była za kwadrans dwunasta, kiedy podziękowawszy serdecznie uprzejmemu właścicielowi samochodu, przesiadła się do taksówki. Nie potrafiła od razu poinformować taksówkarza, gdzie ma ją zawieźć, uświadomiła sobie bowiem, że jeszcze się nad tym nie zastanowiła. Marco odwiózłby ją zaraz z powrotem do „Domu Spokoju”... Tak samo postąpiłaby Giovanna. Podała więc adres Paola Lusardiego na corso Porta Romana i utwierdziła się w przekonaniu, że dokonała właściwego wyboru. Jedynie Paolo mógł ją przenocować i nie dopuścić, by znowu znalazła się w „Domu Spokoju”.

Zapłaciła taksówkarzowi, wysiadła z auta, nacisnęła dzwonek domofonu numer pięćdziesiąt siedem. Nikt nie odpowiedział. Zadzwoiła znowu, tym razem natarczywiej i po trzech dalszych próbach pogodziła się z myślą, że Paola nie ma w domu. Zaczeka na niego na klatce schodowej, chodzi tylko o to, aby dostać się do środka. Zadzwoiła do mieszkania portiera i dopiero po paru minutach usłyszała podejrzliwe „Kto tam?”.

Musiała się przedstawić i wymyślić jakiś przekonujący pretekst, żeby wreszcie ją wpuścił. Weszła na piechotę na drugie piętro i na wszelki wypadek zadzwoniła raz jeszcze do drzwi Paola. Nie, rzeczywiście go nie było. Pozostawało jej tylko usiąść na schodach i poczekać, aż wróci. Już miała zasnąć z głową na kolanach, kiedy usłyszała, że otwierają się drzwi windy, i zobaczyła, że wysiada z niej Paolo w towarzystwie bardzo wysokiej i bardzo „jasnej” dziewczyny.

- Chiaro, co tu robisz? - zawołał bardziej przerażony niż zaskoczony.

Wstała, poprawiając fartuch w różowo-białe paski.

- Czekałam na ciebie. Mogę wejść?

- Oczywiście. Chiaro, to jest Linda Poli. Lindo, przedstawiam ci Chiarę. Wejdźmy.

To była z pewnością nowa przyjaciółka, o której opowiadał kilka miesięcy temu. Wyglądało na to, że więzy przyjaźni zacieśniały się, a Chiara zepsuła mu wieczór, który zapowiadał się bardzo interesująco. Nie czuła się jednak zakłopotana ani winna. To raczej Linda wydawała się speszona.

- Może... Jest już późno, lepiej byłoby, gdybyś... gdybyś wezwał dla mnie taksówkę - szepnęła do Paola.

Chiara zauważyła z ogromną ulgą, że nie zaprotestował; pogłaskał dziewczynę delikatnie po włosach i powiedział: - Myślę, że masz rację. Zadzwonię do ciebie jutro rano.

Czy Chiara myliła się, czy też rzeczywiście dostrzegła w oczach Lindy przeblysłk wrogości, kiedy ta żegnała się z nią i szła za Paolem w stronę windy? Stwierdziła, że jest to jej całkiem obojętne, i czekając, aż Paolo wróci, usadowiła się wygodnie na kanapie. Nie trwało to długo: wkrótce usłyszała, że drzwi się otwierają i zamykają ponownie. Paolo podszedł do niej.

- Powinnaś być w „Domu Spokoju” - powiedział od progu. Skinęła głową.

- Uciekłam - wyznała po prostu.

- Domyśliłem się.

Usiadł obok i otoczył ją ramieniem.

- Nie myślisz chyba, że będę cię tu ukrywał przed mężem? Zrobiłaś wielkie głupstwo. Wiesz przecież, że potrzebujesz opieki.
- Proszę cię, pomóż mi. Nie mogę znów trafić do tego straszego miejsca.

Gdyby wybuchnęła płaczem, przytuliła się do niego, pocieszałby ją łagodnie, szukając słów, które przekonałyby ją, że nie ma wyboru. Ale ona powiedziała to z taką bezradnością, że jej rozpacz wydała się autentyczna.

- Czego ode mnie oczekujesz? - zapytał.
- Zrób coś, żeby do Marca dotarło, że klinika na nic się nie zda. Żadna klinika zresztą - dodała z ponurym uśmiechem. - Jestem czy nie jestem psychologiem? Paolo, znam siebie dobrze, wiem, jak sobie pomóc. Mam dość siły woli, by tego dokonać. Niepotrzebne mi są leki psychotropowe ani spokój... Muszę się odnaleźć, stawić czoło moim problemom. A to jest możliwe tylko w domu, z ludźmi, których kocham. Nie z dala od nich. Rozumiesz mnie, prawda?
- Chyba tak. Istnieje jednak obawa, że sama nie dasz rady. Że zamiast skoncentrować się na tym, o czym mówisz, zaczniesz znowu pić.

Chiara potrzęsnęła stanowczo głową.

- Co to, to nie. Jedyna rzecz, której mi nie brakowało w „Domu: Spokoju”, to butelka. Wstydzę się, że zareagowałam w sposób tak... - przerwała, szukając właściwego określenia, i nie znalazłszy go, ciągnęła dalej: - Zresztą nie piłam na tyle długo, żeby stać się alkoholiczką. Przysięgam, że nigdy już nie będę rozwiązywać moich problemów za pomocą alkoholu.

Paolo pomyślał w tym momencie, że ma przed sobą dawną Chiara, zdecydowaną i konsekwentną. On skłonny jest uwierzyć w jej zapewnienia, ale czy Marco też? Pytanie to przygnębiło go, gdyż po raz pierwszy nie mógł uwolnić się od wątpliwości, czy Zambiasi rozumie rzeczywiście żonę i czy coś nie popsulo się między nimi.

- Najważniejsze - powiedziała Chiara, jak gdyby czytała w jego myślach - to przekonać Marca. Nie będzie to łatwe, bo według niego „Dom Spokoju” jest najlepszym wyjściem z sytuacji. Może zmieniłby zdanie, gdybyś z nim porozmawiał.
- Nie jesteśmy bliskimi sobie ludźmi.
- Dlaczego uważasz, że to odniosłoby skutek? Poza tym mógłby uznać, że wtrącam się w nie swoje sprawy.
- Przecież jesteś moim najlepszym przyjacielem - zaprotestowała. - Marco wie, że znamy się od lat i że bardzo cię lubię.

Tak bardzo, że przyjechała do niego, nie zaś do męża, jemu, a nie mężowi się zwierzyła, ufając, że zostanie zrozumiana i znajdzie pomoc. Ta myśl sprawiła, że Paolo odczuwał zarazem wzruszenie i zmieszanie.

- Przede wszystkim - oświadczył - powinienem do niego zadzwonić i powiedzieć mu, że tu jesteś. W klinice już mogli zauważyć twoją nieobecność i powiadomić Marca, który pewnie szaleje z niepokojem.
- Masz rację. Ale nie mogę tak od razu pojechać do domu. Spróbuj mu to wytłumaczyć.

Nie jest to łatwe, pomyślał Paolo kilka minut później, kiedy Marco Zambiasi bombardował go przez telefon serią pytań: co robi u niego Chiara? jak się tam dostała? co znaczy, że nie chce od razu wrócić do domu? Wydawał się nieufny i zaskoczony, ton, jakim mówił, nie należał do najbardziej serdecznych.

Gdy Paolo wreszcie odłożył słuchawkę, zwrócił się do Chiary, która cały czas nie spuszczała z niego wzroku:

- Nic nie wiedział o twojej ucieczce.

W klinice jeszcze się nie zorientowali.

A może pielęgniarka dała się zwieść poduszkom ułożonym pod kocem? Chiara zachichotała i opowiedziała mu o podstępie, do jakiego się uciekła.

W zmęczonej i nabrzmiałej twarzy jej oczy błyszczały dawnym blaskiem. I znów wydała się Paolowi zachwycającą dziewczyną sprzed dziesięciu lat. Pochylił się, by pogłodzić ją po włosach, i zapytał:

- Chcesz kanapkę i szklankę mleka?

Masz na coś ochotę?

Zamiast odpowiedzi na konkretne pytanie usłyszał: - Zrobiłeś się bardzo wylewny! Widziałam, jak się zachowywałeś wobec Lindy. To rzeczywiście tylko znajoma?

- Chciałem się tego dowiedzieć właśnie dziś w nocy, ale mi przeszkodziłaś.

- Domagasz się przeprosin? Nie będą szczere. Czuję się taka odprężona. I cieszę się naprawdę, że tu jestem.

Odchyliła głowę i przymknęła oczy. Po raz pierwszy od pięciu miesięcy było jej dobrze.

Paolo usiadł obok Chiary.

- Może powinnaś pójść spać, wyglądasz na zmęczoną.

Potrząsnęła głową. W klinice znienawidziła ten sztuczny, pełen koszmarów sen, kiedy była zbyt odrętwiała, by się przebudzić, i zbyt trzeźwa, by się przestraszyć.

- Marco przyjedzie po ciebie o dziewiątej. Chiaro, musisz mu pozwolić sobie pomóc.

- Wiem, ale nie potrafię.

Miała w dalszym ciągu przymknięte oczy. To nie była wina Marca, że sama jego obecność przyprawiała ją o smutek i wyrzuty sumienia. Żeby się od nich uwolnić, musiała go za każdym razem „unicestwić”. Potem skrupuły okazywały się uzasadnione, a ona broniła się, znowu atakując Marca i objawiając jeszcze większą wrogość.

- Coś popsuło się między wami, prawda?

- spytał Paolo. Siedział teraz już bardzo blisko i Chiara oparła głowę na jego ramieniu.

- Jest fatalnie - westchnęła. - A przecież to ten sam człowiek, którego poślubiłam dziewięć lat temu, godny zaufania i tak mi oddany.

- Może byłaś zbyt młoda, kiedy wychodziłaś za mąż. Może... nie jesteś już w nim zakochana - odparł Paolo, zdając sobie sprawę, że wyraża nadzieję, iż tak jest w istocie. Zawstydzził się, że bliskość Chiary podnieciła go niespodziewanie. Był jeszcze bardziej skrępowany, kiedy unosił do góry jej twarz i całował w usta. Chiara nie cofnęła się, co ośmieliło Paola: przytulił ją w milczeniu, pożądając gwałtownie.

To ona pierwsza wyswobodziła się z jego ramion.

- W tej chwili również tego pragnę, ale jutro czułabym się fatalnie. Wyrzuty sumienia...

- Rozumiem - powiedział Paolo. - Wybacz mi.

Chiara znów potrząsnęła głową.

- Chciałeś mi po prostu pomóc. Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci za to wdzięczna.

Część druga

Marco

Giusi Lozza wyglądała na zakłopotaną i cały czas obracała pierścionek na palcu. Kto nie wiedział, że jest jednym z najlepszych pracowników agencji, pomyślał Marco, mógłby ją wziąć za przeciętną i nieśmiałą dziewczynę. Celowo nie spuszczał z niej wzroku.

- Oczywiście - powiedziała cicho Giusi. - Złożę wypowiedzenie z wyprzedzeniem, jakie będzie ci najbardziej odpowiadało.

- Co do mnie, to możesz zwolnić się nawet natychmiast. Nie lubię pracować z osobami, które noszą się z zamiarem odejścia. Sprawia to wrażenie tymczasowości i braku stabilizacji w firmie, a z tego nic dobrego nie wynika - oświadczył stanowczo. Chociaż Lozza była pierwszym pracownikiem, który opuszczał jego agencję, tak właśnie uważał. Spostrzegł, że rozgoryczenie wywołane tą sprawą zniknęło, ustępując miejsca zniecierpliwieniu. To przecież on odkrył ją pięć lat temu: szkoła dziennikarstwa poprosiła go, by poprowadził krótkie seminarium na temat reklamy prasowej, w trakcie którego zwrócił uwagę na siedzącą w pierwszym rzędzie pełną wdzięku dziewczynę, zadającą inteligentne merytoryczne pytania. Widać było od razu, że jest równie ambitna jak bystra.

Bliższa z nią znajomość potwierdziła tylko jego przypuszczenia. Organizował wówczas nową agencję i entuzjazm, z jakim Giusi Lozza przyjęła jego propozycję zatrudnienia, sprawił mu przyjemność. Pensja była niska, perspektywy niepewne, ryzyko, że zniszczy ich konkurencja, ogromne, a mimo to Giusi zgodziła się od razu, odrzucając ofertę pracy w redakcji pewnego dziennika.

Teraz, po pięciu latach, nabrała takiego samego zaufania do nowej agencji, która zaproponowała jej dwa razy wyższą pensję, całkowitą swobodę i wspaniałe możliwości zrobienia kariery. Bardziej niż zdradę miał jej za złe naiwność: nowa agencja źle wystartowała, miała wielkie wydatki i wygórowane ambicje. Aktualna sytuacja na rynku nie uzasadniała takiego optymizmu, nie można też było liczyć na zdobycie w krótkim czasie nowej klienteli; najlepsze agencje, te, które płaciły największe sumy i mogły liczyć na zysk, były już powiązane za pośrednictwem umów z innymi agencjami, nie mówiąc o panującej między nimi komitywie i solidarności. Szansa na zajęcie miejsca jednej z nich była niewielka, a w każdym razie trzeba było na nią długo czekać.

Marco wstał. - Nie mamy już chyba sobie nic do powiedzenia, Giusi. Księgowy obliczy, ile ci się należy, i za jakiś tydzień dostaniesz czek.

Giusi podniosła się niechętnie. - Widzę, że nie starasz się wcale mnie zatrzymać.

- A powinienem? - Głos Marca nie brzmiał serdecznie. - Wiesz, co o tym sędzę: nie lubię niezdecydowanych pracowników, a jeszcze bardziej nie lubię przekonywać ich o czymś, co jest oczywiste.

- O tym, że „Agencja Zambiasi” jest najlepsza? - chciała go sprowokować.

- Tak jest. Przestałaś być niezastąpionym pracownikiem z chwilą, kiedy w to zwątpiłaś.

Powiedział to tonem nie znoszącym sprzeciwu. Giusi podała mu rękę.

- Życzę ci wszystkiego dobrego.

- Ja tobie też. Potrzebujesz tego bardziej niż ja.

Nikt nie jest niezastąpiony. Marco nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Gdy został sam, postanowił od razu zadzwonić do Tarenziego, jednego z „łowców głów”. Dobrze by było, gdyby Giusi Lozzę zastąpiła dziewczyna w tym samym wieku i o podobnym wykształceniu: dwudziestopięć, trzydziestolatka z pewną praktyką w reklamie, na tyle niezadowolona ze swej aktualnej pracy, aby mogła ją opuścić, nie będąc oskarżoną o zdradę. Poza tym powinna być ambitna, konkretna, bez rodziny. No i oczywiście pełna pomysłów i inteligentna.

- Znajdzie się - zaśmiał się Tarenzi, kiedy Marco skończył opisywać ten rzadki okaz. Na pożegnanie zażartował: - Nie będę cię pytać, ile mi dajesz czasu, domyślam się, że potrzebujesz jej na wczoraj!

Gdy tylko Marco odłożył słuchawkę, sekretarka powiadomiła go przez telefon wewnętrzny, że jego żona jest na linii. Teraz dopiero przypomniał sobie, że obiecał Chiarze pojechać z nią do centrum, żeby wybrać prezent na urodziny jego matki.

- Wybacz mi - powiedział. - Miałem masę roboty po południu i dopiero teraz jestem wolny. Jeśli spotkamy się od razu na mieście, zdążymy przed zamknięciem sklepów. Nie ma jeszcze szóstej - dodał, spoglądając na zegarek.

- Dobrze. Muszę wpaść do księgarni Rizzolego. Mogę tam na ciebie zaczekać.

Nigdy nie protestuje, nie narzeka, pomyślał Marco, odkładając słuchawkę. Minęły już trzy i pół miesiąca, odkąd opuściła klinikę, a on nadal nie był pewny, czy ta łagodność i spokój to znak odzyskanej równowagi czy raczej rezygnacji, będącej objawem choroby. W ich związku pozornie wszystko powróciło do normy: bywali razem, rozmawiali, spędzali czasami weekendy poza miastem. Zaczęli nawet znów uprawiać seks. Mimo że nie liczył na taką poprawę, gdy wbrew radom psychologa, teściowej i szwagierki odwoził ją do domu zamiast do kliniki, zastanawiał się często, czy był to rozsądny pomysł.

Być może jedynie pomoc specjalistów mogła przywrócić mu ową żywą jak srebro, pełną entuzjazmu dziewczynę, którą znał kiedyś. Ale i tak kochał tę prostolinijną Chiarę, żyjącą jak gdyby swoim własnym życiem, zamkniętą w swoim własnym świecie. Fizycznie podniecała go jeszcze bardziej: zdawało mu się, że próbuje zdobyć wyniosłe bóstwo, i kiedy poddawała się wreszcie rozkoszy, wzdychając cicho, doznawał uczucia wszechmocy, które doprowadzało go natychmiast do orgazmu.

Nie mówimy już o dziecku, pomyślał wkładając płaszcz i zamykając za sobą drzwi biura. Nauczyła się czekać czy też pragnienie zajścia w ciążę nie jest już tak silne? Na to pytanie również nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

- Do zobaczenia jutro o ósmej - pożegnał się z sekretarką. - Niech pani zawiadomi wszystkich, że zebranie na temat kampanii reklamowej firmy Rossetti zostało przesunięte na dziewiątą.

Sekretarka zatrzymała go, żeby podpisał jeszcze kilka pilnych listów. Gdy spotkał się z Chiarą, była już za dwadzieścia siódma.

- Nie mamy zbyt dużo czasu - powiedział, całując ją w policzek.

- Rzeczywiście. Trzeba od razu postanowić, co mamy zamiar kupić, i pójść do jednego sklepu. Wiem, że twoja matka chciałaby mieć torebkę z krokodyłowej skóry, sportową, na pasku.

- Niech będzie torebka. Na Boże Narodzenie znów podarujemy jej coś z biżuterii.

Znaleźli torebkę u Fendich, w kształcie i wielkości dokładnie takiej, jakiej życzyła sobie Teresa.

- Teraz - zaproponował Marco - moglibyśmy wypić aperitif i pójść gdzieś na kolację. A może masz ochotę na kino? Tak dawno nie byliśmy w kinie.

- Dobrze. To jest pomysł. Była u mnie Giovanna i nie zdążyłam nic ugotować.

Początkowo Marco nie przepadał za siostrą żony. Wydawała mu się zbyt stanowcza, zbyt agresywna. Mówiła też za głośno. Z czasem jednak zrozumiał, że to tylko poza, sposób na to, by ukryć brak pewności siebie. Teraz lubił ją bez zastrzeżeń, cenił jej szczerość, bezpośredniość, zdolność szybkiego dostrzegania problemów i sposobów ich rozwiązania.

- Czy Giovanna powiedziała ci, że od trzech dni próbuję ją przekonać do podjęcia pracy w mojej agencji? - spytał później, kiedy weszli już do baru.

- Nie dziwię ci się - odparła Chiara.

- Tak, powiedziała mi. Ale wiesz, co ona myśli na ten temat: rodzina to jedno, praca to drugie. Uważa, że łączenie obu tych rzeczy może się źle skończyć.

- To odnosi się tylko do ludzi leniwych albo źle zorganizowanych. Giovanna pracuje w mojej branży od siedmiu lat i bardzo by mi się teraz przydała... Dwie godziny temu Giusi Lozza złożyła wypowiedzenie.

Giusi to była dziewczyna w zakęcie od Armaniego, którą Chiara poznała owego dnia, gdy przyszła do agencji i zastała Marca w sali zebrań, zastanawiającego się wraz z zespołem nad wylansowaniem nowych perfum. W tym dniu również dowiedziała się, że jest w ciąży. Na wspomnienie euforii, jaka ją wówczas ogarnęła, musiała przymknąć oczy.

Odegnęła jednak ze złością te wspomnienia.

- Ta Lozza była... naprawdę taka zdolna? - spytała.

- Tak. Dlatego muszę natychmiast zastąpić ją kimś innym tak samo dobrze przygotowanym. Na przykład Giovanną. Jest chyba jeszcze lepsza niż Lozza. Ale obawiam się, że jej odmowa jest ostateczna.

- Co więc zamierzasz zrobić?

- Zwróciłem się do Tarenziego. Dwa lata temu, kiedy zatrudnialiśmy nowych pracowników, znalazł nam trzy bardzo utalentowane osoby. Ogromnie na niego liczę.

- Pewnie spędzisz najbliższe dni na przepytywaniu jednej dziewczyny po drugiej. Jakimi kryteriami masz zamiar się kierować?

Chiara wydawała się naprawdę zainteresowana i Marcowi sprawiło to przyjemność.

- W pięćdziesięciu procentach zadecyduje życiorys kandydatki, a w pozostałych zdam się na intuicję - wyjaśnił. - W każdym razie wstępną selekcję przeprowadzi Tarenzi. Wszystkie wytypowane przez niego panie teoretycznie powinny się nadawać, bo będą już po przynajmniej jednej rozmowie kwalifikacyjnej.

Tarenzi przysłał Marcowi w kilka dni później dwie kandydatki, zastrzegając sobie prawo do dalszych poszukiwań, gdyby z jakichś względów mu nie odpowiadały. Jedną z nich przyjął rano, drugą po południu. Pierwsza nazywała się Heather Rossi i miała dwadzieścia dziewięć lat. Jej matka była Amerykanką. Rossi ukończyła w Mediolanie liceum plastyczne, przeniosła się do Stanów Zjednoczonych i studiowała socjologię w Connecticut University. Napisała pracę dyplomową na temat reklamy i masowych środków przekazu. Na podstawie rekomendacji wystawionej przez uczelnię zatrudnił ją William Morris. Pracowała przez dwa lata w Nowym Yorku. Następnie przeniosła się do Heleny Rubinstein, by zajmować się „public relations”, a potem do biura marketingu sieci domów towarowych.

Spotkanie młodego Włocha, w którym się zakochała, i śmierć matki skłoniły ją do powrotu do Mediolanu. Kiedy pojawiła się w agencji, już na wstępie oświadczyła, że szuka zajmującej pracy, świetnie wynagradzanej i z konkretnymi perspektywami na przyszłość. Marcowi wydała się dziewczyną ambitną, łatwo nawiązującą kontakty i zdecydowaną. Gdy pokazał jej plan powtórnego wylansowania pewnego kobiecego tygodnika, poczyniła trafne i błyskotliwe uwagi.

Obiecał dać jej odpowiedź dzień później. Instynktownie wyczuwał, że znalazł osobę, której szukał. Zatrudniłby ją natychmiast, ale musiał jeszcze porozmawiać z drugą kandydatką.

Nazywała się Margherita Ollian i była, jak dowiedział się na samym początku rozmowy, córką Giuseppe Olliana, znanego prawnika. Przyszła na spotkanie za dwadzieścia czwarta, spóźniona o dziesięć minut, i pierwszą rzeczą, jaką zauważył Marco, była jej smukła i wysoka sylwetka jak u modelki.

- Przyjechałam taksówką, żeby nie mieć kłopotów z parkowaniem

- wyjaśniła - ale na via Manzoni mieliśmy stłuczkę.

Miała drobną twarz i bardzo długie włosy koloru miodu, związane z tyłu w koński ogon. Marco stwierdził, że można uznać ją za piękną dziewczynę, ale wcale mu się to nie spodobało: przy pierwszym spotkaniu z nowym pracownikiem, mężczyzną czy kobietą, wolał skupiać się na jego umiejętnościach zawodowych, a nie na wyglądzie zewnętrznym. Futro z norek, rzucone niedbale na fotel, i torebka od Gucciego położona swobodnie na biurku pozwalały domyślić się kim jest Margherita Ollian: rozpieszczoną dziewczyną z bogatej mieszczańskiej rodziny.

Marco starał się przewyciężyć nieufność, którą w nim wzbudzała, i choć postanowił zadzwonić jeszcze tego samego wieczora do Heather Rossi, zaczął zadawać jej pytania.

Miała dwadzieścia cztery lata, rzuciła uniwersytet po drugim roku prawa i zaczęła pracować w biurze prasowym stryja. Marco przypomniał sobie, że również Bepi Ollian cieszy się sławą znakomitego adwokata.

- Nie powinnam w ogóle zaczynać studiów na uniwersytecie - powiedziała Margherita. - Nie znoszę przykładać się do czegoś wbrew woli. Z całego planu studiów interesowało mnie najwyżej pięć przedmiotów. A poza tym nie pociągała mnie perspektywa zostania adwokatem.

- A co panią pociąga? - zapytał uprzejmie ironicznym tonem.

- Wszystko, co pozwala mi czuć się wolną i szczęśliwą. Jestem niewyczerpana w pomysłach. Czy nie potrzebował pan pomysłodawcy?

- Tak, ale praca w agencji nie zawsze pozwala czuć się wolnym i szczęśliwym.

- To zależy, jak się do tego podchodzi. Łatwo się zapalam - dodała z uśmiechem, który odsłonił dwa rzędy olśniewających zębów.

- To już zdążyłem zauważyć.

Ale pani zapal może być wystawiony na ciężką próbę, na przykład wtedy, kiedy klient odrzuci trzy projekty pod rząd i trzeba będzie przygotować czwarty lub kiedy jest się zmęczonym i nic nie przychodzi do głowy.

- To zdarza się tylko

zarozumiałcom. Doświadczenie nauczyło mnie, że w krytyce, z jaką występuje klient, zawsze jest trochę racji: czasem wystarczy wnieść tylko małą poprawkę. O nowe pomysły nietrudno.

- Ma pani na myśli długą praktykę w biurze stryja? - zapytał drwiąco Marco, nie wiedząc, czy pełen entuzjazmu upór Margherity bawi go czy też drażni.

- Tak, to właśnie mam na myśli. Trwała cztery lata, a ja szybko się uczę.

- Mimo wszystko -

zaprotestował - nie ma pani doświadczenia w dziedzinie reklamy.

- Mam, i to spore. Osobiście zajmowałam się przygotowaniem dziesiątek kampanii reklamowych, dotyczących kobiecych tygodników i w ogóle czasopism. Ostatnio zaś zrobiłam dla „Cond~e Nast” makietę perfum lansowanych przez pańską agencję, panie Zambiasi.

- Podobały się pani?

- Perfumy tak, bo lubię zapach piżma, ale kampania nie. Sam zamysł sloganu był świetny, ale w praktyce okazał się nie dość syntetyczny. Wydawało mi się, że bardziej coś sugeruje, niż do czegoś przekonuje.

- Twierdzi pani, że zrobiłaby to lepiej? - zapytał zdziwiony jej impertynencją.

- Nie wiadomo. Ale gdyby

dobrze mi płacono i trochę mną pokierowano, to może mogłabym ulepszyć pańskie doskonałe hasło reklamowe. Dlaczego mnie pan nie wypróbuje i nie pokaże jakiegoś projektu? A właściwie czemu mnie pan od razu nie zatrudni? Osoba na pańskim stanowisku powinna umieć dokonywać szybkich i trafnych wyborów. Proszę mi wierzyć, nie zawiodę pana.

Kiedy Margherita Ollian zabrała futro i wyszła, zdał sobie sprawę, że - choć zakrawało to na czyste

szaleństwo - on też był o tym święcie przekonany. Teraz już wiedział: to właśnie ona, a nie Heather Rossi, jest osobą, której szukał. Rossi budziła większe zaufanie, była bardziej konkretna, miała dłuższy staż zawodowy, ale takich pracowników miał w agencji wielu. Wraz z odejściem Giusi Lozzy zabrakło mu osoby wybitnie uzdolnionej. A Ollian z pewnością do takich należała. Uświadomił sobie nagle, że dziewczyna ma wiele cech wspólnych z jego szwagierką Giovanną: oto dlaczego, po początkowym odruchu antypatii, zmienił do niej nastawienie.

Dał sobie jednak kilka dni do namysłu i poprosił sekretarkę, żeby uprzedziła Rossi, iż otrzyma ostateczną odpowiedź nieco później, niż było to umówione.

Zadzwoił osobiście do

Margherity Ollian trzy dni po ich rozmowie i celowo zrobił to o ósmej rano; sądził, że po dłuższym czekaniu usłyszy zaspany głosik, a tu rozpieszczona córeczka tatusia odezwała się niemal od razu i wszystko wskazywało na to, że dawno już wstała.

Rozpoznała go natychmiast.

- Ach, to pan. Cieszę się, że postanowił mnie pan zatrudnić - uprzedziła go.

Marco odpowiedział zaskoczony:

- Niech pani jeszcze się nie cieszy. Prawdopodobnie posada, którą chcę pani zaproponować, różni się znacznie od tej, którą sobie pani wymarzyła.

- Wykluczone. Szukałam czegoś wyjątkowego i taka jest właśnie „Agencja Zambiasi”. Kiedy mam zacząć?

Znów ten jej zapał, pomyślał Marco, ale odpowiedział nieco drwiąco:

- Uważam, że powinna pani uprzedzić stryja.

- Już to zrobiłam dwa miesiące temu, proszę się nie martwić. I proszę mówić do mnie Margherita.

- Nie mając nowej pracy? To luksus, na który może sobie pozwolić tylko ktoś lekkomyślny albo bardzo bogaty.

Margherita zamilkła i Marco pomyślał, że trafił wreszcie w jej słaby punkt. Ale zaraz zrozumiał, że się myli, i to pod każdym względem.

- Skoro mamy pracować razem - odparła chłodno - to lepiej będzie, jeśli wyjaśnimy od razu dwie sprawy. Po pierwsze, od dwudziestego roku życia utrzymuję się sama i z wyjątkiem tego ohydneho futra, które włożyłam, żeby zrobić na panu wrażenie, nie przyjął nigdy niczego od mojej bogatej rodziny. Po drugie: wcale nie jestem lekkomyślna, tylko świadoma swojej wartości.

Byłabym więc panu wdzięczna,
gdyby przestał mnie pan
traktować jak

nieodpowiedzialnego dzieciaka chowanego pod kloszem.

- Wezmę to pod uwagę. Ostatnie pytanie: czy jest pani zaręczona albo... coś w tym rodzaju?

- Ani zaręczona, ani nic w tym rodzaju. Przez pół roku żyłam z pewnym muzykiem, który wydawał się człowiekiem pogodnym i wolnym w pełnym znaczeniu tego słowa. Ale odkryłam, że po prostu pogodził się z brakiem sukcesu i cierpi na wszelkie możliwe nerwice. Dlaczego pan pyta?

- Powinienem zapytać o to na samym początku. Wolę, prawdę mówiąc, aby moi nowi pracownicy, przynajmniej przez jakiś czas, interesowali się wyłącznie pracą.

- Przez „jakiś” czas - podkreśliła ironicznie Margherita. - Mogę pana zapewnić, że i w tym wypadku nie zawiodę pana. Ale nie powiedział mi pan jeszcze, kiedy mam zacząć.

- Natychmiast, jeśli pani chce

- odparł Marco i odłożył słuchawkę.

Lubił przychodzić wcześniej do agencji: telefony nie dzwoniły, żaden z pracowników nie pojawiał się w drzwiach, nie zmuszał go do przerwania pracy. Puste pokoje i cisza stwarzały idealną atmosferę do koncentracji i Marco korzystał z tego, żeby zaplanować cały dzień i podjąć najważniejsze decyzje.

Kiedy skończył rozmawiać z

Ollian, zabrał się za lekturę

kontraktu przysłanego przez

„Cartland”, firmę amerykańską,

która weszła niedawno na rynek włoski i zamierzała wylansować nowy proszek do prania. Dział marketingu opracował projekt opakowania i wymyślił nazwę („River”), skalkulował też budżet na reklamę. Teraz „Agencja Zambiasi” miała zorganizować kampanię reklamową w telewizji i w prasie, a „Cartland” dawał jej całkowitą swobodę, pod warunkiem, że slogan reklamowy i argumenty przekonają gospodynie domowe do zakupu proszku.

„Cartland” zdawał się jednak nie zauważać, że w sprzedaży było już pod dostatkiem różnego rodzaju środków piorących. Po kwocie zaś, jaką firma przeznaczyła na wynagrodzenie dla agencji, można się było domyślić, że Amerykanie lekceważą trudności związane z wprowadzeniem nowego produktu na rynek, na którym proszki wcześniej produkowane zdobyły niezachwianą pozycję. Marco postanowił, że zaryzykuje i zażąda od „Cartlandu” podniesienia o jedną trzecią ustalonej sumy oraz zapisania w umowie, że „Agencja Zambiasi” zajmie się ich kampaniami reklamowymi przez najbliższe trzy lata, bez względu na to, gdzie będą one miały miejsce. Zdecydował też, że kampanią reklamową „Rivera” zajmie się Margherita Ollian. Proszek to coś dla niej, coś, co sprowadzi ją wreszcie na ziemię.

Tego ranka w agencji panował wielki ruch i dopiero o wpół do pierwszej Marco przypomniał sobie, że ma z Chiara odwiedzić rodziców z okazji urodzin matki. Nie zdąży już wpaść na via Alberto Mario; zadzwonił więc do żony, żeby powiedzieć, że spotkają się od razu na obiedzie.

Kiedy stanął w drzwiach, pokojówka oznajmiła mu, że Chiara dopiero co przyszła. Siedziała w salonie obok teściowej i zauważył od razu, że była u fryzjera i lekko się umalowała.

- Spóźniłeś się - oświadczyła na powitanie Teresa i Marco pomyślał rozbawiony, że od dziesięciu lat spotkania z matką zaczynają się zawsze od tego sakramentalnego niemal zwrotu.

- Przepraszam, mam - odparł, całując ją. To też należało do rytuału. - Czy Chiara dała ci już od nas prezent?

- Ona też dopiero przyszła.

Punktualność nie jest waszą najmocniejszą stroną - odpowiedziała Teresa kąśliwie.

- Może usiadzemy od razu do stołu? - wtrącił Francesco.

- Jestem głodny.

- Nie skończyłam jeszcze aperitif - zaprotestowała Teresa.

- Dzieci, chcecie się czegoś napić?

- Nie, dziękuję -

odpowiedziała pospiesznie Chiara i Marco dostrzegł jej, zakłopotanie.

- Wiesz dobrze, że Chiara jest abstynentką - powiedział z naciskiem Francesco.

- Co za gadanie. Do niedawna piła aż za dużo.

- Ale już nie pije - przerwał jej Marco. Czasami nienawidził matki za brak taktu, szczególnie kiedy dotyczyło to Chiare. Spostrzegł jednak z ulgą, że żona nie wygląda tym razem jak zbity pies, później zaś zauważył, że je z niezwykłym jak na siebie apetytem i rozmawia żywo z teściem. Uśmiechnęła się nawet kilka razy do Teresy.

Przez chwilę przeraził się na myśl, że może znów zaczęła pić, ale zaraz zwymyślał się w duchu od idiotów: nie było nic sztucznego w pogodnej spontaniczności żony. Najwidoczniej zaczynała

zdrowieć. Zaprzagnął nagle ją objąć; kocham ją całą duszą, pomyślał, nie mógłbym bez niej żyć.

Teresa zareagowała okrzykami radości na torebkę z krokodylej skóry i w porywie wdzięczności ucałowała nawet synową. Marcowi sprawiło to przyjemność, lecz nagle wpadł w dziwne przygnębienie. Musiałby cofnąć się aż do dzieciństwa, by przypomnieć sobie pocałunek matki. Była to kobieta uczuciowo oziębła, nie znosząca czyjejs bliskosci. Każda pieszczota przyprawiała ją o dreszcz niechęci. Jej stosunek, nawet do najbliższych, był pełen rezerwy i być może nie uświadomionego obrzydzenia.

Po raz pierwszy Marco pojął do głębi, co oznaczać mogło dla Chiary dziecko i jak musiała cierpieć z powodu jego utraty. Całą jej radość życia zatrulię bezpłodność...

Kiedy obiad się skończył i wyszli już z domu rodziców, Marco zaproponował żonie:
- Chodźmy gdzieś we dwoje. Nie wracam do agencji.

VIII

Dwudziesty trzeci grudnia, dzień poprzedzający Wigilię. Gdy Chiara obudziła się o siódmej, zobaczyła, że Marco jest już ubrany i gotowy do wyjścia.

- Coraz wcześniej wychodzisz - zauważyła ze śmiechem - a niedługo zaczniesz nocować w agencji.

- To cena, jaką musi płacić mężczyzna, kiedy ma tak rozrzutną żonę jak ty - odpowiedział takim samym tonem, pochylając się, by ją pocałować.

Trzy dni wcześniej poszli na kolację z Giovanną oraz jej nowym przyjacielem, kierownikiem agencji „H. N. Ventura” (H. N. oznaczać miało handel nieruchomościami) i rozmowa zesła na wysokie ceny domów. Zdaniem Giorgia Ventury najlepsze interesy można było zrobić na spadkobiercach jakiegoś bogacza, ludziach albo zbyt zachłannych, albo zbyt biednych. Często bowiem pośpiech sprawiał, że wyzbywali się willi, mieszkań, sprzedając je po cenie nie odpowiadającej rzeczywistej wartości.

Jako przykład Gioglio Ventura podał uroczy stary dom nad jeziorem Iseo, położony na czterystumetrowej działce schodzącej ku małej plaży. Odziedziczył go jedyny wnuk pewnego przemysłowca z Brescii, trzydziestoletni megaloman bez pieniędzy, który zgodnie z wyznawaną przez siebie zasadą „mało, ale natychmiast”, gotów był zadowolić się dwustoma milionami lirów. Chiara była tylko raz nad Iseo i pamiętała, że jest tam zielono i spokojnie.

- Chciałabym go zobaczyć - powiedziała niepewnym głosem.

- Muszę tam być jutro rano, może zabierze się pani ze mną?- zaproponował Gioglio Ventura.

Pojechała. Wieczorem zaś opowiedziała Marcowi z takim zachwytem o starym domu, że zaprzagnął go jej podarować.

Mogło się okazać, że to doskonała inwestycja; bank na pewno nie będzie robił trudności z pożyczaniem brakującej sumy. Marco zastrzegł sobie jednak, że musi najpierw obejrzeć posiadłość, umówili się więc z Venturą po południu o trzeciej.

- Przecież dopiero co

spłaciłeś lokal agencji - powiedziała Chiara, jak gdyby czytała w jego myślach.

- Jestem naprawdę rozrzutną żoną.

Właściwie po co nam dom nad jeziorem?

- No proszę. I kto to mówi?

Przyjadę po ciebie punktualnie o trzeciej. Chciałabym, żebyś była gotowa.

Marco sposobił się już do wyjścia, kiedy zawołała za nim:

- Jesteś... jesteś wspaniałym mężem.

- Wiem - mrugnął do niej figlarnie i przesłał pocałunek.

O mało co go nie straciłam, pomyślała Chiara, gdy została sama. Tylko ktoś taki jak Marco mógł znieść żonę pijaczkę, płaczącą i stale wrogo do niego nastawioną. Czy uważasz, że teraz już jesteś chodzącą doskonałością?, zganiła ją druga Chiara. Nie, wcale nie, odpowiedziała wzdychając. Ból zniknął, zostawiając po sobie wielką pustkę. Jestem nudną i niewdzięczną żoną. Niczym księżniczka pozwalam Marcowi łaskawie się obdarowywać, nie dając nic w zamian. Tamtego dnia nad Iseo poczułam, że wreszcie budzę się z letargu, że chce mi się żyć! To śmieszne, ale żeby wzbudzić w żonie jakieś uczucie, Marco musi wydać dwieście milionów lirów.

Jak długo to wytrzyma? Kiedy zmęczy się i przestanie ją kochać? Angelica przerwała te gorzkie rozmyślenia, stukając energicznie odrzwi.

- Czy mam przygotować obiad?

Spotkałam pana Marca przy bramie i kazał pani przypomnieć o brakujących prezentach.

Och, tak, rzeczywiście, prezenty gwiazdkowe. Nie wiadomo dlaczego, ale zawsze w ostatniej chwili okazywało się, że jakiegoś brakuje. Próbowала nie dopuścić do siebie myśli o bezsensowności tradycji wręczania paczuszek, bilecików, przyrządzania świątecznych posiłków.

Kiedy Marco przyjechał do agencji - była dopiero za dwadzieścia ósma - zauważył ze zdziwieniem, że Margherita Ollian jest już w pracy.

Zatrudniła się w dzień po rozmowie telefonicznej i wbrew przewidywaniom okazała się nie tylko zdolną, ale skrupulatną i punktualną dziewczyną.

- Nie przychodź za wcześnie.

To paskudne przyzwyczajenie - zażartował.

- Chcesz mieć do tego wyłączne prawo? Wykluczone. Obiecuję jednak, że nie będę pokazywać ci się na oczy przed wpół do dziesiątej. Zamknę się w moim pokoiku z projektem makiety tego cholernego proszku.

- Pierwsze kłopoty, co? - spytał Marco z satysfakcją w głosie.

- Jedyne kłopot to dyrektor działu marketingu „Cartlandu”. Obiecał, że przyśle mi wszystkie informacje, o które go prosiłam, ale dotąd się nie odezwał. Bez tych danych nie wiem, co robić. Porozmawiamy o tym za dwie godziny, teraz znikam.

O wpół do dziesiątej do gabinetu Marca wszedł nie zapowiedziany księgowy Vianello i zajął mu czas aż do południa; kampania reklamowa džinsów „Dallas” groziła przekroczeniem budżetu. Genialny amerykański reżyser, narzucony przez firmę, okazał się osobą zupełnie nieodpowiedzialną: zażądał wyjazdu do Kenii z sześciuosobową ekipą po to tylko, by do trzydziestosekundowego filmu reklamowego włączyć trwającą osiem sekund sekwencję.

- To jeszcze nie wszystko - dodał Vianello. - Nasz mały geniusz żąda, żeby modelka nosiła pod džinsami bieliznę z czystego jedwabiu i miała na sobie biżuterię od Bulgariego.

Marco obiecał, że zajmie się całą sprawą osobiście, i wprowadził wraz z księgowym zmiany w kosztorysie kampanii, dokonując drastycznych cięć, gdziekolwiek było to możliwe. O wpół do pierwszej zakomunikował Marghericie Ollian, że będzie mógł z nią porozmawiać nazajutrz, ale że już dzisiaj zadzwonił do „Cartlandu” z prośbą o jak najszybsze przysłanie niezbędnych danych. O trzynastej sekretarka przyniosła mu dwie kanapki z tuńczykiem i szklanekę mleka, następnie podpisał stertę listów, porobił notatki do preliminarza budżetowego kolejnej kampanii, przedyskutował go uprzednio z Vianellem.

O piętnastej był wreszcie wolny, mógł zejść do garażu. Jak na tę porę dnia, na ulicach panował bardzo duży ruch i kiedy dotarł na via Alberto Mario, Chiara z Venturą stali już przy bramie.

- Chciałbym, żeby zobaczył pan dom jeszcze przy dziennym świetle - powiedział Ventura, podając mu rękę. - Jego położenie i widok, który się stamtąd roztacza, będą mieć zasadnicze znaczenie przy finalizowaniu transakcji.

Pojechali samochodem Giorgia i na skutek coraz większych korków wydostali się na autostradę Mediolan_Wenecja dopiero o czwartej. Wyjątkowo nie była zatłoczona. Za dwadzieścia piąta dotarli do wylotu autostrady przy Roveto i ruszyli szosą w kierunku Iseo. Posiadłość wystawiona na sprzedaż położona była niedaleko miasteczka Sulzano. Gdy przybyli na miejsce, zaczynało się już ściemniać. W mieszaninie światła i mroku ujrzeli wiejski dwupiętrowy dom ze ścianami z kamienia, dachem pokrytym dachówką i z drewnianymi okiennicami pomalowanymi na niebiesko. Wyglądał jak zawieszony na stoku pośród starych oliwnych i cytrynowych drzew. Poniżej widać było taflę jeziora i połyskujące światła Montisoli wznoszące się aż do nieba.

- Szkoda, że nie mógł pan obejrzeć tego wszystkiego za dnia - powiedział Ventura do Marca, otwierając bramę.

Chiara zdawała się go nie słyszeć. Była tu przecież przed zapadnięciem zmroku, ale to, co wtedy zobaczyła, nie mogło równać się z tym, co widziała i czego doznawała teraz.

Odetchnęła z ulgą: czuła, że dotarła do miejsca, gdzie nic złego nie może jej już spotkać. Ten dom miał w sobie spokój minionych czasów i nawet noc nie była w stanie przyćmić błękitu okiennic, żółci cytryn, kojącej jasności ścian.

- To rzeczywiście piękne miejsce - stwierdził Marco.

Ventura wprowadził ich do środka i zapalił światło. Wnuk przemysłowca, utracjusz, wywiózł wszystkie meble, mimo to dom nie wyglądał jak opuszczony; wrażenie przytulności pozostało. Na parterze znajdował się wielki salon, kuchnia i łazienka. Na pierwszym piętrze dwie sypialnie i jeszcze jedna łazienka. - Zmarły właściciel odrestaurował willę dwa lata temu - wyjaśnił Ventura. - Nie trzeba przeprowadzać żadnych remontów, wystarczy tylko pomalować ściany.

Chiara zaśmiała się: - Trzeba przyznać, że miał dobry gust. Cieszę się, że nie dał się zauroczyć stylowi pseudorustykalnemu.

- Ten dom został zbudowany w końcu dziewiętnastego wieku i z wyjątkiem łazienek zachował dawny charakter i konstrukcję. Dwieście milionów lirów - Ventura zwrócił się do Marca - to prawdziwa okazja.

- To prawda - odparł Marco. - Jak ma wyglądać rozliczenie?

- Pięćdziesiąt milionów

zadatku, a reszta w momencie kupna. Transakcję trzeba przeprowadzić najpóźniej za dwa tygodnie. To warunek postawiony przez spadkobiercę, któremu najwyraźniej upływa jakiś pilny termin.

- W porządku - stwierdził Marco. - A ty co o tym sądzisz, Chiaro?

- To na pewno dobra lokata kapitału, ale nie wiem, czy właśnie teraz...

- Nie myślałem o pieniądzach - przerwał jej Marco. - Pytałem, czy podoba ci się dom, czy nie jest zbyt oddalony od miasteczka i czy masz ochotę spędzać tu oprócz weekendów miesiąc wakacji.

- To jest przepiękne miejsce i... i mogłabym tu mieszkać przez cały rok!

- Poza tym - wtrącił się

Ventura - stąd do Mediolanu jedzie się najwyżej półtorej godziny. Naprawdę chciałbym, żebyście to wy kupili ten dom.

- Mam nadzieję, że tak się właśnie stanie. Czy mogę dać panu ostateczną odpowiedź za cztery dni, to znaczy dwudziestego siódmego grudnia? - zapytał Marco. - Można by od razu umówić się z notariuszem.

- Chyba nie będzie za późno, tym bardziej że dom został przekazany do sprzedaży zaledwie tydzień temu i zamierzałem zająć się tym dopiero po świętach - odpowiedział Ventura. - Jeśli chce pan obejrzeć go jeszcze raz w spokoju, to mogę w drodze wyjątku zostawić panu klucze.

- Nie trzeba, już obejrzałem wszystko, co było do obejrzenia, a żona najwyraźniej jest zachwycona.

Chiara istotnie wygląda na zachwyconą, zauważył Marco. Na jej twarzy maluje się podekscytowanie, a oczy błyszczą jak za dawnych, szczęśliwych lat. Nie mam już żadnych wątpliwości: na pewno kupię ten dom.

Teraz należało znaleźć jedynie jakieś biuro notarialne, co w okresie świątecznym nie było rzeczą łatwą.

Tylko dzięki staraniom wnuka poprzedniego właściciela posesji, który chciał jak najszybciej podjąć spadek, udało im się umówić na spotkanie z notariuszem z Brescii, siódmego stycznia w godzinach popołudniowych. Dokumenty zostały już wcześniej dostarczone i na sporządzenie aktu sprzedaży wystarczyła niecała godzina.

Marco uparł się, by zapisać dom na Chiare, głuchy na jej protesty, i kiedy wszystko dobiegło końca, a oni szli już w stronę parkingu, zaproponował: - Zanim wrócimy do Mediolanu, rzućmy jeszcze okiem na naszą nową posiadłość. Co ty na to

- O niczym innym nie marzę! - odpowiedziała rozradowana.

Tym razem było jeszcze jasno i Iseo przywitało ich łagodnym widokiem wzgórz. Zatrzymali się w barze na kawę, Chiare urzekły wąskie uliczki miasteczka, podcienia, eleganckie, zadbane domy. Najbardziej jednak była oczarowana swoim własnym; raz jeszcze stwierdziła, że jest solidny i uroczy. Słońce i wiatr, śnieg i deszcz niemal przez wiek nie zdołały go zniszczyć i Chiarze wydał się symbolem siły, pogodnej nieugiętości.

- Wpadłam w romantyczny i dekadentcki nastrój - zażartowała spostrzegłszy, że Marco bacznie się jej przygląda.

- Przykro mi, że muszę

przywołać cię do rzeczywistości, ale trzeba będzie pomyśleć o pomalowaniu i urządzeniu domu.

- Zostały nam jeszcze jakieś pieniądze? - zapytała znowu żartem, lecz z zatroskanym wyrazem twarzy.

- Prawdę mówiąc, tylko kredyt w banku - zaśmiał się Marco, otwierając drzwi wejściowe. - Nie patrz tak - dodał. - Pod koniec roku zamierzam spłacić całą sumę.

- Zachowałam się lekkomyślnie, namawiając cię na taki wydatek.

- Nie rób sobie wyrzutów. Poza wszystkim uważam, że zrobiliśmy naprawdę świetny interes: popatrz na te piękne okna albo na kominek...

Chiara usiadła na kamieniu szerokim jak fotel.

- Nie wiem, czy mi się uda - stwierdziła - znaleźć odpowiednie meble. Chciałabym, żeby wewnątrz było wygodne i niewyszukane. Jednym słowem, urządzenie domu będzie sporo kosztować.

Marco usiadł obok żony i objął ją w pól.

- Mogłabyś współuczestniczyć w kosztach - oznajmił poważnym tonem.

- W jaki sposób?

- Pracując. W swoim własnym gabinecie i z własnymi pacjentami.

Chiara cofnęła się. - Nie, nie czuję się gotowa. Ani do tego, żeby pracować, ani żeby komukolwiek pomagać. Mam w głowie pustkę i zamęt.

- Będzie coraz gorzej, jeśli nic się nie zmieni. Już od dawna nie przypominasz dziewczyny, którą pokochałem, pełnej życia i energii.

- Tej dziewczyny już nie ma - odparła pospiesznie, nie bardzo wiedząc, czy słowa Marca wprowdziły ją w złość czy ulega panice. Żyła ostatnio w bezpiecznej kryjówce, a on chciał ją stamtąd wyciągnąć.

Próbowała się wyrwać, lecz Marco objął ją mocniej.

- Porozmawiamy o tym, gdy skończysz urządzać dom. Chiaro, chcę być znowu z tą energiczną dziewczyną, jaką kiedyś byłaś. Musisz jej pomóc. Musisz pomóc także i mnie.

- Tak cię unieszczęśliwiam? - zapytała. Złość zniknęła. W głosie został jedynie strach.

Marco ujął jej twarz w dłonie.

- Od dwóch tygodni, odkąd znów zobaczyłem w tobie przebliski radości i zapału... tęsknię niemal do bólu za tym, czym jeszcze niedawno byliśmy dla siebie. Co ja takiego zrobiłem, Chiaro?

- Proszę cię, nie oskarżaj się. Nie masz z tym nic wspólnego. - Ukryła twarz w jego marynarce. - Usiłuję sobie pomóc, ale to nie jest łatwe. To tak, jakby dano mi narkozę. Wszystko dociera do mnie przytłumione i niewyraźne, nie odczuwam ani bólu, ani radości. Jedynym silnym uczuciem jest miłość do ciebie. Nie zostawiaj mnie, proszę.

- Co ty wygadujesz? Nie mam skłonności samobójczych - zaśmiał się Marco.

- Nowe obowiązki dobrze mi zrobią. Czuję się jak dziesięć lat temu, kiedy zobaczyłam po raz pierwszy nasz dom przy via Alberto Mario...

Wrócili do Mediolanu o dziesiątej wieczorem. Żadne nie było głodne, od razu więc położyli się do łóżka. Chiara westchnęła cicho i skuliła się w ramionach Marca, oparła rękę o jego bok i przytuliła do niego, owładnięta błogim zmęczeniem. Ale gdy zauważyła, że jego członek twardnieje i że Marco zaczyna pieścić jej piersi, cofnęła się mimowolnie: - Wybacz, chce mi się spać.

Nie była jednak senna i świadomość, że Marco też nie może zasnąć, bardzo ją przynębiła. Jak długo będzie jeszcze mnie kochać? zastanawiała się po raz któryś z rzędu. Jak długo będę zimną egoistką? Niepokój nie opuścił jej nawet we śnie.

Otwierając oczy zobaczyła, że łóżko jest puste. Budzik wskazywał siódmą i Marco zdażył już pójść do łazienki. Wstała, żeby przygotować mu śniadanie. Kiedy wszedł do kuchni, miał taki sam wyraz twarzy jak zwykle: czuły i pogodny.

- Schudłem kilo - oznajmił, siadając przy stole. Zabrał się z apetytem za pierwszą grzanekę.

- Co zamierzasz dziś robić?

- Giovanna nie idzie dziś do biura i czeka na mój telefon. Pewnie spotkamy się na mieście.

- Aperitif i zakupy, niefrasośliwe życie, co? - zakpił sobie.

- A ty jakie masz plany.

- Proszki do prania, księgowość, rozmaite spotkania.

Jednym słowem, harówka.

Skończył śniadanie i wyszedł, ucałowawszy przed tym Chiarę w policzek.

Stajemy się starym, konwencjonalnym małżeństwem, pomyślała z lękiem. Jaka granica oddziela przyzwyczajenie od zwykłej rutyny? I gdzie się znaleźliśmy, Marco i ja?

Podeszła do telefonu i zadzwoniła do siostry.

- Cześć, skowronku -

przywitała ją Giovanna po dłuższej chwili. - Jesteś już na nogach o tej porze?

- Chciałam się upewnić, czy się spotkamy. Możemy się umówić w kawiarni Motta? Muszę z tobą pogadać - dodała pospiesznie.

Chwila ciszy.

- Czy coś się stało?i Ciekawe, dlaczego wszyscy, którzy z nią rozmawiają albo o niej myślą, oczekują na jakieś wydarzenie. Jaka niespodziankę może sprawić taka nudna istota?

- Będę gotowa na dziesiątą, dobrze?

Przyszła dziesięć minut po dziesiątej.

W pierwszej chwili Chiara nie poznała siostry. Puszyste blond włosy były teraz kruczoczarne i ściągnięte w kok.

- Co ty z sobą zrobiłaś? - spytała Chiara, jeszcze zanim się przywitały.

- Po prostu ufarbowałam włosy.

Rolando trochę przesadził z tą czernią - odrzekła Giovanna.

- Nie powiedziałabym. Moje włosy są tak samo czarne, a więc to nasz naturalny kolor.

- A gdzie jest napisane, że to co „naturalne” jest piękne? - odparła szybko Giovanna, dając znak kelnerowi, aby się zbliżył. Zamówiła cappucino z rogalikami.

- „Naturalny” to ulubiony przymiotnik ekologów i zielarzy, ale nie pasuje do mojej głowy. O czym chciałaś ze mną porozmawiać, Ala?

- Coś niedobrego dzieje się między mną a Markiem - powiedziała Chiara, nie mogąc ukryć zdziwienia, że od razu przeszła do sedna.

Giovanna przyjrzała się jej z obojętnym wyrazem twarzy.

- W jakim sensie?

- Za każdym razem, kiedy chcę obgadać z nim jakąś sprawę, pocałować go, coś mnie powstrzymuje. Nie wiem, czy to strach przed cierpieniem czy szczęściem, ale już się nie rozumiemy. Albo inaczej: to ja nie potrafię się z nim porozumieć.

- Twój problem, moja droga, polega na tym, że nie masz nic do roboty i gryziesz się przez cały dzień - brutalnie wyraziła swoją opinię Giovanna.

- Nie można powiedzieć, żebyś była miłą i wrażliwą powiernicą.

- Nie chcesz chyba, żeby

prawiono ci miłe słówka. Nie potrzebujesz tego.

- Coś takiego! A czego

potrzebuję twoim zdaniem, skoro wiesz wszystko?

- Weź się w garść i zacznij wreszcie coś robić. Jeśli mam być szczerą, uważam tę twoją bezczynność za coś nieprzyzwoitego. Jedyne twoje zajęcie to ty sama spędzasz czas na rozmyślaniach i analizowaniu swych stanów. Zachowujesz się jak mała dziewczynka, która rozpruwa lalkę, żeby zobaczyć, co jest w środku. To bardzo niebezpieczna zabawa, siostrzyczko. I bardzo głupia. Jeszcze ci się to nie znudziło?

- Mówisz jak psycholog - powiedziała Chiara przez zaciśnięte zęby.

- Z całym szacunkiem dla

twojego Freuda, sądzę, że osiemdziesiąt procent całej tej psychologii to po prostu zdrowy rozsądek, a do tego, żeby go mieć, nie trzeba dyplomu.

- Co więc powinnam zrobić według ciebie? - zapytała Chiara drwiącym, ale zarazem błagalnym głosem.

- Po prostu coś robić.

Cokolwiek - odparowała Giovanna.

- Mam zamiar zająć się

urządzeniem naszego domu nad Iseo - oznajmiła Chiara.

- To dobre na początek. Ale tylko na początek. Chyba że zamierzasz wyrzucić swój dyplom do kosza i zostać architektem wewnątrz - zażartowała Giovanna. Chiara poczuła, że jej wolność jest znów zagrożona; po Marcu również siostra zaczęła mówić o pracy. Nikt nie chciał dostrzec, jak wiele już dokonała, jakie postępy uczyniła po ucieczce z „Domu Spokoju”. Ani Giovanna, ani Marco nie rozumieli, jak chwiejna jest jeszcze równowaga, którą zdołała osiągnąć.

Zapagnęła nagle wstać i uciec od stolika, z kawiarni, z Mediolanu, od wszystkich. Ale dokąd? Dom nad Iseo wydał jej się w tej sytuacji i jedynym rozwiązaniem i jedynym bezpiecznym schronieniem.

Budzik zadzwonił o szóstej i Marco, wyrwany ze snu, wyciągnął rękę, zastanawiając się, dlaczego nastawił go na tak wczesną godzinę. Ale zaraz sobie przypomniał, że czeka go wyjątkowo ciężki dzień. Dział marketingu „Cartlandu” wprowadził znaczne poprawki do projektu kampanii reklamowej proszku „River” przygotowanej przez Margheritę Ollian i choć Marco częściowo się z nimi zgadzał, musiał przekonać dziewczynę, by przeanalizowała swoje opracowanie jeszcze raz i skorzystała z pomocy bardziej doświadczonych pracowników. Wezwał ją do swego gabinetu na dziewiątą, ale przedtem chciał jeszcze przejrzeć uwagi i kontrpropozycje „Cartlandu”, a także stos papierów, które Margherita zostawiła mu na biurku: był to memoriał w obronie jej pomysłów, które nie trafiły klientowi do przekonania.

Myśl o problemach, którymi będzie musiał się zająć, sprawiła, że wstał w złym humorze. Nastrój nie poprawił mu się nawet wtedy, kiedy umyty już i ogolony poszedł do kuchni, żeby przygotować sobie śniadanie. Brakowało chleba na grzanki, ekspres do kawy przypalił się, zapomniał także powiedzieć Angelice, żeby kupiła pomarańcze. Chiara rozpieściła go jak dziecko i teraz był bezradny niczym inwalida. Gdzie się podział czajnik? Klnąc wziął pierwszy z brzegu garnek, nalał wody i postawił na gazie.

Prawie dwa miesiące temu Chiara przeniosła się nad Iseo.

Okazało się, że dom, ponoć w doskonałym stanie, który

„wystarczyło tylko pomalować”,

wymagał wiele pracy. Po

malarzach potrzebny był

hydraulik, potem murarz,

wreszcie cieśla. Chiara chciała mieć w kuchni wmurowane w ścianę szafki oraz kafelkowe blaty, zamieniła również na garderobę mały pokój za sypialnią. Ostatnio zatrudniła blacharza, żeby obił blachą drzwi i wzmocnił ramy okien. Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze wymyśli, żeby zostać w tej pustelni.

Marco zawstydzził się swojej małostkowości: tęsknił za żoną, to wszystko. Ale czy tak było rzeczywiście? Czy jego złość nie wynikała z niedopuszczanej do świadomości myśli, że zaczyna się przyzwyczajać do nieobecności Chiary? Że po powrocie do domu odczuwa ulgę, iż nie będzie musiał toczyć pełnych niedomówień rozmów, przerywanych kłopotliwą ciszą, gdyż do tego sprowadzało się ostatnio ich wspólne życie?

Krótkotrwałe złudzenie, że coś zmieniło się na lepsze, pierzchnęło, kiedy odważył się przyprzeć Chiarę do muru, próbując ją zachęcić do podjęcia pracy. Zamknęła się znów w swoim świecie niedostępnym dla innych. A dwudziestego stycznia wyjechała nad Iseo. Spotykali się jedynie w weekendy, z których wracał do Mediolanu z wrażeniem, że znów dokonał na niej moralnego gwałtu, wyczerpany walką z jej smutkiem i milczeniem. Czuł się nieszczęśliwy i bezradny: nic nie mógł dla niej zrobić. Kiedy zaś zwrócił się do szwagierki z prośbą o radę, Giovanna wycedziła przez zęby: „Trzeba było zostawić ją w „Domu Spokoju”. Chiara straciła wszelki kontakt z rzeczywistością. Jest zagubiona. Tylko odpowiednia kuracja mogła jej pomóc. Samemu można się najwyżej wyleczyć z przeziębienia.”

Woda w garnuszku wygotowała się i Marco napełnił go ponownie. Nagle jednak zmienił zdanie; do diabła z herbatą, do diabła ze śniadaniem.

Zjawił się w biurze o siódmej piętnaście i zabrał od razu do pracy. Przeczytawszy dokumentację „Cartlandu”, był już nie tylko w złym humorze, ale również zmartwiony: dział marketingu pozornie krytykował szczegóły, praktycznie zaś kwestionował całą kampanię reklamową.

O ósmej trzydzieści Marco odłożył papiery i poszedł wypić kawę z automatu. Na korytarzu natknął się na Margheritę Ollian.

- Dotrzymasz mi towarzystwa? - zapytał niezbyt uprzejmie.
- Chętnie.

Automat był jeszcze nie rozgrzany, kawa miała gorzkawy smak i zalatywało od niej chlorem. Kiedy wyrzucali kartonowe kubki do kosza, spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem: mieli na twarzy ten sam wyraz obrzydzenia.

- Zobaczymy się za pół godziny
- powiedział. - Dopiero co i przeczytałem raport „Cartlandu”, zamierzam teraz przejrzeć twoje notatki.
- Jeśli chcesz, mogę przyjść do twego gabinetu i sama ci wszystko wyjaśnić.
- To chyba dobry pomysł.

Marco wprowadził Margheritę do pokoju, wskazał fotel naprzeciwko biurka i zajął miejsce obok niej.

- Zaczynam ja czy ty? - spytał.
- Dobrze wiem, co masz mi do powiedzenia. Lepiej więc przejdźmy od razu do istoty sprawy. Zdaniem tych panów moje pomysły na rozreklamowanie proszku do prania są zbyt wyrefinowane jak na produkt tak powszechnego użytku. Jednym słowem, one nie przekonają gospodyń domowych. Ci faceci bardzo się jednak mylą.
- Czy to przypadkiem nie ty mówiłaś, że w krytyce naszej działalności zawsze jest coś z prawdy? - sprowokował ją Marco.

- Każda reguła ma wyjątki. Ale po kolei. Po pierwsze „Cartland” postanowił zerwać z tradycyjnymi metodami pozyskiwania klientów: żadnych konkursów, prezentów, sponsorowania przez telewizję. Przybywa z Ameryki proszek do prania, który sam się sprzedaje. Nic tu nie trzeba dodawać, bo jest po prostu wyjątkowy.

- A więc?
- A więc trzeba przewyciężyć stereotyp myślenia: rynek jest nasycony, a decyzje gospodyń o nabyciu takiego czy innego artykułu są uzależnione od rozmaitych gadżetów. Kiedy kupują proszek, spodziewają się od razu, że dostaną również budzik, kalkulator albo serwetę. Potem na producenta sypływa deszcz zamówień i miliardy lirów zysku. Zauważyłaś, że nikt nie mówi już o bieli ekstra, super, wyjątkowej? Samo pranie stało się czymś oczywistym; od proszku oczekuje się teraz, że pozwoli nam marzyć...

- Zgoda, mów dalej.
- To był mój punkt wyjścia do kampanii reklamowej „Rivera”. Teraz trzeba znaleźć coś, co zastąpi marzenia o ewentualnych prezentach. Moim zdaniem tym czymś może być symbol społecznego statusu kobiety. Oto otrzymujemy wyprodukowany w Ameryce proszek dla elity, który pozwoli odróżnić Panią Gospodynię Domową od przeciętnej gospodyni.

- Do tego momentu „Cartland” się zgadza. Podoba im się takie rozumowanie.
- Tak, ale potrzebne jest hasło, które przemówi do wyobraźni. Trzeba też stworzyć odpowiednią ilustrację reklamową. Dlatego zastąpiłam zaniedbaną i naiwną kobietę wyedukowaną damą, która nie potrzebuje sprytnych przyjaciółek ani superkrytycznych teściowych, żeby wybrać właściwy produkt. Kobieta, która kupuje proszek „Cartlandu”, jest niezależna, zdecydowana, śmiała. Ubiera się elegancko i mieszka w pięknym domu. „River” stanowi część tła, przenosi ją do świata doskonałości, gdzie nie ma brudnych sanitariatów, mężów w poplamionych koszulach ani rozbrykanych dzieci, które wylewają sok na obrusy i fartuszki.

- I w tym punkcie - przerwał jej znowu Marco - „Cartland” się zgadza. Pomysł jest dobry, ale wizerunek nieco onieśmielający.

Zbyt wyszukany, mało przekonujący.

- A pokryte brudem wanny i zabłocone podłogi pokazywane w filmach reklamowych? Otumanione gospodynie domowe wierzą w to, co widzą. W niejasnym poczuciu winy utożsamiają się z zaniedbanymi kobietami.

Dlaczego nie miałyby utożsamiać się z elegancką i inteligentną klientką? Przecież identyfikują się z modelkami z okładek ilustrowanych magazynów albo z wampami, które oblane jakimś gatunkiem perfum, podbijają serca mężczyzn w Paryżu i na całym świecie. „River” musi odnieść sukces, bo to, co ze sobą niesie, jest optymistyczne i uspokajające.

- A co z podkładem muzycznym?

Margherita skrzywiła się: - Wybrałam łatwo wpadający w ucho fragment z Mozarta. Uważam, że bardziej się nada niż chórki czy nawet przeróbka „Old man river”, śpiewana przez jakiegoś nieznanego wykonawcę małpującego Sinatra, jak zaproponował „Cartland”. Nasz niezwykły proszek nie może być zestawiony z czymś banalnym ani powszechnie znanym. Jestem tego pewna. Jeśli nie zdołasz przekonać facetów z „Cartlandu”, zrezygnuję. A może ty też masz jakieś zastrzeżenia?

- zapytała na koniec, patrząc wyzywająco na niego. Marco zauważył po raz pierwszy, że Margherita Ollian ma zielone oczy.

- Kłopot polega na tym -

zaśmiał się - że już ich nie mam. Zgadza się ze wszystkim, co powiedziałaś.

- No to w czym problem?

- Mam niejasne przeczucie, że marketing „Cartlandu” nie jest w stanie docenić twojego pomysłu. Obawiam się, że za dwa dni, kiedy ci panowie pojawią się w agencji, pewni, że czeka na nich alternatywna propozycja, będą bardzo rozczarowani, bo niczego takiego nie otrzymają.

- Czy to znaczy, że będziesz mnie bronił ze wszystkich sił?

- Tak jest, moja droga.

Wstał i uśmiechnął się: - Wykonałaś świetną robotę, dziękuję ci. Za tydzień będziesz musiała pomóc swoim kolegom: mają trochę kłopotów z kremami do opalania i...

Margherita spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie lubię się wtrącać do cudzej pracy, szczególnie kiedy jest już rozpoczęta. Nie masz jakiegoś herbatnika albo tropikalnego owocu tylko dla mnie?

Marco zerknął na zegarek.

- Margherito, pracujemy

wszyscy razem i musisz nauczyć się współdziałać z innymi. „River” to była wyjątkowa sytuacja.

Dziewczyna podniosła się w końcu z fotela ze zrezygnowaną miną i powiedziała: - Okay, szefie, spróbuję się przystosować.

Gdy Marco został sam,

zadzwoił do szefa biura

marketingu i spytał, czy może do niego wpaść. Zwykle to on przyjmował klientów w agencji, ale doświadczenie nauczyło go, że w najtrudniejszych chwilach lepiej samemu się pofatygować; to była świetna taktyka. Na swoim terenie rozmówca był lepiej usposobiony do sprawy, bardziej swobodny, serdeczny, mniej podejrzliwy.

Rzeczywiście, szef działu marketingu „Cartlandu” okazał się mile zdziwiony prośbą Marca. Umówili się na trzecią tego samego dnia. Skończywszy rozmowę przez telefon, poszedł do pokoju Margherity Ollian.

- Trzymaj za mnie kciuki - powiedział - bo dzisiaj wszystko się zadecyduje.

Gdy opuścił biuro „Cartlandu” na piazza Repubblica, dochodziła ósma. Nie był głodny ani nie miał ochoty na spędzenie samotnego wieczoru w domu z książką albo telewizją, tym bardziej że musiał nadrobić mnóstwo zaległości. Kiedy zapalał silnik samochodu, wpadł na pomysł, by wrócić jeszcze na chwilę do agencji.

Poczuł się niemile zaskoczony na widok sprzątaczk, którą zastał w swoim gabinecie, ale ona zaraz go uspokoiła: - Już skończyłam, proszę pana - zakomunikowała lakonicznie, machnąwszy ostatni raz ścierką od kurzu. Wyszła po cichu i Marco ułożył sobie miniplan pracy na wieczór: miał zacząć od przejrzenia albumu ze zdjęciami modelek i wybrać jedną do reklamowania kremu

przeciwzmarszczkowego „Antigua”. Potrzebna była specjalna twarz, olśniewająco piękna, bez określonego wieku, wyniosła, a zarazem pełna ciepła.

W miarę przeglądania zdjęć ogarniało go zniechęcenie. Może dlatego, że był przygnębiony, natrafiał jedynie na twarze odpychające, pozbawione wyrazu, nienaturalne. W jakimś momencie przypomniał sobie, że nic nie jadł w południe ani nie zadzwonił do żony. Chiara zamieszkała w małym, przytulnym pensjonacie położonym w niewielkiej odległości od ich nowego domu. Codziennie o ósmej do niej telefonował.

Jest już wpół do dziewiątej, stwierdził. Może Chiara próbowała się z nim skontaktować i niepokoiła się, że go nie ma? Zrezygnował zarówno z telefonowania, jak i dalszych poszukiwań modelki. Musiał napić się kawy, wstał więc i skierował się w stronę automatu.

Kiedy przechodził koło pokoju Margherity Ollian, zobaczył zapalone światło i odruchowo nacisnął wyłącznik. Taki nawyk wyrobiła w nim w dzieciństwie matka.

- Hej tam! Proszę zapalić!

Na dźwięk głosu Margherity Marco drgnął. Zajrzał do środka:

- Co tu robisz?

- Przepraszam, nie wiedziałam, że to ty. Przeglądam mój projekt, może jednak „Cartland” nie popełni błędu w jego ocenie.

Marco zaśmiał się:

- Może nie, ale udało mi się ich przekonać, że mamy rację.

Margherita przyjrzała mu się z niedowierzaniem.

- Jak to? Udało się?

- Tak jest. Marketing zgadza się na kampanię reklamową, zbyt ryzykowną, a jednocześnie genialną. To słowa szefa.

Margherita zerwała się z miejsca i uściskała go.

- Mówisz to tak po prostu? To najszczęśliwsza chwila w moim życiu!

Objęła go i zaczęła nim obracać w jakimś szalonym tańcu. Marca rozbawił bardzo jej entuzjazm.

- Możemy wznieść toast pyszną kawą z automatu - zaproponował żartobliwym tonem. Margherita spojrzała na niego niemal obrażona.

- Kawą z automatu? To okazja, którą trzeba uczcić prawdziwym szampanem. Żądam, żebyś natychmiast zabrał mnie do jakiegoś luksusowego lokalu.

- Czy jadłaś już kolację? - zapytał mimo woli Marco. I zanim zdążył tego pożałować, dodał: - Moglibyśmy pójść gdzieś razem.

Margherita westchnęła z ulgą.

- Wreszcie jakiś dobry pomysł, zaczynałam już podejrzewać, że geniusz Marca Zambiasiego to tylko mit..

- Czy masz ochotę na coś konkretnego?

- Na rybę, mam ochotę na zupę rybną. Może pójdziemy do Riccione?

- Doskonale, zgadzam się na wszystko, tylko nie traćmy już czasu.

**Nagle poczuł się bardzo
głodny.**

Dopiero dwie i pół godziny później, wychodząc z restauracji, Marco pomyślał po raz drugi, że nie zadzwonił w tym dniu do Chiary. Nie pozwolił sobie jednak na wyrzuty sumienia: spędził uroczy i wesoły wieczór, po raz pierwszy od wielu miesięcy był odprężony i swobodny. Wracając do domu po odwiedzeniu Margherity, zauważył ze zdziwieniem, że podśpiewuje. To prawda, był trochę wstawiony.

Kiedy kładł się do łóżka, przyszło mu do głowy, że najprawdopodobniej żona wcale nie przejęła się brakiem telefonu.

Chciał od razu zasnąć, lecz mu się to nie udawało. Błogostan, w który zapadł, stopniowo znikał, zastępował go niewyraźny niepokój i lęk. Chiara musi wrócić do Mediolanu; ciąży mi samotność. Powinniśmy porozmawiać, zacząć wszystko od początku. Przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie w domu cioci Egle. Chiara miała na sobie spodnie w dużą szkocką kratę i obszerny czerwony sweter. Od razu zwrócił uwagę na jej pełen wdzięku sposób poruszania się i piękny profil. Żywe roześmiane oczy i masa czarnych loków na głowie sprawiały, że nie wyglądała jak bezduszna lalka.

Wystarczył mu kwadrans, żeby zrozumieć, że ta niewysoka dziewczyna ma żelazny charakter, jest twarda i zdecydowana. Nie mogąc zasnąć, przypomniał sobie teraz wspólnie spędzoną noc. Było to w Wenecji, po dniu, w którym oglądali placyki i mostki, a Chiara wszystkim się zachwycała. „Gdybym tu przyjeżdżała przez trzydzieści lat, zawsze znalazłabym coś nowego”, powiedziała z pełnymi ustami. Objadała się smakołykami za każdym razem, kiedy coś jej się podobało lub budziło zachwyt: mogła to być książka, jakiś piękny widok albo film.

Wyciągała zaraz cukierka lub chipsy i zaczynała chrupać. „Potrzebuję całkowitego, niemal fizycznego kontaktu z tym wszystkim, co mnie fascynuje”, wyjaśniła Marcowi podczas jednego z pierwszych spotkań. Szli w stronę piazzale Roma, oczywiście na piechotę, żeby zabrać samochód z parkingu, Chiara zatrzymała się i chwyciła go za ramię:

- Spójrz, jaki piękny balkon.

Balkon znajdował się na pierwszym piętrze małego pensjonatu z obdrapanymi

drewnianymi drzwiami, przed którymi stała latarnia. Objął ją w serdecznym odruchu: - Chiaro, zatrzymajmy się tu na noc, pragnę cię jak wariat..

- Ja też cię pragnę -

odpowiedziała, zanim zdążył się przerazić swą zuchwałością. Żuła gumę i patrzyła na niego z uwielbieniem.

Była oczywiście dziewicą, pełną zahamowań i wstydliwą. Wziąłem ją czując, że ogarnia mnie ogromna tkliwość, wspominał dalej Marco, do głębi wzruszony.

- Żałujesz tego, co zrobiłaś?

- zapytał ją później. Wysunęła się z jego ramion i wstała z łóżka z pochmurną miną.

- Jestem niewyobrażalnie

szczęśliwa - odpowiedziała uroczystym tonem, przytulając się do niego. Kiedy pochylił się, by ją pocałować, zauważył, że ssie cukierek.

- Ostatni raz - uśmiechnęła się.

Chiara musi wrócić do

Mediolanu, pomyślał Marco po raz trzeci, usiłując uwolnić się od rozważań o przeszłości.

Wspomnienia wywołały w nim tak dojmującą tęsknotę, że przypominała prawie trudny do zniesienia ból. Udało mu się zasnąć dopiero o trzeciej nad ranem, lecz spał płytko i niespokojnie.

Obudził się o siódmej i nie zważając na wczesną porę, zadzwonił do Chiary.

- Marco, czy coś się stało? - usłyszał po dłuższej chwili jej zaspany głos.

- Nic. Wczoraj wieczorem

miałem zebranie - skłamał

zaskoczony, że tak łatwo mu

poszło - i nie mogłem do ciebie

zatelefonować. Tęsknię za tobą -

dodał po krótkiej chwili

milczenia. Tym razem był

szczerzy.

- Ja też.
- To dlaczego nie zostawisz wszystkiego i nie przyjedziesz do Mediolanu?

Teraz ona zamilkła na moment.

- Zostawić wszystko? Nie rozumiem... o dziewiątej jestem umówiona z blacharzem. Razem idziemy do jego przyjaciela, handlarza starzyzną, który ma podobno przepiękną skrzynię. Wiesz chyba, ile potrzeba czasu, żeby urządzić dom.
- Tak, ale wydaje mi się, że nieco przesadzasz - powiedział.
- Czy coś się stało? - powtórzyła zaskoczona. - Czy jest jakiś szczególny powód, żebym natychmiast wróciła do Mediolanu?
- Czuję się po prostu samotny i tęsknię za tobą, czy to nie wystarczający powód?
- odparł oschłym tonem Marco. W trakcie rozmowy popadał w coraz większą irytację. Czy to możliwe, by Chiara tak bardzo oddaliła się od niego, że nie potrafi tego zrozumieć?

Po drugiej stronie linii rozległ się pełen zakłopotania śmiech.

- Pochlebia mi to - powiedziała - ale musisz mieć jeszcze trochę cierpliwości.
- Ile? Kiedy mogę się ciebie spodziewać?
- Cóż... nie wiem. Mniej więcej za dwa tygodnie. A poza tym dziś jest piątek i jutro zobaczymy się jak zwykle, chyba że nie zamierzasz mnie tu odwiedzić.
- Niestety, nie mogę - odparł szybko Marco. Postanowił, że nie pojedzie, w chwili kiedy wypowiedział to zdanie. Do diabła z Iseo i z tym cholernym domem. Jeśli Chiara chce go zobaczyć, niech przełamie swoje opory. Chłodnym, świadomie okrutnym tonem dodał:
- Nie wiem nawet, czy uda mi się do ciebie zadzwonić. Jadę do klienta, który przeniósł się na wieś i nie ma jeszcze telefonu.

Tym razem był bardziej rozbawiony niż zaskoczony zręcznością, z jaką udało mu się skłamać.

- Nie przejmuj się, nic mi nie trzeba - zapewniła go spokojnie Chiara. Słyszac to miał ochotę ją udusić.
- Jesteś tego pewna? - zapytał tonem pełnym podtekstów.

Teraz głos Chiary zabrzmiał stanowczo: - Całkowicie. W każdym razie nie potrzebuję niczego, co mógłbyś mi dać albo dla mnie zrobić. Muszę sama uporać się ze swymi problemami i tutaj przyjdzie mi to łatwiej.

Marco uświadomił sobie naraz, że jest bezduszny, i przestał się złościć.

- Znowu mnie wyklucasz - powiedział. - Jestem twoim mężem i kocham cię. Dlaczego nie pozwoliś sobie pomóc?
- Nie mam pojęcia. W pewnym sensie... boję się ciebie. Nie żądam, żebym ci wyjaśniła, dlaczego tak się dzieje. Wiem tylko, że gdybyś odszedł, byłabym zgubiona. Twoja miłość jest dla mnie najskuteczniejszą pomocą.
- Chcesz, żebym przyjechał dziś wieczór, zaraz?

Chiara roześmiała się.

- Nie ma potrzeby, rób, co zaplanowałaś. Trwonię tu majątek i będziesz musiał nieźle się napracować, żeby zapłacić wszystkie rachunki. Miłego weekendu, kochanie.

W sobotę w południe był jeszcze w agencji, roztargniony i zdenerwowany: po co został w Mediolanie pod pozorem zobaczenia się z klientem? Chciał zadzwonić

ponownie do Chiary i powiedzieć jej, że spotkanie okazało się nieaktualne, ale ona domyśliłaby się od razu, że był to pretekst albo poświęcenie z jego strony, i dręczyłyby ją skrupuły. Nie miał ochoty na obiad u rodziców, nie mógł też zatelefonować do Giovanny i teściowej, gdyż Chiara mogłaby się przypadkiem dowiedzieć, że został w mieście, zamiast pojechać na wieś do klienta bez telefonu.

Piętnaście po dwunastej postanowił wrócić do domu: zje kanapkę i wykorzysta wolne popołudnie na uporządkowanie książek i papierów, które nagromadziły się na biurku.

Włączył automatyczną sekretarkę, włożył płaszcz i zamknął drzwi od biura. Winda była zajęta i po kilku chwilach zatrzymała się na jego piętrze: wysiadła z niej Margherita Ollian. Spojrzeli na siebie jednakowo zaskoczeni.

- Zapomniałam wczoraj kluczy - odezwała się pierwsza tonem kogoś, kto musi się usprawiedliwić - i właśnie po nie wróciłam.

- A ja dopiero teraz skończyłem pracę i idę do domu - powiedział z kolei Marco. Otworzył biuro i uśmiechnął się:

- Zaczekam na ciebie.

Wróciła po kilku minutach.

- Kto nie ma w głowie, ten ma w nogach, jak powiada moja babcia.

Pomachała wesoło kluczami: - Wybieram się do Madesimo i stwierdziłam, że nie będę mogła dostać się do domu.

- Jedziesz na narty? - zapytał Marco, idąc za nią do windy.

- Tak, a ty dlaczego nie pojechałeś nad Iseo?

Machnął ręką.

- Mam dużo roboty i jestem trochę zmęczony.

Byli już na parterze. Marco otworzył drzwi i przepuścił Margheritę.

- Gdzie zaparkowałaś samochód?

- Naprzeciwko, w miejscu niedozwolonym.

Kiedy wyszli na ulicę, Marco zatrzymał się.

- Do widzenia, Margherito, baw się dobrze - powiedział po chwili.

- Dziękuję, miłego weekendu - odparła, podając mu rękę.

Stali dalej przez chwilę, jak gdyby nie zamierzali się rozstać.

- Zostajesz sam w Mediolanie?

- zapytała nieco zbyt swobodnym tonem.

- Tak, spróbuję jakoś sobie poradzić.

Zapadło milczenie. Nagle Margherita zaproponowała ze śmiechem:

- Do diabła z nartami! Jeśli nie wyda ci się to nieprzyzwoitą propozycją, mogę zostać, żeby dotrzymać ci towarzystwa.

- To raczej niefortunny pomysł

- zażartował Marco, czując nagle, że ogarnia go euforia.

- Jedź za mną - przerwała tę wymianę zdań Margherita. - Mam w lodówce befsztyki i gotowy sos, mogę szybko przygotować doskonały obiad.

Mieszkała na via Solferino na poddaszu przerobionym nielegalnie na mansardę.

Opowiedziała mu o tym, kiedy wchodzili na piechotę po schodach. Otwierając drzwi wejściowe, uprzedziła: - Uważaj, żeby nie uderzyć głową w rury od ciepłej wody, puszczono je po suficie.

Było to maleńkie mieszkanko, nie więcej niż

dwudziestopięciometrowe, ale

dobry gust i fantazja Margherity

dokonały w nim prawdziwych

cudów. W kącie stała nowoczesna kanapa przykryta turkusową narzutą, która stanowiła wesołą, barwną plamę. Umeblowanie składało się ze starego kredensu, wyglądającego na prawdziwy antyk, stołu z klasztornej refektarza,

nowoczesnych regałów. Dwa dywaniki, lampy, drobne przedmioty, rozrzucone z pozorną niedbałością, nadawały wnętrzu przytulny wygląd.

- Za tę klitkę muszę płacić sześćset tysięcy miesięcznie - oznajmiła Margherita.
- Na nic innego nie było mnie stać, ale mam tu wszystko, co trzeba.

Przez rozsuwane drzwi wchodziło się do pomalowanej na czerwono kuchni. Mała łazienka znajdowała się na prawo od drzwi wejściowych.

Gdy Marco usiadł na kanapie, zauważył małe okienka w dachu i doniczki z terakoty z kwiatami i opadającym bluszczem.

- Bardzo tu przytulnie. Widać kobiecą rękę - powiedział z uznaniem, kiedy Margherita wróciła z kuchni.

- W gruncie rzeczy świetnie się bawiłam. Urządzanie domu to najbardziej pasjonujące hobby.

- Moja żona też tak uważa.

Urządza właśnie nasz nowy dom nad Iseo i wcale jej się nie spieszy, żeby skończyć.

- W agencji mówią, że to piękna i inteligentna kobieta.

Marco przytaknął.

- Przeszła ciężkie załamanie nerwowe i dopiero teraz zaczyna z tego wychodzić - dodał i pożałował zaraz tych pochopnych zwierzeń.

Margherita pewnie się domyśliła, w czym rzecz, bo nie podjęła tematu.

- Chyba gotuje się woda, wrzucę makaron i rozgrzeję ruszt, żeby usmażyć befsztyki.

Zjawiła się po pięciu minutach.

- Zaraz jedzenie będzie

gotowe. Mógłbyś wyjąć z szuflady obrus i nakryć do stołu? Talerze i sztucce są w kredensie.

Na widok zaskoczony miny Marca wybuchnęła śmiechem.

- Czyżbyś był typowym

mężczyzną? Coś mi się wydaje, że nigdy nie nakrywałeś do stołu.

- Nie mylisz się - przyznał. - Ale przecież kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Przy obiedzie wyjaśnił: - Chiara zawsze była zdania, że równość partnerów nie polega na pełnieniu jednakowych ról. Uważa, że zmuszanie mężczyzny do zmywania naczyń jest przejawem... dyskryminacji.

Margherita nic nie

odpowiedziała. Zapytała

natomiast: - Gdzie pracuje twoja żona?

- Skończyła psychologię, ale nie wykonuje swojego zawodu. Rok temu straciliśmy dziecko i...

- To bardzo przykre, rozumiem.

Ile miało lat? - zapytała współczującym tonem.

- Jeszcze się nie urodziło.

Chiara poroniła w piątym miesiącu.

Margherita spojrzała na niego zdziwiona: - I to był powód załamania nerwowego? Poronienie to nie tragedia.

- Dla niej, tak. Jesteśmy małżeństwem od dziewięciu lat i nie mamy dzieci. Ale ty może nie jesteś w stanie tego zrozumieć...

Wzruszyła ramionami.

- Nie, ponieważ nie mam

powołania do macierzyństwa i nie zamierzam mieć dzieci.

- A do czego masz powołanie? - zainteresował się Marco, zadowolony, że może zmienić temat.

- Do tego, by żyć własnym życiem. Podróżować, poznawać, tworzyć, doświadczać... Czas, jakim dysponujemy, jest zbyt krótki, by poświęcać go innym.

- A więc wyklucasz miłość, życie we dwoje? - Marco wydawał się zgorzchny.

- Przeciwnie! Miłość to

najwspanialsza rzecz pod słońcem! Zjesz coś jeszcze?

- Dziękuję, nie. Twoje porcje są naprawdę gigantyczne.

- Chcesz kawy albo czegoś innego?

- Tak, proszę o kawę.

Margherita wstała.

- Czy potrafisz chociaż - spytała ze śmiechem - nastawić stereo? Ja tymczasem sprzątnę ze stołu i przygotuję kawę. Płyty są na półce.

- Jaką muzykę lubisz?

- Mozarta.

- To tak jak moja żona. Był taki okres na początku naszego małżeństwa, kiedy sonata K466 była tłem muzycznym naszego życia.

- W takim razie nie chcę

Mozarta - zaprotestowała. - Nieznoszę nostalgicznego nastroju.

Gdy wróciła z kawą, zapytał: - Odpowiada ci bossa nova? Na wszelki wypadek wybrałem coś z muzyki lekkiej.

- Świetnie.

Marco wypił kawę i spojrzał na zegarek. Było wpół do czwartej.

- Spieszysz się?

- Nie chciałbym zmarnować ci popołudnia, skoro przeze mnie nie pojechałaś na weekend.

Margherita usadowiła się na kanapie i odchyliła głowę.

- Zmarnowałbyś mi je, gdybyś sobie poszedł - powiedziała, przyrykując oczy. - Wiesz dobrze, że zostałam w Mediolanie dla ciebie.

Marco zmieszał się jak sztabak.

- Jestem nudnym facetem i..

- Jesteś nadzwyczajny -

przerwała mu spokojnie, nie otwierając oczu.

- Pochlebiasz mi...

- Nie bądź taki sztywny i spięty. Rozluźnij się.

Wyciągnęła rękę i popchnęła go lekko.

Marco zerwał się gwałtownie.

Czuł się jak skończony kretyn.

- Muszę iść, Margherito.

Ona również wstała.

- Boisz się mnie? Dlaczego?

Marco postanowił na nią spojrzeć i zobaczył, że w jej oczach nie ma prowokacji ani ironii.

- Bo mam zbyt dużo kłopotów, żeby dodawać do nich jeszcze jeden - powiedział poważnie.
- Rozumiem, szkoda.

Wydała się nagle bezbronna i jakby przygnębiona.

Marco wyciągnął ramiona i przytulił ją z uczuciem szczęścia, które go oszołomiło.

Powoli, ostrożnie ujął jej twarz i pocałował w usta. Margherita przywarła do niego całym ciałem. Doznał upajającego wrażenia utraty rzeczywistości...

Margherita pierwsza wyswobodziła się z jego ramion.

- Marco, teraz już chyba naprawdę powinieneś iść.

X

W poniedziałek rano, o dziesiątej, odbyło się zebranie całego zespołu. Laboratorium przysłało taśmę wideo z ostateczną wersją filmu

reklamowego firmy „Dupont” i jak zwykle przed spotkaniem z klientem Marco chciał omówić szczegóły ze swoimi współpracownikami; zdarzały się często drobne poprawki: trzeba było wyciąć jakąś dłuższą albo grymas modelki, by film był bez zarzutu.

Marco wszedł do sali zebrania podniecony, a zarazem zakłopotany myślą o spotkaniu Margherity. Ale dziewczyna przyszła wraz z pierwszą grupą kolegów i przywitała się z nim w sposób całkiem naturalny, jak co rano, zupełnie jakby zapomniała, co między nimi zaszło. Usiadła na swoim miejscu po jego lewej stronie i w skupieniu obejrzała film. Potem zrobiła kilka uwag, z którymi zgodzili się pozostali. Zauważywszy, że Marco szuka szklanki, podała mu ją wraz z wodą mineralną i uśmiechnęła się mile.

Zebranie skończyło się przed pierwszą i obawa, że w przerwie obiadowej Margherita może zajrzeć do jego gabinetu, okazała się bezpodstawna. Marco zjadł samotnie kanapkę przyniesioną przez sekretarkę, a kiedy później mijał pokój Margherity, zobaczył, że jest pusty. Chodziła często na obiad z kolegami do pobliskiego baru samoobsługowego.

Po południu wezwał

Elasticiego, żeby zakończyć sprawę kampanii reklamowej kremu „Antigua”, podpisał rachunki, przyjął nowych klientów, podyktował kilka listów

sekretarce, przesłuchał dwie taśmy, żeby wybrać podkład muzyczny. Nagle zrobiło się wpół do dziesiątej. Miał już wyjść, gdy przypomniał sobie, że nie zadzwonił jeszcze do Chiary. Wrócił więc i wykręcił numer.

Podeszła od razu.

- Cześć, kochanie, jak minął weekend na wsi? - zapytała.

Przez kilka sekund Marco nie mógł się zorientować, o co chodzi.

- Dobrze - odpowiedział po krótkim wahaniu. No tak, weekend na wsi u klienta bez telefonu. - A ty jak się miewasz? Jak dom?

- Znalazłam skrzynię, o której ci mówiłam: handlarz starzyzną wykupił stare meble w jednym gospodarstwie. Chciałabym ci pokazać niektóre z nich.

- Oczywiście. Jaką masz pogodę?

- Przepiękną. W ogrodzie na drzewach są już paki.

- Czy kiedy skończysz urządzać dom, zajmiesz się drzewami i alejkami? - spytał Marco, zdając sobie sprawę, że wbrew jego woli w pytaniu pojawiła się ironia.

Chiara zauważyła to od razu.

- Nie rozumiem, dlaczego

mówisz do mnie takim tonem za każdym razem, gdy rozmawiamy o domu. Trzeba chyba go urządzić, no nie? Naturalnie, zajmę się również ogrodem, przez dwa lata nikt tu nie zaglądał i...

- Dobrze, zadzwonię do ciebie jutro wieczorem. Wybacz mi, ale jestem bardzo zmęczony. A to, że wracam do pustego domu, jeszcze bardziej mnie przygnębia.

Odłożył słuchawkę, zanim zdążyła odpowiedzieć. Miał nadzieję, że jego „ciao” zabrzmiało serdecznie.

Zszedł do garażu i chwilę później wyjechał z niego samochodem. Myśl, że znajdzie się sam w domu, przytłaczała go naprawdę. Chiara stała się najzacieklejszym wrogiem samej siebie i naszego małżeństwa, pomyślał. Potrzebuję jej, a ona nie wraca; proszę o pomoc, a ona nic sobie z tego nie robi.

Kiedy zahamował przed bramą, doszedł do wniosku, że nie ma ochoty jej otwierać. Zaparkował samochód na ulicy, zatrzasnął drzwiczki i wszedł do domu. Pierwszą rzeczą, jaką zauważył po zapaleniu światła, był ogromny bukiet kolorowych kwiatów. Angelica postawiła je w plastikowym wiadrze, bo nie zmieściłyby się w żadnym wazonie.

Kto u diabła mógł mu je przysłać? Otworzył kopertę przyklepioną do celofanu. „Dziś jest pierwszy dzień wiosny i kocham cię. Margherita.”

Marco przeczytał bilecik kilkakrotnie, z niedowierzaniem i osłupieniem. Kiedy ochłonął z wrażenia, zrozumiał, że jest szczęśliwy. Bez namysłu zgasił pospiesznie światło, zamknął za sobą drzwi wejściowe i znowu wsiadł do samochodu.

- Przepraszam - powiedziała ze spuszczonym wzrokiem, zapraszając go do środka.

Nic nie mówiąc, Marco przygarnął ją do siebie, a serce biło mu w szalonym pragnieniu dotykania jej, całowania, zapamiętania się w miłości.

- Przepraszam - powtórzyła Margherita z twarzą na jego ramieniu - nie powinnam była...

- Ja też nie. Ale teraz jestem tutaj i nie mam ochoty na rozmowę.

- Kocham cię, Marco, przykro mi, ale to prawda - wyznała płaczącym głosem, podnosząc wreszcie na niego oczy.

Nie mógł już dłużej czekać:

wziął ją w ramiona i zaniósł na kanapę. Położyła się posłusznie, patrząc na niego wyczekująco. Zdjął spodnie i rzucił się na nią, pchnięty niepoohamowanym impulsem i poczuciem nieuchronności, które sprawiało, że zachowywał się jak w transie: czy to jego ręce wsuwały się pod sweter i szukały jej piersi? Czy to jego usta pokrywały drobnymi pocałunkami wargi, twarz, szyję tej jęczącej z podniecenia i uległej bogini? Czy to jego palce, ostre niczym szpony, zrywały z niej bieliznę? Wszedł w nią gwałtownie, unosząc jej biodra, pragnąc ją posiadać, unicestwić, połączyć się z nią.

- Patrz na mnie - rozkazał.

W oczach Margherity płonęła żądza, nie mogła powstrzymać krzyku. Wziął ją w pośpiechu, poruszał się coraz szybciej, gwałtowniej, brutalniej... Otoczyła go udami, trzymając mocno przy sobie, i Marcowi zdawało się, że ich ciała tworzą jedno. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie przeżyłem, pomyślał, niemal przestraszony, kiedy osiągnął orgazm.

Margherita leżała pod nim nieruchomo. Było coś uroczystego i jednocześnie pochmurnego w jej rozpalonej namiętnością twarzy. Pocałował ją w oczy, poszukał łąpczywie jej ust, czując, że znowu ogarnia go pożądanie.

- Szaleję za tobą - powiedział ochrypłym głosem.

- Ja też - zaśmiała się. Nie była już jęczącą i uległą boginią, kiedy uniosła się z kanapy, rozebrała powoli i rzuciła wygłodniała na jego ciało. Spotkali się mokrzy od potu na skraju otchłani. Mieli jednocześnie orgazm i Marco pomyślał ponownie, że nigdy jeszcze nie zaznał takiej rozkoszy.

- Masz wyrzuty sumienia? - spytała później Margherita, głaszcząc go po twarzy.

- Nie, czuję się po prostu wspaniale.

- Niestety, długo to nie

potrwa - wyszeptała smutnym głosem, jak gdyby wiedziona złym przecuciem.

A jednak trwało. Przez następne dni Marco był rzeczowy, świetnie zorganizowany, pogodny. W agencji on i Margherita zachowywali się tak jak zwykle; żartowali, dyskutowali, pili razem kawę. Dopiero wieczorem zegnali się porozumiewawczym skinieniem głowy. Margherita wychodziła pierwsza wraz z kolegami, wkrótce potem biuro opuszczał Marco i jechał do niej, zadzwoniwszy uprzednio do Chiary. Zazwyczaj spędzał noc u Margherity. Czasami nawet nie jedli kolacji: kiedy pojawiał się w drzwiach, zarzucała mu ramiona na szyję i prowadziła w stronę kanapy, często już posłanej.

W następny piątek wrócił na via Alberto Mario, żeby zabrać czystą bieliznę i uprzedzić Chiarę, że w najbliższy weekend też nie będzie mógł się z nią zobaczyć.

Poczuł ulgę, kiedy spostrzegł, że Chiara nie nalega ani nie oczekuje wyjaśnień.

- Nie przejmuj się -

powiedziała. - Właśnie telefonowała do mnie Giovanna, przyjedzie tu jutro rano i zostanie aż do wieczora w niedzielę. Nie będę więc sama.

- A co z domem?

- Jest coraz ładniejszy. W połowie przyszłego tygodnia wpadnę do Mediolanu, brakuje jeszcze niektórych mebli, chciałabym, żebyśmy wybrali je razem. Myślisz, że znajdziesz jakieś wolne popołudnie?

- Oczywiście. Uprzedź mnie tylko wcześniej. Miłej niedzieli kochanie.

- Mógłbyś zadzwonić do mnie jutro przed kolacją? - w głosie Chiary słychać było wahanie.

- Za dwie godziny wyjeżdżam do Rzymu - skłamał na poczekaniu.

- Ach, tak, a więc przyjemnej podróży.

Odłożył słuchawkę i zaraz telefon zadzwonił ponownie. To była Margherita.

- Jeszcze tam jesteś? Czekam na ciebie - powiedziała zniecierpliwiona.

- Chyba dzisiaj nie będę mógł przyjść - oświadczył zdziwiony tym, co mówi, i niespodziewanie podjętą decyzją.

- Neeee? A co się stało?

- Powiem ci jutro rano -

odpowiedział pospiesznie Marco, nie potrafiąc wymyślić nic bardziej konkretnego ani tym bardziej wyjaśnić jej tego, czego nie umiał wytłumaczyć sobie.

Musiał zostać sam, to wszystko; dziwne, ale rozmowa z Chiarą wprawiła go w zły nastrój. Poczuł się nagle bardzo zmęczony. Potrzebował długiego i mocnego snu.

Angelica zostawiła mu na

kuchennym stole pełen

podtekstów, z trudem napisany, liścik. „Nigdy pana nie ma i w domu jest czysto. W przyszłym tygodniu nie przyjdę, bo nie ma po co. Zrobiłam zakupy i lodówka jest pełna.”

A więc, pomyślał Marco, sprytna Angelica zauważyła, że spędzam nocę poza domem.

Niepokój jednak szybko minął; służąca nie miała skłonności do plotek ani do wtrącania się w nie swoje sprawy, na pewno nic nie powie Chiarze czy teściowej.

W chwilę potem obawy powróciły: za kilka dni Chiara wpadnie do Mediolanu, jak sama powiedziała. Na samą myśl o tym odczuwał niemal fizyczny ból.

Otworzył lodówkę i nalał sobie martini. Nie potrafię spojrzeć jej w oczy, przemknęło mu przez głowę. Nie potrafię się z nią kochać, uświadomił sobie z lękiem, wypijając wermut.

Margherita zaprzętała ostatnio całą jego uwagę, pragnął tylko jej ciała, silnego i wibrującego. W tej dziewczynie nie było nic kruchego i dopiero sypiając z nią odkrył, że seks to także coś gwałtownego, żywiołowego, szalonego.

Opiekuńczość i łagodność, z jaką traktował przez dziesięć lat żonę, wydawały mu się teraz czymś odległym i niemal chorobliwym. Nalał sobie znowu martini w nadziei, że się odpręży. Czy w taki właśnie sposób Chiara zaczęła pić wiele miesięcy temu? Wspomnienie jej nieszczęśliwego i pustego spojrzenia sparaliżowało go; jestem nędznym typem, pomyślał, płuczac szklanke.

Wtedy właśnie zadzwonił dzwonek. Potem jeszcze raz, natarczywie. Coś się stało z Chiara, pomyślał przerażony, idąc do drzwi.

- Nie mogłam czekać do jutra rano. - To była Margherita, zaczerwieniona z przejęcia na twarzy. - Co się stało?

Zostawiłem otwartą bramę, pomyślał, patrząc na nią, niezdolny do zrobienia jakiegokolwiek gestu.

- Marco, co się stało? -

powtórzyła. - O Boże, wróciła twoja żona? - krzyknęła, przerażona.

- Nie.

- Mogę wejść?

- Oczywiście - odparł,

przepuszczając ją przodem. Rzuciła żakiet na krzesło i objęła go.

- Po telefonie od ciebie

myślałam, że oszaleję. Dlaczego nie przyjechałeś?

- Jestem zmęczony i..

- Pst! Teraz jestem z tobą i nie chcę o niczym słyszeć - szepnęła, muskając nosem jego policzek.

Zauważył ze smutkiem i wstydem, że przygnębienie zniknęło wraz z przybyciem Margherity. Przyciągnął ją do siebie z westchnieniem.

- Kiedy jesteś przy mnie, nic innego się nie liczy - powiedział. Zaśmiała się i wyswobodziła z jego ramion.

- Czy musimy stać w przedpokoju?

Spostrzegł ze zgrozą, że bierze ją za rękę i prowadzi do sypialni. Będziemy kochać się w łóżku Chiary, pomyślał, rzucając się na nią z tym samym co zawsze poczuciem nieuchronności.

- Było wspaniale - westchnęła później Margherita, ubierając się. Przyjechała na via Alberto Mario taksówką i Marco wstał, żeby ją odwieźć do domu. Był jej wdzięczny, że nie chce zostać na noc w jego mieszkaniu.

Przytuliła się do niego, gdy znaleźli się w samochodzie.

- Nie potrafię się od ciebie oderwać, jakbym... była... przyklejona.

- Jadłeś kolację? - zapytał, odczuwając nagle głód.

- Nie, a ty?

- Też nie. Chcesz coś

przekąsić?

- Tak, jeśli znajdziemy jeszcze jakąś otwartą restaurację.

Dochodzi prawie północ, uświadomił sobie ze zdumieniem Marco.- Może w Santa Lucia znajdziemy wolny stolik - zaproponował.

Zauważył ją dopiero wtedy,

kiedy zajęli już miejsca. Zbyt

późno, by puścić dłoń Margherity

i udać, że to tylko kolacja

służbowa. Giovanna, jego

szwagierka, siedziała

naprzeciwko z kilkoma

przyjaciółmi. Od jak dawna mu się przyglądała?

Ze sztuczną swobodą skinął głową na powitanie i przeraziła go myśl, że przecież następnego dnia rano Giovanna wybiera się nad Iseo, on zaś powiedział żonie, że jedzie do Rzymu. Przypuszczenie, że Giovanna, podobnie jak Angelica, również nic nie powie, nie przyniosło mu tym razem ukojenia.

Dołączył bezmyślnie do szeregu kłamliwych i niewiernych mężów. Będzie musiał liczyć odtąd na dyskrecję przyjaciół i przedsięwziąć drobne środki ostrożności: kontrolować się, unikać znajomych, ulic i restauracji w centrum miasta. Albo podjąć męską decyzję i przestać się ukrywać...

Chiara zadzwoniła w poniedziałek wieczorem i Marco od razu się zorientował - był zresztą tego pewien - że bliźniaczka nic jej nie powiedziała. Żona uprzedziła go, że przyjedzie następnego dnia późnym przedpołudniem i wstąpi po niego do biura. Ton głosu był jak zwykle spokojny i ufny.

- Mam ochotę cię zobaczyć - wyznała na zakończenie.

A on? Nie miał, niestety, pewności. O ósmej wyszedł z agencji i pojechał prosto do Margherity.

- Jutro przyjeżdża moja żona - oznajmił, kiedy skończyli kolację. - Przez kilka dni nie będziemy mogli się widywać.

- Rozumiem. Wcześniej czy później i tak wróci na stałe do Mediolanu. Musimy wszystko jakoś inaczej ułożyć - odparła ze spokojem.

- Mamy wyskakiwać w przerwie obiadowej do motelu? Wymyślać konferencje i klientów w innych miastach? - Marco zauważył, że mówi podniesionym głosem.

- Nie będziemy pierwsi - odparła takim samym tonem.

- Nie uważasz, że to upokarzające?

Margherita przyjrzała mu się, niewzruszona.

- Wiedziałam od początku, że jesteś żonaty. To twój problem... Zastanów się, jak wybrnąć z tej kłopotliwej sytuacji. Jeśli oczywiście tego chcesz - dodała, wstając od stołu.

Marco poszedł za nią do kuchni i objął ją.

- Wiesz dobrze, że chcę. Ale twierdzę, że to upokarzające, głównie ze względu na ciebie.

Roześmiała się, wspięła na palce i pocałowała go w czoło z dziecięcą czułością.

- Kochanie, to na odmianę mój problem.

- Jestem starszy o czternaście lat i czuję się za ciebie odpowiedzialny. Zmarnuję ci młodość.

- Ho, ho. Mówisz jak tatuś!

Pomyśl raczej o tym, by nie zmarnować mi wieczoru. Pragnę cię w szalony i kazirodzcy sposób - powiedziała ze śmiechem, przytulając się do niego.

Pułapka działa, pomyślał Marco, pozwalając się prowadzić w stronę kanapy. Wystarczy, by Margherita mnie dotknęła, a już tracę głowę. Zdjął z niej w pośpiechu ubranie, patrząc w roześmiane i błyszczące z podniecenia oczy dziewczyny, a kiedy w nią wszedł, dał się opanować znanemu już sobie pragnieniu zapamiętania się w rozkoszy, połączonemu z upajającym uczuciem wszechmocy.

Wrócił na via Alberto Mario o szóstej rano. Zrobił sobie kawy, po czym poszedł do łazienki, żeby wziąć prysznic. Zanim wyrzucił koszulę do kosza na brudną bieliznę, sprawdził, czy nie ma na niej śladów szminki, i ten odruch sprawił, że znów poczuł się jak ostatni nędznik.

Przy goleniu spostrzegł, że ma szarawą cerę i podkrążone oczy. Emocje i miłosne noce pozostawiły swój ślad. Myśl, że za kilka godzin zobaczy Chiarę, budziła w nim lęk.

Musisz podjąć stanowczą decyzję, pomyślał. Nie nadajesz się na niewiernego męża i jeśli tak dalej pójdzie, dostaniesz zawału.

O ósmej był w biurze, ale co chwilę zerkał nerwowo na zegarek i nie potrafił się skupić. O dziesiątej Vianello przyniósł mu wstępny kosztorys filmu reklamowego dla „Cartlandu” i oświadczył, że jego zdaniem Margherita Ollian przesadziła trochę z wydatkami; trzeba było ją wezwać, a kiedy weszła do gabinetu, Marco nie wiedział czy jej opanowanie budzi w nim podziw, czy też złość.

Dziewczyna, która dopiero cztery godziny temu jęczała pod nim z rozkoszy, uśmiechała się teraz uprzejmie i obojętnie. Wysłuchiwała uwag w skupieniu, odpierając zarzuty kategoriycznym tonem i broniąc ostro tych wszystkich pozycji, które dla księgowego oznaczały „zbędne wydatki”, dla niej zaś były koniecznym uzupełnieniem. Marco dał się mimo woli wciągnąć w dyskusję i dopiero gdy zajrzała sekretarka, żeby powiedzieć o przybyciu żony, zdał sobie sprawę, że rozmowa trwa już od ponad dwóch i pół godziny.

Chiara była odprężona i opalona. Dostrzegł to od razu. Miała na sobie czerwony żakiet, którego nigdy przedtem nie nosiła.

Wstał i uściskał ją czule.

- Widzę, że jesteś w świetnej formie - powiedział z uznaniem.

Vianello wstał również i gdy witał się z Chiarą, Marco napotkał wzrok Margherity. Nie mógł jej nie przedstawić żonie.

- To jest moja

współpracownica, która zastąpiła Giusi Lozzę - oznajmił, modląc się w duchu, by jego głos zabrzmiał pewnie i swobodnie.

- Mąż opowiadał mi o pani - uśmiechnęła się Chiara.

- Mówił, że ma przeze mnie same kłopoty, prawda? - zapytała Margherita, podając Chiarze rękę.

Przez ułamek sekundy Marca ogarnęło przerażenie, ale Margherita dodała: - Teraz też próbuje jakoś ratować sytuację.

Oczywiście, miała na myśli pracę. A może nie? Wydało mu się, że w jej głosie pobrzmiwa bezczelność, a wyjaśnienie udziela po zbyt długiej przerwie.

- Przepraszam, że wam

przeszkodziłam - powiedziała Chiara.- Pracujcie dalej, nie spieszy mi się.

Miała zamiar wyjść, lecz Marco ją zatrzymał.

- Już prawie pierwsza.

Skończyliśmy na dzisiaj.

Margherita zwracając się do Chiary zapytała z serdecznym uśmiechem: - Czy pójdzie pani ze mną na obiad? Podejrzewam, że mąż pani jak zwykle zadowoli się kanapką?

- Nie dziś - przerwał Marco. - Dziś idę z żoną do restauracji.

Jego oschły ton wprowadził Chiarę w zakłopotanie.

- Dziękuję ci... -

uśmiechnęła się niepewnie. - Dziękuję również pani. Może wobec tego pójdziemy razem coś zjeść?

Marco z przerażeniem usłyszał, jak Margherita odpowiada wesoło:

- Chętnie, jeśli tylko nie będę przeszkadzać. Idę po żakiet.

I wyszła.

- Vianello, pana również

zapraszam - zwrócił się do księgowego Marco.

- Będzie mi bardzo miło - dodała Chiara.

- Pod warunkiem, że wrócę zaraz do biura. Mam spotkanie o wpół do trzeciej - odparł Vianello.

Poszli do pobliskiej restauracyjki, gdzie kuchnia nie była wyszukana, ale za to obsługa uprzejma i szybka. Obecność księgowego pomogła Marcowi odprężyć się i wkrótce spostrzegł z zadowoleniem, że Chiara odzyskała apetyt.

- Widzę, że jesteś w świetnej formie - powtórzył.
- Ty natomiast nie - odrzekła, unosząc wzrok znad gigantycznego kotletu schabowego. - Masz szarą cerę jak ktoś, kto za mało śpi i za dużo pracuje.

Margherita uśmiechnęła się do niej przyjaźnie: - Ja też mu na to stale zwracam uwagę. Bóg raczy wiedzieć, jak spędza noce. Bądź co bądź jest słomianym wdowcem.

Marco miał nadzieję, że Chiara nie dostrzeże złośliwości ani nie napotka znaczącego spojrzenia jego kochanki. I rzeczywiście, niczego nie zauważyła. Uśmiechając się równie serdecznie, odparła:

- Wiem, ale najdalej za dwa tygodnie dom będzie gotowy i wrócę na stałe do Mediolanu. Nie będzie już godzin nadliczbowych

- dodała.

Marco drgnął, ale zaraz zwymyślał się w duchu od

idiotów: żona nie mogła o niczym wiedzieć, a ostatnie zdanie nie zawierało na pewno zamierzonego podtekstu.

- Mam nadzieję, że kiedy wszystko będzie gotowe, zaprosi mnie pani nad Iseo. Uwielbiam jeziora i stare domy.

- Bez wątpienia.

- Pani jest psychologiem, prawda?

- Raczej mam dyplom z psychologii. Chwilowo nie pracuję.

- Szkoda - oświadczyła

Margherita. - Praca jest jednak czymś ciekawszym niż zajmowanie się mężem i domem. Chyba że kobieta nie pragnie niczego innego, jak tylko zostać matką.

Żmija, pomyślał Marco i poczuł, że chętnie by ją spoliczkował.

Chiara pokroiła starannie ostatni kawałek mięsa i podnosząc wzrok, odpowiedziała łagodnym tonem: - Pragnęłam tego, ale nie mam dzieci.

W tym momencie Marco uzmysłowił sobie, że uwielbia żonę. To była ta sama dumna i pełna godności dziewczyna co kiedyś. Wstrząsnęły nim słowa „nie mogę”, oznaczające ostateczną rezygnację, koniec wszelkiej nadziei. Zaprzagnął objąć Chiarę, tulić, pocieszać, powiedzieć, że ją kocha.

Ograniczył się do wzięcia jej za rękę.

Kelnerka przyniosła owoce i Chiara cofnęła dłoń. Vianello spojrział na zegarek: - Wypijam kawę i pędzę do biura. Co zamierza pan teraz robić? - zapytał, zwracając się do Marca.

- Zostawić was. Obiecałem żonie, że pójdziemy wybrać meble.

- Jeśli masz coś do roboty - wtrąciła Chiara - pójdę sama. Możemy to załatwić jutro albo jakiegoś innego dnia.

- Nie, postarałem się o wolne popołudnie. Nie ma sprawy. Idziemy.

Margherita wstała ostatnia.

- Gdyby pani zechciała -

zapropnowała, zwracając się do Chiary - mogę zaprowadzić panią jutro do mojego przyjaciela, który ma mały sklep z antykami i bardzo interesujące meble. Jeśli oczywiście szef pozwoli mi wyjść na kilka godzin.

- Dziękuję, chętnie.

Oczywiście pod warunkiem, że Marco się zgodzi.

Na corso Garibaldi znaleźli dziewiętnastowieczną skrzynię, na via Torino stara, dużą szafę, której prostota i harmonia zachwyciły Chiarę.

- Wystarczy już tych starych mebli - oświadczyła, kiedy wracali do domu. - Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym urządzić sypialnię nowocześnie i kupić wygodny tapczan. Jutro pochodzę po sklepach, a po południu możesz zadzwonić do swojej koleżanki. Kto wie, może ten jej przyjaciel od antyków rzeczywiście ma coś ciekawego.

XI

Chiara wyjechała swoją pandą z Mediolanu w czwartek rano o ósmej i przez całą drogę starała się skupić na prowadzeniu samochodu, próbując odpędzić natrętną myśl. Dopiero kiedy dotarła na miejsce, otworzyła niebieskie okiennice i światło zalało białe wnętrze, poczuła się pewnie i mogła dopuścić do świadomości ten niewiarygodny i wstrząsający fakt: Marco ma kochankę.

Gdy tylko przedstawił jej Margheritę Ollian, od razu wyczuła coś nienaturalnego w jej sztucznie swobodnym tonie. Absurdalne podejrzenie wkrótce się potwierdziło: aluzje i uprzejmość dziewczyny były zbyt ostentacyjne, a niechętnie reakcje Marca dowodziły wyrzutów sumienia i zwykłego strachu.

Oczy ją piekły, zamknęła z powrotem okiennice. Znalazła się w mroku, który izolował ją od słońca, wzgórz, niebezpieczeństw świata zewnętrznego. Usiadła na płycie kominka, oparła łokcie o kolana i usiłowała zapanować nad emocjami.

Marco postąpił jak wszyscy mężowie pozostawieni na długo bez opieki. Najprawdopodobniej przyczyną zainteresowania się tą dziewczyną była właśnie samotność. Nie podoba mi się, pomyślała Chiara, starając się być obiektywna. Jest agresywna i bezczelna, a w dodatku ma w oczach jakiś niepokojący błysk. Ale na pewno jest dobra w łóżku.

Myśl o mężu dyszącym z rozkoszy nad ciałem innej kobiety przyprawiła ją niemal o fizyczny ból. Uspokój się, nakazała sobie. Odetchnęła głęboko, powstrzymując wybuch płaczu, który już ścisnął jej krtań. Uspokój się, powtórzyła, nie niszczy się dziesięciu lat małżeństwa z powodu mało znaczącej miłosnej przygody męża, bo przecież nic innego się nie wydarzyło: Marco pozwolił sobie na skok w bok, a ty nie jesteś pierwszą żoną, która kierowana instynktem samozachowawczym, przymyka na to oczy.

Och, tak, przymykała oczy wielokrotnie! Wspomnienie pierwszego wieczoru jeszcze ją paliło. Kiedy wrócili z zakupów, poszła do kuchni, żeby przygotować coś do jedzenia, zawiedziona w głębi duszy, że Marco nie zaproponował, aby odwiedzili jakąś restaurację. Gdy zajrzała do pokoju, żeby powiedzieć, że kolacja gotowa, zastała go śpiącego głębokim snem na kanapie.

Odpoczynek wojownika,

pomyślała ze złością.

Potrząsnęła nim delikatnie.

- Która godzina? - spytał Marco.

- Ósma, kolacja na stole.

Obudził się od razu i zerwał na równe nogi z dziwnie smutnym wyrazem twarzy, zapamiętała Chiara.

- Kochanie - powiedział - teraz dopiero sobie przypomniałem, że za pół godziny mam spotkanie. To nie potrwa długo, nie martw się - dodał pośpiesznie.

Wrócił o pierwszej w nocy, jeszcze bardziej zmęczony. Udała, że śpi, a on nie próbował jej obudzić. Po południu następnego dnia zaproponował wielkodusznie, że

gotów jest znów pochodzić z nią po sklepach; było jasne, że nie chce dopuścić, by spotkała się z Margheritą Ollian. Poszli na kolację do Toula i Marco zachowywał się tak sympatycznie, że zapomniała o lęku, złości i ponurych myślach. A kiedy położyli się do łóżka, wziął ją w ramiona i kochali się z taką samą żarliwością jak w dawnych, szczęśliwych czasach.

To było dopiero wczoraj, wczoraj wieczór, pomyślała Chiara. Dopiero wczoraj, przytulając mnie, mówił: „Kocham cię, kocham”. Wspomnienie jego przepełnionego czułością głosu wzruszyło ją. Muszę szybko wrócić do Mediolanu i zapomnieć o tym, co się stało; Marco kocha mnie, a nie Margheritę Ollian. W małżeństwach dzieją się gorsze rzeczy niż przelotna zdrada...

Wstała, by otworzyć okna:

zaczęła się wiosna i był piękny dzień.

Południe. Chiara z pewnością dojechała już na miejsce, pomyślał Marco. Chociaż wiedział, że prowadzi dobrze i ostrożnie, niepokoił się przez cały ranek. „To wyrzuty sumienia, a nie miłość, są źródłem przesadnej troski i obaw”, tłumaczyła mu żona wiele lat temu.

Psychologia też może się mylić, pocieszał się Marco. Kocham Chiare i drżę na myśl, że mógłbym ją stracić. To strach kazał mu popędzić do Margherity owego wieczoru, kiedy kupili z Chiara szafę i skrzynię. Budząc się z głębokiego snu, przypomniał sobie nagle o grożącym mu niebezpieczeństwie. Następnego dnia Margherita wybierała się przeciw z Chiara na miasto i mogło stać się coś strasznego. Wymyślił więc jakiś niezręczny pretekst, żeby wyjść z domu, i pognął na via Solferino.

- Czekałam na ciebie -

powiedziała Margherita, stając w drzwiach. Tym razem nie rzucili się na siebie jak zwykle.

Marco odsunął ją szorstko i zatrzasnął drzwi.

- Zachowałeś się podle i głupio - warknął.

- Poznałeś mnie z najlepszej strony...

- Nie mam ochoty na żarty, Margherito. Przyszedłem tylko po to, by ci powiedzieć, że odchodzę.

- Marco, kocham cię...

- A ja ciebie nie. Zachowałeś się obrzydliwie.

Patrzyła na niego bezradnie, do jej oczu napłynęły łzy.

- Dziś po raz pierwszy

poczułam przerażenie - wyszeptwała. - A także piekącą zazdrość. Masz bardzo piękną żonę - dodała dziecięcym głosem.

- Jest przede wszystkim dobra i mądra. Nie zasługuje na takie traktowanie.

- A o mnie nie pomyślałeś? - uchwyciła się z płaczem jego rękawa. - Proszę, zastanów się, przysięgam, że będę ostrożniejsza. Nie zachowam się już... niegodziwie. Musisz mi uwierzyć.

Potrząsnął głową.

- To koniec, Margherito.

Przykro mi.

Wrócił do domu śmiertelnie zmęczony. Chiara na szczęście spała, on też zasnął od razu. Rano obudził się późno i zwlekał z pójściem do biura. Chociaż Margherita obiecała mu, że będzie bardziej uważać, obawiał się jakiejś gafy z jej strony albo złośliwych uwag pod swoim adresem w obecności kolegów.

Raz jeszcze musiał jednak

podziwiać jej opanowanie. Nawet

najbardziej podejrzliwy

pracownik nie mógłby się

domyślić, że Margheritę Ollian i szefa łączy, czy raczej łączyło, coś więcej niż przyjaźń.

Jego rozmyślania przerwała sekretarka: - Przypominam panu, że o pierwszej jest pan umówiony na obiad w Saint Andrews - powiedziała, stając w drzwiach.
- Dziękuję, już idę.

Wychodząc z gabinetu, wpadł na Margheritę. Szła z Frankiem Elesticim, pierwszym pomysłodawcą, którego zatrudnił w swojej agencji. Zobaczył, że śmieją się i rozmawiają.

- Zjesz coś z nami? - zapytała Margherita swobodnym tonem.

- Dziękuję, pędzę na spotkanie

- odpowiedział również bez cienia skrępowania. Wsiadł do windy z wyraźną ulgą; niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Margherita zachowywała się rzeczywiście rozsądnie i poprawnie.

Gdy wrócił do biura po służbowym obiedzie, czuł nie tylko przyjemne odprężenie, ale i satysfakcję: kontrakt z wenecką hutą szkła był już praktycznie zawarty. O czwartej zadzwoniła do niego Giovanna.

- Pójdiesz dziś ze mną na kolację? - zaproponowała.

- Naturalnie. Chiara wyjechała i znów jestem skazany na samotność - odparł żartobliwie. Dopiero później przypomniał sobie tamten nieszczęsny wieczór w Santa Lucia, kiedy to wszedł do restauracji, trzymając za rękę Margheritę, a Giovanna przyglądała im się uważnie.

Ale to już przeszłość, pomyślał, starając się zachować spokój. O wpół do ósmej, przed wyjściem z biura, zadzwonił do Chiary. Tak, miała dobrą podróż. Tak, dzień był piękny, a pierwsze meble nadejdą jutro.

- Tęsknię za tobą do

szaleństwa, Chiaro. Wracaj szybko - powiedział nagle.

- Ja też - szepnęła cicho, szczerze wzruszona.

Umówił się z Giovanną w małej restauracji w centrum i przyszedł dziesięć minut za wcześnie. Zamówił martini i gdy wypił pierwszy łyk, zauważył szwagierkę wchodzącą do lokalu. Przez ułamek sekundy uległ złudzeniu, że widzi Chiarę: z daleka obie siostry były do siebie bardzo podobne. Ale w miarę jak Giovanna zbliżała się do stolika, owo podobieństwo nie wydawało się już tak uderzające. Jej chód był szybszy, linia podbródka bardziej zdecydowana, spojrzenie bardziej bezpośrednie i skupione.

- Ciao - powitała go siadając.

- Dawno tu jesteś?

- Dopiero od pięciu minut.

Właśnie rozmawiałem z Chiarą - oznajmił.

Kelner przyniósł menu, wybrali pierwsze danie, po czym zapadło krótkie milczenie. Przerwał je Marco.

- Chiara czuje się dobrze i twierdzi, że ma dość samotności

- nawiązał do tego, co powiedział na początku spotkania.

Szwagierka spojrzała mu prosto w twarz.

- Przypuszczam, że nie jesteś dumny ze swego postępowania.

Przez chwilę chciał skłamać, udać, że nic nie rozumie.

- Rzeczywiście, nie jestem.

Ale to była tylko bardzo krótka historia bez żadnego znaczenia.

Giovannie spodobała się najwyraźniej jego szczerłość, bo wzrok jej złagodniał.

- Kiedy zobaczyłam cię z tą dziewczyną, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Zrobiło mi się bardzo smutno. Chiara nie była ostatnio najmilszą towarzyszką życia. Wiem. Oddaliła się od ciebie.

- Bardzo kocham twoją siostrę

- oświadczył Marco. - Chiara nie ponosi żadnej winy za to, co się stało. Jest tak, jak powiedziałaś: nie jestem dumny z tego, co zrobiłem, przykro mi, że wprawdzie niedługo, ale jednak, byłem jednym z tych mężów, którzy zdradzają żony, ponieważ wydaje im się, że są niezrozumiani i zaniedbywani.

- Ważne, że to już koniec - przerwała mu Giovanna. Była tak zadowolona z obrotu sprawy, że pozwoliła sobie na uwagę: - W każdym razie ta dziewczyna jest bardzo piękna i zachowuje się bardzo... swobodnie. Wczoraj widziałam ją w kinie. Siedziała niedaleko mnie, przytulona do jakiegoś blondyna, który sprawiał wrażenie bardzo nią zainteresowanego.

Franco Elestici, odgadł Marco i zdziwił się, że wymówił na głos to nazwisko.

- Co takiego?

- Ten blondyn to mój pracownik

- musiał wyjaśnić. Wniesienie spaghetti z łososiem przerwało na szczęście tę dość kłopotliwą rozmowę.

W następnych dniach stało się jasne, że między Margheritą a Frankiem Elesticim nawiązał się romans. Przebywali razem praktycznie przez cały czas, Margherita bowiem przeniosła się chwilowo do jego pokoju, gdyż pracowali wspólnie nad realizacją filmu reklamowego. Razem przychodzili, razem wychodzili z agencji, szli na obiad, na kawę, śmiali się i wymieniali porozumiewawcze spojrzenia. Szybko się pocieszyła, pomyślał Marco i nie wiedział, czy śmiać się czy martwić z tego powodu.

Pewnego popołudnia Margherita przyszła do jego gabinetu, żeby pokazać dwa fragmenty filmu, które jej zdaniem należało zmienić.

- To dłużyzny, a w dodatku odwracają uwagę od reklamowanego produktu - zauważyła.

- Masz coś innego do zaproponowania?

Margherita obesza biurko i stanęła obok niego.

- Mam kilka szkiców, ale muszę cię uprzedzić, że jeśli zdecydujesz się na ich realizację, będzie to wymagało pięciu dni dodatkowej pracy i około trzydziestu milionów.

- Kontrakt z producentem

„Antiguy” daje mi taką możliwość

- odparł krótko, uważnie

przyglądając się rysunkom. Jak zwykle Margherita trafiła w dziesiątkę: była wybitnie zdolna, prawdziwy skarb dla agencji.

- Dobrze - powiedział, oddając jej materiał i unosząc w górę twarz. - Masz moją zgodę. Przekaż to również swojemu Elesticemu.

Margherita nie zareagowała na prowokację.

- Będzie uradowany - odrzekła, okrążając ponownie biurko. Była już w drzwiach, kiedy Marco odezwał się z przekąsem. - Szybko się pocieszyłaś.

Zatrzymała się.

- Skąd wiesz, że się pocieszyłam? - zapytała.

Sądził, że zawróci, że jeszcze coś doda, ale pomachała ręką na pożegnanie i wyszła, zamykając za sobą po cichu drzwi.

Marco poczuł, że narasta w nim wściekłość: wpadam jak kretyn w pułapkę zastawioną przez kobietę, która ucieka i chce, żebym ją gonił. Skruszony, pełen dobrych chęci mąż staje się nagle zazdrosnym facetem, urażonym i gotowym rzucić się w pościg za umykającą zdobyczą. Zaczął myśleć o Chiarze i uświadomił sobie z niewypowiedzianą ulgą, że jest piątek i że następnego dnia pojedzie do niej na wieś. Dom był już prawie gotowy i miał to być ostatni weekend poza Mediolanem: w połowie przyszłego tygodnia Chiara wróci na stałe do miasta. Tego wieczoru poszedł na kolację do rodziców i położył się wcześniej spać. Gdy obudził się o wpół do siódmej, padał drobny deszcz. Dzień był szary, jakby to był listopad, a nie kwiecień. Zatrzymał się dwukrotnie na autostradzie, żeby wypić kawę, i kiedy o dziewiątej znalazł się już na szosie prowadzącej w kierunku Iseo, popadł w przygnębienie.

Krople deszczu spływały po szybach samochodu, a drzewa, choć obsypane kwiatami, wyglądały jak zmarznięte i smutne postaci. Nieruchoma tafla jeziora miała kolor ołowiany. Chiara przywitała go opatulona w rozciągnięty sweter i zakatarzona.

- Zaziębiłam się - oznajmiła, całując go na przywitanie. Meble zostały już ustawione, w kominku płonął ogień, atmosfera była przytulna, lecz Marco nie potrafił się odprężyć. Poszli na obiad do restauracji nad jeziorem; po kilku nieudanych próbach podtrzymania rozmowy Chiara zabrała się w milczeniu do jedzenia.

Po południu pokazała mu łąkę i małą plażę za domem.

- Gdy świeci słońce -
powiedziała - jest tu jak w raju.

W deszczu jednak wszystko prezentowało się ponuro i martwo.

Chiara cały czas kasłała i wycierała nos. Zjedli po kanapce i poszli do łóżka o dziewiątej. Marco nie obruszył się, gdy usłyszał, jak żona mówi:

- Bardzo chce mi się spać, dobranoc, kochanie.

Padło również następnego dnia. O dziewiątej Chiara przyniosła mu do łóżka kawę i Marco wylegiwał się jeszcze przez godzinę. Kiedy wreszcie wstał, Chiara oglądała telewizję. Usiadł obok niej i udawał, że interesuje go program. O pierwszej poszli coś przekąsić i Marco spostrzegł, że zerka nerwowo na zegarek. O piątej po południu uznał, że może już oznajmić żonie:

- Muszę się zbierać. Chciałbym uniknąć największego tłoku.

Wyjechał w niezrozumiałym pośpiechu i kilkakrotnie przyłapał się na nierozważnym wyprzedzaniu. Zwolnił więc nieco, ale znalazłszy się na autostradzie, znowu dodał gazu. Droga była niemal pusta, lecz za Bergamo zrobił się tłok. Przy wyjeździe z autostrady musiał czekać w kolejce dziesięć minut. Była siódma, kiedy znalazł się na via Castelfidardo.

Uprzytomnił sobie nagle, że jedzie prosto do domu Margherity.

Gdy wchodził po znajomych

schodach prowadzących na

mansardę, nie czuł się

podniecony ani nie miał

skrupułów. To, co robił, było jak deszcz i wiatr albo następowanie po sobie pór roku: nieuchrome i naturalne.

Margherita otworzyła drzwi bez słowa. Stwierdził, że na jej twarzy wcale nie maluje się zaskoczenie.

- Jesteś cały mokry -

zauważyła, wpuszczając go do środka i pomagając zdjąć płaszcz.

- Przyszedłem - oświadczył, jak gdyby nie było to oczywiste.

- Czekałam na ciebie -

odpowiedziała, wyciągając ramiona.

Później, kiedy brał ją niczym Syzyf spocony w daremnym wysiłku samounicestwienia, a zarazem obejmował w ostateczne posiadanie, przeszło mu przez myśl, że rezygnacja z Margherity byłaby szaleństwem.

- Kocham cię - jęknęła,

obezwładniona jego gwałtownością. Marco zaś, wstrząsany dreszczami rozkoszy, poczuł wreszcie, że pogrąża się w całkowitym zapomnieniu.

Chiara wróciła do domu w czwartek wczesnym popołudniem, Marco postanowił więc jak najprędzej przyjechać na via Alberto Mario. Był pełen dobrych chęci i czuł, że stać go na wielkoduszność. A może po prostu chciał uniknąć podejrzeń i często zapadającego między nimi kłopotliwego milczenia?

Zastanawiał się nad tym, otwierając drzwi i wchodząc po schodach.

Żona wyszła mu naprzeciw, mile zdziwiona i uśmiechnięta.

- Och, myślałam, że wrócisz dużo później.

Objął ją i ucałował w oba policzki.

- Jakżebym mógł, wiedząc, że tu jesteś? - zapytał, obawiając się, że Chiara pozna się na fałszu.

Obawiał się tego również i wtedy, kiedy położyli się do łóżka: wysunął rękę, żeby przyciągnąć ją do siebie, i wyczuł, że Chiara gotowa jest się z nim kochać. Wziął ją łagodnie, zdumiony, że zaznaje prawdziwej rozkoszy.

Udało mu się spotkać z

Margheritą dopiero w dwa dni później wczesnym popołudniem. Wytłumaczył żonie, że musi wpaść do biura, aby porozmawiać z rysownikiem, którego zamierzał zatrudnić. W Chiarze nie wzbudziło to żadnych podejrzeń.

Czemu miałaby mnie o coś posądzać? zastanawiał się Marco, jadąc w kierunku domu. Świetnie sobie radzę jako niewierny mąż: potrafię kłamać, udawać, panuję nad emocjami. Moja troskliwość jest spontaniczna, gesty bez zarzutu, słowa właściwie dobrane. Margherita zgadza się na krótkie spotkania, zadowolona, że budzi we mnie taką namiętność, Chiara cieszy się naszym codziennym życiem i odpowiada jej spokojny seks.

Zanim wysiadł z samochodu, sprawdził w lusterku, czy na marynarce nie ma blond włosów albo śladów szminki na koszuli. Gdyby Chiara zaczęła coś podejrzewać, to byłby koniec. Pewnego dnia i tak wszystko się skończy, będę musiał coś postanowić. Na samą myśl o tym poczuł ból w żołądku jak od uderzenia i pięścią. Konieczność powzięcia jakiegokolwiek decyzji napawała go lękiem. Przede wszystkim jednak przerażony był perspektywą utracenia Chiary.

- Jak poszło? - zapytała, jak tylko wszedł do domu.

Objął ją bez słowa.

- Kocham cię - powiedział. I nie kłamał. Kocham ją naprawdę, pomyślał, jest zbyt ważną częścią mego życia. Przez chwilę poczuł się jak święty Paweł na drodze do Damaszku. Euforia jednak nie trwała długo; nie mógł obejść się bez Chiary, nie potrafił też zrezygnować z Margherity. I tak miał żyć dalej, skazany na kompromisy i udrękę.

XII

Dwudziesty pierwszy czerwca, pierwszy dzień lata. Budzik zadzwonił o siódmej, jak każdego ranka. Marco poszedł do łazienki, wziął prysznic, zjadł w kuchni śniadanie przygotowane przez Chiare. Dzień zaczął się tak jak wszystkie inne dni.

Było to jednak złudzenie:

Marco zrozumiał to godzinę później kiedy, wszedł do swego gabinetu. Margherita czekała na niego, siedząc w fotelu naprzeciwko biurka. Marco wpadł w popłoch: mógł zobaczyć ich przecież któryś z pracowników, a poza tym nigdy przedtem taka rzecz się nie zdarzyła.

- Muszę z tobą pomówić -

powiedziała martwym głosem, nie wstając.

Marco zdjął marynarkę i powiesił na wieszaku, potem usiadł koło Margherity z przecuciem mającej nastąpić katastrofy.

- Postanowiłam zrezygnować z pracy w agencji - oświadczyła - i przyszedłam złożyć wypowiedzenie.

W tonie, jakim mówiła, słysząc teraz było obojętność i chłód.

Marco nie pojmował, o co chodzi.

- Wymówienie? Dlaczego? - westchnął głęboko. Teraz zrozumiał. Chwila, której się obawiał, nadeszła, jego „harmonijne” podwójne życie dobiegało końca. Margherita miała wszystkiego dość i chciała wycofać się z godnością.

Poczuł, że ogarnia go paniczny strach. Nie może go zostawić z tego prostego powodu, że on nie może bez niej żyć.

- Wymówienie? Dlaczego? - powtórzył, ażeby zyskać na czasie.

- Dlatego, że jestem w ciąży - odparła, podnosząc na niego oczy. - W przyszłym tygodniu idę do szpitala na zabieg. Chyba potem nie będę mogła na ciebie patrzeć ani dalej z tobą pracować.

Marco miał wrażenie, że znalazł się w nierealnym świecie i że targają nim uczucia, jakich do tej pory nie doświadczył: szczęście, niepokój, trwoga, niedowierzanie i smutek, a wszystko to dzieje się z nie znaną dotąd intensywnością.

Wyrwał go z tego stanu utkwiony weń wzrok Margherity.

- Nie chcę, żebyś przerywała ciążę - powiedział i to była pierwsza rzecz, jakiej był pewny.

- Ale ja nie chcę dziecka - odpowiedziała. - Myśl, że będę miała dziecko, obezwładnia mnie, czuję się jak złapana w pułapkę

- dodała po krótkiej przerwie.

Wyglądała teraz jak zalękniona dziewczynka i Marco zapragnął przytulić ją i pocieszyć. Wstał, objął ją ramieniem i wyszeptał:

- Nie bój się, maleńka, jestem przy tobie.

Zamęt w głowie ustał. Był zdecydowany na wszystko, myślał trzeźwo.

- Przecież jesteś żonaty - powiedziała Margherita z płaczem w głosie - i jeśli nawet zechcesz mi pomóc, ja i tak nie zmienię zdania. Muszę przerwać ciążę, nie jestem stworzona na matkę... samotną matkę.

- Porozmawiam z Chiara i

zamieszkamy razem. Ty i dziecko jesteście teraz moją rodziną. Jak tylko dostanę rozwód, ożenię się z tobą.

- Nie mogę się na to zgodzić - zaprotestowała bez przekonania.

- A ja nie mogę postąpić

inaczej. Dziecko, którego oczekujesz, rozstrzygnęło tylko moje wątpliwości.

I to jest druga rzecz, pomyślał Marco, co do której mam absolutną pewność: Margherita to była teraźniejszość, a Chiara - przeszłość. Wraz z upływem lat wyczerpywało się łączące ich niegdyś uczucie, a smutek, niezrozumienie i rozczarowania sprawiły, że ich małżeństwo skostniało w rutynie, nie było w nim już życia ani radości. Zdarzyło się to wcześniej tylu parom, teraz przyszła kolej na nich.

- Kiedy z nią pomówisz? - zapytała Margherita.

- Jeszcze dziś wieczorem. - I to była trzecia rzecz, której także był pewny.

- Jak twoim zdaniem zareaguje?

Marco westchnął i rozłożył ręce.

- Nie wiem, pewnie się z tym pogodzi. Jest zbyt wrażliwa, by nie dostrzegać, że nasze małżeństwo się rozpada, a moja obecność pogłębia jej frustrację.

Ale czy tak było naprawdę?

Wrócił do domu o wpół do ósmej i Chiara, która rozmawiała przez telefon z siostrą, przesłała mu pocałunek. Udał się do łazienki, a kiedy wracał do salonu, usłyszał, że Chiara się śmieje.

- Muszę kończyć, Giovanni, Marco już przyszedł - powiedziała po chwili.

Zauważył w tym momencie, że ma na sobie nową bluzkę i że była u fryzjera. Wyglądała na kogoś, komu nic nie dolega. Marcowi zrobiło się wstyd; przypomniał

mu się dowcip o mężu, który po powrocie do domu pyta żonę: „Czy dobrze się czujesz, kochanie?“, a kiedy pada odpowiedź: „Nigdy nie czułam się tak dobrze“, oznajmia bez litości: „Świetnie, w takim razie to najlepszy moment, ażeby ci powiedzieć, że twój ojciec dostał zawału serca“.

- Marco, czemu tak stoisz? - zawołała Chiara.

Podeszła do stolika, wzięła małą paczuszkę zapakowaną w różowy papier i włożyła mu ją do ręki.

- Wiesz, jaki dziś jest dzień?

Ponieważ się wahał, odpowiedziała ze śmiechem: - Dziś jest zwyczajny dzień, ale mnie rozpira niewymowna radość. Na tę okazję zarezerwowałam stolik w restauracji.

Teraz, nakazał sobie Marco, odkładając na bok paczuszkę.

- Chiaro, muszę z tobą

porozmawiać.

- Nie możemy tego zrobić w restauracji?

- Nie.

- Marco... czy coś się stało?

Wydawało mu się, że już przeżył taką samą chwilę, ale nie pamiętał ani kiedy, ani gdzie.

- Nic się nie stało. Może usiądziesz?

- Chyba potrafię ustać na nogach, skoro rzeczywiście nic strasznego się nie wydarzyło.

Była to ta dumna i zrównoważona kobieta, którą kochał bezgranicznie przez tyle lat, i świadomość, że ją traci, zasmuciła go naprawdę.

Postanowił bez długich wstępów, tak ze względu na nią, jak i na siebie, wyjaśnić w czym rzecz.

- Chiaro, musimy się rozstać - powiedział ze spuszczoną głową.

- Musimy? Dlaczego? - to był jej przytłumiony głos.

Marco podniósł na moment wzrok.

- Związałem się z pewną dziewczyną i...

- Z Margheritą Ollian?

Myślałam, że to skończone.

Zaszokował go nie tyle lodowaty ton, ile to, że o wszystkim wiedziała.

- Popatrz mi w oczy. To o nią chodzi, czy tak? - zapytała.

Nie zaprzeczył.

- Tak, o nią.

- A więc spotykaliście się również po moim powrocie do Mediolanu? - nalegała bez litości.

- Tak. Wstyd mi, ale tak było.

Jestem w niej zakochany i...

Chiara nie ustępowała. - Wystarczyło ci kilka miesięcy, żeby dojść do takiego przekonania?

- Tak. A poza tym ona oczekuje dziecka.

Miał wrażenie, że uwolnił się od przytłaczającego ciężaru, lecz trwało to krótko. Żona patrzyła na niego ze zgrozą, która zniekształcała jej rysy. Zobaczył, że przełyka z trudem ślinę, jakby brakowało jej powietrza. To go przeraziło.

- Nie dotykaj mnie - warknęła, kiedy próbował ją objąć.

- Proszę cię, Chiaro, nie zachowuj się w ten sposób.

- Nie mów mi, jak mam się zachowywać! Przez cały czas mnie oszukiwałeś. Dopiero dwie noce temu, w łóżku, powtarzałeś, że mnie kochasz... - Wydała z siebie rozdzierający krzyk podobny do szlochów i zaczęła okładać go pięściami po twarzy, torsie, ramionach.

Marco nie ruszał się i nie starał unikać razów.

Doprowadziło to Chiare do wściekłości. Przypominała rozjuszone zwierzę. W pewnej chwili chwyciła lampę i rzuciła nią w Marca. Potem zaczęła tłuc wszystko, co jej wpadło w ręce, złorzeczyć i przeklinać.

Kiedy dokonała już dzieła zniszczenia, nagle się uspokoiła. Z podniesioną głową podeszła do telefonu i wykręciła numer.

- Giovanni, to ty? - zapytała normalnym głosem. - Musisz zaraz po mnie przyjechać. Marco będzie miał dziecko z pewną dziewczyną, w której jest zakochany. Chcę wrócić do domu. Tak, natychmiast. Dziękuję. Idę spakować walizkę - oświadczyła, odkładając słuchawkę.

- Zatelefonuję do ciebie w najbliższych dniach... Przyślę ci twoje rzeczy i...

- Nigdy więcej tego nie rób.

Zabraniam. Wyrzuć wszystko. Nie chcę niczego, co by mi przypominało ciebie i ten dom.

Kopnęła rozbitą wazon i poszła do swego pokoju; wychodziła właśnie z małą torbą w ręce, gdy zadzwonił dzwonek.

- Nie odprowadzaj mnie, znam drogę - zasyczała, kierując się w stronę przedpokoju.

Mijając kanapę, pochyliła się i zabrała paczuszkę, którą Marco upuścił na ziemię. Kiedy Chiara wkładała ją do torby, Marco zauważył, że paczuszka przewiązana jest wstążką w takim samym kolorze jak papier. Usłyszał wkrótce, że drzwi wyjściowe zatrząskują się za nią, potem rozległo się skrzypienie bramy. Rozejrzał się wokół i pomyślał, że przeżył prawdziwy kataklizm. Został sam wśród skorup i niewyobrażalnego bałaganu.

Po upływie tygodnia zadzwoniła do niego Giovanna i poprosiła, by porozumiał się jak najszybciej z adwokatem.

Rozmawiała obojętnym tonem i wyraźnie gdzieś się spieszyła, lecz zanim odłożyła słuchawkę, Marco zdążył zapytać: - Jak się miewa Chiara?

- Dziękuję, świetnie.

Chiara zażądała separacji za obopólną zgodą i podpisała upoważnienie na sprzedaż domu nad Iseo, który wraz z połową willi na via Alberto Mario miał przypaść Marcowi. Nie chciała też alimentów ani żadnych przedmiotów czy mebli, które były jej własnością.

Takie zachowanie rozdrażniło Marca, toteż zamiast wyrzutów sumienia poczuł złość; za pośrednictwem swego adwokata wymógł na sądzie przyznanie żonie domu nad Iseo, nie zamierzał bowiem ciągnąć zysków z separacji.

Sędzia wezwał ich trzy miesiące później i separacja stała się faktem. Chiara nie odezwała się ani razu do męża i nawet się z nim nie pożegnała.

Część trzecia

Margherita

Margherita wtuliła głowę w poduszkę, ale i tak słyszała, że Sara popłakuje. Robiła to w dzień i w noc. Nawet płacz tej półrocznej, wątłej dziewczynki pozbawiony był siły i energii, przypominał raczej nieznośne, ciche miauczenie.

- Dosyć - krzyknęła

Margherita. Sara oczywiście nie przestała płakać i Margherita musiała wstać po raz szósty. Zapaliła światło i pochyliła się nad łóżeczkiem. Mała zgubiła smoczek, Margherita wepchnęła go jej ze złością do buzi i lekko nią potrząsnęła.

- Dosyć - wrzasnęła znowu.

Dziewczynka wypluła smoczek i ponownie zaczęła płakać. Niczego nie chciała, o nic nie prosiła; wydawało się czasami, że wyraża w ten sposób niezadowolenie ze swego przyjścia na świat. Myśl ta wstrząsnęła Margheritą, podniosła córeczkę z łóżeczka i przytuliła do siebie, obsypując pocałunkami. Poniżej wypukłego, zbyt wypukłego czoła widać było szparki czarnych skupionych oczek. Mała miała zapadnięte policzki, płaski nos, usta przypominały bezkształtny różowy pączek i kiedy je otwierała, wyginały się smutno w podkówkę.

Margherita myślała czasami, że byłaby może czulszą matką, gdyby miała uśmiechnięte i pulchne dziecko, jak z reklam zasypki dla niemowląt albo pieluszek. Czy łatwiej jest kochać ładne dziecko? - zastanawiała się nieraz. Chyba tak: matka traktuje je wtedy jako nagrodę za swoje trudy, uroda zawsze pociąga i rozczula. Sara, przytulona do matki, płakała w dalszym ciągu i Margheritę wzruszyła nagle ta pomarszczona buzia i zalane łzami oczki.

- Cicho, malutka, cicho - kołysała Sarę.

Położyła córeczkę delikatnie w łóżeczku i wróciła pod kołdrę. Marco był w Hamburgu i widok pustego miejsca obok przygnębiał ją. W pierwszych miesiącach ich wspólnego życia towarzyszyła mu często w podróżach służbowych, ale odkąd urodziła się Sara, nie było to już możliwe, zwłaszcza że niewielka powierzchnia mieszkania nie pozwalała na przyjęcie na stałe opiekunki do dziecka.

To była ich pierwsza i na szczęście jedyna kłótnia. Skoro nie zamierzali gnieździć się w klitce na via Solferino, chciała zacząć z nim nowe życie w domu przy via Alberto Mario. Dużym, wygodnym, z ogrodem. Nie było jednak sposobu, by przekonać do tego Marca.

- Spędziłem tam dziesięć lat z Chiara - oznajmił ponuro. - Nie rozumiem, jak możesz myśleć o wprowadzeniu się do domu innej kobiety.

- To jest twój dom, zapisany na ciebie! Jestem wolna od takich sentymentalnych przesądów!

- To nie sentymentalne

przesady, ale dowód wrażliwości i dobrego wychowania. Chcę mieszkać z tobą i dzieckiem, a nie z widmami przeszłości. Nie wracajmy do tego więcej.

- Dlaczego go w takim razie nie sprzedasz?

- Dlatego, że zostawił mi go dziadek, a pewnego dnia ja zostawię go mojemu dziecku. Nie sprzedaje się domów rodzinnych.

W oczekiwaniu na kupno lub wynajęcie czegoś nowego przenieśli się do drogiego dwupokojowego mieszkania, które Marghericie wydawało się momentami luksusowym więzieniem. Żadne z nich nie miało jednak czasu, by poszukać owego idealnego domu. Zanosilo się na to, że pozostaną w tym miejscu jeszcze bardzo długo.

Sara znów zaczęła cicho płakać i Margherita podbiegła do łóżeczka, chwyciła małą, podniosła do góry i zaczęła nią potrząsać, jak gdyby była szmacianą lalką.

- Nie wytrzymam tego dłużej, przestań. Przestań, rozumiesz?

Wrzuciła ją do łóżeczka i zatykając uszy, pobiegła do kuchni. Usiadła na krześle, ukryła twarz w dłoniach. To ponad moje siły, pomyślała wybuchając płaczem. Nienawidzę pracy, bo idę do agencji niewyspana i nie potrafię wymyślić

niczego sensownego. Nienawidzę Marca, bo zawsze jest taki spokojny i sympatyczny: nawet nie domyśla się, co przeżywam. Nienawidzę Sary, bo kocham ją całą duszą, ale nie potrafię być dobrą matką i mam z tego powodu wyrzuty sumienia. Staję się nerwowa i agresywna.

Mała płakała coraz głośniej i Margherita pobiegła szlochając do pokoju. Wzięła Sarę na ręce i położyła się razem z nią do łóżka. Pochyliła się nad córką, opierając na łokciach, i płakały dalej obie. Opiekunka do dziecka nazywała się Dina. Przychodziła rano punktualnie o ósmej i wychodziła o wpół do siódmej. Miała czterdzieści lat, duże doświadczenie i miły sposób bycia. Czasami Margherita podejrzewała, że Dina nie lubi jej specjalnie, ale nie zwracała na to uwagi, gdyż była bardzo przywiązana do dziecka.

- To pani przekazuje jej tę nerwowość - powtarzała. - Dzieci wszystko od razu wyczuwają.

Kiedy Margherita wracała do domu, Dina witała ją wymówkami:

- Dlaczego nie posiedzi pani spokojnie w biurze? To bieganie tam i z powrotem tylko panią męczy, a Sara wcale tego nie potrzebuje.

To ona, Margherita, tego potrzebowała. Czuła niemal fizyczne pragnienie zobaczenia córeczki i zdarzało się, że przerywała jakąś pracę i zastanawiała się, co z małą. Dzwoniła wtedy do domu, przerażona myślą, że może wypadła z łóżeczka albo udusiła się poduszką.

Tego ranka Dina jak zwykle przyszła punktualnie.

- Wygląda pani okropnie - zauważyła od razu i Margherita nie wiedziała, czy opiekunka mówi to w trosce o nią czy po to, by sprawić jej przykrość.

- Sara całą noc płakała.

- Dała jej pani trochę

rumianku? Albo odrobinę wody? Mamy często zapominają, że dzieciom chce się pić.

- Będę o tym pamiętać. Idę się ubrać, przewinie pani Sarę?

- Proszę się nie martwić. I niech pani nie dzwoni, żeby się dowiedzieć, jak się mała czuje.

Wyszła o ósmej trzydzieści i o dziewiątej była już w agencji. Przy windzie spotkała Teresę i Paola, pracowników firmy, i poszła z nimi na kawę. Nikt nie mógł jej zarzucić, że wiążąc się z szefem stała się zarozumiała albo zyskała z tego tytułu jakieś przywileje. Czekala jak wszyscy na rozmowy z Markiem, pukala w drzwi przed wejściem do gabinetu, przyjmowała jego krytyczne uwagi, była chętna do współpracy i szanowała cudzy trud.

Chciała od czasu do czasu zaprosić na kolację któregoś z kolegów, ale Marco nie znosił życia towarzyskiego. Już na samym początku znajomości zauważyła, że właściwie nie ma przyjaciół, a kiedy podzieliła się z nim tym spostrzeżeniem, odparł: - Spędzam cały czas na zebraniach i obiadach służbowych. Później chcę tylko odpocząć i posiedzieć w domu.

Po wypiciu kawy Margherita pożegnała się z Paolem i Teresą i udała do swego pokoju. Jeden ze znanych jubilerów z prowincji zwrócił się do agencji z bardzo „ambitną” propozycją: pragnął z anonimowego producenta przeobrazić się w znaną firmę jubilerską. Marco przekazał sprawę Marghericie, która parę dni temu odbyła pierwszą rozmowę z klientem.

Serafin, tak bowiem nazywał się ów człowiek, był mężczyzną około pięćdziesiątki, wielkim jak szafa. W okrągłej i czerwonej twarzy błyszczwały małe, świdrujące oczka, w których malował się upór i skupienie. Wiedział dobrze, do czego dąży: - Chcę stać się Bulgarim dla klasy średniej, to znaczy dla zwykłych ludzi, którzy odwiedzają jubilera, żeby kupić coś z okazji chrztu, urodzin czy jakiejś rocznicy - wyjaśnił Marghericie. - Na rynku obowiązuje tylko jedno kryterium: waga złota. Mąż, który kupuje żonie kolie, albo matka chrzestna, która chce podarować medalik swemu chrześniakowi, biorą biżuterię do ręki i sprawdzają jej ciężar, nie zastanawiając się nawet, jaka firma jubilerska wyprodukowała to cacko. Jedyną wartość ma dla nich kruszec.

Serafin marzył, by jego produkcja miała jeszcze jeden walor: oryginalny styl.

- Po Cartierze, Bulgarim lub Faraonem nie ma już nikogo i ja zamierzam wypełnić tę lukę - dodał. - Utrzymując ceny na średnim poziomie, a więc konkurencyjne

wobec „anonimowej” biżuterii na wagę, chcę doprowadzić do tego, aby ludzie chętniej kupowali wyroby wytworzone przez Serafina, właściciela wyróżniającej się firmy, co podniesie wartość prezentu.

- O renomie firmy decyduje przede wszystkim cena - zauważyła Margherita. - Versace nie byłby tym, kim jest, gdyby jego ubrania tyle nie kosztowały. Cena jest też odzwierciedleniem społecznego statusu. Zwracam uwagę, że kampania reklamowa również znacznie zwiększa pierwotny koszt.

Serafin potrząsnął głową: - To nie sztuka wyróżniać się na rynku wygórowanymi cenami. Proszę się nie martwić wyższymi kosztami, mogę sobie na to pozwolić. Pani zadaniem jest wylansować moją firmę tak, bym stał się konkurencyjny dla innych.

Od trzech dni biurko

Margherity pełne było

fotografii, książek, wycinków i folderów; studiowała wszystko, co dotyczyło złota, w poszukiwaniu genialnego pomysłu na rozreklamowanie firmy Serafina.

Marco powierzył jej tego klienta i był pewny, że sobie poradzi. Ciekawe, czy zauważył, pomyślała nagle, że czuję się pusta i przechodzę kryzys? Miała ochotę teraz się roześmiać: zafascynowany jej witalnością, porzucił nudną żonę po to, by związać się na odmianę z nudną kochanką.

Wróci z Hamburga za dwa dni.

Nie wspomniał ani razu o

Chiarze, jakby wcale nie

istniała. Dowiedziała się

przypadkowo od przyjaciółki,

która знаła Giovannę, że Chiara

zamieszkała u matki i że

spędziła trzy miesiące w

szwajcarskiej klinice. Ciekawe, czy do Marca dotarła ta informacja? Czy ma czasami wyrzuty sumienia albo za nią tęskni? Sądząc z pozorów, nie. Był zawsze miły i cierpliwy. A także pragnął jej jak na początku znajomości.

Chwilami jednak Margheritę ogarniał niepokój: było coś chłodnego w ich wzajemnych kontaktach. Wobec córki Marco również nie zachowywał się zbyt wylewnie. Uśmiechał się do niej, brał na ręce, ale stale z tym niezwykłym opanowaniem charakteryzującym kogoś, kto chce uchodzić za idealnego ojca.

Jesteś histeryczką, skrzyczała sobie w myślach. Marco okazał się silny i godny zaufania, taki, jakim wydał ci się przy pierwszym spotkaniu. Wolałabyś, żeby był słaby psychicznie i postępował jak egoista? By dręczyły go napady melancholii? Nie, pomyślała. Chciałabym tylko wiedzieć, czy pogoda ducha, jaką demonstruje, jest prawdziwa. Chciałabym, żeby łączyło nas coś głębszego niż seks, bo mogę być go pewna tylko wtedy, kiedy przyciąga mnie do siebie z gwałtownym pożądaniem.

Serafin uśmiechał się do niej

z fotografii w folderze i

Margherita zdrętwiała: ludzie

nie mogą kojarzyć twarzy

prymitywnego wieśniaka z

elegancką biżuterią, którą ona ma wylansować. Z drugiej strony to byłoby jednak zbyt łatwe, gdyby Serafin miał urok Armaniego, a jego chłodne, niebieskie oczy wpatrywały się w świat nieosiągalnej doskonałości.

Muszę skupić się wyłącznie na kampanii reklamowej, pomyślała. Wymyślić Bulgarię dla ubogich, zaśmiała się w duchu, koncentrując się wreszcie na pracy.

Marco przyjechał z Hamburga następnego dnia wieczorem, wcześniej, niż zamierzał, i zadzwonił z domu do agencji.

- Jeszcze tam jesteś? -

zapytał wesoło.

Margherita spojrzała na zegarek i spostrzegła, że jest już prawie ósma. Ucieszyła się na dźwięk jego głosu, ale pomyślała zaraz, że opiekunka do dziecka

na pewno już się denerwuje i chce iść do domu. Umówiły się na początku, że tylko w wyjątkowych wypadkach Dina zostawać będzie do szóstej, jednakże od jakiegoś czasu Marghericie często zdarzało się spóźniać co najmniej o godzinę. Zamknęła biuro i popędziła do domu. Dina zostawiła małą Marcowi i poszła sobie. Zastała go w kuchni z Sarą na rękach, zajętego przygotowywaniem przecieru z jarzyn. Ucałowała go na powitanie.

- Dlaczego mnie nie

uprzedziłeś, że wrócisz dzień wcześniej?

- W ostatniej chwili okazało się, że umówione spotkanie nie doszło do skutku, pojechałem więc od razu na lotnisko. Saro, bądź grzeczna.

Mała zaczęła się wrywać. Spoglądała na łyżeczkę, krzywiąc się, jakby miała się rozpłakać.

- Daj mi ją. Za pół godziny położę Sarę spać i przygotuję kolację.

Usiedli do stołu prawie o dziesiątej. Marco wyglądał na zmęczonego, z sypialni dochodził płacz małej, który jak zwykle zdenerwował Margheritę.

- Musimy przeprowadzić się i wziąć opiekunkę na stałe - oznajmiła, złoścąc się na siebie w duchu; to nie była z pewnością właściwa chwila na podejmowanie tego tematu.

- Jeśli uda mi się zawrzeć kontrakt z Niemcami, za dwa lata będę mógł kupić nowe mieszkanie.

Opanowany głos Marca nie uspokoił Margherity.

- Myślisz, że wytrzymam tu jeszcze dwa lata?

- Kochanie, nie musimy chyba o tym teraz rozmawiać, jestem wykończony.

- A ja to nie? Od pół roku nie mogę przespać spokojnie jednej nocy, bo Sara budzi mnie bez przerwy. Brakuje mi przestrzeni życiowej, duszę się.

Ponieważ milczał, dodała: - Gdybyśmy chociaż mogli wziąć opiekunkę do dziecka na stałe... Rozwiązałyby to wszystkie problemy.

- Wiem, ale na razie nie możemy.

- Po co kupowałeś ten

przeklęty dom nad jeziorem?! Zadłużyłeś się, a ta pani nigdy tam nie zamieszkała.

- Skąd wiesz? - zapytał lodowatym tonem.

- Dowiedziałam się od

przyjaciółki twojej szwagierki, Terenghi. Ale...

- Czego jeszcze się dowiedziałaś?

Margherita wzruszyła ramionami.

- Niczego. Dajmy temu spokój, wybraliśmy najgorszy moment do rozmowy.

- To ty wybrałaś, nie ja.

Proszę cię przy okazji, abyś przestała zajmować się tymi plotkami z magla. Dom nad Iseo należy do Chiary i może z nim robić, co jej się podoba. My mamy własne życie, a ona swoje. To nie nasza sprawa, rozumiesz?

Sara w dalszym ciągu płakała. Margherita zerwała się i pobiegła do sypialni, lecz mała nie uciszyła się nawet wtedy, kiedy Margherita zapaliła światło i wzięła ją na ręce. Sara patrzyła na matkę nieobecnym wzrokiem, jak gdyby to nie ona sama pochlipywała żałośnie. Margherita uszczypnęła ją w rączkę.

- Przestań, do jasnej cholery!

- Co ty wyprawiasz, chcesz teraz wyładować się na córce?

Marco wydawał się bardziej zasmucony niż zły. Zabrał Marghericie dziecko, po czym objął ją.

- Spróbuję jakoś załatwić sprawę domu. Połóż się, zajmę się małą.

Margherita od razu usnęła. Gdy otworzyła oczy wyrwana czymś ze snu, była trzecia w nocy. Marco spał obok niej. Zdziwiła się, że nie usłyszała, kiedy się położył. Ale nie zauważała i nie rozumiała już tylu rzeczy!

Po raz pierwszy pomyślała o Chiarze ze współczuciem. Czy ona też wpadła w rozpacz, dochodząc do wniosku, że jej małżeństwo okazało się pomyłką?

Nie mogła się powstrzymać, by nie obudzić Marca. Potrząsnęła go za ramię, wymówiła dwa razy jego imię: otworzył oczy i spojrzał na nią.

- Margherito, co się stało?

- Nic. Chciałam ci tylko powiedzieć, że cię kocham.

Przepraszam za wczoraj, byłam...

Objął ją w serdecznym odruchu.

- To ja przepraszam. Już dawno powinienem się domyślić, co cię dręczy. Zastanowię się nad tym.

Odnaleźliśmy się, nic straszego się nie stało, pomyślała Margherita uszczęśliwiona, kiedy Marco z westchnieniem przyciągał ją do siebie.

Dowiedziała się o wszystkim przypadkiem od Teresy, w dwa dni później. W przeciwieństwie do ojca, matka Marca okazywała Marghericie od samego początku wiele sympatii. „Mój syn potrzebował takiej aktywnej i pełnej energii kobiety jak ty”, oświadczyła przy pierwszym spotkaniu. „Nie, żebym nie lubiła Chiarę”, dorzuciła z porozumiewawczą miną, „ale byłam pewna, że Marco prędzej czy później się nią znudzi. Nie miała żadnych zainteresowań, była apatyczna, nie widziała świata poza mężem i w końcu musiał mieć tego dość.”

Teresa wyglądała na bardzo przywiązana do Sary i w odróżnieniu od męża, który interesował się wnuczką tylko na tyle, na ile było to konieczne, przychodziła co najmniej raz w tygodniu, żeby ją odwiedzić, a jeszcze częściej dzwoniła.

W trakcie jednej z rozmów telefonicznych, gawędząc o tym i owym, Teresa wyznała:

- Cieszę się bardzo z decyzji Marca, chociaż będzie trochę zamieszania...

Co ona ma na myśli?, zastanawiała się Margherita. Milczenie musiało trwać dość długo, bo w końcu Teresa, nie mogąc doczekać się reakcji, powiedziała nieco stropiona:

- Mój syn chciał ci chyba zrobić niespodziankę! Otóż chodzi o to, że najpóźniej za miesiąc zamieszkacie na via Alberto Mario. Marco zamówił już ekipę remontową i za dwa dni przywiezie do nas stare meble.

Na szczęście mamy wolny strych...

- Ale skąd pani o tym wie?

- Od Marca, moja droga! Cieszę się, że zmądrzał. To był idiotyczny pomysł, żeby zajmować taką klitkę, gdy dwustupięćdziesięciometrowe mieszkanie stoi puste.

- Ja też tak uważałam, ale on nie chciał zamieszkać w domu, w którym żył z Chiarą - odrzekła szczerze Margherita.

- Bzdury - ucięła krótko

Teresa. - Pewnie będziesz potrzebowała pomocy przy zakupie nowych mebli. Jeśli chcesz, mogę z tobą pochodzić po sklepach.

- Dziękuję, jest pani bardzo miła.

Dlaczego Marco nic mi nie powiedział?, pomyślała po odłożeniu słuchawki. Zapytała o to i zauważyła, że wprawiła go w zakłopotanie.

- Powiedziałbym ci tak czy owak - odparł wymijająco.

- Ale dlaczego nie od razu?

Wolałabym usłyszeć tę radosną nowinę od ciebie, a nie od twojej matki.

Widząc, że jest coraz bardziej zmieszany, poczuła się winna.

- Przepraszam, zadaję

idiotyczne pytania. Wiem, jak trudno się na coś takiego zdecydować, i mogę ci być tylko wdzięczna. Wszystkie problemy się skończą, zobaczysz.

I rzeczywiście tak się stało. Na odnowienie domu wystarczyło dziesięć dni.

Margherita wzięła tydzień urlopu i przy pomocy Teresy wybrała nowe meble.

Chciała, żeby były nowoczesne,

proste i wesołe. Przede

wszystkim jednak - zdała sobie z

tego sprawę po zakończeniu prac

- inne niż meble Chiary.

Zrozumiała, że udało jej się osiągnąć cel, kiedy Marco, wchodząc do środka i rozglądając się po wnętrzu, powiedział:

„Wydaje mi się, że jestem tu po raz pierwszy, wszystko wygląda jak nowe”. Odwrócił wzrok od obrazu Fiumego, jedynej rzeczy, jaka została po Chiarze. Nic nie powiedział natomiast o zmianie przeznaczenia niektórych pomieszczeń: w dawnej sypialni miała teraz spać Sara, opiekunka dostała pokój obok, zaś pokój gościnny od frontu stał się ich sypialnią.

Był mały problem z Diną, która na początku upierała się, że będzie wieczorami wracać do siebie, ale znaczna podwyżka pensji i przywiązanie, jakie żywiła do Sary, w końcu ją przekonały. Odtąd miała wolne we wtorki od szóstej i w każdą niedzielę, w pozostałe dni zaś nocowała na via Alberto Mario. Przez pierwsze tygodnie Margherita budziła się często w środku nocy z sercem w gardle; dlaczego nie słyhać płaczu Sary? Ale zaraz się uspokajała; no tak, przecież jest teraz przy niej Dina.

Wszystko wskazywało na to, że Sara polubiła nowy dom. Kiedy Margherita wracała wieczorem, już bez pośpiechu i zdenerwowania, zastawała ją siedzącą spokojnie na wysokim krzeselku albo pośród poduszek na dywanie w salonie.

Przestała płakać, a nawet kilka razy uśmiechnęła się do matki. Margherita mogła się odprężyć, czuła się znów szczęśliwa i pełna energii.

XIV

Jak co roku, również i tego lata Marco wziął urlop w sierpniu. Piątego miał pojechać z Margheritą i Sarą nad morze, ale dzień wcześniej Dina zastukała gwałtownie do drzwi sypialni, aby powiedzieć, że mała zachorowała. Sara miała wykrzywioną i czerwoną twarzą, ciałem wstrząsały drgawki. Oczy wpatrywały się nieruchomo w jakiś odległy punkt. Margherita krzyknęła przerażona, Marco rzucił się do telefonu, żeby wezwać pediatrę.

- To atak konwulsji -

oświadczyła Dina spokojnym tonem, który kontrastował z przestraszonym wyrazem twarzy.

Kiedy niecałą godzinę później przyszedł lekarz, potwierdził diagnozę opiekunki i wyjaśnił, że występujące czasami u dzieci konwulsje, którym towarzyszy wysoka gorączka, mogą być spowodowane zatruciem pokarmowym albo podwyższonym poziomem acetonu. Przepisał środek przeciw gorączkowy i uspokajający w czopkach.

- Byłoby jednak lepiej -

powiedział na pożegnanie - zrobić elektroencefalogram, żeby wykluczyć inne, mało zresztą prawdopodobne przyczyny.

Margherita spędziła resztę nocy przy Sarze, z sercem ściśniętym niepokojem, niezdolna oderwać wzroku od jej rozpalonej buzi.

Następnego ranka zawieźli małą do szpitala i badanie wykluczyło ewentualne uszkodzenie mózgu. Na wszelki wypadek wykonano też analizę krwi oraz skontrolowano przemianę materii, lecz wszystkie wyniki były w normie. Sara nie chciała jednak jeść i schudła cztery kilo. Była apatyczna i jakby nieobecna, poruszała się w zwolnionym tempie. Pediatra odradził wakacje nad morzem; lepsze byłyby niewysokie góry. Marco odwołał więc rezerwację w hotelu, lecz jak to bywa w połowie sierpnia, nie udało mu się już znaleźć nigdzie indziej wolnych miejsc. - Dlaczego nie zadzwonisz do cioci Egle? - poradziła synowi Teresa. - Nawet jeśli ta stara wariatka zaprosiła do siebie pełno przyjaciółek z Padwy, to i tak powinna was przyjąć.

Z brzmienia głosu łatwo się było domyślić, że Teresa nie lubi szwagierki.

Egle miała stary dom w San Zeno, w górach niedaleko Lago di Garda. Marco przypomniał sobie, że spędzili tam razem z Chiarą tydzień pierwszych wakacji po ślubie; pamiętał długie spacerunki, kwieciste łąki, partie monopolki na werandzie. Na myśl, że może się tam znaleźć, zrobiło mu się przykro, tym bardziej że Egle, dowiedziawszy się o separacji, zadzwoniła do Marca i powiedziała mu prosto z mostu, co o tym sądzi. Z okazji urodzin Sary przysłała krótki telegram, nie chciała też przyjechać na chrzciny.

Nie znała więc ani małej, ani Margherity. Marco wątpił, by ciotka, niemal uwielbiająca Chiarę, mogła obdarzyć takim samym uczuciem kobietę, którą uważać musiała za uzurpatorkę. San Zeno wszakże było jedynym rozwiązaniem; Sara nie powinna przecież w takim stanie zdrowia spędzać lata w Mediolanie. Nie było mowy o tym, żeby pojechać do domu rodziców Margherity w Madesimo: ojciec nie krył antypatii do Marca i swej dezaprobaty dla decyzji córki, która postanowiła związać się z żonatym mężczyzną.

Egle została najprawdopodobniej uprzedzona przez brata, pomyślał Marco. Kiedy bowiem zadzwonił, prosząc, by ciotka użyczyła im gościny, nie okazała zdziwienia.

- Pierwsze piętro jest wolne - oznajmiła chłodno. - Musisz mnie tylko dostatecznie wcześniej zawiadomić, kiedy przyjeżdżacie; pościelę wtedy łóżka i każę przynieść butlę gazową do kuchenki.

- Moglibyśmy przyjechać już jutro, jeśli to możliwe. Mała jest chora i upały bardzo jej szkodzą.

Zjawili się w San Zeno późnym popołudniem dziesiątego sierpnia. Czy Margherita

wiedziała, że to właśnie w domu Egle Marco poznał Chiarę i że ciotka odegrała ważną rolę w ich małżeństwie? Marco zastanawiał się nad tym, parkując samochód i modląc się w duchu, by najbliższe dwa tygodnie minęły spokojnie i bez konfliktów. Pomógł Marghericie wysiąść, wyjął ze środka becik z Sarą.

W tym momencie ciocia Egle stanęła w progu i pomachała ręką na powitanie. Zawahała się przez chwilę, po czym wyszła im na spotkanie.

- Witajcie - powiedziała, pozwalając ucałować się bratankowi.

- Ciociu, to jest Margherita

- uśmiechnął się Marco, próbując zachowywać się naturalnie.

- Bardzo mi miło - odparła ciotka, podając rękę Marghericie. - A to zapewne mała

- dodała, pokazując becik.

Weszli prosto do kuchni. Sara od razu obudziła się i zaczęła płakać. Margherita wzięła ją na ręce i mała uspokoiła się.

- Ale chudziutka - zauważyła

Egle i pogłaskała ją po policzku, wyraźnie wzruszona.

Dziewczynka otworzyła szeroko

oczy i znów zaczęła płakać

- Może jest głodna.

- Nie sądzę - westchnęła

Margherita. - Prawie nic nie je, bardzo mnie to martwi.

- Powietrze w San Zeno czyni cuda, zobaczycie. Marco, chcesz kawę? A pani?
- Mów do niej Margherita. Tak, chętnie napiję się twojej wyśmienitej kawy. Ale widzę, że jesteś sama. Gdzie się podziały twoje padewskie przyjaciółki?

Egle zacisnęła usta: - Były tu siostry Sogliani, pamiętasz je? Dziś rano wyjechały do Padwy, obawiały się, że będą wam przeszkadzać.

Marco pomyślał, że ciotka sama odesłała je do domu. Sogliani znały Chiare jeszcze w czasach, kiedy studiowała na uniwersytecie, i bardzo ją lubiły. To zrozumiałe, że ciotka chciała uniknąć kłopotliwych komentarzy. Powiedział jednak tylko:

- Przykro mi, że popsułem ci wakacje.

- Nie martw się, w moim wieku ma się wakacje przez cały rok. A poza tym cieszę się, że pobędę trochę z tobą.

Co do tego Marco nie miał żadnych wątpliwości: był jej jedynym bratankiem, synem wprost uwielbianego przez nią brata, i już w dzieciństwie psuła go i rozpieszczała. Małżeństwo z Chiarą napełniło ją dumą, a teraz dawała dowód miłości do niego, przyjmując pod swój dach „tę drugą”.

- Mieszkanie na pierwszym piętrze jest samodzielne - wyjaśniła Marghericie. - Jest tam łazienka i mała kuchnia, możecie czuć się jak u siebie w domu.

Marco wtrącił szybko: - Nie ma mowy. Skoro zostałam sama, będziemy razem prowadzić gospodarstwo. Nie masz ochoty nieco zająć się małą?

XIV

(cd.)

W następnych dniach okazało się, że ciocia Egle przelała na Sarę miłość, którą darzyła bratanka: rano wchodziła na palcach do pokoju, żeby wziąć małą na ręce. Zanosila ją do kuchni, przygotowywała mleko z biszkoptami i karmiła ją cierpliwie. Potem rozkładała pled pod wielkim klonem w ogrodzie i bawiła się z nią, kiedy zaś szła po zakupy, sadzała ją w wózku i zabierała ze sobą. Sara odwzajemniała uczucie i na jej widok za każdym razem wyciągała rączki lub siedząc sztywno na krzesełku, przyglądała się jej uważnie i przesyłała jeden ze swoich rzadkich uśmiechów, któremu towarzyszyło wesołe gaworzenie.

Między Egle a Margheritą natomiast zapanowały stosunki poprawne, pozbawione jednak - co stwierdził z przykrością Marco - jakiegokolwiek serdeczności. Było jasne, że obie kobiety się nie lubią: Margherita odnosiła się do ciotki z podejrzliwością, Egle zaś traktowała ją całkowicie obojętnie, unikając wszelkich słów czy gestów, które mogłyby zdradzić jakieś emocje. Któregoś wieczoru, kiedy Marco sprzątał po kolacji, zauważył, że ciotka przygląda się Marghericie spod przymkniętych powiek, a na jej twarzy malują się na przemian zaskoczenie, niechęć, chłód.

Pewnego ranka Margherita, znalazłszy się w kuchni (zawsze wstawiała ostatnia), pochyliła się nad Sarą i pocałowała ją w czołko.

- Szkoda, że jesteś takim brzydkim kaczątkiem - zażartowała.

Egle spiorunowała ją wzrokiem:

- Sara jest cudownym dzieckiem, ale żeby się rozwinąć, potrzebuje miłości - wybuchnęła, tracąc panowanie nad sobą.

- Czy chce pani przez to

powiedzieć, że nie dość ją kocham? - zareagowała ostro Margherita.

Wcześniej czy później musiało dojść do konfliktu, pomyślał ze smutkiem Marco. Przypomniał sobie wyraźnie inne odległe poranki w tej samej kuchni. Chiara zbiegała z góry, przeskakując stopnie, i rzucała się wygłodniała do lodówki.

Ciocia Egle zaś wołała:

„Chwileczkę, niech chociaż nakryję do stołu”. Potem siadali przed kubkami z dymiącym mlekiem i moczyli w nim słodkie bułeczki prosto z pieca, gawędząc beztrąsko.

Egle przepraszała teraz Margheritę: - Wiem, że kocha pani córeczkę, ale... Dajmy temu spokój, jestem wścibską staruchą, nie chciałam pani obrazić, proszę mi wierzyć.

To lodowate słowo „pani”, przy którym upierała się ciotka... Marco głośno westchnął. Z przerażeniem usłyszał, jak Margherita odpowiada: - Czemu mamy dać spokój? I z jakiego powodu?

Egle spojrzała na nią: -

Przeprosiłam panią. Nie zamierzam wszczynać kłótni.

Ton był uprzejmy, ale nie dopuszczał żadnej dyskusji.

Później, kiedy Marco został sam z ciotką, powiedział po prostu:

- Wiem, że kochałaś Chiare, ale to już przeszłość.

- Ja kocham Chiare. Myślę o niej cały czas, próbowałam wiele razy się z nią skontaktować, ale nie udało mi się.

- Dlaczego ci się nie udało? - zapytał z ciekawością w głosie Marco.

- Czy wiesz, że po zakończeniu waszej sprawy w sądzie była w tak złym stanie, że przez trzy miesiące musiała się leczyć w klinice? Opowiedziała mi o tym jej siostra Giovanna. To z nią rozmawiałam za każdym razem, gdy do nich dzwoniłam. Jest bardzo miła i początkowo wydawało się, że cieszą ją moje telefony. Nie chciała jednak ani razu przywołać Chiary. W zeszłym tygodniu poprosiła mnie, żebym więcej nie telefonowała. Chiara dopiero teraz zaczyna wracać do zdrowia, od miesiąca pracuje i Giovanna twierdzi, że kontakt z przeszłością mógłby jej zaszkodzić. A ja jestem częścią tej przeszłości i mogłabym wywołać zbyt bolesne wspomnienia. W ten sposób... straciłam ją.

- Przykro mi - wyszeptał Marco

- naprawdę mi przykro.

- Wiem, ale nie potrafię

odpowiedzieć sobie na pytanie, czemu ją opuściłeś, i nie mogę się z tym pogodzić. Byliście tacy szczęśliwi. Pamiętam, kiedy ją poznałeś i jak przyjeżdżaliście do Padwy... Nigdy nie widziałam tak zakochanej pary. Byliście dla siebie stworzeni. Nie sądziłam, że taka wielka miłość może się skończyć... - Egle nie próbowała teraz ukryć łez.

- Wiele się wydarzyło, ciociu.

Ja też nie wierzyłem, że kiedyś się rozstaniemy, ale stało się. Teraz jestem z Margheritą i Sarą.

Dlaczego ogarnął go nagle taki smutek?

Egle pociągnęła nosem.

- Sara to wyjątkowe dziecko.

Ma zaledwie siedem miesięcy, a prawie wszystko rozumie. Tak, naprawdę ją lubię.

- Ale nie lubisz Margherity, prawda?

Ciotka zrobiła niecierpliwy gest.

- Nie znam jej wystarczająco dobrze. Czasami wydaje mi się zbyt impulsywna, zbyt... - przerwała, szukając odpowiedniego słowa.

- Chcesz powiedzieć, że zbyt różni się od Chiary? - podsunął Marco.

- Nie, to nie to. Niech Bóg mi wybaczy, ale moim zdaniem to kobieta, która spowodować może tylko same nieszczęścia. Siostry Sogliani twierdzą, że są tacy ludzie. Człowiek źle się czuje w ich towarzystwie. Myślę, że tak jest w przypadku Margherity.

Marco wpadł w złość.

- Dziwię się, że słuchasz tych dwóch sklerotycznych starych panien. To absurd, to... to czyste szaleństwo.

Egle zdawała się bardziej zatroskana niż obrażona.

- Chodzi mi wyłącznie o dobro dziecka. Margherita jest osobą, która nie umie myśleć o innych. Myśli tylko o sobie i nie wygląda nazbyt szczęśliwą, tyle jest w niej napięcia i twardości. Jestem pewna, że kocha córkę, ale nie potrafi zdobyć się na czułość, nigdy się do niej nie uśmiecha. Nie ma po prostu serca do Sary. Niechęć Margherity do otoczenia i jej ustawiczny niepokój udzielają się małej. Pracowałam jako nauczycielka przez czterdzieści lat i wiem, jaką krzywdę może wyrządzić dziecku taka matka jak ona.

Marco, którego zaniepokoiły ostatnie słowa ciotki, zaprotestował: - Jesteś wobec niej niesprawiedliwa. Zakochała się i związała z żonatym mężczyzną, ma z nim dziecko. Nie wiadomo, jaka będzie jego przyszłość. Wszystko to nie jest dla niej łatwe. Ja i Sara zmieniliśmy jej życie.

Marghericie trzeba dać trochę czasu, by mogła powrócić do równowagi psychicznej. Egle przyjrzała mu się z powątpiewaniem.

- Margherita nie jest typem kobiety biernej, która godzi się na wszystko bez zastrzeżeń. Jeżeli zmieniłeś jej życie, to tylko dlatego, że sama tego chciała.

- Osądzasz ją chyba zbyt

pochopnie, przecież znasz ją dopiero od kilku dni. A co do Sary, to z całą pewnością przesadzasz. Zgoda, Margherita nie ma do niej zbyt dużo cierpliwości, ale uwielbia małą. A poza tym Sara jest w wieku, w którym nie może zdawać sobie sprawy z nastrojów, jakim ulega jej matka.

- Skoro ci to odpowiada,

możesz tak sobie myśleć. Pozwól jednak, że sklerotyczna stara panna powie ci coś jeszcze: ty też nie jesteś dobrym ojcem. Bierzesz Sarę na ręce, jakby to była lalka, nigdy nie masz dla niej czasu. Nie zajmujesz się córką naprawdę. A przecież zawsze lubiłeś dzieci i czekałeś na własne prawie dziesięć lat.

Ale nie na dziecko Margherity, pomyślał Marco. Pragnąłem dziecka Chiary... Ta myśl wydała mu się jednak bardzo niestosowna.

Przez następne dni odczuwał niezrozumiały niepokój. Pewnego ranka, kiedy czytał w ogrodzie, Egle zbliżyła się do niego z małą na rękach, po czym położyła ją jak zwykle na pledzie pomiędzy dwiema poduszkami.

- Czy mógłbyś jej popilnować?

- zapytała. - Muszę iść na zakupy.

**Kiedy został sam z Sarą,
zaczął się jej bacznie**

przyglądać. Może chciał dociec, co naprawdę do niej czuje? Chyba ciocia Egle ma rację, pomyślał. Widzę w Sarze córkę, ale w sensie abstrakcyjnym, nigdy się nią rzeczywiście nie zajmuję. Jest coś, co mnie powstrzymuje i sprawia, że moja miłość do niej się nie uzewnętrznia. Nie odczuwam potrzeby brania jej na ręce, dotykania... Nie uświadamiam sobie, że jest „fizyczną” częścią mnie samego. Dlaczego?

Odpowiedź na to pytanie wstrząsnęła nim: dlatego, że nie jest dzieckiem Chiary. Od ponad roku zabraniam sobie o niej myśleć, ponieważ jej wspomnienie budzi we mnie smutek i poczucie winy. To poczucie winy nie pozwala mi zbliżyć się do Sary. Dziecko jest widowym dowodem tego, co uczyniłem Chiarze, jest dzieckiem, którego Chiara nie mogła mi dać, a które dała mi inna kobieta. Dlatego na widok małej myślę o okrucieństwie i cierpieniu.

Była to prawda, która go przeraziła. Sara patrzyła nań tymi swoimi dziwnymi, małymi oczkami, pełnymi jakiejś dojrzałej mądrości, i Marco pochylił się machinalnie, aby ją pocałować. Ciotka Egle ma rację, pomyślał ponownie. Potrafimy z Margheritą dać dziecku tylko miłość pełną lęków i zastrzeżeń. Uniósł buzię Sary na wysokość swojej twarzy i pocałował ją z wahaniem. Dziecko uśmiechnęło się i dotknęło palcem jego ust niczym ślepiec, który usiłuje nawiązać kontakt z drugim człowiekiem.

Marca ogarnął gorączkowy niepokój. Położył z powrotem małą na pledzie, jak gdyby parzyła go w dłoń, Sara przestraszyła się i zaczęła płakać. Na szczęście ciotka Egle wróciła z zakupów i podeszła do nich szybko, on zaś mógł spokojnie oddalić się pod jakimś pretekstem.

Rano dwudziestego sierpnia zadzwonił do Marca z Mediolanu Vianello, aby go powiadomić, że Franco Elestici po powrocie z urlopu złożył wypowiedzenie i teraz nielojalnie próbuje podkupić im dwóch ważnych klientów, których, jak twierdzi, sam znalazł i z którymi zaczął już pertraktować.

- Wracam do Mediolanu, zostaw to mnie - powiedział Marco, odkładając słuchawkę. Wyjechał z San Zeno jeszcze tego samego ranka, obiecując Marghericie, że wróci najszybciej jak będzie mógł; pobęda u ciotki jeszcze kilka dni, po czym wróca do domu.

Sprawa Elesticiego okazała się bardziej delikatna i skomplikowana, niż Marco

przypuszczał również i dlatego, że jeden z klientów zażądał, by Elestici zajął się osobiście jego kampanią reklamową niezależnie od tego, w jakiej agencji będzie pracować.

Rzeczywiście Franco Elestici był wybitnie zdolnym, najlepszym pomysłodawcą w „Agencji Zambiasi”. Błędem prawdopodobnie było nie dopuszczenie go do interesów, ale Marco nie tylko należał do indywidualistów, ale wierzył bezgranicznie w znaną maksymę, która głosi, że idealne spółki składają się z nieparzystej liczby wspólników mniejszej niż trzy.

Teraz, choć dymisja

Elesticiego stwarzała wiele problemów natury praktycznej, Marco ucieszył się, że nie uległ kiedyś pokusie zrobienia go swoim wspólnikiem. Ich stosunki popsuły się, odkąd Margherita, w której Elestici wyraźnie był zakochany, stała się oficjalnie przyjaciółką Marca. Wspominając podejrzliwość i skrupowanie, jakie panowały między nimi od miesiąca, Marco był mimo wszystko zadowolony, że Elestici odchodzi do innej agencji.

Trzeba jednak się postarać, by nie narobił za dużo szkód, pomyślał. Zadzwonił więc do San Zeno, opowiedział Marghericie o tym, co się wydarzyło, i oznajmił, że przyjedzie w ostatni weekend sierpnia, by zabrać ją i Sarę do Mediolanu. Chociaż zdawała sobie sprawę, że nie mógł postąpić inaczej, zdenerwowała się bardzo tym telefonem: perspektywa spędzenia ponad tygodnia sam na sam z ciotką Egle przerażała ją. Drobnym incydentem wydarzył się już tego samego wieczoru. Kiedy posadziła córeczkę na wysokim krześle, żeby dać jej mus owocowy, Sara zaczęła wierzgać nóżkami i płakać. Margherita przez kwadrans próbowała ją uspokoić, na koniec wzięła córeczkę na ręce. Sara jak zwykle nie miała apetytu: zaciskała wargi, odwracała głowę na widok łyżki i wrywała się. Margherita chwyciła ją za szyję, unieruchomiła i wepchnęła łyżkę do buzi. Sara wyciągnęła rączkę w stronę talerza i zrzuciła go na ziemię. Napięcie i gorycz nagromadzone w czasie pobytu u Egle dały nagle o sobie znać:

Margherita wymierzyła małej siarczysty policzek. Uderzenie musiało być bolesne, bo Sara wstrzymała oddech, po czym zaniosła się rozpaczliwym płaczem. Margherita bardziej poczuła niż zobaczyła, że Egle zabiera jej z rąk małą. Ciotka weszła do kuchni i była świadkiem całej sceny. Gdy kołysała Sarę i szeptała jej do ucha czułe słowa, miała na twarzy wyraz smutku.

- Straciłam panowanie nad sobą, przepraszam - wyszeptała Margherita.

- Dlaczego nie wróci pani do Marca do Mediolanu i nie zostawi Sary u mnie? - zaproponowała ciotka Egle obojętnym tonem, nie komentując tego, co zaszło. - Pod koniec miesiąca możecie po nią przyjechać.

Przez chwilę Margherita miała ochotę zgodzić się na propozycję, ale widok

wstrząsanego szlochom ciała Sary i rączek czepiających się ramion ciotki wywołał w niej przypływ skrupułów i miłości.

- Jest pani bardzo uprzejma, ale nie chcę rozstawać się z dzieckiem.

- Myślę, że powinna pani - oświadczyła poważnie Egle, lecz w jej głosie nie słychać było niechęci. Dodała niemal łagodnie: - Nie mam dzieci, ale wiem, jak potrafią nieraz zmęczyć. Potrzebuje pani trochę odpoczynku i spokoju.

Margherita poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Ogarnęła ją nieprzeparata chęć, by uściskać Egle.

- Dziękuję pani - zdołała jedynie wyszeptać. Chciała dodać: dziękuję, że pani zrozumiała, dziękuję, że nie żywi pani do mnie nienawiści, dziękuję, że znalazła pani właściwe słowa. Mimo woli wybuchnęła płaczem.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje - usłyszała swój własny głos.- Może nie byłam przygotowana na to, by zostać matką... Martwię się, że nie kocham mojej córeczki, tak jak powinnam.

Egle położyła jej rękę na ramieniu.

- Płacz na nic się nie zda, Margherito. Zobaczysz, że z czasem wszystko jakoś się ułoży. Teraz zapakuj walizkę, a ja zadzwonię po chłopaka z warsztatu, żeby zawiózł cię na dworzec. Dalej pojedziesz pociągiem.

Po raz pierwszy powiedziała do niej „ty” i Margherita była jej wdzięczna również i za to.

- Będzie pani miała masę

roboty przy Sarze - przyznała szczerze. - Mam wyrzuty sumienia, że ją pani zostawiam.

- Nie martw się. W moim wieku jedynym zmartwieniem jest nie mieć nikogo, kim można by się zająć. Powierzając mi małą, sprawisz mi wielką radość.

- Pani jest bardzo dobra - powiedziała Margherita bardziej do siebie niż do Egle.

- Ty też - odparła Egle, wzdychając i odwracając głowę.

XV

W dzień swoich pierwszych urodzin, dwudziestego pierwszego stycznia, Sara stanęła na nóżkach i zrobiła kilka kroków. Było wpół do jedenastej, Margherita wsadziła ją do kojca wraz z pluszowymi zabawkami. Dina poprosiła o wolny dzień i Margherita, biegnąc w pośpiechu do łazienki, żeby się umyć, stwierdziła, że jest już bardzo spóźniona. Umówiła się z matką Marca przed domem towarowym „Rinascente” o wpół do dwunastej. Miały pójść na zakupy, a potem na obiad do rodziców.

Margherita wzięła szybko

prysznic, ubrała się i

umalowała. Już gotowa weszła do salonu, żeby zabrać małą. Zatrzymała się w progu, zdziwiona i rozczulona tym, co zobaczyła. Sara, uczepiona siatki, stała wyprostowana i nieruchoma, z główką zwróconą w stronę drzwi balkonowych. W pewnej chwili oderwała się od siatki, zrobiła kilka kroków i znalazła na środku kojca, po czym przeszła na drugą stronę i znów uchwyciła się siatki.

Margherita pochyliła się nad małą. Sara chyba nie zauważyła matki: z otwartą buzią i zachwyconą miną patrzyła na duże płatki śniegu, opadające powoli na drzewa w ogrodzie. Margherita wzięła ją na ręce i podeszła do drzwi.

- Śnieg - pokazała. - To jest śnieg. Pa-da śnieg.

- E-e - powtórzyła Sara z wahaniem, marszcząc brwi.

- Tak, kochanie, to jest śnieg

- odparła Margherita, całując małą.

Sara wyciągnęła rączki w stronę drzwi, odwróciła się, by spojrzeć na matkę, i powtórzyła uszczęśliwiona, że wreszcie zrozumiała:

- E-e, e-e.

Chciałabym, żeby ta chwila trwała wiecznie, pomyślała Margherita, przytulając do siebie córeczkę. Dobra chwila jednak szybko minęła, gdyż Sara pewnie się czegoś przestraszyła i zaczęła płakać.

Margherita zaniósła ją do łazienki, zdjęła piżamkę, przemyła gąbką, bo nie było już czasu na kąpiel, i nałożyła sukienkę, prezent od babci Teresy. Kiedy zapinała guziczki, zastanawiała się po raz któryś z rzędu, dlaczego Francesco Zambiasi tak mało interesuje się wnuczką. Chłodna obojętność ojca Marca raniła Margheritę bardziej niż jawna niechęć jej rodziców, którzy z uporem odmawiali złożenia im wizyty i widzieli Sarę najwyżej trzy razy.

Zerknęła na zegarek:

jedenasta. Narzuciła futro, ubrała Sarę w kurteczkę i trzymając ją na rękach, zeszła do garażu. Ruch uliczny był na szczęście niewielki. Więcej czasu straciła, żeby wjechać do podziemnego garażu „Rinascente”, niż aby dotrzeć z domu do centrum. Zjawiła się w tym samym momencie co Teresa, która przywitała się serdecznie z małą.

Chociaż minęła już pora wielkich zakupów z okazji Bożego Narodzenia, w środku było jak zwykle pełno ludzi. Udały się od razu do działu obrusów, gdyż była tam przecena bardzo ładnych sztuk.

Teresa, dostrzegłszy zavaloną ladę po prawej stronie, dawała właśnie Marghericie znak, by za nią poszła, gdy ta zobaczyła Chiare.

Stała około dwóch metrów od niej i przyglądała się kompletowi ręczników; chociaż miała dużo dłuższe i odrobinę jaśniejsze włosy - zauważyła od razu Margherita - poznała ją natychmiast. Chiara ubrana była w elegancki płaszcz w kratę o żywych kolorach i wełniane pończochy w czerwone prążki.

- Margherito, co tam robisz? - zawołała Teresa.

Drgnęła, jak przyłapaną na gorącym uczynku, i uzmysłowiła sobie, że wpatruje się nieruchomo w Chiare.

Wydało jej się, że na dźwięk głosu Teresy poruszyła się również Chiara: podniosła oczy znad lady, spojrzała uważnie na Sarę z wyrazem niemal przerażenia na twarzy. Trwało to chwilę, która wydała się Marghericie bardzo długa. Potem Chiara spuściła wzrok i Margherita dostrzegła, jak oddala się z podniesioną głową.

- Widziałam Chiare - szepnęła do matki Marca.

- Ja też. Jest w świetnej formie i wcale nie wygląda na załamana, jak twierdzi mój mąż.

Uznawszy, że popełniła gafę, zaraz wyjaśniła: - Francesco jest romantykiem. Nie wiadomo dlaczego ma wyrzuty sumienia. Zachowuje się tak, jakby to on ją zostawił. Chiara to chytra osóbką i zawsze uważałam, że Marco nie był w niej aż tak bardzo zakochany, lecz pozostawał pod jej przemożnym wpływem. Uwierzył w końcu, że wcale nie pragnie dziecka, bo jego żona nie mogła zajść w ciążę.

Może naprawdę nie pragnął dziecka, pomyślała mimo woli Margherita. Za każdym razem, kiedy przypominała sobie ów dzień, w którym oznajmiła mu, że jest w ciąży, ogarniał ją ten sam niepokój i niezrozumiały lęk: to poczucie obowiązku, a nie miłość, kazało Marcowi zgodzić się na Sarę. W jego reakcji nie było ani spontaniczności, ani radości, tylko pogodzenie się z losem.

- Nie wiem, czy Marco

rzeczywiście kocha małą - wyznała trochę bez związku. Wyraz twarzy Teresy uświadomił jej, że powiedziała coś okropnego.

- Margherito, co ci u diabła przychodzi do głowy? Oczywiście, że ją kocha. Uwielbia ją - dodała natychmiast.

**Margherita nie poczuła jednak
ulgi, lecz tylko rozdrażnienie z**

powodu takiej przesady. Po raz pierwszy zrozumiała to czego nie chciała dotąd przyjąć do wiadomości: matka Marca była osobą płytką i bezduszną, najprawdopodobniej niezdolną do samodzielnych sądów ani głębokich uczuć. Czyżby

serdeczność, jaką jej okazywała, a także wielka miłość do wnuczki były jedynie demonstracją i chęcią wywołania zazdrości u Chiary? Margherita próbowała odpędzić tę myśl, zaczęła więc przyglądać się obrusom, które Teresa zdążyła rozłożyć na ladzie.

Przyjechały do domu o pierwszej. Marco już na nie czekał, a dziadek Francesco sprawiał wrażenie zniecierpliwionego.

- Nareszcie - powiedział. - Tereso, niech Antonia wstawi makaron.

Dopiero po kilku chwilach zauważył obecność Margherity i Sary.

Podszedł do małej, poklepał ją po policzku.

- Dobrze wygląda - zauważył.

- Ciocia Egle dzwoniła przed dziesięcioma minutami - wtrącił Marco. - Przesyła pozdrowienia i całusy dla Sary, zaprasza nas też na któryś z najbliższych weekendów do Padwy.

Teresa usłyszała ostatnie zdanie, wchodząc do pokoju.

- Nie rozumiem, dlaczego sama nie przyjedzie, skoro cieszy się znakomitym zdrowiem i nie ma nic do roboty. Nie pojmuję też tego nagłego przypływu uczuć do Margherity i Sary po tym, co nawygadywała, zarzucając mi, że przyjęcie ich do rodziny to oznaka braku szacunku dla jej ukochanej Chiary!

- Mamo, co ty opowiadasz... To doprawdy w złym guście i nie na miejscu!

Teresa nie zwracała uwagi na lodowaty ton syna.

- Dlaczego nie na miejscu? To ty wspomniałeś o ciotce. W złym guście jest ta cała jej histeria, nie ja, która staram się tylko mówić prawdę. Ale jeśli ci się to nie podoba, mogę milczeć. Mam nadzieję, że Margherita przynajmniej będzie ostrożna i nie da się zawojować, tak jak ty, tej starej wiedźmie. Wybacz mi, Francesco, ale wiesz dobrze, że nigdy nie lubiłam twojej siostry.

Marco objął Margheritę: - Przykro mi, kochanie - szepnął - ale mojej matki nie stać na delikatność ani takt. Chcesz, żebym wziął małą?

Napięcie, w jakim znajdowała się Margherita, opadło, uśmiechnęła się więc do niego z wdzięcznością.

- Nie przejmuj się - odparła.

- Na czas obiadu możemy dać małą Antonii. Twoja matka zrobiła dla niej zupkę z mięsa i jarzyn, więc może lepiej, żeby zjadła w kuchni.

- Dzieci, siadajmy do stołu! - zawołał znowu Francesco.

Pomiędzy pieczeniem a deserem Teresa powiedziała do męża całkiem naturalnym tonem: - ~a propos spotkałyśmy w „Rinascente” Chiare, prawda, Margherito? Początkowo jej nie poznałam, taka była wystrojona.

Zapadło milczenie. Margherita usłyszała z przerażeniem, jak Francesco pyta: - ~a propos czego nam o tym opowiadasz? Nie rozumiem.

- Ja też nie rozumiem, mamo - dodał Marco.

Margherita myliła się czy też w jego głosie, oprócz niezadowolenia, zabrzmiała nutka niepokoju?

Teresa wzruszyła ramionami i oświadczyła: - Miałam na myśli to, co mówiliśmy przed chwilą o Egle. W zeszłym tygodniu - zwróciła się do męża - rozmawialiście nie wiadomo jak długo przez telefon, chociaż to tyle kosztuje, o „biednej

Chiarze" i zastanawialiście się, gdzie jest i co się z nią dzieje. Chciałam was po prostu uspokoić, to wszystko. Jest w Mediolanie i wygląda na to, że nigdy jeszcze nie miewała się tak dobrze.

- Cieszę się - skomentował lodowatym tonem Francesco.

Obiad zakończył się w nieprzyjemnej atmosferze i nawet powrót Sary nie zdołał jej zmienić. Teresa przygotowała dla wnuczki tort ze świeczką i wzięła małą na rękę, żeby mogła ją zdmuchnąć. Sara próbowała się wyrwać, potem wyciągnęła rączki do matki, krzywiąc się, jakby zaraz miała zamiar zacząć płakać.

Świeczkę zdmuchnęła w rezultacie Teresa. Następnie podniosła kieliszek szampana i powiedziała wesoło: - Wszystkiego najlepszego, Saro.

Wreszcie rodzinna uroczystość dobiegła końca. Kiedy Marco wstał pierwszy od stołu i spojrział na zegarek, Margherita odetchnęła z ogromną ulgą. Na pożegnanie Francesco Zambiasi był dla niej niezwykle miły i zdawało się jej, że całując wnuczkę, okazał po raz pierwszy trochę czułości.

Gdy znaleźli się na ulicy, Marco znów spojrział na zegarek.

- Muszę pędzić do biura - oznajmił.

Margherita, która wzięła dzień wolny, wsiadła do swego samochodu i wróciła z małą do domu. Zniknął niepokój, jaki nurtował ją podczas obiadu, zamiast niego pojawił się nieznośny smutek i wrażenie pustki.

O szóstej wieczorem zadzwonił Marco, żeby ją uprzedzić, że nie wróci przed dziewiątą. Okazało się, że „Antigua” chce powtórzyć w swej kampanii reklamowej stary film z małymi zmianami, trzeba to więc niezwłocznie przedyskutować.

- Chcesz, żebym przyjechała do agencji? - zaproponowała

Margherita.

- Nie warto, kochanie, tym bardziej że nie zajmowałaś się przecież „Antigua”. Do zobaczenia.

Wrócił prawie o jedenastej. Nie chciał nic jeść, wyjął z lodówki kubeczek jogurtu i usiadł obok Margherity, która oglądała dziennik telewizyjny.

- To był ciężki dzień -

westchnął.

Zaraz po dzienniku poszli spać. Marco pochylił się, by ją pocałować, i zaraz przesunął się na swoją część łóżka.

Marghericie wydał się jakiś obojętny i poczuła, że ogarnia ją strach.

- Marco - zawołała głośno.

- Tak? - odpowiedział zasnętym głosem.

- Zamierzam porozmawiać z tobą o Chiarze. W ogóle o niej nie mówimy - powiedziała pośpiesznie: lęk był silniejszy niż wszelkie zahamowania czy wstyd.

- Zapomniałaś o dzisiejszym obiedzie - odparł, całkiem już rozbudzony.

- Wcale nie zapomniałam. Nie chcę już nigdy czuć się tak jak dzisiaj ani denerwować, ilekroć będzie mowa o Chiarze, zupełnie jakby to był zły duch.

- Nie, to nie jest zły duch, zapewniam cię - westchnął Marco.

- Ale Chiara związana jest z tym etapem mojego życia, który minął bezpowrotnie...

- Nigdy o niej nie myślisz?

Nie tęsknisz? Nie wspominasz przyjemnych momentów?

Zastanawiam się nad tym często i dręcę, bo nie znajduję odpowiedzi. Nie może być tak, żeby Chiara i twoja przeszłość stanowiły tabu.

Marco milczał, jak gdyby szukał odpowiednich słów.

- Nie wiem, o czym mielibyśmy rozmawiać, skoro od dnia, kiedy opuściła ten dom, nic o niej nie wiem - odpowiedział wreszcie.

- Nie to miałam na myśli - zaprotestowała zniecierpliwiona.

- Chciałabym porozmawiać o tym, co odczuwasz, co pamiętasz, jednym słowem, o twoich uczuciach.

Marco znów zamilkł, potem wyszeptał z widocznym trudem:

- Usiłuję nie myśleć o

Chiarze, bo mam straszliwe poczucie winy. Zeszłego lata ciocia Egle powiedziała mi, że samopoczucie Chiary trochę się poprawiło i że niedawno zaczęła pracować. Mam nadzieję, że odzyskała równowagę, a przede wszystkim, że zapomniała o tym, co jej zrobiłem.

- Nie jesteś pierwszym mężczyzną, który zakochuje się w innej kobiecie i opuszcza żonę. Rozumiem, że...

- Nie możesz zrozumieć -

przerwał jej. - Opuściłem ją nie tylko dlatego, że zakochałem się w innej. Mam przecież z tą kobietą dziecko, którego Chiara nie mogła mi dać. Gdy myślę, jak musiało ją to upokorzyć, czuję niemal fizyczny ból.

- Gdybyś zobaczył ją dzisiaj, poczułbyś się od razu lepiej - zauważyła złośliwie Margherita.

- Jak powiedziała twoja matka, była wystrojona i nie wyglądała na osobę, która ma problemy. Niewykluczone, że znalazła sobie kogoś.

- Dobrze by było!

- Naprawdę? Nie jesteś

zazdrosny ani wstrząśnięty taką perspektywą?

Zareagował gwałtownie: - Co ci przychodzi do głowy? To, co się stało, to nie serial telewizyjny, lecz dramat, który dotyczy nas wszystkich. Oprócz ciebie, oczywiście. Spróbujmy zasnąć, tak będzie lepiej.

O trzeciej nad ranem, kiedy Marco poznał po oddechu, że Margherita śpi, wstał z łóżka i poszedł na palcach do kuchni. Zamknął za sobą drzwi, wypił dwie szklanki wody, ponieważ czuł suchość w gardle. Potem, starając się nie hałasować, poszedł do salonu, włączył telewizor, usiadł na kanapie i przechylił do tyłu głowę. W telewizji szedł stary western z Johnem Wayne'em i Marcowi wydało się, że słyszy głos Chiary:

„Och, nie, znowu! Jak możesz lubić takie filmy?” Chiara nie znosiła Johna Wayne'a, uważała, że jest marnym aktorem, który w ciągu trzydziestu lat stał się karykaturą samego siebie.

A „Dyliżans”? A „Rzeka czerwona”? protestował.

„Dwa świetne filmy, ale to zasługa reżyserów. Dobry reżyser potrafi z każdej miernoty zrobić prawdziwego aktora. I tak jest z twoim Johnem Wayne'em. Ma twarz jak papierowa maska, zawsze jednakowa, małe chytne oczka bez wyrazu. Niech spoczywa w spokoju, ale to był jeden z największych blefów Hollywoodu.”

Myśl, że może Chiara dyskutuje właśnie z innym mężczyzną, sprawiła mu przykrość. Z jednej strony, jak powiedział Marghericie, naprawdę miał nadzieję, że ułożyła sobie życie na nowo, z drugiej zasmucało go to; zawsze tak się dzieje, pomyślał, kiedy okoliczności wyciskają nieodwracalne piętno na naszych czynach. Opuścił wprawdzie Chiarę, ale trudno byłoby teraz mówić o wolnym wyborze: czas przemienił jego decyzję w ostateczną i nieodwołalną.

Czyżby żałował tego, co zrobił? Chciałby to zmienić? Nie, odpowiedział sobie bez przekonania. Przez ostatni rok ich małżeństwa czuł się odrzucony, bezsilny, udęczony. Wszelkie więzy zostały zerwane, oddalenie i kłopoty zniszczyły miłość, która ich niegdyś łączyła. Nie mógłbym po raz drugi znieść czegoś podobnego, pomyślał. A czy z Margheritą jestem szczęśliwy?, zapytał sam siebie ostrożnie, jak ktoś, kto zapuszcza się na nieznany i niebezpieczny teren. Z Margheritą, uświadomił sobie, żyję z dnia na dzień, nie zastanawiając się nad niczym. Nasz związek nie stwarza problemów, ponieważ ja sam nie zadaję sobie żadnych kłopotliwych pytań.

Ale problemy przez to nie znikają, musiał przyznać. Sara była trudnym dzieckiem, a Margherita rzucała się jak ryba w sieci, mając do czynienia z sytuacją niepodobną do tej, której być może się spodziewała. Była zdezorientowana lub wręcz rozzarowana. Nie potrafiła kierować domem, narzucić Dinie swojego zdania, nawiązać harmonijnej więzi z córką. Cyklon namiętności, który ją porwał, pozbawił ją siły: z pełnej życia, energicznej dziewczyny, która go zachwycała, przemieniła się w osobę przestraszona i słabą. O wiele słabszą, pomyślał po raz

pierwszy, niż Chiara. Chiara bowiem miała punkt oparcia w sobie samej, a także zasoby energii, o jakie trudno ją było podejrzać.

Szczęście Margherity zależało natomiast wyłącznie od niego.

Również przyszłość Sary. Nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie swego dawnego profesora filozofii, starego księdza, bardzo otwartego, ale z niezachwianymi zasadami

moralnymi. „Nie ma szczęścia bez obowiązków”, powtarzał często. „Najtrwalsze szczęście wynika ze spełnienia obowiązku.”

Chiara to były czasy jego młodości, radości, uniesienia, bólu, cierpienia. Wraz z Margheritą i Sarą wkroczył w etap obowiązków. Krzywda, którą wyrządziłem Chiarze, pomyślał, czyni mnie za nie bardziej odpowiedzialnym. Wreszcie przestałem się zastanawiać, czy jestem szczęśliwy. Ale czy jestem szczęśliwy?, zapytał siebie i poczuł, że ściska mu się serce. Tak wyglądała przerażająca prawda: obowiązki sprawiły, że znalazł się w pułapce, z której nie było ucieczki.

John Wayne o pomarszczonej, papierowej twarzy i małych chytrych oczkach dojechał na koniu do fortu. Marco zgasił telewizor i poszedł do kuchni, żeby nalać sobie jeszcze jedną szklankę wody. Usłyszał płacz Sary i szept pocieszającej ją Diny. Nagle za jego plecami rozległ się głos Margherity.

- Nie możesz zasnąć? -

zapytała.

- Wstałem, bo chciało mi się pić.

- To było ponad godzinę temu.

- Czyżbyś mnie śledziła? - próbował żartować.

Pokręciła przecząco głową. Ręce miała opuszczone wzdłuż ciała, na jej twarzy malowała się rozpacz.

- Ja też nie mogę zasnąć. Nie znoszę, jak Sara płacze - zaczęła szlochać. - W tym domu wszyscy jesteśmy nieszczęśliwi. Co się z nami stało?

Marco zbliżył się do Margherity i objął ją.

- Nic się nie stało - zaczął ją pocieszać. - I wcale nie jesteśmy nieszczęśliwi.

Zauważył z ulgą, że naprawdę tak myśli. Przygnębienie minęło, nie tkwi wcale w pułapce, lecz żyje z pełną fantazji i uczuciową dziewczyną, która uleczyła go z samotności i frustracji.

- Tak bardzo cię kocham,

Marco. Chciałabym wierzyć w to, co mówisz. Ale czegoś się boję.

- Pst - szepnęła, dotykając jej bioder. - Chodźmy już spać.

Tej nocy kochali się bez pośpiechu, czule, jak gdyby pocieszali się nawzajem. Kiedy zmęczeni opadli na łóżko, Marco miał wrażenie, że przeżywa jedną z ostatnich nocy z Chiarą. Później, gdy usiłował zasnąć, zdał sobie sprawę, że czuje to co wtedy: pustkę, lęk, przygnębienie.

Budzik zadzwonił o siódmej. Marco spał niewiele ponad dwie godziny, ale mimo to widma ubiegłej nocy zniknęły. Poszedł do kuchni, żeby zjeść śniadanie, wziął na ręce Sarę, pobawił się z nią chwilę, pożartował na temat braku zdolności organizacyjnych Margherity, pomógł Dinie naprawić opiekacz. To była jego rodzina, jego codzienność.

Kiedy dwie godziny później przeglądał w pracy gazetę, wzrok jego padł na nekrologi: Paolo Lusardi składa wraz z Chiarą wyrazy współczucia rodzinie niezapomnianego przyjaciela Maura Ondellego.

Marco nie wiedział, kim był zmarły. Należał z pewnością do kręgu bliskich znajomych żony i był częścią jej nowego życia. W życie to wkroczył także, jak się zdaje, dawny wierny wielbiciel, Paolo Lusardi. No tak, Chiara wybrała

najprostsze rozwiązanie i szybko się pocieszyła. Marca ogarnęła irytacja: nie był pewny, czy z powodu oczywistości takiego związku czy też sentymentalnego finału, jakim zakończyła się przyjaźń, która budziła w nim zawsze podejrliwość i zazdrość.

Odłożył gazetę, próbując nie myśleć o tym więcej. Chiara to zamknięty rozdział: wreszcie mógł pozbyć się wyrzutów sumienia, które od dziewiętnastu miesięcy, to jest odkąd się rozstali, dręczyły go nieustannie.

Dziś zaproszę Margheritę na kolację, postanowił ni stąd, ni zowąd; już tak dawno tego nie robił, już tak dawno nie sprawił jej żadnej przyjemności, nie przyniósł kwiatów albo małego prezentu.

Nie wiadomo czemu w chwili, gdy postanowił wstąpić do jubilera, przypomniał sobie małą różową paczuszkę przewiazaną wstążką, którą Chiara chciała mu podarować owego odległego wieczoru dwudziestego pierwszego czerwca i którą zabrała w rezultacie ze sobą, uciekając z pełnego skorup salonu i z ich wspólnego życia.

XVI

To nie o Maurze mówi ksiądz, pomyślała Chiara i poczuła, że łyzy szczypią ją w oczy.

Szlachetny, lojalny, wypróbowany przyjaciel, którego tak lubiła i który na pewno trafił do raju, jeśli tylko raj istnieje, nie przypominał wcale „grzesznika”, za którego duszę modlił się ksiądz, prosząc patetycznym tonem Pana Boga o litość i przebaczenie.

Nie miała ochoty przysłuchiwać się mszy ani patrzeć na trumnę stojącą przed ołtarzem. Nie mogła znieść myśli, że Maura już nie ma. Poznała go w domu Paola pewnego październikowego wieczoru, kiedy wyszła z kliniki. Czuła wówczas nieprzyjemne odrętwienie, nie potrafiła się skupić.

Wspomnienia docierały do niej w zwolnionym tempie, zbyt przytłumione, by powodować ból. Także rozmowa sprawiała jej trudność, gdyż nie wiedziała, co powiedzieć, nie potrafiła jasno sformułować myśli.

Tamtego wieczoru Paolo urządził skromną kolację z okazji urodzin Maura Ondellego i oprócz jego siostry i pary zaprzyjaźnionych lekarzy była jeszcze tylko Chiara i Giovanna. Po posiłku postanowili zagrać w karty. Chiara wykręciła się od gry, usiadła na kanapie, Mauro zaś, który jak dowiedziała się później, nie znosił tego rodzaju rozrywek, zajął miejsce obok niej.

- Wiem o tobie wszystko - powiedział bez żadnych wstępów z tak ujmującą bezpośredniością, że nie można było uznać go za natręta. Nie upłynęło wiele czasu, a okazało się, że rozmawia z nim tak, jakby go znała od lat. Mauro promieniował serdecznością, a w jego inteligentnym spojrzeniu było wiele łagodności.

- Czuję się, jakby mnie

przepełowiono - wyznała w pewnej chwili Chiara. - Patrzę na tę część, która krwawi, z obojętnością obcej osoby. Nie potrafię połączyć na nowo obu połówek.

- To naturalne, że przeżywasz teraz coś takiego - zapewnił ją

Mauro. - Kiedy to minie, obojętność i wyobcowanie nie będą cię już chronić. Masz za sobą niewątpliwie ciężkie przejścia. Utraciłaś wszystko, ale nie życie. Perspektywy, nadzieja, potęga istnienia nie zostały ci odebrane.

Nazajutrz Paolo opowiedział Chiarze, że Mauro Ondelli, jego najbliższy przyjaciel, ma raka z przerzutami do żołądka i specjaliści orzekli, że pożyje jeszcze tylko kilka miesięcy.

- Wie o tym?

- Oczywiście, przecież sam jest znakomitym lekarzem. Traktuje jednak te kilkadziesiąt dni, jakie mu pozostały, jakby to był wspaniały prezent od losu.

Na Boże Narodzenie Mauro zapragnął pojechać na Bali i Chiara, Giovanna oraz Paolo udali się tam razem z nim. To było ponad rok temu, pomyślała Chiara, budząc się na moment ze wspomnień. Książ błogosławił teraz trumnę i Chiara ponownie zanurzyła się w przeszłość. Bali. Dopiero tam wyzdrowiała...

- Chciałem tu wrócić - wyznał jej Mauro trzy dni po przyjeździe - bo to jedyne miejsce na świecie, gdzie ludzie umierają bez bólu i gdzie pojmujesz, że życie i śmierć to jedno, dwie strony tej samej rzeczywistości.

To w rzeczy samej jest jedyne miejsce na świecie, uświadomiła sobie Chiara w następnych dniach, kiedy zwiedzała wyspę, gdzie człowiek i przyroda tworzą harmonijną całość, żyją tym samym rytmem. Mężczyzn, kobiet, dzieci nie oszczędzają cierpienia ani choroby, lecz przyjmują je tak, jak zielone pola ryżowe przyjmują wodę, a ziemia wybuchy wulkanu. Ból jest ich zdaniem tylko krótką przerwą w doznawaniu szczęścia, które na pewno znowu się pojawi, tak jak słońce pojawia się na niebie po burzy.

„Być szczęśliwym”, wyjaśnił jej Mauro, „to dla tych ludzi rzecz naturalna. Są cały czas uśmiechnięci, na pogrzebach panuje wesoła atmosfera. Nikt nie wie, co to nerwice i stresy. Wszyscy wierzą, że są integralną częścią wszechświata, a to daje zarówno poczucie siły, jak i własnej znikomości.” Bogowie, odkryła Chiara, żyją obok mieszkańców wyspy; przed próg każdego domu wystawia się koszycki z owocami, które są codziennie darem dla nich, podzięką za opiekę, odpędzaniem złych mocy.

W przeddzień wyjazdu Mauro poznał ją z Ketouthem Sokim, najbardziej znanym malarzem naiwnym na Bali. Był to

Indonezyjczyk o mądrym

spojrzeniu, który drobnymi dotknięciami pędzla przemieniał codzienne życie w święto barwy i radości. Chiara zachwyciła się dużym obrazem przedstawiającym pole ryżowe: tysiące wesołych twarzy wyłaniało się spośród zieleni i żółci. Kiedy jednakże oświadczyła, że chce kupić obraz, mądre oczy Sokiego nabrały nagle podejrzliwego wyrazu. Trzeba było się targować i przekonywać go przez dwie godziny, żeby zgodził się sprzedać swoje dzieło. Po powrocie do hotelu Mauro wyjaśnił Chiarze rozbawiony, że talent do interesów to tylko druga strona bezinteresowności.

Gdy znaleźli się znowu w Mediolanie, Chiara spostrzegła, że wspomnienie Marca i tego, co się stało, nie rani jej już do głębi. Czym było dziesięć lat miłości w porównaniu z nieubłaganym, wiecznym upływem czasu? Utrata ukochanego mężczyzny, która rozbiła jej życie, wydała się drobnostką w porównaniu z cierpieniami dręczącymi ludzkość i plagami spadającymi na ziemię.

Pewnie, że w Mediolanie nie było łatwo żyć w harmonii z naturą i zgodnie z następującymi po sobie porami roku, ale nauczyła się cieszyć nawet widokiem drzewka, odrobiną zieleni, rzadko przejaśniającym się niebem. Stan zdrowia Maura pogorszył się gwałtownie pod koniec lata; pewnego ranka nie mógł już podnieść się z łóżka i wszyscy zrozumieli, że to oznacza koniec.

To było zaledwie przed czterema miesiącami, pomyślała Chiara, powracając do teraźniejszości. Podniesiono teraz trumnę i Paolo wraz z przyjaciółmi wynieśli ją z kościoła.

Dziwne, ale to były pogodne cztery miesiące: siadywali z Paolem przy łóżku Maura i rozmawiali o poezji, polityce, filmach, o wszystkim. Czasami wciągali go w grę w karty albo oglądali telewizję.

- Na Bali nauczyłem się

umierać - powiedział pewnego wieczoru Mauro. - A teraz wydaje mi się, że dotarłem do samego jądra ludzkiej egzystencji, jak gdyby moje życie osiągnęło ostateczną pełnię.

Chiara skinęła potakująco głową.

- Ponieważ śmierć jest drugą stroną życia - szepnęła.

Mauro rozpromienił się.

- Cieszę się, że wreszcie zrozumiałaś. Jesteś najinteligentniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem... - Przerwał na chwilę, potem dodał poważnie: - Wiesz, Paolo nie jest zakochany w Lindzie, tylko w tobie. Powinnaś przestać się bać i zacząć wszystko od początku.

Związek Chiary z Paolem zaczął się pewnego listopadowego wieczoru. Zostawili Maura śpiącego i pojechali do domu Paola. Kiedy znaleźli się wewnątrz, pomógł jej drżącymi z przejęcia rękami zdjąć żakiet, po czym objął ją mocno.

- Jest przecież Linda -

broniła się, gdy Paolo kładł ją na łóżku.

Nie mogła znieść myśli, że inna kobieta będzie przez nią cierpieć.

- Linda nie była z nami na Bali, nie była nigdy ze mną w ważnych dla mnie chwilach. Nie okłamałem jej dotąd - szepnęła

Paolo, całując Chiare delikatnie. - To ciebie kocham. Mogę czekać całe lata na twoją miłość.

Mauro umiera, a ja znów zaczynam żyć, pomyślała Chiara, czując, że jej ciało ulega ciału Paola. Oddała mu się, pełna radości, myśląc, że śmierć nie istnieje i że Mauro nigdy tak naprawdę nie umrze, skoro życie może tak jak teraz się odrodzić. Orgazm był niczym wyzwolicielska eksplozja, która zagłuszyła lęk, wspomnienia, łzy.

Mauro stracił świadomość pierwszego stycznia i potem odzyskiwał ją tylko na bardzo krótko.

- Chciałbym, żebyś nie płakała na moim pogrzebie - to były ostatnie słowa, jakie do niej skierował. - Chciałbym też, żebyś w dniu mojej śmierci zdobyła się na odwagę, ubrała na czerwono i poszła na spacer albo na zakupy, jakby to był zwyczajny, pogodny dzień.

Paolo wziął ją pod rękę i powiedział: - Kochanie, jedziemy.

Zauważyła, że wóz z trumną już ruszył. Pozwoliła podprowadzić się do samochodu i kiedy Paolo włączył się do ruchu na jezdni, wyjrzała przez okno, starając się powstrzymać łzy; nie jechali przecież na cmentarz, by pochować Maura, lecz odprowadzić go na miejsce wiecznego spoczynku...

Dziękuję za to, co mi dałeś, pomyślała później Chiara, dotykając trumny przed spuszczeniem jej do grobu. Zostaniesz we mnie, w tej ziemi i we wszystkim, co żyje. Również w tej małej dziewczynce o skupionym spojrzeniu, która jest córka Marca i która urodziła się ze śmierci naszej miłości. Zobaczyłam ją na rękach matki i zrozumiałam daremność mojego żalu. Dzięki również i za to, drogi przyjacielu.

- Chiaro - zawołał ją Paolo, obejmując łagodnie ramieniem. Uzmysłowała sobie, że szłocha, chociaż nie powinna tego robić.

- Wracajmy do domu, Chiaro.

Nie zamieszkali razem, choć kilka razy w tygodniu Chiara spędzała noc u Paola. Nie była jeszcze gotowa, by rozpocząć nowe życie z mężczyzną. Ten związek oznaczał dla niej poczucie pewności i spokój, ale to właśnie był powód wahania: z nich dwojga to ona brała i nie potrafiła dawać.

Ceniła jego cierpliwość, lojalność, serdeczność, nie była jednak pewna, czy go kocha. Kiedy wyznawała to szczerze, Paolo odpowiadał, że mu się nie spieszy.

- Czasami wydaje mi się, że traktuję cię instrumentalnie, i czuję się wtedy jak wstrętne egoistka.

- Tego mi właśnie teraz trzeba

- mówił. - Traktuj mnie tak dalej bez skrupułów, dobrze ci to zrobi. Jestem silny za nas dwoje. Obawiam się tylko, że pewnego dnia zakochasz się w kimś innym i zostawisz mnie.

Czegoś takiego Chiara nie brała w ogóle pod uwagę. Poza Paolem była pustka, która przyprawiała ją o zawrót głowy. Gdyby zdecydowała się teraz odejść od niego, pochłonęłaby ją ponownie otchłań cierpienia.

Nie jestem jeszcze tak silna,
jak sądził Mauro i jak mnie
samej często się wydaje,
pomyślała, wsiadając do
samochodu.

- Przedwczoraj spotkałam w „Rinascente” Margheritę Ollian z córeczką Marca - wyznała Paolowi, kiedy znaleźli się w domu.

- Wcześniej czy później

musiało się tak stać - zauważył, a po kilku minutach dodał: - Może się zdarzyć, że spotkasz również Marca. Mediolan nie jest znowu taki duży i...

- Wiem. Przestałam go

nienawidzić, ale nie mam pewności, czy gdybyśmy natknęli się na siebie, mogłabym go przywitać jak zwykłego znajomego.

- Bo nie jest zwykłym
znajomym.

- Córeczka Marca - powiedziała Chiara bez związku - opierała twarz na ramieniu matki i przyglądała mi się uważnie, jakby mnie znała i wiedziała o wszystkim. Odniosłam dziwne wrażenie, że to niezwykle dziecko i... że ma smutne oczy. Chciałam podejść i wziąć ją na ręce, ale matka odwróciła się i zobaczyła mnie. Uciekłam w popłochu.

Jakie to wspaniałe, pomyślała, że mogę o wszystkim opowiedzieć Paolowi i że możemy być wobec siebie tak szczerzy...

- Z Margheritą i małą - dodała

- była też matka Marca.

Spojrzała na mnie zaciekawiona i raz przynajmniej ucieszyłam się, że mnie nie lubi: nie zniosłabym, gdyby przywitała się ze mną i zapytała wesołym głosem, jak się miewam.

Przerwała na moment i wzruszając ramionami powiedziała z ledwie dostrzegalnym uśmiechem: - W każdym razie spotkanie nie było dla mnie szokiem ani nie obudziło przykrych wspomnień. Chciałabym opowiedzieć o tym Maurovi. To za nim teraz tęsknię.

Paolo podał jej szklanekę coca_coli i usiadł obok niej.

- Jestem z tobą - zapewnił, głaszcząc ją po włosach - i mam nadzieję, że pamiętasz o tym zawsze, w każdej chwili.

Chiara westchnęła.

- Czasami zastanawiam się, czym zasłużyłam na miłość dwóch tak niezwykłych mężczyzn jak ty i Mauro. Ostatnio, dzięki wam, moje życie stało się takie bogate, świadome, pełne odkryć...

To najpierw Paolo, a potem Mauro przekonali ją, żeby wróciła do zawodu. Przez dwa miesiące pracowała razem z Valsecchi, potem stanęła do konkursu i dzięki poparciu swojej byłej zwierzchniczki oraz pewnego polityka, przyjaciela Paola, została zatrudniona na pełnym etacie w poradni. Cała dawna niepewność znikła bez śladu, Chiara była prawdziwie zainteresowana osobami, które przychodzili do niej po pomoc, i zdała sobie sprawę, że rzeczywiście potrafi poradzić, uspokoić, zrozumieć.

Żaden problem nie wydawał jej się sztuczny ani głupi, jak zdarzało się kiedyś, ponieważ cierpienia, jakich przysparzał, były realne. Nie istniały żadne oczywiste rozwiązania, a jedynie rozmaite drogi, które należało znaleźć, żeby wyjść z zakłętego kręgu niepokoju i zamętu.

W taki właśnie sposób pomogła jej pewna znakomita szwajcarska lekarka w czasie trzymiesięcznej kuracji w genewskiej klinice. Reszty dokonał Mauro, kiedy Chiara wróciła do domu. Było tak, jakby ktoś podał jej rękę i wyprowadził na światło dzienne z ciemnego tunelu. Dzięki niemu nauczyła się znowu dostrzegać świat zewnętrzny, a podróż na Bali dostarczyła jej dodatkowych wskazówek, jak dalej żyć.

Cała pewność siebie Chiary została zagrożona, kiedy następnego ranka do poradni przyszła opiekunka społeczna, żeby powierzyć jej Sonię. Była to trzynastoletnia dziewczynka, która tydzień wcześniej przeszła zabieg przerwania ciąży. Zaszła w nią z własnym ojcem, który, zaczął z nią żyć, gdy miała osiem lat, i biciem zmuszał córkę do uległości, grożąc, że jeśli komukolwiek powie prawdę, zabije ją. Przez pięć lat Sonia znosiła przemoc i bestialstwo ojca, nie mówiąc nikomu o piekle, w jakim się znalazła.

Pewnego ranka, przed dwoma tygodniami, zemdląła przy wstawaniu z łóżka. Matka, choć przyzwyczajona do bladości córki, zaniepokoiła się i zabrała ją do lekarza. Kiedy dowiedziała się, jak cała rzecz wygląda, powiesiła się na klamce w łazience. Nazajutrz po pogrzebie dziewczynkę zawieziono do szpitala na zabieg, ojciec zaś trafił do więzienia.

Teraz Sonia stała naprzeciw Chiary i przypominała wystraszone zwierzątko, które dostało się w pułapkę. Chuda twarzyczka zachowała jeszcze coś naiwnego, jak gdyby podeptane dzieciństwo chciało koniecznie zostawić na niej niezatarty ślad. Chiarze wydało się czymś niewyobrażalnym i wysoce niemoralnym, że mężczyzna, w dodatku ojciec, pożył tego niewinnego ciała.

Podeszła i wzięła Sonię za rękę.

- Chodź, usiądźmy -

zapropozowała. Poczowała, że Sonia z przerażeniem cofa rękę. Chiarę ogarnęło gorące współczucie; mała nie potrzebowała ani litości, ani przejętej i bezsilnej psychoterapeutki.

Nie puszczając ręki Soni, pchnęła ją niemal siłą na fotel i pochyliła się nad nią.

- Nie bój się mnie, chcę ci tylko pomóc - powiedziała, szukając jej wzroku.

Sonia pozwoliła na siebie patrzeć, jak gdyby była ślepa. Zdawała się nic nie widzieć przed sobą i Chiara odniosła wrażenie, że dziewczynka nie usłyszała również tego, co do niej przed chwilą mówiła.

- Chcę ci pomóc, rozumiesz?

Musiała powtórzyć jeszcze raz. Dopiero kiedy potrząsnęła ją za ramię, dziewczynka nieco się ożywiła. Można do niej dotrzeć tylko poprzez fizyczny kontakt, pomyślała Chiara wstrząśnięta; przez pięć długich lat wszystkie lęki, załamania, próby stawiania oporu miały jako punkt odniesienia ciało i dlatego jest ono jedyną znaną jej rzeczywistością.

- Nie bój się mnie -

pogłaskała małą delikatnie po twarzy. Sonia cofnęła się odruchowo i po pozbawionej wszelkiego wyrazu buzi spłynęły nagle dwie duże łzy. Była tak przeniknięta bólem, że nawet tego nie zauważyła.

Chiara objęła z całych sił dziewczynkę; muszę wyrwać cię z tego stanu, pomyślała. Ale jak? Nie miała na razie gotowej recepty.

- Soniu, rozumiesz, co do ciebie mówię? Chcę ci pomóc. Rozumiesz? - nie pytała, a raczej błagała Chiara.

- Tak - odpowiedziała Sonia ochrypłym głosem.

- Wiem, co się stało, ale to już koniec. Nikt cię więcej nie skrzywdzi. To też rozumiesz?

Tym razem Sonia nie odpowiedziała. Gdy wróciła opiekunka społeczna, Chiara stwierdziła ze zdumieniem, że minęło południe. Spędziła z Sonią dwie i pół godziny i nie pamiętała nawet, co robiły. Dziewczynka przebywała tymczasowo w domu dziecka, ale jej ciotka, która przyjechała z Bari na pogrzeb siostry, rozmawiała już z sędzią dla nieletnich; zamierzała uzyskać prawo do opieki nad małą i zabrać ją do siebie. Chiara pragnęła ją bliżej poznać, w trakcie jednego ze spotkań wydała jej się bowiem prostą i wrażliwą kobietą: zdawała sobie sprawę

z powagi sytuacji, wiedziała, w jakim stanie jest siostrzenica, lecz nie brakowało jej ani odwagi, ani miłości.

Chiara postanowiła raz jeszcze

opowiedzieć o wszystkim

sędziemu, ciotce zaś

wytłumaczyła, że przez pewien czas Sonia musi pozostawać pod opieką doświadczonego specjalisty. Sama miłość nie wystarczy, by minął szok i aby Sonia potrafiła dalej żyć normalnie. Ciotka zrozumiała również i to.

Sonia przychodziła do poradni codziennie rano o dziewiątej i zostawała aż do jedenastej w gabinecie Chiary. Przez dziesięć dni ochryplę „tak” było jedynym nieomylnym znakiem tego, że Sonia rozumie, co się do niej mówi.

Chiara zwróciła się o pomoc do

Valsecchi i stara

psychoanalityczka robiła

wszystko, aby za szybko się nie zniechęciła. „Kiedy lekarz stwierdził ciążę, tłumaczyła, Sonia zareagowała w normalny sposób: wybuchnęła płaczem i opowiedziała wszystko matce, która błagała ją, by wyznała całą prawdę. To od Soni dowiedzieliśmy się szczegółów tej historii. Zablokowanie nastąpiło po śmierci matki. Dziewczynka poczuła się za nią odpowiedzialna i zamknęła się w sobie. To w tym kierunku powinnaś pójść. Jeśli uwolnisz ją od poczucia winy, przekonasz o tym, że to ona, a nie matka jest właściwą ofiarą, zdołasz ją odblokować i pomóc jej. Mam wrażenie, że to bardzo inteligentna dziewczynka...” Rozmowa z Valsecchi wzbudziła w Chiarze nadzieję i optymizm; skoro Sonia milczy, to ona musi zacząć mówić. Modłać się w duchu, by za pustym spojrzeniem i pozbawioną wyrazu twarzą kryła się rzeczywiście inteligencja, całymi dniami usiłowała ją pocieszyć, uspokoić, tak by wspomnienia przyblakły i aby dziewczynka pojęła, że uległa bestialskiej przemocy, bo miała do czynienia z chorym mężczyzną.

- Twoja matka zabiła się, ponieważ była osobą słabą i nieszczęśliwą - powtarzała jej nieustannie. - W pewnym momencie nie wytrzymała. Ale ty musisz być silniejsza, również za nią. To już skończone, Soniu, nic ci nie grozi.

Opowiadała o jej ciotce, o kuzynach, o pewnej dalekiej wyspie, gdzie ludzie nie pozwalają złym bogom odebrać sobie magicznego daru radości życia, o mieście na południu Bari, gdzie miała niebawem zamieszkać; jest tam pełno słońca, morze, a także nowa rodzina, w której znajduje miłość i zrozumienie.

Czasami Chiara wracała do domu zmęczona i zachrypnięta. Jej zapas nadziei i optymizmu wyczerpywał się coraz bardziej. Wydawało się, że nic nie jest w stanie wyrwać Soni z zamkniętego kręgu jej myśli i odrętwienia, w jakie popadła. Stało się to w miesiąc później. Sonia przyszła do poradni, pozwoliła posadzić się w fotelu i uścisnąć za rękę. Jak zwykle Chiara zaczęła łagodnie do niej przemawiać.

- Życie nigdy się nie kończy - powiedziała w pewnym momencie ze wzruszeniem, spoglądając Soni w oczy - ponieważ wszystko trwa nadal i odradza się. Zima pozbawia gałęzie liści, ale potem nadchodzi wiosna i pokrywa je na nowo pąkami. Słońce topi śnieg, ustają wichry, czarne chmury znikają, niebo staje się znów błękitne... Zostałaś zgwalcona i zraniona, ale nikt nie pozbawił cię życia. Jesteś żywa, rozumiesz, Soniu? Nawet jeśli czujesz się obumarła jak drzewo smagane wiatrem, wewnątrz masz tysiące pąków, które czekają tylko, żeby rozkwitnąć. Boże - szepnęła, odwracając wzrok - spraw, aby mnie zrozumiała.

- Zabrali mi... dziecko... po pogrzebie mamy.

Cichutki szept Soni. Na dźwięk tego nieśmiałego głosu Chiara drgnęła. Przez chwilę nie była pewna, czy dziewczynka rzeczywiście przemówiła, czy to ona sama zaczęła tracić zmysły.

Sonia mówiła jednak dalej.

- Zabrali... mi dziecko - powtórzyła. - Mama umarła, ale dziecko powinno się narodzić.

„To bardzo inteligentna dziewczynka”, przypomniała sobie rozmowę z Valsecchi i poczuła, że ogarnia ją euforia: dziewczynka cierpiała, a ona potrafiła do niej dotrzeć, przebić się przez okalający ją mur.

- Soniu, kochanie, dziecko nie mogło się urodzić. To było dziecko twojego ojca, rozumiesz? To wbrew naturze... Przez całe życie byłoby nieszczęśliwe, może chore... - przerwała, oddychając z trudem. Powinnam znaleźć prostsze słowa, pomyślała zaniepokojona, powinnam jej wytłumaczyć, że trzynastoletnia dziewczynka nie może urodzić dziecka z kazirodczego związku.

- Wiem - wyszeptała znowu Sonia. - Byłam w ciąży od dwóch miesięcy, kiedy mama zaprowadziła mnie do lekarza. Nie potrafiłam myśleć o niczym innym jak tylko o dziecku. A w nocy, kiedy ojciec kładł się koło mnie i zatykał mi usta ręką, zdawało mi się, że jestem gdzieś bardzo daleko. Nawet nie cierpiałam. Powtarzałam sobie stale, że życie narodzić się może nawet z takiego świństwa...

To naprawdę bardzo inteligentna dziewczynka. A przecież ma tylko trzynaście lat, pomyślała Chiara. Przeżyła trzynaście strasznych lat, które nie pozwoliły jej cieszyć się dzieciństwem. Przełknęła ślinę.

- Poczęcie dziecka - zaczęła powoli - było niezgodne z wszelkimi prawami natury. Może ci się to wydać okrutne, ale zabieg uratował cię i maleństwo od tragicznego losu.

- Kochałabym je tak, jak nikt nigdy mnie nie kochał - upierała się Sonia, potrząsając głową. -

Nawet los nie mógłby go skrzywdzić. Ale mi je zabrano. To tak jakby zabito jeszcze raz mamę. Chciałam mieć to dziecko!

- krzyknęła. - Chciałam mieć to dziecko! Czy pani to rozumie?

Sonia chwyciła Chiarę kurczowo za ramię. Ze smutnych oczu dziewczynki popłynęły łzy.

Chiara odwróciła wzrok.

Zdawało się jej, że czas cofnął się błyskawicznie tam, gdzie umiera wszelka nadzieja.

- Ja też przerwałam ciążę - wyznała z trudem. - Ja też oczekiwałam dziecka, które nie mogło się urodzić.

Leżała na łóżku w sali operacyjnej, pielęgniarka trzymała w ręce strzykawkę. Ursi patrzył na nią, niespokojny i zdziwiony: „Czy jest pani pewna, że tego chce, Chiaro?”

Sonia przestała płakać,

patrzyła na nią teraz z takim samym wyrazem twarzy jak Ursi. Chiara wzięła ją za rękę, jak gdyby to ona prosiła o pomoc, i ze spuszczoną głową opowiedziała resztę.

- Byłam w ciąży od dwóch i pół miesiąca, mąż jeszcze nic nie wiedział. Czekaliśmy na dziecko dziesięć lat. Zaszłam w ciążę, a potem miałam poronienie. W naszym małżeństwie znów dobrze się układało, tak przynajmniej sądziłam...

Zamilkła. Spojrzenie Soni było inteligentne i smutne. Uścisnęła Chiarę za rękę, jakby chciała dać do zrozumienia, że wszystko pojmuję, może więc mówić dalej.

- Tamtego popołudnia poszłam do ginekologa, który zapewnił mnie, że tym razem wszystko będzie dobrze. Po wyjściu z gabinetu spacerowałam po mieście, pijana szczęściem. Zanim wróciłam do domu, wstąpiłam jeszcze do sklepu dla dzieci i kupiłam parę różowych bucików dla niemowląt... Byłam przekonana, że to będzie dziewczynka... Poprosiłam o zapakowanie ich w różowy papier. Nigdy nie czułam się tak szczęśliwa i przepełniona miłością.

Nie potrafiła mówić dalej. Wstrząsała nią szloch, słowa uwięzły w gardle. Musiała jednak opowiedzieć Soni to, czego nie opowiedziała jeszcze nikomu.

- Kiedy mąż wrócił do domu, miałam mu dać tę paczuszkę, ale on powiedział, że musimy się rozstać, ponieważ zakochał się w innej kobiecie, która jest w ciąży... Trzy dni później poszłam do ginekologa i zażądałam, by przeprowadził

zabieg. Moje dziecko nie mogło urodzić się z cierpienia i samotności, życie nie może zakiełkować na pustyni uczuć...

Tak przynajmniej wtedy myślałam, dodała w duchu. Ale gdy wyszła ze szpitala, obolała i pusta, zrozumiała, że popełniła straszliwy błąd. Leżała przez tydzień w łóżku i pragnęła umrzeć, aż wsadzono ją do samochodu i zawieziono do kliniki. Nie powinna mówić tego wszystkiego Soni. Nagle uświadomiła sobie, że wciąganie trzynastoletniej dziewczynki w jej prywatne sprawy jest sprzeczne z etyką zawodową.

Sonia wszystko zrozumiała.

- Musiała pani potem cierpieć

- powiedziała łagodnym głosem dorosłej osoby - i powtarzać sobie, że źle zrobiła... Ale ma pani rację: są dzieci, które nie powinny się urodzić. Wreszcie to do mnie dotarło - dodała po krótkiej przerwie. - Teraz wiem, że zabieg był jedynym wyjściem.

Może nie dla mnie, pomyślała Chiara z rozpaczą w sercu.

Życie jednak toczyło się dalej i powrót do zdrowia Soni był tego najlepszym dowodem. Patrząc na nią, Chiara poczuła się nieco odprężona i uściskała ją serdecznie.

XVII

- Czy coś się stało? - zapytał Marco po powrocie do domu. Była dziesiąta i mała zamiast leżeć w łóżku, biegła z płaczem przez salon, goniona przez rozwścieczoną Margheritę.

- W przedszkolu Sara złapała wszy, a teraz nie pozwala dotknąć głowy - oznajmiła.

Dina stała w drzwiach, przyglądając się z dezaprobatą całej scenie.

- Umyłam jej już dwa razy głowę specjalnym płynem i posypałam proszkiem przeciw pasożytom. Na dziś chyba wystarczy.

- To ja decyduję, co ma

wystarczyć! - krzyknęła Margherita.- Saro, chodź tu zaraz, masz na głowie pełno tych paskudztw. Jeśli ich nie wyczeszemy, pożra cię żywcem.

- Nie - zawołała mała,
chowając się za fotel.

- Nie byłoby prościej obciąć jej włosy? - wtrącił się Marco, pragnąc załagodzić sytuację. Puścił oko do córki.

- Włosy to jedyne co ma

ładnego - odparła lodowatym tonem Margherita.

Dina odwróciła się i poszła do kuchni, Marco również oddalił się w nadziei, że mała nie zrozumiała słów matki. Do gabinetu dochodził jeszcze przez jakiś czas płacz Sary i krzyki Margherity, potem zapanowała cisza. Wreszcie usłyszał, jak idzie z małą do łazienki, żeby umyć ją przed spaniem. Po chwili stanęła przed nim z córeczką na rękach.

- Marco, Sara chce ci powiedzieć dobranoc.

- Noc, tato.

- Nie pocałujesz mnie?

Sara wyswobodziła się z ramion matki, podeszła szybko do ojca, aby go pocałować w policzek. Uniósł ją do góry i również ucałował.

- Śpij dobrze, kochanie.

Kiedy został sam, westchnął głęboko.

Sarę i Margheritę łączył dziwny stosunek, pełen napięcia i niechęci, a zarazem miłości i porozumienia, który czasami go niepokoił.

Zachowywały się jak dwie rówieśniczki,

przyjaciółki_nieprzyjaciółki, i nie pojmował, jak to jest możliwe. „Rozmawiasz i kłócisz się z Sarą, jakby to nie była trzyletnia dziewczynka”, zarzucał często Marghericie, a ona wzruszała tylko ramionami:

„Możesz być pewny, że wszystko rozumiem. Dobrze wie, jak mnie szantażować albo rozwścieczyć.” Po gwałtownych i niekontrolowanych wybuchach złości następowała zgoda, łzy, pocałunki. Mimo wszystko Sara była bardzo przywiązana do matki: chodziła za nią, starała się zwrócić na siebie uwagę. Często budziła się w nocy pod wpływem jakiegoś koszmaru i głośno wołała Margheritę.

Była to z pewnością dziwna dziewczynka, nad wiek umysłowo rozwinięta. Marcowi sprawiało przykrość, kiedy Margherita twierdziła, że jest brzydka; miała wprawdzie nieregularne, ostre rysy i ciemną cerę, a małe czarne oczka czyniły buzię jeszcze bardziej pochmurną, ale pojawiały się w nich czasami przebliski ciekawości, które rozpromieniały ją całą. Wypukłe czoło, za krótki nosek, nadąsane usta ginęły w masie czarnych loków, z których wyłaniała się twarzyczka o czułym i namiętym wyrazie.

Po matce jej wielką miłością była ciocia Egle. Przepadała za domem w San Zeno, gdzie po pierwszym pobycie, którego nie mogła pamiętać, spędziła jeszcze dwa razy wakacje i wiele weekendów. Z Egle wszystko było proste: łączyła je idealna więź, jaka rodzi się między starą, cierpliwą ciotecznią babką a małą, żywą wnuczką. Na trzecim miejscu była Dina, opiekunka. To do niej uciekała Sara, kiedy matka goniła ją po domu albo nie potrafiła się opanować. Marco był na końcu listy i często zastanawiał się, w jakim stopniu Sara rozumie jego uchylanie się od odpowiedzialności, niechęć do zajmowania stanowiska oraz to, że nie umie być ojcem. A przecież uwielbiam córkę, pomyślał.

Margherita przerwała jego rozmyślenia.

- Jadłeś już kolację, prawda?

- zapytała, stając w drzwiach.

- Tak, przekąsiłem coś z

Greppim przed jego wyjazdem do Rzymu.

Podeszła, przysunęła krzesło,

usiadła naprzeciwko niego.

- Nie sądzę, że Greppi to dobry nabytek. Wydaje mi się do tego za stary, a jego sposób działania jest już przestarzały. Potrafi zajmować się tylko kosmetykami i niczym więcej.

- Kosmetyki sprzedaje jedna trzecia naszej klienteli i właśnie dlatego go zatrudniłem. Poza tym ma dopiero czterdzieści siedem lat. Nie jest więc chyba starcem, co? - wyjaśniał cierpliwie Marco.

Gigi Greppi pracował jeszcze do niedawna z Giovanną, bliźniaczką Chiary, w tej samej agencji. Marco podejrzewał, że to właśnie jest powód niechęci Margherity.

- Może masz rację - przyznała

- ale dalej nie jestem

przekonana, że dobrze zrobiłeś, zatrudniając Greppiego.

Mówiła przemądrzałym i stanowczym tonem, który od pewnego czasu denerwował pracowników Marca. Minęły czasy, kiedy Margherita miała kompleks „kochanki szefa” i nie wtrącała się do nie swoich spraw.

- Mówiłam właśnie, że źle zrobiłeś, zatrudniając Greppiego, może raczyłbyś odpowiedzieć.

- Co mam odpowiedzieć?

Diabelnie trudno z tobą dyskutować! - Zauważył, że mówi zirytowanym głosem, i rzeczywiście był wściekły.

- Rozumiem, chcesz się

sprzeczać.

- Nic nie rozumiesz. Jeśli czegoś nie chcę, to właśnie sprzeczeki.
- Sądząc po reakcji, jest inaczej.

Marco zamilkł. Kłótnie wyczerpywały go, szczególnie że nie miał do nich serca, w odróżnieniu od Margherity, która zapalała się z byle powodu i z najdrobniejszej sprawy robiła „kwestię zasad”. Kiedy dawał się wciągnąć w słowną utarczkę, myślał mimo woli o swym małżeństwie z Chiara; nigdy tak naprawdę się nie kłócili przez te dziesięć lat, ani razu nie podniosła na niego głosu. Przypomniawszy sobie, że zdarzyło się to tylko raz: w dniu, w którym opuściła ten dom, zwymyślała go i potłukła, co miała pod ręką.

- Marco, mówię do ciebie! Nie mogę znieść tego, jak udajesz, że nie słyszysz, co do ciebie mówię, albo jak robisz ze mnie idiotkę.

- Czego ode mnie chcesz?

- Bardzo wiele! W tej chwili chcę tylko, żebyś porozmawiał ze mną o Greppim. Podejrzewam, że zatrudniłeś go dlatego, że przypomina ci utraconą rodzinę. Nigdy nie opowiada o twojej szwagierce? Nie masz od niego wiadomości o uwielbianej niegdyś żoneczce?

- Nie chcę cię słuchać,

Margherito. Jesteś głupia i podła.

- Z pewnością nie wytrzymuję porównania z Chiara! Dlaczego tego nie powiesz? - prowokowała go.

- Bo nie ma nic do

powiedzenia. Jeśli odsuniesz krzesło, będę mógł pójść spać. Jestem bardzo zmęczony - odparł wstając.

- Ja też. Ale nie możesz

przerwać rozmowy w połowie i uciec jak tchórz.

- Jakiej rozmowy? Na razie wygłosiłaś monolog.

- Widzisz, jednak chcesz się sprzeczać! Skoro wygłaszam monologi, to znaczy, że już ze sobą nie umiemy rozmawiać - oświadczyła nagle łagodnie i zaczęła płakać.

Łzy Margherity sprawiły, że Marcowi przeszła złość. Obszedł biurko, zbliżył się do niej i otoczył ją ramionami.

- Naprawdę nie chcę się

kłócić. Twoje podejrzania wprawiają mnie w zakłopotanie. Mam tylko jedną rodzinę: ciebie i Sarę. Powtarzam ci to do znudzenia.

- Nie jesteśmy twoją rodziną, bo nie jestem twoją żoną - odpowiedziała, pociągając nosem.

Marco milczał przez chwilę.

- Wkrótce nią zostaniesz.

Mecenas Ruffo poinformował mnie telefonicznie, że za pięć dni muszę stawić się z Chiara na rozprawie i uzyskam rozwód.

Margherita cofnęła się

gwałtownie.

- Kiedy do ciebie dzwonił?

- Około trzech tygodni temu.

Chyba przed Bożym Narodzeniem.

- Dlaczego mi o tym nie

powiedziałaś?

Marco wzruszył ramionami.

- Bałem się, że ta wiadomość cię zdenerwuje albo sprawi ci przykrość.

- Naprawdę? Powinam się

denerwować? Powinno mi być przykro?

- Oczywiście, że nie, przecież dobrze wiesz.

- Czy rozprawa długo potrwa?

- Nie sędzę. Chodzi o rozwód za obopólną zgodą, będzie to więc tylko czysta formalność.

- Nie czujesz się przejęty tym, że ją zobaczysz?

Tak, chciał odpowiedzieć. Tak jak przejmują cię myśli, że spotkasz po latach osobę, którą kiedyś bardzo kochałeś, a która stała się tylko wspomnieniem, twarzą, której rysów nie potrafisz odtworzyć. Margherita jednak by tego nie zrozumiała. Potrząsnęła więc tylko głową i uśmiechnęła się.

- Przejęty? Dlaczego miałbym być przejęty?

To Margherita wyciągnęła rękę w jego stronę, kiedy położył się do łóżka. Myślała, że zasnął, toteż przytuliła się i objęła go.

- Marco - szepnęła - nie śpisz?

Przygarnął ją do siebie.

- Nie, nie śpię.

Nigdy nie zapomni ponurej atmosfery i ścisku, jaki panował w sądzie dwudziestego piątego stycznia, kiedy zgłosił się na rozmowę wraz ze swoim adwokatem i znalazł nagle w tłumie kobiet i mężczyzn, którzy krzyczeli, pchali się, protestowali.

- Musimy odszukać pańską byłą żonę i jej adwokata - oświadczył profesjonalnym tonem mecenas Ruffo.

Tak, ale gdzie? Ruffo w końcu się na nich natknął i Marco ujrzał młodą damę, idącą w jego stronę w towarzystwie dwóch eleganckich panów. Mało brakowało, a byłby jej nie poznał. Chiara nie nosiła już krótkich włosów: teraz były proste i długie, dużo jaśniejsze, z grzywką.

Na sobie miała piękne futro. Teresa, która ją kiedyś spotkała, powiedziała, że chodzi wystrojona i jest w świetnej formie.

Gdy podeszła, zauważył po raz pierwszy niezwykle podobieństwo do bliźniaczki. Stał jak sparaliżowany: czy powinien ją uściskać czy przywitać skinieniem głowy, czy może pocałować w dłoń? Ta wytworna dama wydała mu się kimś obcym. Chiara wybawiła go z kłopotu, podając rękę swobodnym ruchem.

Pozbawiony skrępowania był także wyraz jej twarzy, jak zauważył Marco. Nie wydawała się ani zbyt serdeczna, ani zbyt chłodna, ani ostentacyjnie rozluźniona, ani też przesadnie smutna. Od razu rozpoznał w niej mądrą i opanowaną kobietę, która przez dziesięć lat była jego żoną.

- Świetnie wyglądasz - wyrwało mu się i zaraz zawstydził się tego wyświechtanego frazesu.

- Poczulałbym się lepiej,

gdybyśmy mogli już stąd wyjść - odpowiedziała z uśmiechem.

Dwa metry od nich jakiś mężczyzna, najprawdopodobniej adwokat, usiłował rozdzielić kłócącą się zażarcie parę. Kiedy woźny, próbując przekrzyczeć tłum, zawołał: „Zenga Antonio i Odolini Francesca”, rozległ się chór protestów; teraz moja kolej, my byliśmy pierwsi, ładna mi sprawiedliwość.

- Możemy czekać nawet kilka godzin - oznajmił adwokat Chiary, rozglądając się wokół.

Podczas gdy obaj adwokaci rozmawiali na stronie, z pewnością o czymś innym niż o ich rozwodzie, gdyż wszystko już zostało w swoim czasie uzgodnione, Marco zaprowadził Chiare w kierunku dwóch cudem nie zajętych krzeseł, które zostawili Antonio Zenga i Francesca Odolini.

- Nie przypuszczałam, że

rozprawa rozwodowa jest tak przygnębiająca - rzekła Chiara, wskazując na rozhisteryzowany tłum, który ich otaczał.

- Ja też nie. Wygląda to jak praca przy taśmie albo tokijskie metro w godzinie szczytu.

Po długim milczeniu zagadnął:

- Matka i siostra czują się dobrze?

- Tak. Giovanna w przyszłym miesiącu wychodzi za mąż. Nie wiem, czy pamiętasz Giorgia

Venturę, tego od handlu nieruchomościami. Sprzedał nam posiadłość nad Iseo... To on jest szczęśliwym wybrankiem.

- Tak, pamiętam, cieszę się. - Zamilkł znowu. Chiara również nie zdradzała ochoty do podtrzymywania tej męczącej i pełnej niedomówień rozmowy.

- Byłaś kiedyś nad Iseo? - spytał Marco.

- Nie - odparła z prostotą. - Przywołałoby to tylko smutne wspomnienia. Ale - dodała pospiesznie - pewien człowiek przychodzi regularnie, żeby przewietrzyć i sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- To był bardzo piękny dom - powiedział.

- Tak, żałuję, że nie chciałeś go zatrzymać.

Ponownie zapadła cisza. Tym razem przerwała ją Chiara.

- Jak się miewa twoja córka?

To było miłe z jej strony i Marco drgnął: przez ułamek sekundy owa „córka” skojarzyła się z Benedetta, dzieckiem, którego spodziewała się Chiara i które nigdy się nie urodziło.

- Dobrze - odrzekł po chwili.

Dwudziestego pierwszego stycznia Sara skończyła trzy latka.

- Sara to bardzo ładne imię.

Benedetta podobało mi się bardziej, chciał odpowiedzieć, ale powstrzymał się w porę, gdyż uświadomił sobie, że popełniłby straszliwą gafę.

Woźny zawołał ich dwie godziny później, kiedy bezpieczne tematy zostały już wyczerpane i oboje milczeli, zajęci każde swoimi myślami. Sędzia spytał adwokatów, czy dopełniono wszystkich formalności i czy obie strony nie zgłaszają jakichś pretensji. Potem przejrzał papiery, które mu doręczono, złożył podpis i pokazał palcem miejsce, gdzie oboje mieli umieścić swoje nazwiska.

Rozprawa nie trwała nawet dziesięciu minut i gdy wyszli na zewnątrz już rozwiedzeni, Marco zdał sobie po raz pierwszy sprawę, że utracił Chiare na zawsze. Dziesięć lat przekreślonych tylko dlatego, że pewnej odległej wiosny poczuł się przez nią odepchnięty i nie potrafił oprzeć się namiętnej dziewczynie, która wyciągnęła do niego ramiona.

Teraz zrozumiał, jak podły był jego postępek. Ale, dziwne, myśl ta nie unieszczęśliwiła go, lecz tylko zasmuciła: w domu czekała nań Margherita, ożeni się z nią jak najszybciej. Nie było już wprawdzie zmysłowej dziewczyny, ale była matka jego córki, młoda kobieta, która z jego winy straciła pewność siebie i spokój. Ogarnęła go ogromna czułość i postanowił sobie, że będzie dla Margherity dobrym mężem, nie tak jak dla Chiary. Spostrzegł ze zdumieniem, że adwokaci sobie poszli, a Chiara przygląda mu się z wahaniem.

- Marco, musimy się pożegnać.

Wszystkiego dobrego - powiedziała, podając mu rękę.

Marco uścisnął ją łagodnie.

- Przykro mi, że tak to się skończyło. Zasługiwałaś na kogoś lepszego.

- Ale pokochałam ciebie - odpowiedziała spokojnie, patrząc na niego ze łzami w oczach.

Marco objął ją bez słowa. Oboje wyswobodzili się ze smutkiem z tego krótkiego uścisku. Skończył się ból, nienawiść, wzajemne oskarżenia. Nie zostało już nic. Gdy obejrzał się za Chiara, zobaczył, że Paolo Lusardi czeka po drugiej stronie ulicy i bierze ją pod rękę. Było już prawie południe. Marco nie miał ochoty iść do biura ani wracać od razu do domu. Wyjechał z parkingu i ruszył przed siebie. Jechał bez celu i jak zawsze prowadzenie samochodu uspokoiło go.

- Zaprosiłeś ją na obiad? A potem pewnie pojechaliście do motelu, żeby powspominać dawne czasy? - warknęła Margherita, kiedy Marco wszedł do domu.

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- O czym ty mówisz?
- Rozprawa skończyła się przed dwunastą, a jest już prawie czwarta. Nie poszedłeś do biura, nie wróciłeś też do domu, więc nietrudno się domyślić, że byłeś z żoną.
- Chiara nie jest już moją żoną.

Margherita zachichotała.

- To właśnie jest takie podniecające. Widziałam, jak namiętnie całowaliście się po rozprawie i... - Przerwała, przestraszona tym, co powiedziała.
Marco spojrzał na nią wymownie.

- Przykro mi, że doprowadziłem do takiej sytuacji. Śledziłaś mnie?

Kochał tylko dwie kobiety w swoim życiu i w ciągu kilku godzin obu powiedział: „przykro mi”.

Podszedł do Margherity,

położył jej rękę na ramieniu.

- Nie powinnaś była tego robić, kochanie. Chcę, żebyś mi wierzyła. Wiesz dobrze, że możesz mi ufać.
Znow zachichotała.
- Wcale nie wiem. O ile dobrze pamiętam, świetnie umiałeś zdradzać i oszukiwać żonę. Albo, jeśli wolisz, była żoną.

- Jesteś niesprawiedliwa,

Margherito - stwierdził Marco. Nie był ani poruszony, ani obrażony, a jedynie przygnębiony.

Zdjął płaszcz, poszedł do kuchni, żeby zrobić sobie kawy. Nie chciało mu się jeść, chociaż był bez obiadu.

Poszła za nim i nie ustępowała.

- „Jesteś niesprawiedliwa...”

- naśladowała jego głos. - Klasyczny sposób, w jaki broni się ktoś, kto został zdemaskowany i czuje się winny.

Nagle przestała się sprzeczać. Wzięła z jego rąk maszynkę, nasypała kawy, postawiła ją na gazie. Spojrzała teraz na Marca i powiedziała z goryczą:

- Gdybym nie była w ciąży, nigdy nie porzuciłbyś żony. To przynajmniej możesz przyznać.

Marco popatrzył jej w oczy.

- Mogę jedynie przyznać, że ciąża przyspieszyła bieg wypadków. Nie nadawałem się do roli niewiernego męża i wcześniej czy później i tak podjąłbym stosowną decyzję.

- Niekoniecznie wybierając mnie... - głos Margherity był spokojny. - Mógłbyś równie dobrze zerwać ze mną i wrócić na stałe do żony.

Zrobił wymijający ruch ręką, jak gdyby nie chciał ani nie potrafił odpowiedzieć na tę zaczepkę.

- Twoje małżeństwo jeszcze się nie rozpadło, Chiara cię kochała, wiele was łączyło - upierała się Margherita.
 - To prawda - musiał przyznać.
 - Co jest prawdą? To, że twoje małżeństwo się nie rozpadło, czy że wiele was łączyło?
 - Może jedno i drugie - odparł bez zastanowienia Marco.
- Zauważył jednak z ulgą, że Margherita nie potraktowała jego odpowiedzi jako prowokacji.
- Rozumiem... Ubolewam nad tym, że wiadomość o dziecku nie pozwoliła ci się głębiej nad wszystkim zastanowić, a może nawet być szczęśliwym.

Kawa wykypiała. Margherita wstała, nasypała po raz drugi kawy do maszynki i postawiła ją na gazie. Potem znowu usiadła.

- Kochanie, wcale mnie nie unieszczęśliwiłaś...
- Ale też nie uszczęśliwiłam.

Marco rozłożył ręce.

- Nie wiadomo, co to jest szczęście. Kiedyś utożsamiałem je z namiętnością, sukcesem, radością. Dziś jestem przekonany, że oznacza przede wszystkim stabilizację: należy po prostu spełniać swe obowiązki zawodowe i rodzinne, być w zgodzie z samym sobą, trzymać się z daleka od zmian i niespodzianek. Ty i Sara dałyście mi właśnie poczucie takiej stabilizacji.
- Jednym słowem, jesteś z nami z obowiązku.

Marco ogarnął niepokój. Może był w błędzie, ale zdawało mu się, że w jej głosie pojawiła się hamowana z trudem irytacja.

- To rzeczywiście brzmi nie najlepiej - zauważył. - Czy wiesz, że nie może być mowy o poczuciu obowiązku, jeśli między dwojgiem ludzi nie istnieje związek uczuciowy?
- Ale nie miłość! Jesteś do mnie przywiązany, lecz kochałeś żonę! - krzyknęła Margherita. Hamulce puściły i powstrzymana wściekłość znalazła wreszcie ujście.

Jak mógł się tak pomylić? Nie rozumieć, że spokój i opanowanie były jedynie podstępem, do którego się uciekała, by zmusić go do powiedzenia tego, co sama chciała usłyszeć?

- Dostyc już! - Kawa była gotowa. Marco napełnił nią swoją filiżankę.
 - Czy masz obowiązki również wobec Sary? - zapytała Margherita już bez zdenerwowania, patrząc, jak Marco pije kawę.
- Tym razem nie dał się sprowokować.

- Też pytanie! To przecież moja córka! Oczywiście, że czuję się za nią odpowiedzialny.
- Może ona nie jest twoją córką! - zasyczała Margherita.
- Co chcesz przez to

powiedzieć? Dajmy wreszcie spokój tym gierkom...

- To nie jest żadna gra.

Pamiętasz Franca Elestiego? Pamiętasz, jak pewnego dnia zostawiłeś mnie? Przeżyłam z nim dziesięciodniową niezapomnianą przygodę. Sara została poczęta na wiosnę, a Elestici złożył wymówienie, bo nie chciał dłużej z tobą pracować. Wcale nie jestem pewna, czy Sara jest twoją córką. Zatem twoje powinności wobec niej tracą sens.

Marco nie odczuwał już nic poza wewnętrzną pustką i kompletnym wyczerpaniem.

Podniósł się ciężko, umył brudną filiżankę.

Margherita chwyciła go za ramię i zmusiła, by odwrócił się w jej stronę.

- To nieprawda! - szlochała. - Przysięgam, że to nieprawda! Nie wiem, co się ze mną dzieje od rozprawy, kiedy zobaczyłam, jak całujesz Chierę.

Przerwała na moment, potem dalej mówiła płaczącym głosem.

- Nigdy nie powiedziałeś, że mnie kochasz. Ani razu w ciągu czterech lat. - Złapała go teraz za marynarkę i potrząsnęła nim.

- Wiesz, co to znaczy dla kobiety? Zazdrość, niepewność, paniczny strach. Nigdy mnie nie kochałeś, tak wygląda prawda.

Marco był zbyt zmęczony, aby odpowiedzieć, a nawet, by zebrać myśli.

- Historia z Elesticim jest wyssana z palca. Chciałam ci tylko zadać ból. Wierzysz mi? - Margherita błagała raczej niż pytała.

- Ostatnio potrafimy tylko ranić się nawzajem - powiedział cicho Marco. - Może byłoby lepiej, gdybyśmy na jakiś czas się rozstali? - dodał z trudem.

- Chcesz powiedzieć, że wszystko między nami skończone?

- Na twarzy Margherity malowało się przerażenie.

Marco spuścił wzrok.

- Nie, Margherito, musimy trochę od siebie odpocząć.

XVIII

Po trzech miesiącach mrozów, śniegu i deszczu nadszedł wreszcie kwiecień. Pewnego ranka, otwierając okno w sypialni, Margherita zobaczyła coś, co przypominało piękny obraz: niebo było błękitne, słońce świeciło jasno, trawa lśniła, pąki na drzewach były wilgotne i jasnozielone.

Oddechnęła głęboko, czując, że przenika ją radość życia. Może wraz z przebudzeniem się przyrody ożyje też jej nadzieja? Boże, zaczęła się modlić, spraw, by Marco zapomniał, co mu powiedziałam, spraw, by mnie pokochał...

Oczekiwała go w domu

wieczorem. Upłynął właśnie termin, który sobie wyznaczili, skończyć się miała rozłąka. W ciągu tych trzech miesięcy, od kiedy przeniósł się do

wynajętego mieszkania,

przychodził często odwiedzać małą, dzwonił codziennie, troszczył się o Margheritę, dbał o to, by niczego jej nie brakowało. Nawet to straszne kłamstwo, które rzuciłam mu w twarz, pomyślała z goryczą Margherita, nie zachwiało jego poczuciem obowiązku.

Ogarnęło ją wzruszenie i lęk na myśl, że go zobaczy.

Poprosiła, jak każdy inny pracownik, o trzy miesiące urlopu. Była rzeczywiście zbyt wyczerpana nerwowo, by skupić się na pracy, a poza tym ciągły kontakt z Markiem w agencji zepsułby cały pomysł rozstania się na próbę, na czym tak bardzo mu zależało.

Tego dnia miała wrócić do domu również Sara. Mała spędziła ostatni miesiąc w Padwie u cioci Egle i Pinuccia, nowa opiekunka, pojechała tam, żeby ją odebrać. Pod koniec stycznia Dina zwolniła się z pracy z dnia na dzień i wspomnienie tego, co się wówczas wydarzyło, raz jeszcze wywołało w Marghericie wyrzuty sumienia i przygnębienie.

Marco odszedł, a ja miałam nerwy w strzępach, próbowała się usprawiedliwiać. Stało się to o czwartej nad ranem. Przez ponad godzinę słyszała ze swego pokoju płacz córki i głos Diny, która bezskutecznie próbowała ją uspokoić. Wreszcie wstała i poszła do dzieciennego pokoju.

- Co się stało?
- Chyba przyśnił jej się jakiś niedobry sen - odpowiedziała Dina.

Margherita pochyliła się nad łóżeczkiem.

- Maleńka, co ci jest? Bądź grzeczna. Posiedzę przy tobie, dopóki nie zaśniesz.

A zwracając się do Diny
rzekła: - Niech się pani
kładzie, zajmę się małą.

Nie zdążyła jeszcze wyjść, a Sara znów się rozplakała.

- Boję się, mamę, zapal lampę.
 - Czego się boisz? - zapytała Margherita, naciskając włącznik. Pochyliła się znów nad córką, ale widok smutnej i przestraszonej twarzyczki nie wzruszył jej, tylko zdenerwował. Dlaczego nie była pulchnym i roześmianym dzieckiem jak inne?
 - Czego się boisz? -
powtórzyła zniecierpliwiona. - Jestem przy tobie.
Zamiast odpowiedzieć, Sara zanosła się głośnym płaczem. Mając trzy lata, płakała w taki sam cichy i żaloszny sposób, jak kiedy była niemowlęciem.
Margherita straciła panowanie nad sobą; nieprzytomna ze złości, podniosła małą z łóżeczka i zaczęła bić. Po twarzy, nogach, chudych pośladkach.
 - Jesteś nieznośnym
dzieciakiem! Nie cierpię cię! - krzyczała.
- W tym momencie do pokoju weszła Dina i wyrwała jej z rąk Sarę.
- Powinna się pani wstydzić.
- Czy zostanę tu, czy nie - powiedziała już w drzwiach - Sarze i tak to nie pomoże. Pani jest chora, musi się pani leczyć.
Spakowała walizkę i bez pożegnania opuściła dom.

Przymykając oczy i spoglądając na kwitnący ogród, Margherita zastanawiała się, czy rzeczywiście była wtedy chora. To prawda, czuła się teraz osłabiona i zmęczona jak rekonwalescentka. Poszła do łazienki, żeby się umyć i umalować. Sara miała wrócić w południe, a Margherita chciała jeszcze wyjść do miasta i kupić jej jakiś prezent. Zdaniem cioci Egle młody dopisywał apetyt, była pogodna, na nic nie narzekała. Często pytała o mamę.
Samochód zostawiła w pobliżu pierwszej stacji metra, którym zamierzała pojechać do centrum. Wagony były bardzo zatłoczone, Marghericie z trudem udało się wpełznąć do środka. Kiedy rozglądała się w poszukiwaniu jakiegoś uchwytu, zobaczyła Chiare. Miała rozjaśnione długie włosy, jak wtedy, gdy spotkała ją w „Rinascente”. Otaczała ją grupka dzieci.
Również Chiara ją dostrzegła.
Po chwili wahania skinęła głową na powitanie. Margherita wysiadła pośpiesznie na najbliższej stacji, czując, że płoną jej policzki. Ta pani mogła sobie pozwolić na luksus uprzejmości, wolnej od wspomnień i pretensji.
Jak ona śmiała się tak zachować, pomyślała rozwścieczona, idąc szybko w stronę wyjścia. Znalazłszy się na ulicy pełnej hałasu, samochodów i spalin, znalazła odpowiedź: Chiara była pewna i silna jak ktoś, kto wygrał. Sytuacja sprzed czterech lat odwróciła się. Teraz ja, pomyślała, jestem osamotniona i ciągle się czegoś obawiam.
Kiedy uniosła wzrok, by spojrzeć na świat, zobaczyła po drugiej stronie sklep z zabawkami. Kupiła w nim dużą lalkę, po czym przywołała taksówkę i kazała zawieźć się na parking, gdzie zostawiła samochód.
Sara i Pinuccia przyjechały z godzinnym opóźnieniem, o pierwszej; Margherita, zaniepokojona, próbowała

bezsukutecznie dodzwonić się na Dworzec Centralny, żeby dowiedzieć się czegoś o pociągu Wenecja_Mediolan.

Usłyszawszy dzwonek u bramy, nacisnęła szybko guzik i zanim przywitała się z małą, skrzyzczała opiekunkę:

- Mogła pani zatelefonować z dworca! Nie denerwowałabym się tak przez całe pół godziny.

- Straciłam masę czasu,

czekając na taksówkę. Była bardzo długa kolejka.

Mała pociągnęła matkę za spódnice.

- Cześć, mamó.

Margherita podniosła ją i ucałowała.

- Skarbie, tak się o ciebie martwiłam. Niech ci się przyjrzę, wyglądasz wspaniale.

- Ciocia Egle cię pozdrawia.

- Saro, wejdźmy do domu - powiedziała Margherita, trzymając dalej córeczkę na rękach. - Nie jadłaś obiadu, prawda? Przygotowałam ci niespodziankę.

Już przy stole ogarnęła ją irytacja: Sara bawiła się łyżeczką, podnosząc ją od czasu do czasu niechętnie do ust.

- Będiesz wreszcie jeść czy nie?

- Zjadła kawalek tortu w

pociągu, może dlatego nie jest głodna - wtrąciła opiekunka.

- To był tolt od cioci Egle - przerwała Sara, kładąc tym wyjaśnieniem kres wszelkiej dyskusji.

O trzeciej po południu, kiedy Sara bawiła się nową lalką, a Margherita przygotowywała w kuchni mus czekoladowy, ulubiony przysmak ojca małej, zadzwonił Marco i powiedział, żeby nie czekać na niego z kolacją. Zupełnie jakby to była zwykła kolacja, pomyślała Margherita, odkładając słuchawkę. Jakby to był zwykły wieczór, a nie wieczór jego powrotu do domu po trzech miesiącach.

Wróciła do kuchni, wyrzuciła do kubła białka jajek, które zaczęła już ubijać. Następnie weszła do pokoju Sary i poprosiła opiekunkę, żeby się postarała, by córeczka była cicho, ponieważ chce się zdrzemnąć pół godziny. Gdy kładła się do łóżka, pomyślała, że ta prośba jest całkiem nie na miejscu: kiedyż to Sara hałasowała albo bawiła się jak każde dziecko w jej wieku? Sara potrafiła tylko popłakiwać.

To nie jest normalne, pomyślała. Tak jak nienormalne jest to, że się nie śmieje, nie biega, nie robi bałaganu w swoim pokoju. Chodzi posłusznie do przedszkola, a po powrocie siada, skupiona i spokojna, w rogu dywanu z lalką albo pluszowym misiem. Jak gdyby nad czymś rozmyślała. Zaczyna płakać z byle powodu. Przekazałam jej cały swój niepokój, stwierdziła Margherita. Nie nadaję się na matkę i głęboko rozczarowałam Marca.

Ale czy tak rzeczywiście było? Czy Marco oczekiwał czegoś od niej? Prawda wygląda tak, że nigdy mnie nie kochał, myślała dalej. Od samego początku dobrze o tym wiedziała. Jego żona uciekła do starego domu nad jeziorem, a ona, Margherita, wykorzystwała samotność i niezadowolenie Marca.

Przypomniała sobie ów odległy sobotni ranek, kiedy przyszła do agencji. Wiedziała, że go tam zastanie, i udała, że zapomniała kluczy do mieszkania w Madesimo.

Zalecałam się do niego i uwiodłam go, przyznała, ale nie było to nic trudnego. Naprawdę go kochałam. Tylko że na początku wystarczała mi jego namiętność i nie przejmowałam się tym, że nasz związek ma

kruche podstawy. To wraz z przyjściem na świat dziecka wspomnienie Chiary zaczęło mnie prześladować. Chciałam być kochana tak jak ona i nie udało mi się tego osiągnąć, pomyślała z pokorą. Nie udało mi się, nie udało! I wyłącznie z poczucia obowiązku Marco wraca dziś bez pośpiechu do domu. Przez chwilę go nienawidziła. Nienawidziła również córki. Boże, pomyślała, zatykając sobie uszy, dlaczego ona znowu płacze? Wstała gwałtownie i poszła do dziecinnego pokoju. Pincuccia powiedziała:

- Przykro mi, że się pani obudziła, ale Sara przygniotła sobie palec i...

Margherita chwyciła rękę małej, którą ta schowała za plecami, i zobaczyła, że średni palec jest skaleczony i zaczyna puchnąć.

- Mogłaby pani bardziej uważać

- syknęła, biorąc Sarę na rękę i idąc z nią do łazienki.

- Niech pani przyniesie

kawałek lodu. A ty przestań wreszcie ryczeć - krzyknęła na córkę.

Kiedy Sara zobaczyła butelkę ze środkiem dezynfekującym, zaczęła wyrywać się i płakać coraz głośniej.

- Przystaniesz - czy nie?

- Nie chcię tego -

protestowała szlochając.

- Żebyś wiedziała, czego ja nie chcę! I wyrażaj się poprawnie, nie jesteś już niemowlakiem.

**Trzymając ją mocno, zdołała
zdezynfekować zadrapanie i gdy
Pinuccia przyniosła lód,
próbowała bez rezultatu**

przymocować go bandażem do spuchniętego palca. Sara wpadła teraz w prawdziwą histerię, więc Margherita wymierzyła jej siarczysty policzek.

Opiekunka już chciała interweniować, ale Margherita pchnęła silnie małą w jej kierunku.

- Proszę ją sobie zabrać. I proszę ją, uspokoić.

Wróciła do swojego pokoju, położyła się do łóżka i spojrzała na zegarek: prawie piąta. Kiedy zjawi się Marco? I jak długo jeszcze dni będą się wlec tak nieznośnie? Z pokoju Sary dochodził znowu rozdzierający płacz.

Margherita poderwała się z pościeli i wpadła rozwścieczona do pokoju. Pinuccia trzymała małą na rękach, starając się ją uciszyć. Margherita wyrwała córkę z ramion opiekunki i opętana jakąś furia zaczęła ją bić, gdzie popadnie.

- Przeklęty bachorze, zamknij się nareszcie!

Nie spostrzegła nawet, że Pinuccia wybiegła z pokoju.

Sara już nie płakała.

Krzyżując chude ramionka w żalonym geście obrony i wstrzymując oddech, patrzyła na matkę. Margherita zamarła z podniesioną dłonią, sparaliżowana przerażeniem, po czym sama przejmując się rozsłochała. Sara podniosła się powoli, wyciągnęła rączkę i pogłaskała matkę z wahaniem po policzku.

- Co ja zrobiłam? Kochanie, co ja ci zrobiłam? - krzyknęła Margherita.

Sara pokazała jej palec.

- Już nie boli, mam, nie płacz, ploszę.

Oszalałam, pomyślała

Margherita, schodząc do garażu w jakiś czas potem wraz z przytuloną do niej córeczką. Otworzyła drzwi samochodu, posadziła ostrożnie małą z prawej strony. Zauważyła, że Sara wzięła z sobą nową lalkę, tę, którą dostała kilka godzin temu.

- Gdzie telaz jedziemy, mam?

Nie wiem, odpowiedziała w myślach Margherita. Uruchomiła silnik, wyjechała z garażu i gdy znalazła się już na jezdni, zjechała niechcący na lewy pas. Dlaczego wsiadła do samochodu?

Dokąd chciała dotrzeć?

Oszalałam, powtórzyła w duchu, całkiem uspokojona. A może nigdy nie wyzdrowiałam?

Kiedy miała czternaście lat, przypomniała sobie, bała się wszystkiego, całkiem straciła kontakt z rzeczywistością. Myślała tylko o śmierci; czasami w nocy, budząc się z niespokojnych snów, wstrzymywała oddech, przekonana, że już umarła. Ojciec zaprowadził ją wówczas do lekarza, który, jak pamiętała, stwierdził, że to „burza hormonalna”, przejściowy kryzys związany z dojrzewaniem. Rzeczywiście, po kilku miesiącach odzyskała pogodę ducha.

Nie wiadomo, jak to się stało, ale przejechała już przez całe centrum i znalazła się na obwodnicy. Musiałam być chora przez te wszystkie lata. Dokąd jadę? I dlaczego naciskam na gaz?, pytała siebie z niepokojem.

- Mam, strasznie się boję - usłyszała drżący głos Sary i po raz pierwszy wymówione „r”.

To ją rozczuliło. Wcale nie zwariowałam, pomyślała. Jestem po prostu nieszczęśliwa. Cóż począć, że nie potrafię zadowolić się tym, że mam przy sobie szlachetnego mężczyznę, który jest do mnie przywiązany i troszczy się o mnie, oraz że nie rozumiem, jakim darem losu jest ta niezwykła, kochana dziewczynka?

Chciała zwolnić, zakręcić,

wrócić do domu, nim będzie za późno. Samochód jednak pędził dalej jak rakietę, jak gdyby to nie ona dodawała gazu.

- Co łobisz, mam? Zwolnij trochę.

Sara przytulała lalkę, jakby chciała ją osłonić przed niebezpieczeństwem. Znów ten przerażony głosik, dziecinne „r”, którego jej niezwykła, kochana córeczka nie zdąży się już nauczyć wymawiać poprawnie.

Margherita uświadomiła sobie to w chwili, kiedy samochód przeleciał na środek jezdni i kiedy zobaczyła naprzeciwko ciężarówkę. Rzuciła się na córkę, żeby przykryć ją swym ciałem.

- Kocham cię, Saro -

krzyknęła. Przez ułamek sekundy, zanim nastąpiło zderzenie, zastanawiała się, czy rzeczywiście tak powiedziała, czy tylko pomyślała.

Część czwarta

Sara

To już dwudziesty sierpnia, stwierdziła Chiara, podnosząc wzrok znad filiżanki herbaty i patrząc na kalendarz wiszący nad lodówką. Lato szybko minęło, dni stawały się coraz krótsze, wkrótce będą święta. Uśmiechnęła się: mając trzydzieści trzy lata uważała, zupełnie jakby była jeszcze dzieckiem, że jesień to bardzo króciutkie przejście od letnich wakacji do Bożego Narodzenia.

Chociaż tak lubiła miękkie przygnione światło i bajeczne kolory jesieni, nie traktowała jej tak samo jak wiosny czy zimy; myślała o zbliżających się miesiącach nie bez obaw i wolałaby, żeby nadeszły jak najpóźniej.

Boże Narodzenie miało przynieść jej w prezencie siostrzeńca albo siostrzenicę. Giovanna wyszła za mąż w lutym i trzeba przyznać, że nie marnowała czasu. Była już w piątym miesiącu ciąży i należało się spodziewać porodu w trzecim tygodniu grudnia.

- Chiaro, nie grzeb się!

Spóźnisz się do instytutu!

Matka weszła do kuchni w starym wełnianym szlafroku, którego nie chciała wyrzucić, i patrzyła na nią jak zatroskana, ale niezadowolona kwoka.

- Mamo, jest dopiero siódma - uspokoiła ją Chiara, kończąc herbatę i nie zamierzając wstać od stołu.

- Jak to dopiero! Musisz się jeszcze ubrać, a poza tym masz dwadzieścia kilometrów do przejechania. Chyba że znów chcesz prowadzić jak szalona.

Nie była nigdy nadopiekuńczą matką, pomyślała Chiara. Stała się nią dopiero wtedy, kiedy rozpadł się związek jej córki z Paolem. Chiara nie przypuszczała, że to zerwanie może wywołać aż tyle zamieszania. Ale cóż: nie była w stanie pokochać Paola, miała do niego tylko szacunek, zawsze będzie jej najlepszym przyjacielem. I chociaż to wszystko było takie ważne, nie mogła się zdecydować na zamażpójście.

W styczniu zeszłego roku otrzymała rozwód i miesiąc później Paolo poprosił ją po raz ostatni o rękę. Zrobił to jednak bez przekonania, on pierwszy bowiem zrozumiał, i to już dużo wcześniej, że między nimi nie ma nic innego poza głębokim przywiązaniem.

- Zostaniesz sama jak palec! - krzyczała Lucia, gdy córka powiadomiła ją o zerwaniu. - Te chore psychicznie dzieci, dla których się poświęciłaś, nie są twoje. Musisz rozejrzeć się za kandydatem na męża, założyć rodzinę jak wszystkie normalne kobiety.

Za każdym razem, kiedy Paolo dzwonił, co zdarzało się średnio dwa, trzy razy w tygodniu, nadzieje matki odżywały.

- To bardzo dobry chłopak - powtarzała. - W małżeństwie miłość nie jest najważniejsza.

Doszło do tego, że próbowała przekonać córkę, iż to, co łączyło ją i Giacomą, było jedynie czułą sympatią.

Na widok zniecierpliwionej miny, z jaką matka jej się przyglądała, Chiara wstała i poszła do łazienki, żeby się przygotować do wyjścia. Nie pracowała w poradni już od dawna, to jest od czasu, kiedy Sonia odzyskała kruchą jeszcze równowagę wewnętrzną i pojechała do ciotki do Bari. Wtedy nagle Chiara pojęła, że potrafi pomóc tyłu małym Soniom, istotom z zaburzeniami psychicznymi, nastolatkom, których przerastają problemy związane z dojrzewaniem! Objęła posadę w instytucie po koleźce Valsecchi, który wolał pracować w szpitalu.

Instytut był czymś pośrednim między świetnie wyposażoną prywatną kliniką a luksusowym pensjonatem. Założony przed ośmiu laty przez pewnego przemysłowca oraz trzech

lekarzy, którzy też byli udziałowcami, przyjmował dzieci w wieku od trzech do dwunastu lat. Na początku Chiara wahała się; myśl, że będzie zajmowała się wyłącznie dziećmi uprzywilejowanymi, których rodzice są w stanie zapłacić trzysta tysięcy lirów dziennie i pokryć dodatkowe koszty, budziła w niej skrupuły natury zawodowej i moralnej.

Wystarczyło jednak kilka dni, aby zrozumiała, że są to tylko pozorne przywileje, gdyż lęki, psychologiczne zablokowanie i paraliżująca słabość pojawić się mogą w życiu każdego człowieka, bez względu na status materialny. Instytut dysponował miejscami dla stu pacjentów i niestety, zawsze był pełen, a listy oczekujących wydłużały się w nieskończoność.

Pobyt trwał trzy miesiące, ale zdarzało się, że dziecko z zespołem Downa albo upośledzone fizycznie przyjmowane było na czas nieokreślony. W instytucie miało wszystko: piękne pokoje, dobrą opiekę lekarską, cierpliwie pielęgniarki, brakowało tylko miłości rodziców.

Chiara była jednym z pięciu zatrudnionych psychologów, którzy pracowali na oddziale opieki psychologicznej. Zaraz na początku każdy pacjent przechodził badania

specjalistyczne, które miały określić stan jego zdrowia, następnie zaś trafiał do jednego z psychologów.

Pierwsze spotkanie z małym pacjentem budziło zawsze w Chiarze gwałtowne emocje i niepokój. Obowiązkowa rozmowa z rodzicami nie na wiele się zdawała: żadne z nich, nawet jeśli w głębi duszy czuli się winni, nie przyznawało się do popełnionych błędów wychowawczych.

„Nie potrafimy zrozumieć”,

„nie ma żadnych problemów”, „nagle zamknął się w sobie”, powtarzali. Chiara zaś, błądząc w ciemności, stawała twarzą w twarz z tymi milczącymi, wyobcowanymi, wrogimi istotami. Również u bardzo małych dzieci nieufność była jedynym instynktownym sposobem obrony.

Każde reagowało inaczej, lecz poczucie krzywdy tkwiło głęboko w ich duszach, wywołując cierpienie. Chiara musiała przełamać nieufność, a potem łagodnie i ostrożnie docierać do ich świata wewnętrznego. Bardzo kochała dzieci, które zostały powierzone jej pieczy, i przez kilka miesięcy traktowała je jak własne. Instynkt macierzyński

Chiary mógł być wreszcie zaspokojony: wysiłki, by przywrócić pacjentów do

normalnego życia, przypominały jej poród i kiedy po całych tygodniach męczących starań dostrzegała wreszcie pierwszy niepewny uśmiech na twarzy dziecka, odczuwała radość i ulgę, jakby to ona je urodziła.

„Chore psychicznie dzieci”,

jak nazywała je bez ogródek Lucia, zaspokajały jej pragnienie macierzyństwa. Zdawała sobie sprawę, że praca z nimi pozwala też na sublimację popędu seksualnego, budzi potrzebę więzi uczuciowej. Z nielicznymi mężczyznami, których widywała, utrzymywała wyłącznie stosunki koleżeńskie i gdy ktoś próbował nawiązać bliższą znajomość, była bardziej zaskoczona niż zmieszana.

- Umrzesz jako stara panna - mawiała matka. Czasami, obawiając się, że może to ze względu na nią Chiara trzyma się domu, krzyczała: - Nie musisz ze mną mieszkać tylko dlatego, że siostra wyszła za mąż! Nie jestem niedołączną staruszką!

Dobrze mi w domu z matką, powtarzała sobie często Chiara. Moje życie jest bogate, chociaż nie mam drugiego męża ani własnych dzieci. Powtórzyła to sobie również w chwili, gdy już gotowa do wyjścia, zamierzała pożegnać się z Lucią. Przypomniała sobie nagle, że wieczorem jest umówiona z Paolem na kolację.

- Mamo, zapomniałam cię

uprzedzić, że wrócę dziś późno.

- To świetnie - odpowiedziała matka rozpromieniona.

Instytut przypominał czasami Chiarze „Dom Spokoju”, gdzie umieszczono ją po kryzysie, który zniszczył jej małżeństwo i na pewien czas, również jej życie. Był to położony w dużym parku stary pałac, który po długich pracach remontowych stał się funkcjonalną kliniką. Chociaż był to prywatny instytut, administracja nie oszczędzała ani na pracownikach, ani na inwestycjach. W zeszłym roku, w skrzydle przeznaczonym na magazyn, zbudowano nowoczesny kryty basen. Personel medyczny był wykwalifikowany i dobrze wynagradzany, wyżywienie zdrowe, opieka stała.

Tego ranka, kiedy tylko Chiara weszła do swego gabinetu, została wezwana do dyrektora. Jedenastoletnią dziewczynkę, która trzy dni wcześniej znikła z domu, złapano na próbie kradzieży radia z samochodu w jednym z mediolańskich parków. Ciężka sprawa: mała, córka bogatych właścicieli sklepu, zaczęła się narkotyzować pod wpływem młodego i cynicznego sąsiada, który na dodatek zrobił z niej złodziejkę. Od trzech miesięcy kradła gdzie się dało: w sklepie ojca, w szkolnej szatni, a teraz również na ulicy.

- Sędzia dla nieletnich, który zwróci się do mnie osobiście wyjaśnił dyrektor - chciałby, żebyśmy przyjęli dziewczynkę, ale zanim podejmę decyzję, pragnąłbym usłyszeć, co pani o tym sądzi.

- To przypadek bez precedensu

- musiała przyznać uczciwie Chiara.

- Dziewczynka jest sprytna,

zbuntowana przeciw całemu światu, znacznie bardziej dojrzała niż inne dzieci w jej wieku - dodał dyrektor.

- Jeśli przez „dojrzałość” rozumie się zdolność do kradzieży, ucieczki i kłamstwa - zauważyła ze smutkiem Chiara.

- To byłoby duże ryzyko - przytaknął dyrektor. - A my musimy przecież myśleć o innych pacjentach. Obecność tej małej w naszej placówce mogłaby wprowadzić zamieszanie, zakłócić atmosferę. Z drugiej strony nie możemy jej izolować. Z technicznego punktu widzenia byłoby to oczywiście możliwe, ale oznaczałoby bezsensowne i okrutne skazanie jej na cierpienie w samotności.

Tym razem przytaknęła Chiara.

- Co się z nią stanie -

zapytała po chwili - jeśli nie przyjmujemy jej do instytutu?

- Sędzia dla nieletnich

wyklucza powrót do domu: rodzice, całkowicie pochłonięci pracą, są prawdziwymi ignorantami, zupełnie nie dorośli do tak delikatnej sytuacji. Opiekunka społeczna stwierdziła, że dziewczynka była praktycznie pozostawiona samej sobie. Ojciec i matka zajmowali się wyłącznie sklepem. Jedyną rzeczą odbiegającą od normy, jaką zauważyli, były tajemnicze manka w kasie.

Chiara potrząsnęła głową.

- Rozumiem, to naprawdę

skomplikowana sprawa. Jeżeli się nią nie zajmiemy, mała trafi, jak przypuszczam, do domu dziecka, a może nawet do domu poprawczego.

- Nie jest powiedziane -

pospiesznie odparł dyrektor. - Istnieją zresztą również dobre domy dziecka, nawet lepiej wyposażone niż nasz instytut.

- Wątpię. Dobrze pan wie, że personel oddziału opieki psychologicznej i personel medyczny jest świetnie przygotowany i poradzi sobie nawet z najtrudniejszym

przypadkiem. Problem polega na czym innym: do jakiego stopnia wolno nam ryzykować? Sam pan powiedział, że byłby to z pewnością czynnik zakłócający spokój naszym pacjentom.

- Zastrzegłem sobie dwa dni na udzielenie ostatecznej odpowiedzi sędziemu. Proszę to również przemyśleć.

Chiara wstała.

- Dziękuję panu. Zwłaszcza za ludzkie podejście do sprawy i za to, że nie odmówił pan już na samym początku.

Myśl o jedenastoletniej dziewczynce, narkomance i złodziejce, nie opuszczała jej przez cały dzień. Kilka razy chciała wrócić do dyrektora i powiedzieć mu: „spróbujmy”, ale rozum przeważył nad odruchem serca i powstrzymała się. Czy dla ratowania jednej dziewczynki wolno mi burzyć spokój tylu innych dzieci?

Pod koniec dnia była zdezorientowana i wyczerpana. O wpół do ósmej sekretarka powiadomiła ją, że dzwoni doktor Paolo Lusardi.

- Jeszcze tam jesteś? - spytał od razu. - Chciałem się upewnić, czy pamiętasz o naszym spotkaniu.

- Och, to ty? Właśnie

szykowałam się do wyjścia. Mam nadzieję, że nie będzie korków.

Dopiero kiedy skończyli jeść kolację i czekali na kawę, Chiara opowiedziała Paolowi historię, która trapiła ją przez cały dzień, i wyjaśniła, na czym polega dylemat: - Czuję się szczególnie odpowiedzialna, bo wiem, że moje zdanie będzie miało decydujące znaczenie - powiedziała na koniec. - A co ty byś zrobił na moim miejscu?

Paolo zapalił papierosa.

- Nie przyjąłbym jej - odparł, zaciągając się dymem. - Może wydać się to okrutne, ale gdy chodzi o ratowanie zdrowia ludzi, obowiązuje następująca zasada: trzeba poświęcić dobro jednostki dla dobra ogółu. W tym przypadku „ogół” nie jest pojęciem abstrakcyjnym, ale zbiorowością dzieci, które znasz i kochasz. Nie ma wątpliwości, że obecność małej narkomanki może spowodować jedynie szkody w społeczności pacjentów.

- Nie wiadomo. Na początku moglibyśmy jej pilnować, nie zostawiać samej z rówieśnikami...

- Naprawdę w to wierzysz? To ty jesteś psychologiem, ale sądzę, że dziewczynka pilnowana i zamknięta w instytucie, choćby najbardziej luksusowym, stanie się jeszcze bardziej agresywna i przebiegła. Przede wszystkim zaś będzie poszukiwać współników wśród innych dzieci. Jej pozorna pewność siebie sprawi, że stanie się postacią charyzmatyczną, którą inni będą chcieli naśladować i ochraniać, a to da jej niebezpieczną władzę nad resztą.

**Chiara uśmiechnęła się
nieznacznie.**

- Byłbyś świetnym

psychologiem. Niestety, masz rację. Ale jak zostawić tę biedną małą? Wrażliwość i łagodność drogo kosztuje i wątpię, by w domu dziecka mogli sobie na nie pozwolić.

- O ile dobrze zrozumiałem, sędzia dla nieletnich bardzo się tą sprawą przejął. Jeśli wasz instytut odmówi, znajdzie się z pewnością coś innego. - Paolo ujął jej dłonie: - Kochanie, nie możesz brać na siebie odpowiedzialności za całe zło świata. Ani za wszystkie dzieci, które cierpią. Masz swoich podopiecznych i zajmując się nimi przez cały czas, robisz wszystko, co w twojej mocy.

Chiara westchnęła.

- Jutro porozmawiam z

dyrektorem. Mam nadzieję, że się nie mylisz. Pozostaje mi tylko wierzyć, że sędzia dla nieletnich podejmie właściwą decyzję.

Przyniesiono kawę. Przez kilka minut milczeli. Chcąc zmienić temat, Paolo pierwszy przerwał ciszę.

- Dwa dni temu spotkałem się z Lindą - oświadczył.
- Hm, czyżby to było coś poważnego?
- Paolo roześmiał się.
- Jest w znakomitej formie, porzuciła właśnie swojego narzeczonego. To wszystko, czego może oczekiwać czterdziestoletni stary kawaler, który ma dość samotnych wieczorów i jedzenia konserw.
- Gdybym nie wtargnęła w twoje życie i nie rozdzieliła was, może bylibyście już dawno małżeństwem z gromadką dzieci - przerwała mu Chiara wzdychając.
- Cóż to za cierpiętniczy ton?
- Mówisz głupstwa. Gdybyś nie wtargnęła, jak powiadasz, w moje życie, przeżyłbym z Lindą krótką przygodę i teraz byłaby dla mnie tylko pozbawioną wszelkiego uroku była przyjaciółką. A tak kusi mnie jak egzotyczny kwiat, którego w swoim czasie nie zerwałem.
- Domyślam się, że chcesz go zerwać jak najprędzej - zaśmiała się Chiara.
- Mam się z nią spotkać w sobotę wieczór. Powiadomię cię o rozwoju sytuacji.
- Liczę na to. Jeśli chodzi o moje doświadczenia erotyczne, żyję już tylko, odbitym światłem. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie krewni i przyjaciele, którzy żenią się, rodzą dzieci i wciągają mnie w swoje historie! - zaśmiała się ponownie Chiara.

Paolo spojrział na nią poważnie.

- Musisz znów zacząć żyć. Jak normalna młoda kobieta.
- Instytut i dzieci wystarczają mi.
- Nie jesteś matką Teresą z Kalkuty. Za kilka lat będziesz miała dość zajmowania się bliźniami. Czy wiesz, że twoja siostra bardzo się o ciebie martwi?

Chiara, rozweselona, skinęła potakująco głową.

- To zabawne, że właśnie ona się o mnie martwi, bo jeszcze rok temu małżeństwo wydawało jej się aktem samobójczym, a na dzieci patrzyła z miną króla Heroda.
- Ale nie złożyła ślubów czystości ani służby innym - odparł Paolo. - Właśnie dlatego że zmieniła zdanie, niepokoi się o twoją przyszłość..
- Jutro wieczorem ją uspokoję.
- Dzwonił dzisiaj szwagier i zaprosił mnie na kolację.

Za każdym razem kiedy Chiara

spotykała się z Giorgiem,

przyznawała, że coraz bardziej

go lubi. W bystrym i

zapracowanym handlarzu

nieruchomościami odkrywała stopniowo niespodziewane pokłady wrażliwości, cierpliwości, duże poczucie humoru. Uwielbiał Giovannę, a ona wprost za nim szalała: ich małżeństwo było wesołe i szczęśliwe, a stan ten udzielił się Chiarze. Dobrze mi robi przebywanie z nimi, pomyślała, gdy po skończonej kolacji usadowiła się w głębokim fotelu.

- Chiaro, czego się napijesz?

- zapytał Giorgio.

- Tylko nie waż się odpowiedzieć, że kawy - zagroziła jej siostra.

Nienawidzę całego tego rytuału:

wstawania od stołu albo z kanapy, udawania się do kuchni, napełniania maszyny do kawy i czekania aż zaczniesz bulgotać.

- Niech będzie w takim razie koniak. Jeśli znów wpadnę w nałóg, będzie to twoja wina.

- Nie znoszę takich

niestosownych żartów - skrzyczała ją Giovanna. Ale zaraz złagodniała. - Wypij spokojnie koniak, nigdy nie byłaś alkoholiczką.

Giorgio przyniósł kieliszek i usiadł w fotelu obok Chiary.

- Zaproszenie nie było całkiem bezinteresowne. Może jej wytłumaczysz, o co chodzi, Giovanni?

- A zatem, do rzeczy. Giorgio postanowił rozszerzyć działalność swojej firmy i potrzebuje odpowiedniej kampanii reklamowej. Znam z góry twoją odpowiedź, ale spytam cię mimo wszystko: czy masz coś przeciwko temu, by Giorgio zwrócił się do „Agencji Zambiasi”? To najlepsza agencja na rynku, a w każdym razie najodpowiedniejsza dla Giorgia.

- Nie mam nic przeciwko temu - odpowiedziała z prostotą Chiara.

- Byłoby śmieszne, gdybym po tylu latach miała jeszcze do Marca jakieś pretensje czy żal.

- Byłam tego pewna - przytaknęła Giovanna.

- A ja nie bardzo - oświadczył szczerze Giorgio. - Pomysł zwrócenia się do jego agencji przyszedł mi do głowy przypadkowo. Dziesięć dni temu spotkałem na lotnisku Marca, lecieliśmy razem do Rzymu. Rozmawialiśmy o tym i owym, w pewnym momencie opowiedziałem mu o swoich planach, a on dał mi kilka cennych rad. Wtedy właśnie pomyślałem, że można by mu powierzyć kampanię reklamową.

- Czy... wrócił do siebie po tej tragedii? - zapytała z wahaniem w głosie Chiara.

- Sądząc po wyglądzie, chyba nie. Posiwiął i zestarzał się. Córka wyszła ze szpitala dopiero miesiąc temu. Była umierająca, kiedy wyciągnięto ją ze szczątków samochodu.

- Czytałam o tym w gazecie - szepnęła Chiara.

Prawie pięć miesięcy temu, kupując w kiosku prasę, zauważyła na pierwszej stronie „II Giorno” wiadomość o wypadku i przerażające zdjęcie rozbitego auta. Przejęta i zaskoczona, wysłała Marcowi telegram z kondolencjami. A dwadzieścia dni później otrzymała krótki list z odpowiedzią.

- Jak się teraz czuje mała? - zapytała Giorgia.

- Pod względem fizycznym

dobrze, ale Marco wspominał coś o innych kłopotach. Wydawało mi się, że nie chce o tym mówić, więc nie nalegałem.

- Mam nadzieję, że Marco i jego córka odzyskają pogodę ducha - powiedziała cicho Chiara.

XX

Sara Zambiasi przyjęta została do instytutu dwudziestego ósmego września, w poniedziałek. Tego ranka Chiara wstała bardzo wcześnie po bezsennej niemal nocy i o wpół do ósmej, napięta i niespokojna, była już w pracy. Zaczynała wątpić w odzyskaną równowagę ducha oraz swoje umiejętności zawodowe. Czekając na córkę Marca, czuła się jak skazaniec: wraz z tą dziewczynką wejdzie do gabinetu jej przeszłość i przyniesie z sobą raz jeszcze dawny ból i upokorzenie.

Czy również nienawiść?

zastanawiała się. Czy potrafię pokochać to niewinne dziecko i pomóc mu, czy za każdym razem będę myśleć o tym, co się stało, o tym, że aby Sara mogła mieć ojca, nie pozwoliłam urodzić się dziecku, którego oczekiwałam?

A przecież dwa tygodnie temu wszystko wydawało się takie proste i naturalne. To Giorgio, po kolejnym spotkaniu z Markiem, powiedział jej o Sarze.

- Dziewczynka ciągle jest w szoku. Czy mógłbym poradzić Marcowi, by oddał ją do instytutu? Ty i twoi koledzy jesteście specjalistami...

Może wątpliwości pojawiły się wraz z telefonem od Marca? Przed pięcioma dniami zadzwonił do niej do instytutu późnym popołudniem, by podziękować za to, że zgodziła się zająć małą. W jego uprzejmym tonie nie słychać było zachęty do dalszej rozmowy i Chiara doznała niezrozumiałego rozczarowania. Względy zawodowe jednak przeważały, przezwyciężyła chęć powiedzenia mu: „do usłyszenia” i odłożenia słuchawki.

- Zajmę się twoją córką, ale muszę koniecznie z tobą porozmawiać, zanim się z nią spotkam. Wiem o niej zbyt mało.

- Niestety, zaraz lecę do Nowego Jorku - odparł Marco po chwili milczenia. - Sarę przyprowadzi opiekunka, zresztą nie mam wiele do powiedzenia. Sara była z matką w samochodzie, widziała, jak umierała. Myślę, że to wystarczający powód wszystkich jej zaburzeń.

Jakich zaburzeń?, chciała zapytać Chiara, ale była zbyt zdeenerwowana, żeby dalej rozmawiać. Perspektywa

zamieszkania w instytucie i rozłąka z rodziną, nawet najgorszą, stanowiły dla małych pacjentów ciężkie przeżycie. Było więc bardzo ważne, aby ktoś bliskim towarzyszył, pocieszył i ukoił. Czy to możliwe, że Marco tego nie rozumie? Czy nikt inny poza opiekunką nie może przyprowadzić Sary? Intuicja mówiła jej, że za „zaburzeniami” małej kryje się coś jeszcze. Marco jednakże, jak wszyscy rodzice, udał, że nie wie, o co chodzi, i wycofał się tchórzliwie. Czekał teraz na przybycie Sary, Chiara była coraz bardziej niespokojna i coraz bardziej żałowała, że w porywie serca postanowiła zająć się dziewczynką.

Jestem zbyt osobiście zaangażowana, żeby nawiązać z córką Marca właściwy kontakt, zdała sobie jasno sprawę, i boję się, że mogę jej raczej zaszkodzić, niż pomóc. Spojrzała na zegarek: dziewięta. Piera Berti pewnie już przysłała. Chiarze pozostawała teraz do zrobienia jedyna słuszna rzecz: trzeba powierzyć jej małą. Berti była najstarszym psychologiem na oddziale opieki psychologicznej. Mając pięćdziesiąt lat promieniała zadowoleniem z życia i serdecznością. Nieco chłodny stosunek do rzeczywistości na pewno nie pozwoli jej ulec niepotrzebnym emocjom.

Z pewną ulgą Chiara udała się do gabinetu Berti. Stukając do drzwi, postanowiła, że wyjawi prawdziwe powody oddania pod jej skrzydła małej Zambiasi.

Sara przysłała do instytutu dwie godziny później. Chiara nie spotkała się z nią, ponieważ pacjent z jej grupy został wypisany do domu i rodzice chcieli jeszcze porozmawiać o nim. Dzień później miała wolne i nie poszła do pracy. W środę o dziesiątej, czekając na windę, spotkała Pierę Berti, która powiedziała jej, że nie widziała jeszcze Sary, gdyż robiono jej badania i analizy na oddziale szpitalnym; przysła ją na oddział następnego dnia i zaraz powiadomi Chiarę, jaki jest stan dziewczynki.

Podziękowała, zadowolona, że do ewentualnego spotkania nie dojdzie od razu. W ciągu tygodni, a może miesięcy, które Sara spędzi w instytucie, Chiara nie będzie miała wiele okazji, by się na nią natknąć; dzieci były podzielone na grupy, a każda grupa miała swoich opiekunów, asystentów i

psychologów. Terapie odbywały się często w różnych porach, a poza tym instytut, ze wszystkimi swoimi oddziałami, salami, wielkim parkiem, był tak duży, że aby spotkać jakiegoś pacjenta, trzeba było się wybrać specjalnie na jego poszukiwanie. Chiara zaś nie zamierzała szukać Sary, przynajmniej na razie. Postanowiła tak, wchodząc do gabinetu, by zacząć nowy dzień pracy.

Piera Berti skontaktowała się z nią po upływie kilku dni.

- Dziwię się, że ani ojciec, ani nikt z krewnych nie dowiaduje się o zdrowie Sary. W jej karcie klinicznej nie ma mowy o zaburzeniach psychicznych ani oczywiście o tragedii rodzinnej. Działam na oślep. Nie wiesz, do kogo mogłabym się zwrócić, żeby uzyskać dodatkowe informacje?

Chiara potrząsnęła głową. Była rozgoryczona.

- Marco nie powiedział mi nawet, kiedy wraca z Nowego Jorku. O ile wiem, jego rodzice są jedynymi krewnymi małej. Możesz do nich zadzwonić. Numer telefonu Francesca Zambiasiego znajdziesz w książce telefonicznej.

Dwa dni później Berti znów chciała z nią pomówić. Tym razem była rozgniewana.

- Rozmawiałam z babką Sary i zapewniam cię... że nie spotkałam bardziej egoistycznej i płytkiej osoby. Zdaje się, że o niczym nie wie i umywa ręce. Jedyna pocieszająca wiadomość, to że jej syn wraca do Mediolanu za kilka dni.

W portrecie skreślonym przez Berti Chiara rozpoznała bez trudu Teresę, swoją była teściową. Przez te wszystkie lata nic a nic się nie zmieniła.

Anna miała pięć lat i buzię aniołka, jej rodzice rozstali się, gdy miała kilka miesięcy, i ojciec, znany przemysłowiec, wywalczył powierzenie sobie córki, ponieważ udowodnił, że matka jest nie zrównoważona psychicznie, a jej agresja w stosunku do samej siebie i innych sprawia, że może być niebezpieczna dla otoczenia. Kłopoty wychowawcze zaczęły się, kiedy poślubił inną kobietę:

Anna poczuła się od razu zagrożona przez „intruzkę”. Nie chciała przyjmować jedzenia, a pewnego ranka przestała także mówić, zamykając się w swoim chorobliwym świecie ciszy.

Przyjęta została do instytutu przed miesiącem. W czasie rozmowy ojciec zrobił na Chiarze wrażenie człowieka wrażliwego i zrozpaczonego stanem córki, a jego nowa żona - młodej kobiety pragnącej szczerze zaopiekować się Anną, zdobyć jej miłość i zaufanie. Chiara ucieszyła się: przynajmniej raz będzie miała do czynienia z normalnym środowiskiem rodzinnym, w którym panuje miłość, a rodzice mają poczucie obowiązku. Anna nie przeżyła żadnych wstrząsów, nie musiała też wznosić barier, które chronią dziecko przed przemocą dorosłych, wystarczy zatem uspokoić małą, dotrzeć do jej wnętrza, wyeliminować wrogość i lęk.

Chiara zabrała się z zapalem do pracy. Jak zdarzało się często także innym psychologom, i to niezależnie od ich woli, w każdej grupie jakiś pacjent nabierał z czasem „specjalnego” znaczenia, ponieważ był najłatwiejszym przypadkiem albo przeciwnie, najtrudniejszym i wymagał więcej troski i uwagi.

Przed dwoma dniami Anna zaczęła znów mówić i choć pozostawała nadal w swoim zamkniętym dla innych świecie, był to dobry znak. Tego ranka, pod koniec października, było ciepło i słonecznie. Chiara postanowiła zabrać małą do parku i porozmawiać z nią podczas spaceru.

- Czy mogę wziąć ze sobą

Kropkę? - spytała Anna.

Kropka była jej ulubioną lalką. Chiara przytaknęła.

- Musisz ją ciepło ubrać - powiedziała, zapinając Annie płaszcz i wkładając jej na głowę czapkę.

- Kropka nie ma płaszcza - odparła dziewczynka.

Pod koniec spaceru, w czasie którego mówiła głównie Chiara, dziewczynka wskazała na ławkę i zapytała: - Czy możesz usiąść na chwilę? Kropka jest zmęczona.

- Oczywiście.

Ławka była ciepła od słońca i Anna rozpięła płaszcz. Potem usiadła w milczeniu i przytuliła do siebie lalkę. Chiara również zamilkła, obserwując pilnie małą. Po kilku minutach, spuszczać głowę i wymachując nogami, dziewczynka spytała: - Kiedy będzie zima?

- Niedługo, kochanie. Wkrótce zaczną padać śnieg...

- Kropce będzie bardzo zimno - przerwała. - Tatuś nie chce kupić jej płaszczyka, wiesz?

Chiara wyczuła, że za tymi słowami kryje się coś bardzo ważnego.

- Czy jej tatuś jest biedny? - zapytała naturalnym tonem.

- Och, nie, on ma bardzo dużo pieniędzy! Ale jest zły i nic go nie obchodzi, że Kropce jest zimno.

- Anno, co ty mówisz? Wszyscy tatusiowie chcą, żeby ich dzieciom było dobrze. Dlaczego myślisz, że tatuś Kropki jest zły?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Wiem i już - odpowiedziała.

- Anno, tak nie można. -

Chiara rozważała przez chwilę, jak jej to wytłumaczyć. - Nie możesz mówić, że ktoś jest zły, i nie wyjaśnić, dlaczego tak uważasz. Czy tatuś Kropki ją bije? Nie daje jej jeść? Nie kupuje zabawek? Zastanów się.

Anna znów wzruszyła ramionami, ale na jej buzi pojawił się teraz wyraz skupienia i niepewności.

Chiara spojrzała w tę samą co ona stronę i zauważyła dziewczynkę siedzącą w trawie niedaleko ławki. Spojrzała od razu, że nie ma na sobie ani płaszcza, ani czapki. Która z opiekunek może być tak nierozważna? zastanawiała się Chiara. Od jak dawna dziewczynka przysłuchuje się ich rozmowie? Do jakiej grupy należy?

- Ona - powiedziała Anna - śpi w moim pokoju, ale nie jest moją przyjaciółką...

Ma chyba około czterech lat, pomyślała Chiara. Mała przyglądała się jej czarnymi oczkami zwężonymi w szparki, w których Chiara dostrzegła dziką wrogość. Ale dlaczego?

Żałując, że nie zrobiła tego wcześniej, wstała i podeszła do małej.

- Co tu robisz sama? - spytała łagodnie, pochylając się nad nią. Dziewczynka miała czarne włosy, ciemną cerę i wyraz czujnej nieufności na twarzy. - Jak się nazywasz? - dopytywała się Chiara.

Dziewczynka podniosła wzrok i popatrzyła na nią, ale nie ruszyła się z miejsca ani nie odpowiedziała na pytanie.

- Nazywa się Sara -

odpowiedziała za nią Anna, zbliżając się.

Wiedziała, pomyślała ze spokojem Chiara, wiedziała od razu, że to nie jest ktoś obcy.

- Saro, co tu robisz sama?

- Uciekłam.

- Ach, tak. A gdzie chcesz iść?

Znów milczenie.

- Cały czas ucieka - ponownie wtrąciła się Anna. - Również dziś w nocy...

Nie zdążyła jednak dokończyć zdania, ponieważ Sara wstała i pchnęła ją brutalnie.

- Nie - krzyknęła.

Chiara objęła ją ramieniem, nakazała Annie, by była cicho, i zapytała:

- Co nie, Saro?

Dziewczynka wydawała się zdziwiona. Pytanie jakby wyrwało ją z transu. Chiara automatycznie wzięła małą na ręce i bliskość chudego ciała Sary wzruszyła ją.

- Robi się zimno, wracajmy - powiedziała, biorąc Annę za rękę i kierując się w stronę ścieżki prowadzącej do instytutu.

- Ta mała jest bardzo inteligentna i uczuciowa - oznajmiła Piera Berti - ale to tylko pogarsza sytuację: chwyta w lot wszystko, co próbuję jej przekazać, i uruchamia od razu mechanizm obronny, aby nie mogło dojść między nami do porozumienia. Wtedy już nie słucha i wszystko trzeba zaczynać od początku.

Chiara przytaknęła ze smutkiem. Dobrze rozumiała słowa koleżanki. Ona też doświadczała codziennie tego samego: natykała się na niedostępne światy, zaludnione przerażającymi widmami.

- To, że nie znam jej

**historii, nie wiem nic o
najbliższym środowisku ani o
normalnym zachowaniu, bardzo
utrudnia mi terapię -
stwierdziła Berti. - Wiemy tylko**

- ciągnęła - że w chwili wypadku była w samochodzie z matką. Niewątpliwie przeżyła szok, jednak dzieci, a także nastolatki, potrafią łatwo odzyskać równowagę po silnym wstrząsie. Dorośli sądzą często, że ta ich zdolność szybkiego zapominania oznacza brak wrażliwości i lekkomyślność, ale to jest po prostu normalna obrona organizmu. Sama natura chroni je w ten sposób, ich psychologiczne reakcje nastawione są na przyszłość, na rozwój, a nie na rozpamiętywanie przeszłości.

- Rozumiem, co masz na myśli - powiedziała Chiara. - To bardzo niepokojące, że w pół roku po wypadku Sara jest ciągle w szoku. Coś musiało być nie w porządku już przedtem, ale nie wiem, jak ci pomóc, bo znałam jej matkę tylko z widzenia, a z ojcem spotkałam się w ciągu ostatnich czterech lat zaledwie raz, na rozprawie rozwodowej. Wiesz przynajmniej od babki Sary, że Marco wraca w tych dniach z Nowego Jorku.

Chiara nie potrafiła dodać nic więcej. W duchu powątpiewała, żeby opinia Marca na coś się przydała Berti. Jakim był, jakim jest ojcem? zastanawiała się, kiedy została już sama. Patrząc na całą sprawę z chłodnym obiektywizmem, który zawdzięczała upływowi czasu, pojęła, jak Marcowi musiało być ciężko, kiedy przyjmował na siebie obowiązki rodzicielskie.

Chociaż fascynowała go

Margherita Ollian, przyznała uczciwie w duchu Chiara, czuł się jeszcze ze mną emocjonalnie związany. Wiadomość o dziecku zmusiła go do podjęcia rozstrzygającej decyzji. Być może nad wszystkim przeważało w końcu poczucie odpowiedzialności? Może, nie zdając sobie z tego sprawy, okazywał czasami córce niechęć?

A jaką matką była Margherita? Chiara przypominała sobie wysoką, pewną siebie dziewczynę, lecz powracając ostrożnie do wspomnień, uświadomiła sobie, że już wtedy Margherita zrobiła na niej nieprzyjemne wrażenie, było w niej bowiem coś odpychającego. Czy potrafiła uszczęśliwić Marca? Pytanie wydało się Chiarze małostkowe, zaraz więc zaczęła myśleć o czymś innym. Powinna teraz zastanowić się raczej nad tym, czy Margherita stanęła na wysokości zadania i czy Sara czuła się przy niej bezpiecznie. Intuicja podpowiadała jej, że nie, lecz miała nadzieję, że tym razem ją zawiedzie.

Pożałowała, że nie zajęła się dziewczynką osobiście. Koleżanka miała wprawdzie ogromne doświadczenie i była doskonałym psychologiem, ale jej kontakty z małymi pacjentami pozbawione były ciepła. Nie pozwalała nigdy na to, aby emocje zakłóciły naukową analizę. Nie zdarzało się, żeby przechodziła od euforii do przygnębienia, ale też dzieci, przy rozstaniu nie czepiały się jej z płaczem: uwolnione od lęków, wyzwolone ze swych obsesji, rzucały się szczęśliwe w ramiona rodziców. Wraz z oddaniem kart klinicznych stawały się dla Piery Berti już tylko zamkniętym rozdziałem jej zawodowego życia.

Czy do Sary wyciągną się pełne miłości ramiona, kiedy będzie już mogła opuścić instytut? Chiara była w głębi serca przekonana, że mała nie potrzebuje leczenia, a jedynie miłości. Gdy jednak doszła do takiego wniosku, poczuła, że

ogarnia ją irytacja: no, dalej, przyznaj się, żałujesz, że powierzyłaś ją Berti, bo twój nie zaspokojony instynkt macierzyński znów się przebudził i chciałaś rzucić się jak sęp na tę biedną dziewczynkę, ponieważ wmówiłaś w siebie, że nikt jej nie kocha.

W następnych dniach unikała spotkania z Sarą. Dowiedziała się od Berti, że Marco zadzwonił do niej zaraz po powrocie z Nowego Jorku i pojawił się w instytucie. Stłumiła w sobie rozczarowanie tym, że nie chciał się z nią zobaczyć. Dlaczego miałby tego chcieć, skoro Chiara nie jest psychologiem opiekującym się jego córką?

Rankiem trzydziestego pierwszego października dyrektor wezwał Chiare do gabinetu, gdzie siedział już ojciec Anny ze swoją młodą żoną. Mężczyzna zapytał bez żadnych wstępów, czy córka mogłaby na kilka dni opuścić instytut.

- Kupiłem nowy dom - wyjaśnił.

- Przeprowadzamy się. Chciałbym, żeby Anna wybrała sobie pokój, pobyla trochę z nami. Chodzi o to, by nie czuła się potem obco w nowym otoczeniu. Przywiozę ją tu z powrotem.

Chiare raz jeszcze uderzyła niezwykła wrażliwość tego człowieka.

- Zgadza się z panem w

zupełności - odpowiedziała bez namysłu. - Myślę, że możemy zaryzykować. Jak już mówiłam dwa dni temu przez telefon, wygląda na to, że Anna wyzbyła się wrogości. Bawi się ciągle pluszowym pieskiem, którego dostała od pani - zwróciła się z uśmiechem do macochy dziewczynki. - Nazwała go Bobo i wczoraj, kiedy poprosiłam, by narysowała mi swoją rodzinę, umieściła obok taty pieska i postać kobiecą z włosami blond, takimi jak pani.

Młoda kobieta aż zarumieniła się z radości.

- Pani naprawdę dokonuje cudów.

- To nie było trudne - broniła się Chiara - ponieważ Anna jest dzieckiem kochanym. Nie wykluczam, że będziecie państwo mogli zabrać ją do domu, gdy skończy się przeprowadzka.

Ojcu zaś wyjaśniła: - Jeśli szybko się zdomowi, powrót do instytutu może jej tylko zaszkodzić. Kiedy pan po nią przyjedzie?

- Za dwa dni, jeśli to możliwe.

- Doskonale. Będę miała trochę czasu, żeby przygotować małą i poobserwować jej reakcje.

Poszła do niej zaraz po rozmowie. Anna była w swoim pokoju i wkładała właśnie dres, ponieważ wybierała się do sali gimnastycznej.

- Wiesz, z kim rozmawiałam? - zapytała Chiara, pomagając małej zawiązać tenisówkę.

- Z tatą - powiedziała bez wahania Anna. - Też go widziałam. Był z Laurą.

Poszliśmy do baru na gorącą czekoladę. Bobo też poszedł z nami - wskazała na pluszowego pieska.

- Pewnie był bardzo zadowolony.

- O, tak. Ale Kropka się rozzłościła i płakała.

- Dlaczego?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Myśli, że jej już nie kocham.

- To bardzo głupia lalka, nie sądzisz? Musisz jej wytłumaczyć, że nie przestałaś jej kochać tylko dlatego, że teraz masz Boba.

- Tak, ale ona nie rozumie.

- Może ją także powinnaś zabrać na czekoladę?
Anna znów wzruszyła ramionami.
- Chciałam, ale jej tatuś się nie zgodził. Mówiłam ci, że on jest zły.
- Mówiłaś, ale dalej nie wiem dlaczego.
- Nie przyjeżdża do niej, nie dzwoni, często ją bije - odparła poważnym tonem.
- No to rzeczywiście masz rację. Tatuś Kropki jest naprawdę zły. Nie tak jak twój, który cię ciągle odwiedza, zabiera na czekoladę i nigdy nie podnosi na ciebie ręki.

Buzia małej rozpromieniła się. Przez chwilę milczała, potem oświadczyła: - Laura też jest dobra. Ani razu mnie nie uderzyła.
- Laura jest twoją nową mamą, a mamy nie biją swoich dzieci.
- Myślisz, że po powrocie do domu też mnie nie będzie bić?
- Anno, czemu miałyby tak postępować? Gdy wrócisz do domu, będzie się z tobą bawić, zabierać na spacer, upiecze ci twoje ulubione ciasto. A wieczorem będziecie czekać obie, aż tatuś przyjdzie z pracy.

- Mówisz poważnie? Mówisz,

że... - dziewczynka nie dokończyła zdania, nagle uklękła, zajrzała pod łóżko i krzyknęła: - Wyłaź stamtąd natychmiast, nie szpieguj mnie!
Ciemne oczy, ciemne włoski, smutna buzia Sary wyłoniły się spod narzuty w wesołe kwiatki. Chiara pochyliła się nad małą.
- Co tam robisz, maleńka?
- Zawsze się tam chowa, żeby podsłuchiwać - wtrąciła się Anna.- Cały czas szpieguje.
- Nieprawda - broniła się Sara, mierząc Annę płomiennym wzrokiem.
- Widzę cię, nie myśl sobie.
Również w nocy, kiedy Noemi gasi światło, chowasz się pod łóżko.
Chiara ścisnęło się serce.
- Ja też tak robiłam, gdy byłam mała - skłamała.

Obie dziewczynki spojrzały na nią, ale w oczach Sary było więcej nieufności niż zaciekawienia.
- Naprawdę - powiedziała Chiara. - Lubiłam tak siedzieć sobie sama, chowałam się, żeby mnie nikt nie widział.
Anna skrzywiła się.
- Co w tym przyjemnego?
Szpiegujesz mnie - powtórzyła, zwracając się do Sary - a twój tatuś nigdy cię nie odwiedza. Pewnie cię bije, a twoja mama na pewno jest zła - dodała z dziecinnym okrucieństwem.
- Anno, dosyć! - krzyknęła Chiara. Ale na widok Sary, która znieruchomiała w nienaturalnej pozycji, złość zamieniła się w rozpacz. Nie zdążyła jednak nic zrobić ani powiedzieć, ponieważ dziewczynka otrząsnęła się z chwilowego odrętwienia i wyszła z pokoju. Powoli, dumnie wyprostowana.

Kiedy sekretarka powiadomiła Marca, że dzwoni do niego Giusi Lozza, zamierzał w pierwszym odruchu poprosić, by powiedziała, że nie ma go w Mediolanie. Giusi była tą dziewczyną, która przed czterema laty opuściła jego agencję, żeby rozpocząć oszałamiającą karierę, i jeśli się rozczarowała, tym gorzej dla niej. Chciał wykręcić się od rozmowy, ale w ostatnim momencie rozmyślił się: Giusi źle postąpiła, ale czy miał prawo ją potępiać?

- Proszę łączyć - powiedział,

myśląc o tym, ile błędów popełnił on sam, i kiedy Giusi była już na linii, zmieszana i zakłopotana, postanowił od razu ją uspokoić.

- Słyszałem o waszych

kłopotach i cieszę się, że do mnie telefonujesz - zaczął.

- Jestem bezrobotna. Muszę zacząć szukać nowej pracy. Czy mogłabym spróbować jeszcze raz w „Agencji Zambiasi”? Nie powinnam była nigdy składać wymówienia - przyznała ze skruchą. - Teraz możesz wyrzucić mnie za drzwi.

Byłem gotów to zrobić minutę temu, pomyślał, przypisując sobie bezprawnie rolę sędziego.

- Nie mam zamiaru wyrzucać cię za drzwi - oświadczył wspaniałomyślnie.

Żeby nie upokarzać dłużej dziewczyny przesadną uprzejmością, dał jej czas na wyjaśnienia. Giusi jednak milczała i Marco zrozumiał, że powinien uczynić pierwszy krok.

- Zespół pracowników jest w komplecie, ale dla kogoś tak zdolnego jak ty zawsze się coś znajdzie. Wolałabyś porozmawiać o tym osobiście? - zaproponował.

Giusi odetchnęła z wyraźną ulgą.

- Mówisz poważnie? Chciałam cię właśnie prosić o rozmowę. Wiem, że brzydko się wobec ciebie zachowałam, i...

- Dawne dzieje, Giusi. Musimy myśleć o przyszłości. Może być jutro o trzeciej w agencji?

- Doskonale. Nie wiem

doprawdy, jak ci dziękować - powiedziała, odkładając słuchawkę.

Błąd Giusi sprowadza się w

gruncie rzeczy do tego, że

porzuciła jedną pracę dla

drugiej, która wydała jej się

atrakcyjniejsza. Drobne

przewinienie, przejaw

młodzieńczych ambicji i

niecierpliwości, pomyślał Marco, znacznie lżejszej niż moje grzechy. Ale ja nie znajduję dla siebie okoliczności łagodzących...

Zdawało mu się, że słyszy głos mecenasa Olliana po pogrzebie „Moja córka świetnie prowadziła samochód, nie wierzę, że to był wypadek”. Marca również dręczyły wątpliwości, lecz początkowo starał się ich nie analizować. Margherita uwielbiała córkę, gdyby chciała zginać w wypadku, na pewno nie zabrałaby jej ze sobą. A może po prostu bała się zostawić ją samą? „Zobaczyłem, że samochód leci w moim kierunku z innego pasa. Pędził z szaloną szybkością”, stwierdził kierowca ciężarówki. Jego zeznanie potwierdziła kobieta, którą Margherita wyprzedziła tuż przed tragicznym zdarzeniem. Minęło pół roku, a on na wspomnienie drżącego głosu sekretarki odczuwał taki sam ból: „Musi pan natychmiast jechać do szpitala, zdaje się, że pańska żona miała wypadek”.

Margherita była już w

kostnicy, a Sara na sali

reanimacyjnej. Zobaczył ją przez szybę: nagie ciało i twarz całkowicie zasłoniętą czymś w rodzaju ponurej maski. „Aż do jutra rana nie możemy nic zrobić”, oznajmił lekarz, nie ukrywając, że stan małej jest krytyczny.

„Może nie jest twoją córką.” Przez całą noc, siedząc w pokoju oddalonym o kilka metrów od miejsca, gdzie Sara walczyła o życie, usiłował zapomnieć o lodowatym głosie Margherity, odpędzić myśl, że to nie siebie, ale dziecko pragnęła nieświadomie zabić.

Kiedy po trzech operacjach i długich tygodniach leczenia Sara wróciła do domu, wziął miesiąc urlopu, żeby stale być przy niej. Niespodziewanie jednak dziewczynka zaczęła odnosić się do ojca z niechęcią: nie patrzyła mu w oczy, wrywała się, gdy próbował ją pogłaskać albo wziąć na ręce.

Jedyną osobą, w której obecności czuła się bezpieczna, była ciocia Egle. Przyjeżdżała co tydzień z Padwy, żeby odwiedzić wnuczkę w szpitalu. Już postanowiła przenieść się na jakiś czas do Mediolanu, kiedy pewnego dnia szwagier Chiary opowiedział Marcowi o instytucie. Lekarz opiekujący się małą miał dobre zdanie na temat tej kliniki i gorąco zalecał ulokowanie tam Sary. „Musí być dogłędana przez doświadczonych specjalistów”, oświadczył, a Marcowi przypomniały się nie tak odległe lata, gdy wszyscy namawiali go do oddania Chiary do „Domu Spokoju” i twierdzili, że bez pomocy specjalistów nie zdoła się nigdy wyleczyć.

A kto pomógł Marghericie?, zastanawiał się Marco. Jak mógł nie zauważyć, że była tak bardzo nieszczęśliwa? „Może nie jest twoją córką”. Po tej kłótni coś się między nimi popsulo i wspomnienie tamtej promiennej i namiętnej dziewczyny zastąpił obraz cichej i pokornej Margherity, która starała się wszystkimi sposobami naprawić swój błąd. Czy to był rzeczywiście wypadek czy samobójstwo? To tylko jedno z wielu pytań, na które nie otrzymał nigdy odpowiedzi.

Teraz pozostała mu już tylko Sara. Zawiodłem jako mąż i jako ojciec, pomyślał zrozpaczony. Nie potrafię okazać miłości córce. Jej zaburzenia psychiczne i zamknięcie się w sobie budzą we mnie lęk, ponieważ nie wiem, co mógłbym dla niej zrobić w tej sytuacji, a instynkt samozachowawczy każe mi trzymać się od Sary z daleka.

Chciałby wytłumaczyć to wszystko Chiarze, nie był jednak pewien, czy zostanie zrozumiany: wolał już raczej rozczarowanie, które usłyszał w jej głosie, od jawnego potępienia Piery Berti, która zajmowała się małą i nalegała na następne spotkanie. Ale Marco i tak wiedział, że również jej nie będzie w stanie pomóc.

Prawda wygląda tak, pomyślał ze wstydem, że istotnie mam nikłe pojęcie o stosunku Sary do matki. Wracalem do domu wieczorem i odczuwałem

wzruszenie, kiedy brałem córkę na ręce i przytulałem twarz do jej buzi. Dlaczego nie chciała jeść? Dlaczego tak rzadko uśmiechała się i tak często płakała? Jest trudnym dzieckiem, powtarzała często Margherita, a on przyjmował to wytłumaczenie jako zupełnie wystarczające.

W głębi duszy miał nadzieję, że Chiara zajmie się jednak jego córką, ale najwyraźniej na razie nie mogła albo nie chciała tego zrobić. Może tak było nawet lepiej: nie powinien obarczać innych odpowiedzialnością za swoje kłopoty. Muszę pójść do instytutu i pogadać szczerze z doktor Berti, postanowił.

Życie zadało mi bolesny cios, pomyślał, ale zbyt długo rozczulałem się nad sobą. Teraz liczy się tylko córka! W obawie, że mogłby się rozmyślić, zadzwonił do Berti i umówił się na następny dzień. Chiara zauważyła go od razu, gdy tylko weszła do sali przeznaczanej na spotkania z rodzicami, żeby zabrać kartę szpitalną, którą zostawiła na stole. Ruda czupryna pełna była siwych włosów, szerokie plecy wydały się jej przygarbione. Chciała po cichu wyjść, ale Marco wstał, aby się z nią przywitać. Podając mu rękę spostrzegła, że wygląda na bardzo zmęczonego.

- Dobrze zrobiłeś, że przyszedłeś - powiedziała. - Doktor Berti musi z tobą porozmawiać. Siadaj, zaraz przyjdzie - zajęła miejsce obok niego.

- Właśnie wróciłem z Nowego Jorku - usprawiedliwił się Marco.
- Koleżanka mówiła mi. Wiem od
mojego szwagra, że firma
świetnie prosperuje. To
fantastyczne.

Chciała powiedzieć co innego, ale to nagłe spotkanie z Markiem poruszyło ją do żywego, wolała więc mówić o byle czym.

- Praca to jedyna rzecz, jaka mi się udaje - odpowiedział Marco poważnie. Zaraz potem dodał: - Cieszę się, że cię widzę. Mam okazję, żeby ci podziękować za wszystko, co zrobiłaś dla Sary.

- Nic takiego nie zrobiłam.

Kiedy przyjęto ją do instytutu, nie miałam odwagi się nią zająć i przekazałam ją najbardziej doświadczonej koleżance.

Mur uprzejmości został obalony i oboje spojrzeli na siebie bez skrępowania, jakby zrzucili z twarzy maski.

- Byłem nieco rozczarowany,

gdy się o tym dowiedziałem, ale pomyślałem sobie, że nie mam prawa oczekiwać, że się na to zdobędziesz - przyznał Marco.

- Uczyniłam to również dla Sary. Nie byłam pewna, czy potrafię się nią zaopiekować jak każdym innym dzieckiem, a dzieci niezawodnie wychwytyją nasze negatywne nastawienie. Po kilku przypadkowych spotkaniach zrozumiałam jednak, że się myliłam: ta mała budzi tylko czułość i pragnienie niesienia jej pomocy.

- Czy tak rzuca się w oczy, że jest nieszczęśliwa? - spytał Marco.

- Niestety tak. Również z tego powodu Berti chce z tobą porozmawiać. Przypuszcza, tak zresztą jak i ja, że wypadek samochodowy nie jest jedyną przyczyną jej zaburzeń.

- Jak się zachowuje?

Chiara spojrzała na niego surowo.

- Chyba wiesz, jak zachowuje się dziecko, które niczego nie jest pewne, nawet tego czy jest kochane. Jak układało się między tobą a Sarą, zanim doszło do tragedii?

- Chyba dobrze. Mówię „chyba”, bo byłem typowym ojcem, który wychodzi z domu, kiedy dzieci jeszcze śpią, i wraca, kiedy już leżą w łózkach.

- To niewiele, ale nie musi koniecznie oznaczać, że nie istniała między wami żadna uczuciowa więź - zaprotestowała Chiara.

- Rzeczywiście Sara bardzo mnie kochała. Z niechęcią z jej strony zetknąłem się dopiero w szpitalu. Tak jakby mnie chciała oskarżyć o śmierć matki... - Marco wyglądał teraz na kompletnie załamane.

- Ależ ona nie ma nawet

czterech lat! Jesteś pewien, że to nie ty pierwszy poczułeś do niej niechęć? Nie zacząłeś przerzucać na nią winy za wasze niepowodzenia?

Zauważyła, że mówi podniesionym głosem.

- Wybacz mi - dodała zaraz - ale nie mogę znieść widoku cierpiącego dziecka. Musisz porozmawiać całkiem szczerze z psychologiem, jeśli chcesz, by Berti pomogła ci wyleczyć Sarę.

Piera Berti weszła właśnie, przepraszając za spóźnienie.

Marco wstał, podniosła się również Chiara.

- Zostawiam was samych -

oświadczyła. Dopiero kiedy zamknęła drzwi, uprzytomniła sobie, że nie pożegnała się z Markiem.

Dowiedziała się później od koleżanki, że rozmowa była owocna.

- Choć twój były mąż nie podał mi wielu szczegółów, domyśliłam się z półsłówki, że związek z matką Sary nie był zbyt szczęśliwy i że biedaczka stała się w ostatnich miesiącach bardzo nerwowa i agresywna. Oczywiście dziewczynka ponosiła wszelkie tego konsekwencje. Ale jest jeszcze coś: Zambiasi stara się być wprawdzie troskliwym i odpowiedzialnym ojcem, ale wyczuwa się w nim jakieś zahamowanie, jakby podświadomie żywił do małej uprzedzenie i nigdy tak naprawdę jej nie zaakceptował. Nic dziwnego, że Sara jest dla niego „trudnym” dzieckiem, jak powtórzył wielokrotnie, a tragiczny wypadek z matką ujawnił tylko wszystkie jej lęki.

**Chiara poczuła, że łzy
napływają jej do oczu.**

- Zwłaszcza jeśli matka wyładowywała na niej swoje niezadowolenie i złość - wyszeptała. - Sara doszła do wniosku, że śmierć matki to najgorsza kara, jaką chciała jej wymierzyć, i zachowuje się jak dziecko, które wie, że jest „złe” i nie zasługuje na miłość. Niewykluczone, że pobyt w instytucie traktuje również jako karę, na którą skazał ją tym razem ojciec.

- Myślisz, że nie jest jej tu dobrze? - zapytała Berti zaskoczona.

- Myślę, że nie jest, zwłaszcza kiedy ojciec się nie pokazuje. Wszystkie osoby, z którymi ma do czynienia, od opiekunki do współlokatorów, utwierdzają ją w przekonaniu, że nie jest kochana.

Piera Berti przytaknęła i po chwili zastanowienia zapytała: - Czy chcesz, żeby została twoją pacjentką? Myślę, że twoje osobiste zaangażowanie w tym wypadku może przynieść pożądane rezultaty. Zainteresowanie i czułość, jaką okazujesz Sarze, przydadzą się, bo wygląda na to, że tego właśnie potrzebuje najbardziej. Chiara nie śmiała o to prosić, ale kiedy usłyszała propozycję koleżanki, zawahała się.

- Mogę dać ci odpowiedź za kilka dni? Chciałabym tymczasem pobyć trochę z małą i poobserwować ją. Muszę być całkiem pewna, że rzeczywiście potrafię jej pomóc.

**Tego wieczoru zamiast wrócić
do domu o siódmej, Chiara
została w swoim gabinecie i
zaczekała, aż skończy się
kolacja. Odbyła kilka rozmów
przez telefon, podpisała
dokumenty, uporządkowała**

ostatnie karty szpitalne i po godzinie poszła do świetlicy, gdzie dzieci przed położeniem się do łóżek bawiły się lub oglądały filmy rysunkowe w telewizji.

Od razu ujrzała Sarę i widok ten mile ją zaskoczył: dziewczynka siedziała na podłodze i bawiła się z niewiele od siebie młodszą koleżanką. Chiara niepostrzeżenie podeszła bliżej, żeby się jej lepiej przyjrzeć, i spostrzegła, że Sara obraca w rękach lalkę, a koleżanka przygląda się temu z wielkim zainteresowaniem. Czy Sara ubiera, czy rozbiera lalkę?

Chiara nie zdążyła sobie na to pytanie odpowiedzieć, nagle bowiem Sara zerwała się, rzuciła lalkę o ziemię i zaczęła ją deptać. Jej towarzyszka wybuchnęła płaczem, zaraz też zjawiła się opiekunka.

Zanim otworzyła usta, ażeby skrzyknąć Sarę, Chiara powiedziała: - Ja się nią zajmę.

Wzięła na ręce dziewczynkę i zaniósła do pokoju naprzeciwko. Usiadła w fotelu, posadziła ją sobie na kolanach, nie zważając na jej napięte mięśnie ani wrogi wyraz twarzy.

- Wiesz, kim jestem, prawda? - zapytała, poprawiając jej włosy na czole. - Nazywam się Chiara i mieszkam tu z tobą. Leczę dzieci.

Cisza.

- Bardzo lubię dzieci i bardzo lubię ciebie. Gdy byłam mała, też niszczyłam zabawki innych dzieci. Szczególnie lalki.

Cisza.

- Spałam w pokoju takim jak twój, w różowym łóżeczku. W łóżeczku obok spała dziewczynka, która nazywała się Anna i miała prześliczną lalkę. Chciałabyś mieć taką piękną lalkę jak Kropka?

- Nie - odpowiedziała Sara,

jakby przestraszona. Zaraz dodała:- Anny już nie ma.

Potem zacisnęła usta i odwróciła głowę.

- Wiem, Anna wróciła do domu.

Spędzała tu wakacje i bardzo była zadowolona, bo jest tu masa zabawek, piękny ogród ze zjeżdżalnicami i tyle dzieci... Ale wakacje się skończyły i tatuś zabrał ją stąd. Twój tatuś również zabierze cię niedługo do domu. Powiedziałam mu, że ci się tu podoba.

Sara potrząsnęła stanowczo głową.

- To nieprawda, wcale mi się tu nie podoba.

- Och, więc to wszystko moja wina. To ja poprosiłam twojego tatusia, żeby cię u nas zostawił. Chciałam cię zaprowadzić do mojego pokoju i pobawić się z tobą... Dlaczego ci się tu nie podoba, kochanie?

- Chcę stąd iść... do cioci Egle - wyszeptała Sara dziecięcym głosem.

No tak, ciocia Egle, przypomniała sobie Chiara. Sara знаła i kochała cioteczną babkę. Uczepiła się od razu tej wątej nici porozumienia.

- Wiesz, że ja też ją znam?

Jest bardzo dobra, robiła mi pyszne ciastka z konfiturą albo ze śmietaną.

Sara przyjrzała się Chiarze z niedowierzaniem.

- Ależ tak, znam ją. Nie

wierzysz mi? Mieszka w domu z bardzo dużą kuchnią pomalowaną na biało. Nad łóżkiem wisi obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus. W sypialni stoi bardzo duży stół i szafa ciemna jak te drzwi...

- Mieszka w Padwie - oznajmiła poważnym tonem dziewczynka. - Byłam u niej wiele razy. A ty jej nie odwiedzasz?

Chiare uderzyło coś, o czym Berti nie wspomniała: chociaż Sara była bardzo bystra i miała chłonny umysł, mówiła gorzej niż dzieci w jej wieku i przekręcała wiele słów.

Teraz patrzyła na Chiare z pytającym wyrazem twarzy. Nagle zakryła oczy i zaczęła płakać.

Był to dziwny płacz, cichy niczym lament, zdawał się wyrażać jakieś pradawne cierpienie, na które nie można nic poradzić. Chiara wstrząśnięta przytuliła ją do siebie.

- Saro, kochanie, dlaczego płaczesz?

Zamiast odpowiedzieć,

dziewczynka uwolniła się z jej ramion. W tym chudym ciałku była niewiarygodna wprost siła i choć Chiara próbowała ją zatrzymać, wyrwała się niczym jakieś leśne zwierzątko i uciekła w popłochu. Następnego dnia, zaraz po przyjeździe do instytutu, Chiara zadzwoniła do cioci Egle, która natychmiast ją rozpoznała.

- Och, moja droga, jakże się cieszę. Tak mi ciebie brakowało, przez te wszystkie lata codziennie o tobie myślałam.

Chiara poczuła się wzruszona.

- Mnie też ciebie brakowało, ciociu. Ale telefonuję w sprawie Sary.

Chwila ciszy.

- Dowiedziałam się dopiero trzy dni temu, że przyjęto ją do twojej kliniki. Sama bym do ciebie zadzwoniła, gdybyś mnie nie ubiegła. Zajmując się tym biednym dzieckiem, spełniasz...

- Dlaczego biednym, ciociu Egle? - przerwała Chiara. - O ile zdołałam się zorientować, jesteś jej największą miłością i osobą, która ją najlepiej zna. Co poza tym strasznym wypadkiem sprawiło, że jest tak... - zawahała się przez chwilę.

- Chcesz powiedzieć

„nieszczęśliwa”? - dokończyła za nią Egle. Po drugiej stronie dało się słyszeć westchnienie.

- Myślę, że wszystko zaczęło się od jej matki. Na początku nie mogłam ścierpieć Margherity, ale nie można było jej nie współczuć. Była sama... jak dziecko. Kapryśna, spontaniczna, złakniona miłości. Na swój sposób uwielbiała małą, ale, niech Bóg jej wybaczy, zachowywała się przy niej jak osoba niezrównoważona. Jednego dnia całowała Sarę i ścisłała, drugiego biła i wymyślała jej. Na kilka miesięcy przed śmiercią wciąż wszczyniała kłótnie z Markiem, a dziewczynka stała się kozłem ofiarnym. Pojechałam kiedyś do Mediolanu, żeby ją odwiedzić, była cała w siniakach. Margherita wyznała mi z płaczem, że to ona ją tak zbiła. Zabrałam wtedy Sarę do Padwy i po tygodniu trochę się uspokoiła. Mimo wszystko była bardzo związana z matką, choć jej wybuchy gniewu przerażały ją.

Chiara przymknęła oczy,

przejęta grozą. Wszystko wyglądało jeszcze gorzej, niż przypuszczała. Ogarnęło ją szalone współczucie dla Sary; ileż musiała się nacierpieć przez czterdzieści trzy miesiące swego życia?

- Jesteś tam jeszcze, Chiaro?

- Tak. Opowiedziałam ci

przerażające rzeczy, ciociu. Teraz, niestety, wszystko jest jasne. Z wyjątkiem jednego: jak Marco mógł na to pozwolić albo nie zauważyć, co się dzieje?

Znów głębokie westchnienie.

- Sytuacja pogorszyła się w ciągu ostatnich trzech miesięcy, kiedy Marco wyprowadził się z via Alberto Mario.

- Chcesz powiedzieć, że... rozstał się z Margheritą?

- Tylko na jakiś czas.

Dręczyła go i prowokowała nieustannie, wybuchały pomiędzy nimi straszliwe awantury, także w obecności małej. W trakcie jednej z poważnych sprzeczek Margherita w furii powiedziała mu, że Sara nie jest jego córką. Sama mi się z tego zwierzyła. Oczywiście było to okrutne kłamstwo, ale możesz sobie wyobrazić, czym stało się ich wspólne życie. Mimo to Marco darzył ją silnym uczuciem. Wypadek miał miejsce w dniu, w którym Marco postanowił wrócić do domu. Całą miłość i nadzieję przelał teraz na córkę, ale gdy Sara odzyskała przytomność, zaczęła go odpychać i okazywać mu wrogość. Ostatnio nie pozwoliła się nawet dotykać... Nie jestem psychologiem, ale wydaje mi się, że Sara oskarża o coś ojca. Może o to, że zostawił ją samą na via Alberto Mario? Że nie był w samochodzie w chwili, gdy wydarzyła się tragedia, i nie uratował ich? Nie wiem, wiem tylko, że bardzo się martwię o Sarę, a także o mojego bratanka. Odkąd rozstał się z tobą, nic mu się nie udaje.

„Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy! Marco zapłaci za krzywdę, którą ci wyrządził.” Chiarze zdawało się, że znów słyszy przez drzwi głos matki rozmawiającej z Giovanną, a ona, skulona w rogu łóżka, z zamętem w głowie, czeka, aż Paolo zawiezie ją do kliniki.

Pan Bóg, spoglądając z nieba, zauważył w pewnej chwili małego wielkiego grzesznika i wymierzył mu surową karę. Potem odwrócił wzrok i pozostawił go swojemu własnemu losowi. Samotność i ból Marca musiały być wielkie, może jeszcze większe niż cierpienia, których sama doświadczała przez wiele miesięcy.

Muszę wyleczyć Sarę, sprawić, by ją odzyskał, pomyślała. Potrzebują siebie nawzajem, ale zamknęli się w swych odrębnych światach, zerwali ze sobą wszelkie kontakty. Muszę im pomóc znów go nawiązać.

Sara już nie uciekała.

Przestała się wyrwać, odwracać głowę, kiedy Chiara do niej mówiła albo tuliła ją. W jakimś sensie było jednak gorzej niż przedtem: słuchała z mniejszym zainteresowaniem swojej opiekunki i reagowała z większą obojętnością na bodźce zewnętrzne. Czasami przypominała jej Sonię, dziewczynkę, którą zgwałcił ojciec i która zaszła później w ciążę. Chociaż wiek i problemy były zupełnie inne, ich reakcje nie różniły się ani trochę; zabarykadowały się w swoim piekle i nie było sposobu na dotarcie do nich, na uwolnienie od dręczących zmór. Stan zdrowia Soni jednak trochę się poprawił i to podsycalo w Chiarze nadzieję.

Również Valsecchi, której radziła się w najtrudniejszych przypadkach, dodawała jej otuchy. „U bardzo małych dzieci, takich jak Sara, nękające je koszmary ogniskują się na jednym szczególnym przeżyciu”, wyjaśniała. „Nie potrafią jeszcze ogarnąć całości, koncentrują się więc na tym, co je zraniło szczególnie boleśnie, i robią z tego czegoś przerażającego potwora. Może to być jakiś gest, słowo, przedmiot, epizod z życia. Nie jest łatwo dociec, co to takiego, ale gdy już się

dowiemy, to tak, jakbyśmy odgadli funkcjonowanie nie znanego mechanizmu: opór znika i potwór ginie. Ważne, żebyś ciągle z nią rozmawiała, Chiaro. O wszystkim i bez obaw. Sara nie jest głupia, to, o czym mówisz, na pewno do niej dociera. Zareaguje we właściwym momencie.”

- Czy to dobrze czy źle, że ojciec regularnie ją odwiedza? Czasami wydaje mi się, że to on jest tym „potworem” - zapytała Chiara.
- Jeśli przez „regularnie” rozumiesz codziennie, lepiej niech tego nie robi, bo dla dziewczynki może to być powód do niepokoju. Ale całkowite zaniechanie odwiedzin też nie jest wskazane. Sara od razu zauważy zmianę i w jej pamięci utrwali się tylko niechęć do ojca. Najlepsza byłaby wizyta raz w tygodniu.

Wytłumaczę to Marcowi,

pomyślała Chiara pod koniec rozmowy. Pobyt Sary w instytucie pewnie się przedłuży, ona zaś była coraz bardziej przekonana o tym, że nie jest to wymarzone miejsce na zagwarantowanie dziecku poczucia bezpieczeństwa, którego mała potrzebowała najbardziej. Na razie jednak nie było mowy o powrocie do domu, zaś ciocia Egle mogła ofiarować jej tylko miłość. A to niestety, nie wystarczy. Instytut pozostawał więc nadal jedynym rozsądnym rozwiązaniem.

Synek Giovanny urodził się dwudziestego grudnia, trochę wcześniej, niż przewidywano, i ważył dwa kilogramy i osiemset gramów. W pomarszczonej różowej twarzązce widać było dwie bardzo jasne szparki, takie same jak oczy matki i ciotki. Kiedy Chiara wzięła go na ręce po raz pierwszy, zauważyła ze zdziwieniem, że nie odczuwa ani smutku, ani żalu, a jedynie czułość. Nazwano go Andrea Giacomo po dziadkach. W pięć dni po porodzie Giovanna wróciła do domu.

- Postanowiłam złożyć

wymówienie - oznajmiła matce i siostrze jeszcze tego samego wieczoru. - Gdy przestanę karmić, poszukam pracy na pół etatu. To byłoby bez sensu: urodzić dziecko po trzydziestce i powierzyć je niańce. Chcę je karmić, cieszyć się nim, zajmować.

Ciąża sprawiła, że Giovanna złagodniała. Bardzo się zmieniła, pomyślała Chiara, teraz wszystko się odwróciło. Ja nigdy nie mogłabym dla jednego dziecka zostawić wszystkich dzieci z Instytutu. Kocham moją pracę bardziej, niż mogłabym kochać jakiegokolwiek mężczyznę. To jest mój dom, moja rodzina.

Od dwóch tygodni przychodziła do instytutu o ósmej rano i często zostawała do późna wieczor. Pół żartem, pół serio Piera Berti zwróciła jej uwagę, że od pewnego czasu zbyt się koncentruje na Sarze i tak zorganizowała sobie plan zajęć i wizyt, by jak najdłużej przebywać z małą.

To prawda. Tamtego wieczoru, kiedy wyszła z domu Giovanny, Chiara zastanawiała się, w jakim stopniu jej zawodowa aktywność związana jest z obecnością dziewczynki w klinice. Zajmowała się z niezwykłym oddaniem wszystkimi dziećmi, ale Sara była przypadkiem wyjątkowym. Chiara postępowała wobec niej tak, jakby małej na świecie nie pozostał nikt oprócz niej. A tak przecież nie było. Przeniosłam na nią uczucie, jakie żywiłabym do mojej nie narodzonej córeczki, pomyślała. Ta prosta prawda wstrząsnęła nią; gdyby nie przerwała ciąży, córka miałaby tyle samo lat i może byłaby podobna do Sary.

Jeszcze przed przyjściem na świat Sara zniszczyła jej życie i Chiara zastanawiała się, czy aby za sprawą okrutnej zemsty losu mała nie płaci teraz za nieszczęścia, które nieumyślnie spowodowała. Odegnała szybko tę niedorzeczną myśl, lecz ona zdażyła już zagnieździć się w jej umyśle.

Od chwili, kiedy ujrzałam Sarę, pomyślała, przeczuwałam niejasno, że tylko moja miłość może ją uzdrowić. Los znów postawił ją na mojej drodze, jak gdyby dziecko, któremu nie pozwoliłam się urodzić, zostało dane mi na powrót i potrzebuje pomocy, żeby żyć. Ratując Sarę, daję mu jeszcze jedną szansę.

O trzeciej w nocy jeszcze nie spała. Przekręcając się na drugi bok z przeświadczeniem, że sen i tak nie nadejdzie, pozwoliła sobie ostrożnie na coś, przed czym broniła się od dwóch tygodni: zaczęła myśleć o związku Marca z Margheritą. Jak to się stało, że owa piękna i pozbawiona kompleksów dziewczyna przeistoczyła się w osobę chorą i słabą, taką, jaką opisała jej ciocia Egle? Skąd się brała agresja, którą wyładowywała na Marcu i własnej córce?

Tamten ranek w metrze...

Wspomnienie, które starała się zatrzeć miesiącami, pojawiło się znów z całą natarczywością, tak że Chiara zacisnęła pięści aż do bólu. Tamtego ranka w metrze, podnosząc wzrok znad główek dzieci, które wiozła na zawody łyżwiarskie, zobaczyła Margheritę. Odruchowo,

zdziwiona, że widok dziewczyny Marca nie wywołuje w niej ani zmieszania, ani żalu, skinęła głową na przywitanie. Margherita wysiadła jednak pośpiesznie na pierwszej stacji. W jej spojrzeniu była nieskrywana nienawiść. Po południu tego samego dnia, kilka godzin po spotkaniu, zginęła w katastrofie samochodowej.

Zabiła się, pomyślała drżąc Chiara. Podejrzewała to, odkąd przeczytała wiadomość w gazecie. Nie wracała jednak do owego spotkania w metrze, ponieważ od razu odgadła, że istnieje jakiś związek między nim a wypadkiem.

Jak by to było dobrze, gdyby Mauro żył, myślała dalej zrozpaczona. Ileż to razy budziła go w środku nocy, żeby się zwierzyć albo poprosić o radę? Ostatni raz

było to na kilka tygodni przed jego śmiercią... Umierający Mauro promieniował ciepłem i jakąś dziwną energią... Odczuwała boleśnie jego brak. Na chwilę ogarnęła ją złość. Dość słów_wytrychów, dość udawania:

Mauro umarł i poza śmiercią nie było niczego. Tylko widma, mój drogi. Moje życie, życie Sary, Marca pełne jest widm przeszłości.

Znów pojawiła się myśl o Sarze. Nasze dramaty, nasze błędy spadły na niewinną dziewczynkę, pomyślała. Widma przeszłości powróciły i zmusiły do poddania się ogarniającemu ją zmęczeniu. Chciałabym, żeby Sara tu była, chciałabym ją objąć i spokojnie usnąć. Czy tego właśnie pragnęła Margherita, kiedy wsadziła córkę do samochodu i popędziła na spotkanie ciężarówki?

Marco zadzwonił do instytutu następnego ranka o dziesiątej.

Rozmawiali przez telefon mniej więcej co trzy dni, a raz w tygodniu przyjeżdżał odwiedzić córkę, jak radziła Valsecchi. Chiara przyprowadzała małą do sali wizyt i trzy kwadranse później zabierała ją z powrotem.

Za każdym razem stwierdzała, że Sara ma taki sam ponury wyraz twarzy, jest napięta i przestraszona, Marco zaś zrozpaczony i bezradny.

Marco spytał, jak się miewa córka, i zakomunikował, że dzień wcześniej, bez uprzedzenia, przyjechała do Mediolanu ciocia Egle.

- Miała zamiar wybrać się ze mną do instytutu, ale nie wiedziałem, jak zareaguje na to Sara. Sama mi mówiłaś, że jest jeszcze za wcześnie.

- Tak, zgadza się, ale mimo to zapraszam was oboje.

Może taka odmiana dobrze jej zrobi, miała dodać, oderwie od przykrych wspomnień, sprawi, że wreszcie się otrząśnie z odrętwienia. Zamiast tego powiedziała: - Czekam na was. Nie martw się o Sarę, zajmę się nią po wyjeździe cioci Egle.

- Wiem, Chiaro. Codziennie myślę o tym, jak bardzo jesteś wielkoduszną...

Głos Marca był pełen smutku i Chiara przerwała mu zakłopotana.

- Wielkoduszość nie ma tu nic do rzeczy. Włączyłam twoją córkę do grona moich pacjentów, ponieważ ją kocham.

- To też wiem. Sprawilem, że cierpiałaś, a ty odwzajemniasz się miłością. To chyba największa dla mnie kara.

- To, co się stało między nami, należy do przeszłości. Teraz liczy się tylko Sara i przede wszystkim o niej musimy myśleć...

Przerwała, przestraszona, że o mały włos nie powiedziała, jak wiele znaczy dla niej ta dziewczynka, jak ogromną stratę jej wynagrodziła.

- To, co się stało, nie ma znaczenia - powtórzyła pośpiesznie.

Kiedy skończyli rozmowę przez telefon, zdanie to jakby zawisło w powietrzu. Prawdą jest, pomyślała zarazem z żalem i ulgą, że wraz z miłością odeszły wspomnienia dobre i złe, a Marco był już dla niej tylko nieszczęśliwym ojcem, któremu pragnęła pomóc z całego serca.

Przyjechał do instytutu o czwartej razem z ciotką Egle. Widok mężczyzny odgrywającego kiedyś tak ważną rolę w jej życiu przywołał obrazy, które bezskutecznie starała się wyrzucić z pamięci.

Egle uściskała ją.

- Myślałam, że ten dzień nigdy nie nadejdzie - powiedziała ze łzami w oczach. - Ale niech ci się przyjrzę. Z długimi włosami wyglądasz zupełnie inaczej. To dobrze, że je zapuściłaś i rozjaśniłaś - dodała z matczyną troską.

- A ty nic się nie zmieniłaś, zupełnie jakby czas się zatrzymał - odparła z uśmiechem

Chiara. Teraz dopiero
zorientowała się, że nie
przywitała się jeszcze z

Markiem, i uśmiechnęła się również do niego.

- Usiądźcie na chwilę, pójdę po Sarę. Ciociu, nie uprzedziłam jej o twoim przyjeździe, ale z pewnością będzie to dla niej miła niespodzianka.

Idąc do sali, gdzie bawiły się dzieci, Chiara nie była o tym wcale przekonana. Nie powiadomiła małej o wizycie nie tylko dlatego, aby jej nie denerwować, ale przede wszystkim dlatego, żeby móc obserwować reakcje Sary w momencie spotkania z jedyną osobą, z którą potrafiła nawiązać emocjonalny kontakt.

Dziewczynka siedziała samotnie tam gdzie zawsze, w kącie pod oknem, i przeglądała komiksy.

Chiara podeszła do niej, wzięła ją na rękę. Jak za każdym razem także i teraz uderzyła ją chudość dziewczynki. Po kilku dniach pobytu w instytucie Sara zaczęła wreszcie jeść, lecz zdaniem opiekunki nadal jadła mało i niechętnie. Nie miała żadnej ulubionej potrawy, co Chiary nie dziwiło, Sara bowiem podświadomie nie chciała pozwolić sobie na żadną przyjemność.

Chwilę później Chiara musiała dojść do wniosku, że jej pesymizm jest nieuzasadniony; jak tylko mała zobaczyła ciotkę, wyrwała się i pobiegła do niej, Egle zaś przytuliła ją, obsypując jej twarz pocałunkami.

- Kochanie, jesteś

najpiękniejszą dziewczynką na świecie... Widzisz, ciocia przyszła cię odwiedzić. Mimo wzruszenia głos Egle nie załamał się, a łzy nie napłynęły do oczu. Sara dotknęła lekko jej twarzy.

- Tak, ciociu. Kiedy

zabierzesz mnie do siebie?

- Niedługo, bardzo niedługo.

- Jutro?

Egle spojrzała na Chiare, jakby prosiła o pomoc. Co powinna odpowiedzieć Sarze? Nagle dziewczynkę przestała interesować odpowiedź. Przybrała skupiony wyraz twarzy i dziwnym, obojętnym głosem, pozbawionym wszelkich emocji, oznajmiła: - Mama nie żyje. Po raz pierwszy wspomniała o matce i Chiara drgnęła zaintrygowana. Egle przygarnęła małą do siebie i szepnęła cicho: - Wiem, Saro. Poszła do nieba, patrzy stamtąd na ciebie i...

Dziewczynka potrząsnęła przecząco głową.

- Nie poszła do nieba -

syknęła. - Prowadziła samochód i... i...

Zamilkła i zaczęła przyglądać się ciotce w nadziei, że dokończy zdanie, potwórzy to samo, co powiedział już ojciec.

Chciała raz jeszcze od osoby,

której ufała, uzyskać

potwierdzenie, że to był

wypadek, pomyślała Chiara, modląc się w duchu, by ciotka znalazła właściwe słowa.

Z ulgą usłyszała, jak Egle mówi: - Jechała samochodem i zderzyła się z dużą ciężarówką. Kochanie, mama miała wypadek i poszła do nieba. Ale pewnego dnia zobaczysz się z nią. W niebie jest pięknie, to cudowne miejsce. Nazywa się raj. Któregoś dnia ja, ty, tatuś, Chiara, wszyscy się tam spotkamy. Będziemy się razem bawić i będziemy szczęśliwi.

- Ale nie dziś? - spytała Sara, marszcząc brwi. Słucha ciotki z zainteresowaniem, zauważyła Chiara, i teraz z niepokojem czeka, co powie Egle.

- Dziś nie, Saro. Bóg decyduje o tym, kiedy mamy pójść do raju, a ty jesteś jeszcze mała. Raj jest przeznaczony dla dorosłych. Musisz urosnąć, pobyc z tatusiem i ciocią Egle. Chyba nie chcesz zostawić mnie samej, prawda, kochanie?

Sara potrząsnęła głową. Potem z błyskiem w oczach spytała niecierpliwie: - Weźmiesz mnie do siebie?

Rozumuje z typowo dziecięcą logiką, pomyślała Chiara. Skoro ciotka nie lubi być sama, powinna zabrać ją do Padwy. Była wdzięczna Egle, że wykazała tyle inteligencji i delikatności.

- Oczywiście, że wezmę cię do siebie. Ale jeszcze nie dzisiaj. Dziś wrócę do domu, przygotuję pokój pełen zabawek, a za kilka dni przyjadę po ciebie, zgoda? Bądź grzeczna i czekaj na mnie.

- Tak.

Chiara popatrzyła na Marca i ujrzała na jego twarzy wyraz odprężenia. Zapomniała niemal o jego obecności, tak była zaprzątnięta obserwowaniem reakcji Sary, i teraz miała wyrzuty sumienia. Z innych powodów córka również nie zwracała na niego uwagi, zupełnie jakby go nie było. Chiara pomyślała ze smutkiem o tym, jak wielka musi być jego samotność i poczucie winy. Nie przypuszczała nigdy, że może żywić do Marca tego rodzaju uczucia, i w chwili gdy zdała sobie z tego sprawę, z głębi pamięci wyłonił się mężczyzna, którego kiedyś tak bardzo kochała: prowokujący, dynamiczny. Gdzie podziała się jego pewność siebie, jego siła? Przeniknęło ją przejmujące poczucie straty.

Ciocia Egle wyjęła z torby prezent dla Sary: paczuszkę zawiniętą w kolorowy papier. Sara zaczęła ją obracać w rękach z grymasem bólu na buzi, który sprawił, że Chiara natychmiast powróciła do rzeczywistości. Wyglądało to tak, jakby coś powstrzymywało małą przed rozwinięciem pakunku. Zachęcana przez ciotkę, która uśmiechała się niechętnie, zdecydowała się wreszcie ostrożnie otworzyć paczuszkę.

Gdy zobaczyła, że w środku jest przepaska na włosy, cała w małe motylki, odetchnęła głęboko w sposób, który wydał się Chiarze nieuzasadniony i przesadny.

- Och, jaka śliczna! -

wykrzyknęła dziewczynka, dotykając w zachwycie motylków.

- Zawsze przepadała za takimi przepaskami - wyjaśniła ciocia Egle i zwróciła się z uśmiechem do Sary: - Chiara pomoże ci ją założyć. Chiara jest twoją przyjaciółką i bardzo cię kocha, wiesz?

- Pojedzie z nami?

- Nie, zostanie tu z tobą, a ja zajmę się przygotowaniem pokoju dla ciebie.

- Nie podoba mi się tu.

Chiara zauważyła, że Marco spuszcza wzrok i garbi się.

- Mnie też nie - wtrąciła się do rozmowy. - Lecz musimy zostać w instytucie, dopóki pokój nie będzie gotowy.

- Dokładnie tak - dorzuciła

Egle. - Ale wy jesteście niemądre. Ja jestem zachwycona tym, co tu widzę. Saro, dlaczego nie zabierzesz mnie na spacer? Chcę się przekonać, czy rzeczywiście jest tak brzydko, jak mówisz...

Dała znak Chiarze, żeby na nią zaczekali, wzięła małą za rękę i oddaliły się obie.

Marco pierwszy przerwał milczenie.

- Za chwilę, kiedy zaczniemy się zbierać do odjazdu, małej będzie bardzo przykro - powiedział.
- Nie, jeśli będzie miała pewność, że ciocia po nią wróci. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Egle jest wspaniała i świetnie potrafi nawiązać z Sarą psychiczny kontakt.
- Czy nie sądzisz, że

mogliśmy wysłać małą do Padwy? Sama mówiłaś, a Sara wcale tego nie ukrywa, że nie znosi instytutu i nie potrafi się przyzwyczaić do warunków, jakie tu panują.

- Niestety, nie potrafi się przyzwyczaić jeszcze do wielu innych rzeczy. Ja też zastanawiałam się wielokrotnie, czy nie byłoby jej lepiej u ciotki, ale doszłam do wniosku, że nie jest to najszcześniejszy pomysł. Sara potrzebuje w równym stopniu miłości i opieki, a opiekę specjalistów zapewnić może tylko instytut.

Marco spojrzał jej prosto w oczy.

- Wiele lat temu to samo

mówiono o tobie, a jednak opuściłaś „Dom Spokoju” - stwierdził obojętnym tonem.

Chiara odwzajemniła spojrzenie.

- To prawda, ale po naszym rozstaniu trafiłam do innej kliniki. To był jedyny sposób, żeby postawić mnie na nogi - odparła spokojnie, jakby dotyczyło to kogoś innego.
- Przepraszam. Przez całe życie zaciągałem długi i teraz muszę je wszystkie spłacić.

Marco wydawał się zrozpaczony.

- Nie powinieneś myśleć już o tym, co się stało. - Chiara położyła mu rękę na ramieniu. - Twoja przyszłość to Sara. I nie trać nadziei. Ma tylko cztery lata, na pewno wyzdrowieje.

Egle i Marco wyjechali dwie godziny później i jak przewidywała Chiara, dziewczynka zniosła dość dobrze rozstanie z ciotką. Chiara zabrała ją do gabinetu i posadziła sobie na kolanach; po raz pierwszy mała zdawała się bez zastrzeżeń akceptować jej bliskość.

Poprosiła Sarę, aby pokazała jej przepaskę, którą trzymała w dłoni, po czym na temat każdego motylka na poczekaniu zaczęła wymyślać jakąś bajkę.

- Jeszcze - poprosiła małą,
kiedy Chiara skończyła
opowiadać.

W porze kolacji Chiara, której wyczerpały się już pomysły, zadzwoniła do opiekunki, poprosiła o przyniesienie posiłku małej Zambiasi do swojego gabinetu, nakryła kawałek biurka i patrzyła, jak Sara je, powstrzymując się siłą przed wzięciem jej na kolana i nakarmieniem.

- Czy mama mot... motylków umarła? - zapytała Sara, kiedy Chiara obierała jabłko.

- Odleciała, kochanie.

- Do nieba?

- Tak, do nieba, jest tam z twoją mamą i cieszy się, że jej dzieci są z toba, w twoich włoskach.

- A gdzie ja jestem?

- Tutaj, ze mną, Saro. Wkrótce będziesz z tatusiem i ciocią Egle.

- Czy mama jest zadowolona?

- Oczywiście, bo jesteś

grzeczną dziewczynką. Przecież ciocia powiedziała ci, że mama patrzy na ciebie z nieba i kocha cię. A teraz zjedz jabłko.

Sara włożyła automatycznie do ust kawałek jabłka i Chiara odniosła wrażenie, że mała chce zapytać ją o coś bardzo ważnego. Zamilkła jednak, marszcząc brwi i najwyraźniej usiłując sama sobie odpowiedzieć na jakieś dręczące pytanie. Nic już nie dodała, nie zaprotestowała też, gdy Chiara odprowadziła ją do pokoju, pocałowała na dobranoc i wycofała się na korytarz.

Wróciła do domu o dziesiątej.

- Coraz lepiej! - zawołała na powitanie matka. - Szkoda, że nie możesz wyjść za mąż za instytut!

Poszła za nią do łazienki, poczekała, aż Chiara umyje ręce, zdejmie buty i włoży kapcie.

- Przygotowałam dla ciebie spaghetti, ale teraz zrobiła się z nich papka - gderała.

- Nie szkodzi, mamó, na pewno są pyszne - zapewniła ją Chiara.

Nie pozostawało jej nic innego, jak usiąść w kuchni naprzeciwko matki i zacząć jeść z apetytem, aby nie sprawić jej przykrości.

- Dzwoniła Giovanna, prosiła,

żebyś się do niej odezwała. Ona uważa, że stanowczo za dużo pracujesz. Praca, praca, praca, co to za życie?

- Mamó, dokonałam wyboru i taki tryb życia bardzo mi odpowiada.

**Powtarzała to matce
codziennie, Lucia zaś
konsekwentnie trwała przy swoim:**

- Teraz ci odpowiada, bo jesteś młoda, ale czas szybko mija. Zrób coś, póki nie jest za późno. Nie możesz przecież zostać sama jak palec.

Chiara zauważyła z zaniepokojeniem, że matka nie mówi w charakterystyczny dla siebie, nerwowy sposób. Patrzyła na córkę zatroskana i nie zdawała się potępiać jej jak zwykle.

- Mamó, naprawdę jestem zadowolona z mojego życia, musisz mi uwierzyć - zapewniała ją.

Lucia potrząsnęła głową.

- W tym cały problem.

Poświęciłaś się dla tych dzieci, jakby były twoimi. Opiekujesz się nimi, potem rodzice zabierają je do domów, pojawiają się nowe, a ty zajmujesz się nimi z takim samym oddaniem. Ale pewnego dnia przestaniesz pracować w instytucie. Zabraknie już dzieci, ty zaś będziesz za stara, żeby urodzić własne. Chiara, masz prawie trzydzieści cztery lata, nie pozostaje ci zbyt wiele czasu na założenie rodziny.

- Mamó, wcale tego nie potrzebuję. Są kobiety, które nie mają męża ani dzieci, a mimo to potrafią cieszyć się życiem.

- Ale nie ty, nie ty! -

wykrzyknęła Lucia.

Dobitne podkreślenie słów,

jakie znowu się pojawiło, nie uspokoiło Chiary. Matka mówiła poważnie i przypierała ją do muru.

- Byłaś sobą, byłaś

szczęśliwa, kiedy żyłaś z Markiem - Lucia ściszyła głos. - Chciałaś mieć rodzinę i twoim największym pragnieniem było urodzić dziecko. Nie sądzę, żebyś się zmieniła. To, co się stało, przeraziło cię, to wszystko. Boisz się, że będziesz

cierpieć, i wmówiłaś sobie, że wystarczy ci praca. A ja nie mogę spokojnie patrzeć na to, co robisz - wyjęła z kieszeni chusteczkę i wytarła nos.

- Ależ, mammo...

- Cicho bądź! Nic lepiej nie mów! Dobrze wiem, dlaczego pędzisz do tego swojego instytutu o świcie i wracasz do domu o tak późnej porze.

Dlatego, że jest tam córka Marca. Kto wie, co sobie wbiłaś do głowy. Bardzo mi jej żal, ale to ty jesteś moją córką i martwię się o ciebie. Prędzej czy później Sara wyzdrowieje i ojciec zabierze ją do siebie. Chiaro, spójrz prawdzie w oczy! Marco ma czterdzieści lat i nie będzie ciągle sam! Na pewno zakocha się i ożeni. Giovanna widziała go niedawno w kinie z jakąś dziewczyną. Nie mówię ci tego po to, żeby rozsiewać plotki, ale nie chcę, żebyś się łudziła.

- Nie łudzę się -

odpowiedziała Chiara podniesionym głosem i zaraz tego pożałowała. - Mammo, nie zdręczaj się - powtórzyła łagodnym tonem. - Marco jest dla mnie tylko ojcem Sary.

Prawdopodobnie się ożeni, a Sara z pewnością opuści instytut, żeby zacząć normalne życie po tragicznych przejściach. Wiem, że nie ma w nim dla mnie miejsca, i wcale nie robię z tego problemu. Przecinanie pępowiny to mój zawód... Lucii nie zwiódł ten żartobliwy ton.

- Chciałabym w to wierzyć - odparła. - W każdym razie twoja siostra też się o ciebie martwi.

Nie zapomnij do niej zadzwonić.

Ma ci coś ważnego do powiedzenia.

Zadzwoniła do niej dziesięć minut później. Giovanna odebrała telefon po dłuższej chwili, zadyszana biegiem.

- Karmiłam małego, przepraszam cię. A ty ułożyłaś już swoje dzieci do snu?

- Tylko Sarę Zambiasi -

odpowiedziała Chiara prowokującym tonem. - Co takiego pilnego miałaś mi do przekazania?

- Nie jesteś chyba w

najlepszym humorze - zaśmiała się Giovanna, wcale tym nie przejęta. Kiedyż to siostrę traktowała poważnie?

- Posprzeczałam się trochę z mamą. Rozgotowany makaron i kazanie to doprawdy nie była najmiłsza kolacja.

- Wiem coś o tym! Zadzwoniłam do ciebie, żeby się dowiedzieć czy masz jakieś plany na sylwestra.

- I to jest ta sprawa nie cierpiąca zwłoki?

- Wyobraź sobie, że tak. Mój szef organizuje u siebie przyjęcie dla wybranych z okazji Nowego Roku i mojego odejścia z firmy. Do jutra muszę wręczyć jego żonie listę gości. Czy będzie można na ciebie liczyć?

- Muszę zajrzeć do mojego karnecika - zażartowała, żeby nie odpowiadać od razu.

- Zgoda, możesz go przeglądać do jutra rano. W każdym razie zapamiętaj, że ci nie daruję, jeśli mnie zawiedziesz. Będzie mi naprawdę bardzo przykro. Zastanów się, Ala. Muszę już kończyć, małemu jeszcze się nie odbiło.

Na Giovannę nie można się gniewać, pomyślała Chiara, odkładając słuchawkę. A jednak, chociaż rozmowa telefoniczna zakończyła się miłym akcentem, Chiara odczuwała wobec siostry jakąś niejasną niechęć.

Zrozumiała to później,

przewracając się w łóżku z boku na bok w oczekiwaniu na sen, który znów nie nadchodził. Giovanna zobaczyła w kinie Marca z dziewczyną i zaraz opowiedziała o tym mamie. Kto wie, jak to skomentowała? O to właśnie miała do niej cichą pretensję.

A może miała pretensję do samej siebie? Mimo woli zaczęła znów myśleć o Marcu. To całkiem normalne, że Marca spotyka się z dziewczynami. Z nią widywał się tylko w instytucie, do którego przychodził wyłącznie w charakterze ojca Sary.

Przeszłość wraz ze wszystkimi nie rozwiązanymi problemami znów powracała. Było przecież oczywiste, że ból i wyrzuty sumienia kiedyś miną. Spotykał się z kimś innym, myślał o kimś innym i prawdopodobnie był znów tym fantastycznym i pewnym siebie mężczyzną sprzed wielu lat. Niesłusznie jak widać, sądziła, że takim się już nie stanie.

XXIII

Od jak dawna nie byłam na zabawie?, zastanawiała się Chiara w przeddzień sylwestra u szefa Giovanni, kiedy otwierając szafę, żeby wybrać jakiś strój, zauważyła trochę zasmucona, a trochę rozbawiona, że jej nieliczne toalety całkiem już wyszły z mody i nie nadają się do włożenia.

Przeglądając się teraz w lustrze i mając na sobie komplet od Armaniego, kupiony w ostatniej chwili po męczącej wędrowce po sklepach pełnych klientów gorączkowo robiących sprawunki, pomyślała, że trud się opłaci. Komplet składał się z małego czarnego żakietka i szerokiej spódnicy w czarne i białe romby. Włosy upięła w luźny kok, pozostawiając na czole lekką grzywką. Przyjrzała się sobie uważnie i pochwaliła w duchu za udany makijaż.

Nie jestem jeszcze do niczego,

zażartowała z siebie,

podekscytowana myślą, że

znajdzie się wśród tylu ludzi, w atmosferze zabawy. Ale istotnym powodem jej dobrego samopoczucia był telefon od cioci Egle: Sara miewała się dobrze, spędzała długie godziny na śniegu, raz zapytała o Chiarę, lecz co najważniejsze, była gotowa wrócić do instytutu po wakacjach spędzonych u ciotki.

Chiara po długich wahaniach postanowiła wysłać ją do San Zeno. Spytała też Marca, co o tym sądzi. Wiele dzieci wyjeżdżało do domów na okres świąt Bożego Narodzenia, między innymi dwie dziewczynki, które mieszkały w tym samym pokoju co Sara. Zostałyby więc sama i w dodatku bez opiekunki Noemi, która także wzięła urlop z okazji świąt. Najlepszym wyjściem było więc odesłanie małej do San Zeno, gdzie zawsze dobrze się czuła. Codzienne telefony od Egle potwierdzały słuszność podjętej decyzji.

Kiedy nałożyła już futro i miała wyjść z domu, zadzwonił telefon: matka, która spędzała sylwestra u swojej przyjaciółki, chciała się przekonać, czy Chiara rzeczywiście wybiera się na zabawę z Giovanną.

- Jeszcze jesteś w domu? - zapytała podejrziwym tonem. - Już prawie dziewięć, jak zwykle zjawisz się ostatnia!

- Mamo, właśnie wychodziłam.

- Włożyłaś nową sukienkę?

Umalowałaś się trochę?

- Nie martw się, prezentuję się wspaniale. Sama się przekonasz, kiedy wrócę z przyjęcia.

- Nie spiesz się z powrotem!

Rozerwij się chociaż raz do roku!

- Zgoda. Zatelefonuję do

ciebie o północy, żeby ci złożyć życzenia. Ty też baw się dobrze.

Guido Guarducci, szef Giovanni, mieszkał na via Patroclo w dzielnicy San Siro; jego duża willa, rzęsiście oświetlona, z ogrodem białym od śniegu, wydała się Chiarze czymś pośrednim między Wersalem a szopką. Kiedy zatrzymała samochód, podszedł do niej mężczyzna z obsługi, stojący przy bramie, i spytawszy, jak się nazywa, wskazał drogę prowadzącą na parking.

„Nielicznych wybranych”, o

których wspominała siostra, było

około sześćdziesięciu, jak

oceniła Chiara, wchodząc do zatłoczonego salonu. Zatrzymała się przez chwilę na progu, nie mogąc dojrzeć w tłumie ani gospodyni, ani jakiejś wyodrębnionej grupki osób, do której mogłaby się przyłączyć. Zauważyła ją jednak Giovanna i wyszła naprzeciw, wybawiając z kłopotu: miała na sobie króciutką i bardzo obcisłą sukienkę ze lśniącym żakiecikiem. Kto by się domyślił, że ta szczupła i elegancka kobieta o seksownym wyglądzie niecałe trzy tygodnie temu urodziła dziecko?

- Nareszcie jesteś! Już od dłuższego czasu ciągle spoglądam w stronę drzwi - przywitała ją siostra. Obrzuciła Chiare od stóp do głów krytycznym spojrzeniem, po czym oświadczyła zadowolona: - Przypominasz gwiazdę filmową. Chodź ze mną, pani domu marzy o poznaniu mojej słynnej siostry bliźniaczki. Wyleczyłaś córkę jej przyjaciółki i zrobiłaś się sławna niczym Matka Boska z Lourdes.

Wzięła Chiare pod rękę i poprowadziła w głąb salonu, wymieniając po drodze ukłony ze zgromadzonymi gośćmi.

W pewnym momencie zatrzymała się i oznajmiła swobodnym tonem:

- Szef zaprosił również Marca i kilka osób z „Agencji Zambiasi”. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Ja w każdym razie o niczym nie wiedziałam, sama byłam zaskoczona, kiedy go zobaczyłam.

Pani Guarducci podeszła do nich i uszczęśliwiona wyciągnęła upierścienione dłonie do Chiary.

- Dziękuję, że pani przyszła.

Siostra powiedziała pewnie, jak bardzo chciałam, żeby spędziła pani z nami sylwestra.

Przedstawiła Chiarze męża i niektórych gości: było wśród nich sporo kolegów Giovanni. Jeszcze przed oficjalną prezentacją Chiara rozpoznała też wiele znanych osobistości, między innymi kreatora mody Gianni Versace, prezentera telewizyjnego Pippa Baudaz żoną Katią Ricciarelli, Mike'a Bongiorno z żoną Danią.

Guido Guarducci podał jej kieliszek różowego szampana. W chwilę potem podszedł do niej kelner i Chiara niewiele myśląc wzięła następny z tacy, którą jej podsunął.

Dopijała właśnie szampana, gdy spostrzegła, że w jej stronę zmierza Paolo Lusardi. Ucałował ją serdecznie w policzek.

- Cieszę się, że cię widzę, ostatnio nigdzie nie bywasz - zawołał.

- Prowadzę niemal pustelniczy tryb życia - odpowiedziała żartobliwie. - Przyszedeś z Lindą?

Paolo pokręcił przecząco głową.

- Została w domu, ma grypę, ale kazała mi pójść na przyjęcie, bo zorganizowano je na cześć twojej siostry. Jeśli potrzebujesz towarzysza na dziś wieczór, jestem do twoich usług.

- Zamawiam cię od razu!

Giovanna mówiła mi, że żenisz się za dwa miesiące...

- Może nawet wcześniej -

uśmiechnął się Paolo. - Linda prawdopodobnie spodziewa się dziecka - dodał.

Dlaczego nagle poczuła, że ogarnia ją przejmujący smutek? Szybko się jednak opanowała.

- Och! - wykrzyknęła. - To wspaniała wiadomość, trzeba ją oblać.

Taca była na wyciągnięcie ręki; Chiara wzięła kieliszek i podała drugi Paolowi. W tym momencie go zobaczyła:

Marco wyłonił się nie wiadomo skąd, prowadząc pod rękę atrakcyjną dziewczynę ubraną w czerwoną sukienkę. Zbliżyli się do wygodnej kanapy i usiedli na niej.

Szybko odwróciła wzrok.

- Za dziecko, które się urodzi

- uśmiechnęła się do Paola, podnosząc kieliszek. - Życzę mu, żeby nigdy mnie nie potrzebowało.

- Ale życz mu także, żebyś je kochała i miała dla niego trochę czasu.

Wydało jej się, że szampan, choć trochę gorzki, ma jeszcze przyjemniejszy smak. Odstawiła pusty kieliszek i pomyślała, śmiejąc się w duchu, że w tym domu stale w zasięgu ręki znajduje się jakaś taca... Zdaje się, że mieszkający tu wybrańcy losu doskonale wiedzą, jakie jest „najlepsze lekarstwo” na zmartwienia i smutki.

- Jesteś dziś bardzo elegancka i bardzo piękna - powiedział jej Paolo uwodzicielskim tonem.
- Tylko dzisiaj? - odparła kokieteryjnie. Głowę miała przyjemnie lekką i raz po raz odwracała się w stronę kanapy, gdzie siedział Marco z dziewczyną w czerwonej sukience. Wyglądali na bardzo pochłoniętych rozmową, Marco uśmiechał się czarująco, zapomniawszy najwyraźniej o roli zrozpaczonego ojca. Ubrany był w klasyczną dwurzędówkę, z pewnością nadal nie znosił smokingu i lubił szare krawaty.

Ciekawe, czy nauczył się dobierać odpowiednie skarpetki do garnituru, pomyślała Chiara rozbawiona i spojrzała na jego stopy. ÍZ zaskoczeniem stwierdziła, że Marco ma czarne skarpetki zamiast na przykład czerwonych albo niebieskich. Podnosząc wzrok, zobaczyła, że Marco patrzy na nią zdziwiony. Od jak dawna mu się przyglądałam?, zastanowiła się Chiara.

- Przepraszam cię na chwilę - powiedziała do Paola. Powolnym swobodnym krokiem podeszła do Marca. Zauważyła, że poderwał się natychmiast, nieco zmieszany.

- Nie wstawaj, chciałam się tylko z tobą przywitać - oznajmiła, trochę speszona tym, że uśmiecha się do niego promiennie.

- Zajmuję się kampanią

reklamową dla Guarducciiego i dlatego mnie zaprosili - usprawiedliwił swą obecność na przyjęciu Marco, jak gdyby przypomniał sobie o dziewczynie siedzącej obok, dodał: - Przedstawiam ci Giusi Lozzę, moją współpracowniczkę.

Może już się kiedyś

poznałyście...

Tamten odległy dzień w agencji. Chiara przyszła wtedy powiedzieć mu, że jest w ciąży, a Marco zajęty był opracowywaniem reklamy nowego gatunku perfum.

Ze zdumieniem skonstatowała,

że nie odczuwa żalu za tym, co minęło.

- Tak, pamiętam - przytaknęła,

podając rękę Giusi. Uśmiechała się nadal promiennie i przyjaźnie. - Wybaczcie, że wam przerwałam, wracam do mojego towarzysza.

- Ależ nie, rozmawiamy o kampanii reklamowej - zaprotestował Marco.

- Widzę, że dalej nie

potrafisz rozmawiać o niczym innym jak tylko o swojej pracy - powiedziała, po czym wybuchnęła śmiechem. Znowu pojawił się przed nią kelner. Chiara wzięła z tacy kieliszek i przez głowę przemknęło jej pytanie, dlaczego Marco przygląda jej się w dalszym ciągu trochę jakby zaniepokojony.

- Za waszą kampanią reklamową i za Nowy Rok pełen sukcesów! - wzniosła toast szampanem. Nagle uprzytomniła sobie, że to już czwarty lub piąty kieliszek, jaki wypila w ciągu pół godziny.

- Nie poznałam pani -

przyznała Giusi Lozza.

- Tak się zestarzałam?

- Nie, przeciwnie -

uśmiechnęła się Giusi. - Nie pamiętałam, że jest pani taka... taka urzekająca i elegancka - zakończyła przyjaźnie.

Lubię Giusi Lozzę, pomyślała Chiara ożywiona. Wygląda na osobę spontaniczną i lojalną. Kelner znów przeszedł obok i Chiara zamieniła pusty kieliszek na pełny. Który to: piąty? szósty?

- Nie pijesz przypadkiem za dużo? - spytał Marco.

- Z całą pewnością, ale raz do roku można poszaleć - odparła Chiara. Uznała w tym momencie, że jest fascynującą i pewną siebie kobietą.

Właśnie zbliżała się do nich pani domu: kolacja była gotowa. Zaprowadziła gości do drugiego salonu, położonego piętro niżej, gdzie znajdowało się kilkanaście okrągłych stolików nakrytych białymi obrusami, na których stała srebrna zastawa. Chiara zajęła miejsce między Paolem Lusardim a Michele Guarduccim, bratem pana domu, młodym adwokatem, bardzo przedsiębiorczym i dowcipnym, który najpierw zapytał prosto z mostu, czy jest dziewczyną Paola, a chwilę potem zaczął ją emablować. Zauważyła, że Marco rozstał się z Lozzą i siedzi teraz niedaleko, niemal naprzeciwko niej, pomiędzy Daniela Bongiorno a jakąś dystygowaną damą koło pięćdziesiątki.

Podczas nie kończącej się kolacji Chiara zmuszała się do tego, aby nie patrzeć bez przerwy na Marca, i dlatego niewinnie flirtowała ze swoim sąsiadem. Paolo wydawał się mile zaskoczony jej dobrym humorem, ale zwrócił kilka razy uwagę, że nadużywa alkoholu. Rzeczywiście, adwokat cały czas dolewał jej wina, ona zaś wypijała kieliszek za kieliszkiem, coraz bardziej swobodna i rozbawiona.

Dostrzegła kątem oka, że Marco bacznie się w nią wpatruje, ale zamiast odwrócić wzrok, pomachała mu wesoło ręką i na widok jego zakłopotania odczuła wyraźną satysfakcję.

O wpół do dwunastej kolacja się skończyła i goście wrócili do salonu na górze.

Wzdłuż ścian ustawiono tymczasem stół, na którym pojawiły się kieliszki i srebrne wiaderka z butelkami szampana. Goście nagle ściszyli głosy.

Wszyscy zdają się na coś

oczekiwać, pomyślała Chiara. Już

wkrótce wybije północ. Są tacy

onieśmieleni... Jakby

przeczuwali kłopoty i

zmartwienia, które przyniesie każdemu z nich nowy rok.

Mimo działania alkoholu Chiarę również ogarnął lęk i smutek. Boże, zaczęła modlić się w duchu, nie zabieraj mi spokoju, który z takim trudem osiągnęłam. Zostaw mi instytut i dzieci, nie pozbawiaj mnie miłości matki i siostry, spraw, by mój siostrzeniec chował się dobrze i żeby Sara wyzdrowiała...

Zadrżała na wspomnienie odległej nocy w kuchni na via Alberto Mario. Chciała otworzyć szafkę, aby z niej coś wyjąć, i wtedy krwotok przerwał życie, które nosiła w swoim łonie. Boże, nie zabieraj mi dziecka, modliła się wówczas. Ale Bóg je zabrał. Kiedy zaś zlitował się nad jej samotnością i obdarzył po raz drugi dzieckiem, ona je odepchnęła.

- Za trzy minuty północ,

przygotujcie butelki! - zawołał ktoś głośno. Chiara zamrugała, oślepiły ją łzy. Gdzie podział się Paolo i Giovanna? Pani Guarducci włączyła telewizor, nastawiła program transmitujący na żywo zabawę sylwestrową.

- Za minutę północ -

zapowiedział spiker.

Adwokat podał jej kieliszek i objął ją w pól.

- Za trzydzieści sekund

północ... dziesięć... dziewięć - krzyczał coraz bardziej podniecony spiker, a Chiara pomyślała, że zaczęło się odliczanie czasu przed jakimś niebezpiecznym odlotem w nieznaną. Adwokat obejmował ją coraz czulej. W pewnej chwili Chiara wyswobodziła się z jego uścisku i zaczęła przebijać przez tłum gości w kierunku wyjścia.

Gwar głosów i muzyka świadczyły o tym, że zbliża się godzina zero.

- Szczęśliwego Nowego Roku - zwrócił się do niej jakiś mężczyzna i nalał jej szampana.

- Nawzajem - odpowiedziała machinalnie. Trzech kelnerów wznosiło toast w pokoju naprzeciwko. Chiara odstawiła kieliszek, skierowała się w stronę korytarza. Dostrzegła drzwi balkonowe, otworzyła je i zobaczyła w dole trawnik połyskujący światłami i śniegiem. Odetchnęła głęboko jak ktoś, komu udało się uniknąć jakiegoś niebezpieczeństwa.

- Chiaro... źle się czujesz? - usłyszała głos Marca za swoimi plecami. Nie wiadomo dlaczego wcale jej to nie zaskoczyło ani nie przestraszyło. Odwróciła się, próbując się uśmiechnąć.

- Nic mi nie jest. Chciałam tylko zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Nie wyglądasz najlepiej.

- Pilnujesz mnie?

- Obserwuję cię od jakiegoś czasu - odparł po prostu. Najwyraźniej zauważył, że wybiegła z salonu z kieliszkiem w ręku.

- Nie znoszę noworocznych toastów - próbowała się usprawiedliwiać.

- Pamiętam - oświadczył Marco poważnym tonem.

Ich ostatni szczęśliwy sylwester w Selvie... Rozpłakała się bez powodu, w chwili kiedy Marco podniósł kieliszek i wygłosił toast, jak gdyby przeczuwała, że kilka miesięcy później skończy się szczęście, miłość, nie będzie dziecka, którego oczekiwała. Była pewna, że Marco myśli o tym samym. Nie śmiała spojrzeć mu w oczy.

- Szczęśliwego Nowego Roku - powiedział po chwili.

- Nawzajem.

Ni stąd, ni zowąd podał jej chusteczkę do nosa i Chiara zorientowała się, że płacze. Wyprostowała się i popatrzyła na niego: miał troskliwość wypisaną na twarzy, jak dawno temu, w czasach, kiedy ich życie stawało się piekłem. Poczowała przypływ gniewu, nie cierpiała tej jego czułości. Drażniło ją, że tylko w jej obecności staje się melancholijny i współczujący. Jakim prawem grzebie w jej wspomnieniach?

- Lepiej wracajmy - powiedziała łamiącym się głosem, oddając mu chusteczkę.

Giovanna szukała wszędzie siostry.

- Gdzie się podziewałaś?

Chciałam ci złożyć życzenia, ale...

Zobaczyła Marca stojącego obok Chiary i nie potrafiła ukryć zdziwienia.

Kilka par zaczęło tańczyć. Adwokat flirtował teraz z jakąś blondynką, która wydawała się nim bardzo zainteresowana, Paolo siedział na kanapie i dyskutował o czymś z panią domu.

- Powinniśmy zadzwonić do mamy... - powiedziała Chiara, odwracając się od Marca.

- Dlatego właśnie cię

szukałam. Wszystkiego dobrego, siostrzyczko.

- Zostawiam cię w dobrych rękach - rzekł Marco i oddalił się.

Kiedy Chiara wróciła z

Giovaną do salonu po rozmowie z matką, zauważyła, że Marco przyłączył się do jakiejś grupki gości i rozprawia z ożywieniem: smutny Jekyll przemienił się w światowego Hyde'a, pomyślała z irytacją siadając w fotelu.

Kelnerzy roznosili teraz koniak, likiery i inne alkohole. Chiara wzięła pierwszą szklanekę z brzegu: to była whisky. Wypiła i od razu poczuła się lepiej. Później wychyliła jeszcze jedną i oparła się wygodnie, mając nadzieję, że nikt nie podejdzie i nie zacznie jakiejś szablonowej konwersacji.

Przymknęła oczy, wsłuchując się w głos Sinatry. Teraz tańczyli prawie wszyscy, Chiara zaś doznawała wrażeń, że pływa w przezroczyściej wodzie. Smutek i złość zniknęły, ustępując miejsca miłemu uczuciu lekkości.

Upiłam się, pomyślała, patrząc na Giovannę, która tańczyła przytulona do męża. Zobaczyła, że do tańczącej pary podchodzi Paolo, a potem zbliżyła się do niej.

- Chiaro, idę już. Jest prawie pierwsza, obiecałam Lindzie, że wrócę wcześniej - oznajmił. Pocałował ją na pożegnanie w policzek i wyszedł.

Czy zjawił się na przyjęciu dlatego, że lubił Giovannę, czy też dlatego, że zamierzał żyć z Lindą w związku opartym na wzajemnym zaufaniu? Chiara była zbyt senna, żeby to rozstrzygnąć. Jedno wszak było pewne: Linda miała szczęście, że zakochała się w łagodnym i poważnym mężczyźnie, takim jak Paolo. Prawdziwe szczęście, doszła do wniosku, polega czasem nie na tym, że spotkasz właściwą osobę, lecz na tym, że się w niej zakochasz.

Muzyka nagle ucichła i Guido Guardacci poprosił o chwilę uwagi. Pary rozłączyły się i wszyscy otoczyli go kołem. Chiara uświadomiła sobie, że jedynie ona siedzi nadal w fotelu, podniosła się więc z trudem, żeby dołączyć do reszty gości.

Guido improwizował właśnie nieoficjalne przemówienie, przypominając, że świętują nie tylko Nowy Rok, ale i odejście jednej z jego najlepszych współpracownic, Giovanny Basile, która opuszcza agencję, żeby poświęcić się innemu pasjonującemu zajęciu:

macierzyństwu. Podziękował jej za lata pracy, wyraził nadzieję, że nie zerwie z nimi całkowicie kontaktu, a na koniec zachęcił wszystkich, aby oklaskami okazali swoją sympatię dla Giovanny.

Było wiele miłych słów, uścisków, pocałunków. Potem muzyka znów zaczęła grać i Chiara znalazła się ponownie pośród tańczących par. Chciała wrócić na fotel, ale nie potrafiła utrzymać się na nogach. Doznała raz jeszcze wrażenia, że pływa w wodzie, lecz tym razem poczuła również mdłości. Stojący w pobliżu fotel wydał się jej chybottliwym, nieosiągalnym celem.

Była teraz w łazience wyłożonej białym marmurem, pochylała głowę nad klozetem, a ręka Marca podtrzymywała jej czoło.

- Zostaw mnie... Wyjdź stąd, proszę cię - wymamrotała.

- Ani mi to w głowie - odparł, nie odrywając ręki od jej czoła.

- Śledzisz każdy mój krok.

- Jestem podglądaczem, który przepada za pięknymi paniami i nie zostawia ich nawet w najbardziej kłopotliwych sytuacjach.

Chiara uniosła znad klozetu zaczerwienioną twarz.

- Wypiłam po prostu trochę za dużo - powiedziała pospiesznie i nie wiadomo dlaczego wybuchnęła niespodziewanie śmiechem. Mdłości minęły, zaczynała czuć się lepiej. Zobaczyła, że Marco też się śmieje.

- Już mi przeszło - zdołała w końcu wykrztusić.

- Dobry humor czy chęć na alkohol?

Zamiast odpowiedzieć, Chiara spojrzała w lustro.

- To niby ja mam być tą

„piękną panią”? - zapytała zrozpaczona na widok potarganych włosów i rozmazanego makijażu.

- Nigdy nie byłaś tak piękna.

Z tonu głosu Marca trudno było wywnioskować, czy żartuje czy jest zatroskany. Chiara znów poczuła się zagrożona.

- Wracajmy do gości -

zapropozowała.

Kiedy jednak skierowała się w stronę drzwi, stwierdziła, że kręci jej się w głowie i nie może utrzymać się na nogach. Marco dał znak ręką, żeby na niego zaczekała, i zniknął. Chiara usiadła na brzegu wanny, trzymając się jej obiema rękami, aby nie upaść.

Wrócił po chwili w płaszczu i z jej futrem.

- Chodźmy stąd - powiedział.

- Nie mogę, muszę pożegnać się z Giovanną, podziękować za zaproszenie panu Guardacciemu - protestowała.

- Już to zrobiłem w twoim imieniu. Poinformowałem też twoją siostrę, że odwiozę cię do domu.

Giovanna musiała się nieźle zdziwić, pomyślała Chiara, wstając i opierając się na ramieniu Marca.

Udało mu się doprowadzić ją do wyjścia, tak że nikt z gości ich nie zauważył.

- Dojdiesz do parkingu? - zapytał, gdy znaleźli się na zewnątrz.

- Tak. Trochę świeżego

powietrza dobrze mi zrobi.

Dróżka prowadząca na parking została już odśnieżona i chociaż schodziła dość stromo, Chiara pokonała ją bez trudu. Marco trzymał ją w dalszym ciągu pod rękę i choć bliskość jego ciała wprawiała ją w zakłopotanie, było to w tym momencie po prostu konieczne. Marco otworzył drzwiczki samochodu i pomógł jej ulokować się w środku. Uruchomił silnik i ruszył po krótkim oczekiwaniu na otwarcie bramy.

Chiara zamknęła oczy i odchyliła do tyłu głowę; czuła się coraz lepiej, ale nie miała ochoty na rozmowę. Marco zresztą też nie. Wyglądamy na szczęśliwą parę, która dobrze się rozumie nawet wtedy, kiedy milczy, pomyślała.

Zawsze sądziła, że milczenie we dwoje jest najlepszym sprawdzianem, czy między kobietą a mężczyzną wszystko dobrze się układa. Jeśli tylko coś zaczyna się między nimi psuć, próbują to tuszować nadmiernym gadulstwem.

Mimo woli przypomniawszy sobie rozmaite długie podróże, jakie odbyła z Markiem w szczęśliwych latach ich wspólnego życia. Przemierzali dziesiątki kilometrów, nic nie mówiąc, pogrążeni w pełnym czułości milczeniu, co jest typowe dla udanych par. Czasami zaczynali nagle rozmawiać i odkrywali, że myślą dokładnie o tym samym. Wybuchali wtedy śmiechem.

Westchnęła cicho i Marco odwrócił się w jej stronę.

- Wszystko w porządku?

Nie mogła zapanować nad narastającą w niej złością.

- Co za idiotyczne pytanie - warknęła, prostując się. - Uważasz, że w moim i twoim życiu wszystko może być w porządku?

- Chciałem tylko zapytać, jak się czujesz.

Spokojny ton jeszcze bardziej ją rozsierdził.

- Nie powinno cię to obchodzić. Zatrzymaj się - dodała, chwytając za klamkę.

- Chiaro, co się z tobą dzieje? - zapytał zwalniając.

Znów ten nieznośny, zatroskany ton.

- Chcę wysiąść i wziąć taksówkę - odparła lodowato.

- Nie będzie łatwo znaleźć taksówkę o tej porze. Nie możesz wytrzymać ze mna jeszcze przez dziesięć minut?

Musiała przyznać przed samą sobą, że nie potrafiła się opanować.

Zachowała się dziecinnie, jak prawdziwa histeryczka.

- Oby nie trwało to dłużej - odpowiedziała, cedząc słowa. Zdanie zabrzmiało niegrzecznie, ale nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

Teraz z kolei westchnął Marco.

- Nie wiedziałem, że mnie tak nienawidzisz.

- To nie ciebie nienawidzę!

Nienawidzę tego łagodnego, zatroskanego tonu i... I wściekam się na myśl, że chłodna uprzejmość, okazywana sobie nawzajem zastąpiła dziesięć lat miłości - wyszczała przez zęby.

Marco zatrzymał samochód,

wyłączył silnik i spojrzał na Chiare z wyrzutem.

- Jestem łagodny i zatroskany, bo nie jesteś mi obojętna - powiedział poważnie.

Chiara zeszytniała.

- Wszystko dawno już minęło - rzekła chłodno.

- Mam nadal dla ciebie masę czułości.
- To charakterystyczne: nie potrafisz sobie niczego odmówić i zostawiasz za sobą tylko nieszczęścia i cierpienie - krzyknęła zadowolona, że sprawia mu ból.
- Masz rację - odparł Marco po dłuższym milczeniu, które wydało się Chiarze bardzo wymowne. Uruchomił ponownie silnik i ruszył.
- Nie chcę cię znowu skrzywdzić - powiedział niepewnie. - Może byłoby lepiej, żebym zabrał Sarę z instytutu i zniknął raz na zawsze z twojego życia?
Chiara wpiła się palcami w jego ramię.
- Nie pozwolę ci dręczyć Sary!

**Odwieziesz ją z powrotem do
instytutu, bo potrzebuje opieki
i nie może znosić dalej
okrucieństwa i egoizmu dorosłych**

- oznajmiła rozwścieczonym tonem.
- Masz słuszość - przyznał. - Wybacz mi.

Chiara opuściła rękę.

- To ty mi wybacz - odrzekła drętwym głosem.

Wjechali w corso Buenos Aires i dziesięć minut później znaleźli się na via Caldara. Marco zatrzymał samochód przed domem rodziny Basile.

- Jesteśmy na miejscu -
oświadczył.

Wysiadł, żeby otworzyć drzwiczki i pomóc jej wydostać się na zewnątrz. Przez chwilę patrzyli na siebie bez ruchu.

- Szczęśliwego Nowego Roku - wyszeptał i Chiara poczuła z przerażeniem, że pieszczotliwie musnął ustami jej policzek.

- Nigdy nie zapomnę tego, co zrobiłeś... Zniszczyłeś... zniszczyłeś mi życie! - zaszlochała i pobiegła w stronę wejścia, szukając rozpaczliwie kluczy w torebce.

XXIV

Sara wróciła do instytutu piątego stycznia, przywieziona przez Marca i ciocię Egle. Jak tylko Chiara dowiedziała się o ich przybyciu, pobiegła od razu do sali wizyt. Sara pozwoliła w milczeniu się uściskać, zupełnie jakby jej nie poznawała, jakby Chiara była kimś obcym i trzeba było znieść wybuch czułości z jej strony. Jest coś niepokojącego, pomyślała Chiara, w tym pełnym obojętności posłuszeństwie, z jakim pozwoliła się odprowadzić cioci Egle do swojego pokoju.

- Przyjechała z San Zeno

wczoraj wieczorem - powiedział

Marco, kiedy zostali sami. -

**Dziś w nocy budziła się z
krzykiem dwa, trzy razy,
dręczyły ją najwyraźniej**

koszmary. Jednak rano, gdy zobaczyła, że ciocia pakuje jej walizkę, nie protestowała ani nie zadawała żadnych pytań. Odniosłem wrażenie, że pogodziła się z koniecznością powrotu do instytutu.

Wakacje się skończyły, znowu zamknęła się w sobie, pomyślała Chiara.

- Musi być bardzo

nieszczęśliwa - westchnął Marco. Wyglądał na przygnębionego i Chiara przytaknęła, również zasmucona.

- Unieszczęśliwiam każdego,

kto się do mnie zbliży - upierał się.

- Do czego zmierzasz? -

zareagowała wreszcie gwałtownie Chiara. - Wyrzuty sumienia na nic się nie zdadzą

- dodała, usiłując się opanować. Ale zachowanie Marca nadal wprawiało ją w rozdrażnienie.

Nigdy nie miała zrozumienia dla takiego psychicznego samobiczowania, ponieważ uważała je za objaw egocentryzmu i pychy. Człowiekowi nie wolno wierzyć w to, że niczym sam Bóg odpowiedzialny jest za wszystko. Wiedziała też z doświadczenia, że poczucie winy stanowi jedynie pretekst do złożenia broni i zajmowania się wyłącznie sobą i swymi emocjami.

Podnosząc na Marca wzrok zrozumiała jednak, że ona również nie jest do końca szczerą wobec siebie: była niezadowolona ze swego postępowania, bo mu współczuła, ale nie umiała pomóc.

- Nie możesz bez końca

oskarżać się o to, co zaszło - pocieszała go. - Nie tylko ty odpowiadasz za...

Nie pozwolił jej dokończyć zdania.

- Ale to niczego nie zmienia.

Mówiłaś przecież kilka dni temu, że zostawiam za sobą tylko nieszczęścia i cierpienia.

- Byłam wtedy pijana - odparła pospiesznie Chiara - i powiedziałam ci dużo rzeczy głupich i okrutnych.

- Po prostu powiedziałaś

prawdę. Zniszczyłem ci życie, a potem zachowałem się niegodziwie wobec Margherity i Sary. Jedna nie żyje, a druga nie chce żyć. Tak to wygląda.

Chiara pokręciła przecząco głową.

- Często cierpienie tkwi w nas samych i inne nie mają na to żadnego wpływu - wyjaśniła, usiłując znaleźć właściwe słowa i pragnąc ze wszystkich sił go przekonać. - Wiele osób - ciągnęła - wini za to swoich partnerów. Oczekują, że od innych otrzymają to, czego nie potrafią dać sobie samym. Być może Margherita była właśnie kimś takim. Jej wina wobec Sary jest znacznie poważniejsza niż twoja. Przykro tak mówić o zmarłej, ale na pewno nie była dobrą matką.

- Czy masz dla mnie jakieś usprawiedliwienie? Zdradziłem cię i zostawiłem.

Chiara spoważniała.

- Ja nie mam z tym nic

wspólnego. Co było, to było.

Wszystko minęło bezpowrotnie.

Egle i Sara wróciły właśnie do sali wizyt, kładąc na szczęście kres rozmowie, która stała się kłopotliwa i niezręczna.

- Przywitałaś się z

przyjaciółkami? - zapytała Chiara małą. Musiała powtórzyć pytanie. W końcu odpowiedziała za nią ciotka.

- Oczywiście. One też spędziły wspaniałe wakacje, prawda, Saro?

W ciągu następných dni Chiara zauważyła, że mała przygląda się jej z ciekawością i niechęcią, jak gdyby stanowiła jakieś niebezpieczeństwo, któremu może zapobiec jedynie stałe kontrolowanie.

W połowie tygodnia dyrektor powierzył Chiarze Robertę, dziesięcioletnią dziewczynkę, która ni stąd, ni zowąd, bez żadnej widocznej przyczyny, przestała jeść. Stało się to przed trzema tygodniami.

Dziewczynka zdażyła schudnąć już pięć kilo. Za radą ordynatora rodzice zabrali ją ze szpitala i przywieźli do instytutu. Chiara odbyła z nimi długą rozmowę i odniosła jak najlepsze wrażenie: matka była inteligentna i wrażliwa, ojciec troskliwy i czuły, oboje kochali swoją jedynaczkę.

Nie mogło być więc mowy o braku miłości ani o rodzinnych konfliktach, które tłumaczyłyby ten oczywisty przypadek przedwczesnej anoreksji.

Przynajmniej na pozór, pomyślała Chiara po pierwszym spotkaniu z Robertą. Z przykrością i zaskoczeniem raz jeszcze sobie uświadomiła, ile zasadzek kryje się w relacjach: rodzice_dzieci.

Roberta była w pewnym sensie przypadkiem nietypowym; chociaż miała dopiero dziesięć lat, zdawała sobie sprawę, że jej stan jest poważny. Przykro było patrzeć, jak usiłuje coś przełknąć, krzywi się na skutek mdłości, biegnie do łazienki i wymiotuje. Próbowała pomóc lekarzom, pragnęła jak najszybciej wrócić do domu, do rodziców, których uwielbiała i za którymi tęskniła. W szkole jej stosunki z nauczycielami i koleżankami układały się bardzo dobrze; na zadawane ostrożnie przez Chiarę pytania odpowiadała szczerze i bez oporów, należało więc wykluczyć wstrząs spowodowany jakimś czynnikiem występującym w środowisku rodzinnym lub szkolnym.

Chiara szukała po omacku, przeczytała ponownie wszystko, co znalazła na temat anoreksji, ale nie natknęła się na nic takiego, o czym by już nie wiedziała. Pozostawało jej tylko cierpliwie drażyć sprawę dalej: coś musiało spowodować obrzydzenie do jedzenia u Roberty; należało to po prostu odkryć.

Chociaż w dalszym ciągu bacznie obserwowała Sarę, to jednak pewnego wieczoru musiała przyznać, że problem Roberty pochłonał całkowicie jej uwagę i że mała od razu to spostrzegła.

Była właśnie pora wieczornego posiłku, Chiara rozmawiała już od godziny z Robertą w swoim gabinecie i w pewnym momencie usłyszała ze zdumieniem, że dziewczynka jest głodna.

Zadzwoiła więc od razu do kuchni, żeby przyniesiono kolację, po raz pierwszy zauważyła, iż nic nie zapowiada, że mała dostanie mdłości albo zacznie wymiotować. Patrzac, jak podnosi łyżkę do ust, Chiara starała się rozmawiać z nią w sposób jak najbardziej naturalny, jak gdyby kwestia jedzenia w ogóle nie istniała.

Nagle usłyszała przed drzwiami podniesiony głos opiekunki Noemi.

- Saro, co tu robisz? Szukam cię od pół godziny!

Chiara szybko otworzyła drzwi. Sara siedziała na podłodze z rączkami na kolanach i z pochmurnym wyrazem twarzy. Chiara wzięła ją szybko na ręce.

- Kochanie, co tu robisz? - powtórzyła pytanie Noemi.

- Czekam na ciebie.

- Dlaczego nie weszłaś?

Sara wruszyła ramionami i pokazała palcem w głąb pokoju.

- Ona tam jest.

Chiara dała znak opiekunce, żeby się oddaliła. Ciągle trzymając Sarę na rękach, weszła do gabinetu.

- Ta dziewczynka nazywa się Roberta - wyjaśniła. - Nigdy jej nie widziałaś?

- Tak, widziałam. Cały czas jest z tobą.

Roberta odłożyła łyżkę.

Przypatrując się Sarze,

oświadczyła: - Znam ją. Bez przerwy chodzi za mną, a kiedy na nią patrzę chowa się. - Chiara przytuliła Sarę, udając, że nie słyszy, co mówi Roberta.
- Saro, jadłaś kolację?
- Chcę stąd iść.
- Gdzie chcesz iść, skarbie?

Podniosła buzię małej i przyglądała się jej z czułością.

Sara chciała się odezwać, ale nagle spuściła wzrok i wybuchnęła płaczem.

Roberta odsunęła gwałtownym ruchem tacę.

- To głupia płaksa -

stwierdziła wskazując na Sarę. - A ty jej słuchasz.

Głos uwiązał jej w gardle. Po chwili Chiara spostrzegła, że Robercie znów zbiera się na wymioty. Postawiła na ziemi Sarę i podeszła do Roberty.

- Zostaw mnie - odepchnęła ją Roberta, zaczerwieniona pod wpływem wysiłku. - Nic mi nie trzeba.

- Wymiotuje - powiedziała Sara zdziwiona. Przestała płakać i przyglądała się zafascynowana Robercie.

Rzeczywiście, Roberta dostała torsji. Chiara przytrzymała ręką jej czoło i przyłożyła serwetkę do ust.

- Nie chcę braciszka ani siostrzyczki - zaszlochała Roberta.

Chiara poczuła, że jest bliska odkrycia prawdy, i z wrażenia wstrzymała oddech.

- Zaraz przejdzie, oddychaj głęboko - poradziła swobodnym tonem, znowu udając, że nic do niej nie dotarło. Była jednak przekonana, że rozwiązanie problemu znajduje się w zasięgu ręki, lecz popełniłaby poważny błąd, gdyby zaczęła z miejsca zadawać pytania: drobna wyrwa w murze zasklepiłaby się zaraz na powrót. Kiedy spojrzała ukradkiem na Robertę, zauważyła na jej twarzy wyraz odprężenia: ujawnia wprawdzie swoje emocje, ale przecież nic się nie stało.

Tego wieczoru Chiara wróciła do domu prawie o jedenastej. Było już za późno, żeby dzwonić do rodziców Roberty.

Zatelefonowała następnego dnia rano, zaraz po przyjeździe do instytutu. Jej przypuszczenia potwierdziły się: matka spodziewa się drugiego dziecka. Okazało się, że dopiero niedawno uzyskała pewność, i była bardzo zdziwiona, że Roberta już o tym wie. Najprawdopodobniej usłyszała jakieś zdanie na ten temat, a ukrywanie przed nią takiej wiadomości przeraziło ją i zraniło.

W ciągu następnych dni, badając ostrożnie teren, Chiara utwierdziła się w przekonaniu, że istotnie tak było. Pewnej nocy Roberta wstała, aby napić się wody, i usłyszała, że rodzice rozmawiają nie tylko o mającym się urodzić dziecku, ale także o zamiarze przeniesienia się do większego mieszkania. Rozpieszczona jedynaczka, przyzwyczajona do tego, że jest wyłącznym obiektem miłości rodziców, zareagowała gwałtownie: zawalił się jej cały świat. Przestała jeść z własnej woli, demonstrując w ten sposób swoje niezadowolenie i kategoryczny sprzeciw.

Podświadomie chciała udowodnić rodzicom i sobie samej, że panuje nad potrzebami własnego ciała.

- Gdzie jest tamta

dziewczynka? - zapytała Sara w dwa dni po wyjeździe Roberty z Instytutu. Ponieważ Chiara wahała się, co odpowiedzieć, powtórzyła: - No, tamta. Kiedy wróci?

Chiara wreszcie zrozumiała:

Sara obawiała się, że na miejsce Roberty przybędzie inna mała pacjentka i znów skupi na sobie jej zainteresowanie. Jest o mnie zazdrosna, pomyślała ze wzruszeniem. Objęła chude plecy dziewczynki, przytuliła ją do siebie.

- To ty jesteś moją córeczką, skarbie. Bardzo, bardzo cię kocham. Tylko ciebie.

Sara z westchnieniem oparła głowę na jej ramieniu. Co ci takiego zrobili, maleńka, pytała w myślach Chiara, głaszcząc ją po włosach. Zasmucało ją to, że Sara tak gorąco pragnie miłości i jednocześnie ze złością ją odrzuca.

Gładząc dalej jej kręcone czarne włosy, Chiara zastanawiała się po raz któryś z rzędu, co mogło spowodować niechęć Sary do Marca. Na pewno łączyła go ze śmiercią matki. Wszystko zaczęło się przecież po owym tragicznym wypadku. Ilekroć Chiara próbowała ostrożnie o tym porozmawiać, Sara zaczynała mówić od razu o ojcu, i to z nie ukrywaną wrogością.

Jakie słowo, jaki gest mógł to sprawić? Chiara zdawała sobie sprawę, że ma tu do czynienia, inaczej niż w przypadku Roberta, z całym splotem przyczyn, nie wiedziała jednak, od czego zacząć.

Zrozumiała później, że Sara przywiązuje się do niej coraz bardziej, jednakże w niekorzystny dla siebie sposób: nieustannie szukała jej towarzystwa, czepiała się spódnicy, wdrapywała na kolana, lecz było w tym coś przesadnego i nienaturalnego. Nie nawiązywała żadnego kontaktu z innymi małymi pacjentami ani nawet współmieszkankami pokoju, teraz zaś całkowicie je ignorowała. Zachowywała się też nieprzychylnie wobec dzieci, które zostały powierzone Chiarze, nie interesowała się zabawkami, nie lubiła skakać, biegać ani spacerować.

Przez całe dni zachowywała milczenie, czekając spokojnie, aż Chiara znajdzie dla niej czas. Bardzo często opiekunka zastawała ją siedzącą z nieszczęśliwą miną przed drzwiami gabinetu.

Któregoś dnia Piera Berti powiedziała Chiarze bez ogródek:

- Zapędziłaś się w ślepa uliczkę. Mała nawiązała z tobą emocjonalną więź, co nie tylko jej nie pomaga, ale stwarza dodatkowe problemy.
- Największy problem to instytut. Przedtem tylko podejrzewałam, ale teraz jestem już pewna: mała tu nie wyzdrowieje. Potrzebuje bliskiej osoby, która zajęłaby się nią.
- Osiemdziesiąt procent dzieci w instytucie tego potrzebuje. Chiaro, jesteś ich psychologiem i możesz tylko naprawiać szkody wyrządzone przez rodziców, a nie przejmować ich funkcje, jak robisz to w przypadku tej małej Zambiasi - zaprotestowała Berti.
- Dobrze wiesz, że ona nie jest dla mnie taką samą pacjentką jak inne. Kocham ją rzeczywiście jak matka.
- I na tym właśnie polega kłopot; ona nie jest przecież twoją córką! Wcześniej czy później opuści instytut. Ale czy z odzyskaną równowagą psychiczną? Wróci do domu i będzie cierpieć z powodu rozłąki, zerwania więzi, która powstała między wami.

Chiara wiedziała, że Berti ma rację, ale była to racja wyrozumowana. Intuicja

podpowiadała jej co innego: czuła, że Sarze nie może zaszkodzić w żadnym razie głęboka miłość, jaką ona do niej żywi. Broniała jedynie swego przekonania, że dłuższy pobyt w instytucie może wpłynąć niekorzystnie na psychikę małej.

Wieczorem dwudziestego stycznia Chiara wyszła z instytutu o szóstej. Następnego dnia były urodziny Sary i chciała dojechać do śródmieścia przed zamknięciem sklepów, żeby kupić jej jakiś prezent. Drogi były pełne samochodów, toteż kiedy dotarła do Mediolanu, minęła już siódma. Zaparkowała cudem auto przed pierwszym sklepem z zabawkami, weszła do środka i bez wahania kupiła dużego pluszowego misia.

Wróciła do domu około ósmej, matka otworzyła jej drzwi, zanim Chiara zdążyła nacisnąć dzwonek.

- Musisz natychmiast zatelefonować do instytutu - powiedziała zdenerwowana, nawet się z nią nie witając. - Dzwonili trzy razy w ciągu godziny. Sara. Coś musiało się stać Sarze. Pobiegła do telefonu i drżącą ręką wykręciła numer. Odebrał jeden z lekarzy pełniących dyżur i poprosił, żeby chwilę poczekała.

- To pani doktor Basile? - usłyszała po chwili głos Noemi.

- Tak, wróciłam właśnie do domu i...

- Sara zniknęła. Szukaliśmy jej w sypialni, w świetlicach, w stołówce, łazienkach, wszędzie, teraz przeszukujemy park.

- Jak to możliwe? Przed wyjściem o szóstej odprowadziłam ją do pokoju zabaw. Powierzyłam ją pani, Noemi.

- Ze złości i niepokoju Chiarze drżał głos. Spozrzegła, że matka przygląda się jej i załamuje ręce.

- Wiem, że mi ją pani powierzyła, ale mam dziesięcioro dzieci pod opieką - tłumaczyła się Noemi. - Giusi i Carlino zaczęli się bić, zostawiłam ją tylko na trzy minuty, nie więcej, i pobiegłam ich rozdzielić. Kiedy wróciłam do Sary, już jej nie było.

- Zaraz przyjeżdżam - powiedziała Chiara, odkładając słuchawkę.

- Wiedziałam! Przeczuwałam! - wybuchnęła Lucia, przybierając ton, który z Giovanną nazywały kiedyś „wieszczym”.

- Co takiego, mamó? - zapytała szorstko, idąc do wyjścia. Nie miała teraz wcale ochoty na żarty.

- Że wszyscy Zambiasi mogą ci tylko narobić kłopotów. Najpierw Marco, a teraz Sara!

Szła za nią kompletnie załamana. Nie było jednak czasu, żeby pocieszać Lucię albo się z nią spierać.

- Mamó, pomówimy o tym później

- obiecała, otwierając drzwi.

Naraz przypomniała sobie o czymś: może nie poinformowano jeszcze Marca? Tak, to ona powinna zawiadomić go o zniknięciu córki.

Było kilka minut po ósmej i Marco zapewne siedział jeszcze w agencji. Po chwili oczekiwania, która wydała się Chiarze wiecznością, odezwał się kobiecy głos. Nie, niestety, pan Zambiasi już wyszedł. Nie, nie pojechał do domu, był umówiony na kolację w restauracji. Nie, nie wie, gdzie go szukać. Czy mogłaby zadzwonić jutro rano?

Odłożyła słuchawkę bez pożegnania.

- Mamó, nie czekaj na mnie, możliwe, że nie wrócę na noc - powiedziała zamykając za sobą drzwi.

Ruch był jeszcze bardzo duży, potrzebowała godziny, żeby dotrzeć do instytutu. Jadąc aleją prowadzącą do wejścia, zauważyła ze ściśniętym sercem, że park jest cały oświetlony. Wyglądało na to, że poszukiwania Sary trwają nadal.

O północy dyrektor, również wezwany na miejsce, postanowił, że jeśli w ciągu pół godziny dziewczynka się nie znajdzie, trzeba będzie zawiadomić policję. Podczas gdy obsługa sprawdzała każdy kąt w instytucie, Chiara przyłączyła się do grupy, która metr po metrze przeszukiwała ogród i park.

Było bardzo zimno, ziemię pokrywał śnieg. Chiara zadrżała na myśl, że Sara uciekła nie zabierając nawet płaszczyka. Ale dlaczego? Dokąd? Ogarnęło ją przerażenie. W pewnej chwili, choć z żalem, zostawiła kolegów i poszła zatelefonować do Marca, mając nadzieję, że dotarł wreszcie do domu.

Przed drzwiami swego gabinetu natknęła się na jedną z opiekunek.

- Ani śladu Sary -

powiedziała, potrząsając głową.

- Szukaliśmy nawet w piwnicy.

Chiara otworzyła drzwi i zapaliła światło. Podeszła do telefonu, wykręciła numer Marca, ale już po drugim sygnale wiedziała, że nie podniesie słuchawki. Telefon dzwoniący w pustym mieszkaniu brzmi tak smutno i przygnębiająco... Do rosnącego z minuty na minutę niepokoju dołączyła się niejasna pretensja: raz jeszcze Sara potrzebowała ojca i znowu go nie było.

Osunęła się na krzesło, oparła łokciami o biurko, wzięła głowę w dłonie. A jeśli mała doszła aż do szosy? Może błąka się gdzieś przestraszona albo grozi jej jakieś niebezpieczeństwo. Może przejechać ją samochód, napaść jakiś zboczeniec, może wpaść do rowu... Niepokój przemienił się w panikę, fala wspomnień utrudniała oddychanie.

„Czy na pewno pani tego chce?

Dobrze się pani zastanowiła?”

Leżała na łóżku, anestezjolog trzymał w ręce igłę, ale przez mgłę dochodził do niej zmartwiony i pełen niedowierzania głos Ursiego.

Nie wiadomo dlaczego ożyła w pamięci tamta straszna chwila. Dlaczego mam znowu to samo poczucie bolesnej utraty?, pomyślała Chiara. Ale tym razem już tego nie przeżyję. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę ze swej miłości do Sary: kochała ją najbardziej ze wszystkich istot na świecie, nie było takiej rzeczy, której by dla niej nie zrobiła.

Ponownie próbowała dodzwonić się do Marca, lecz nadal nikt nie odpowiadał. Zaraz oszaleję, pomyślała. Trzeba zawiadomić policję, zanim nie będzie za późno. Wstała szybko, przewracając krzesło i drgnęła przestraszona.

Usłyszała najpierw jakiś dziwny szelest koło swoich nóg, jak gdyby poruszył się kot, potem cichy płacz. Uklękła na podłodze i zobaczyła Sarę: leżała skulona pod biurkiem, patrząc przed siebie nieprzytomnym wzrokiem.

Upadające krzesło narobiło dużo hałasu i to ją obudziło.

Chiara wyciągnęła Sarę spod biurka. Ulga była tak wielka, że aż zachwiała się przy wstawaniu.

- Saro... dziecino moja, co tam robiłaś?

- Czekałam na ciebie. Ale wcale nie przychodziłaś.

**Chiara pokryła jej buzię
pocałunkami.**

- Powinnaś była zjeść kolację i pójść spać. Wiesz przecież, że co rano Chiara biegnie do swojej małej.

Poczuła, że Sara się cofa.

- Nie chcę tu zostać. Chcę spać z tobą.

Objęła Chiare rączkami za szyję i przyglądała się jej. W oczach miała uwielbienie, smutek, strach, błaganie.

Chiara zupełnie straciła głowę. Przytulając do siebie małą, wypadła z gabinetu, jak gdyby stał się nagle śmiertelną pułapką. Zaczęła biec na oślep w stronę wyjścia, po jej twarzy spływały łzy.

W pewnej chwili natknęła się na Noemi.

- Znalazłam ją i zabieram ze sobą - zawołała. Nie zatrzymała się ani nie zastanowiła przez moment, jakie wrażenie musiał wywołać na opiekunce jej wygląd.

Jak najdalej, jak najdalej od tego przeklętego instytutu. Potykając się, ale nie zwalniając kroku, dotarła do parkingu.

Samochód był otwarty,

posadziła ostrożnie Sarę na przednim siedzeniu. Sama usiadła za kierownicą, uruchomiła silnik, ruszyła: nie miała na sobie płaszcza, nie wiedziała, dokąd jechać.

Zastanawiała się później wielokrotnie, dlaczego owej straszliwej nocy postanowiła udać się z Sarą do swej posiadłości nad jeziorem. Tamtego wieczoru jednakże nie zadawała sobie żadnych pytań. Jak gdyby kierowana jakąś tajemniczą siłą, dotarła do wylotu autostrady Mediolan-Wenecja i wtedy się zorientowała, że jedzie do starego, spokojnego domu z niebieskimi okiennicami, o którym od lat już nie myślała.

Prowadziła ostrożnie, czując na sobie uważne i ufne spojrzenie Sary. Przypomniała sobie, jak bardzo Marco nalegał, żeby po separacji dom przypadł w udziale właśnie jej. Czy było to przeczucie? Przewrotność losu, który sprawił, że w parę lat później pewna nieszczęśliwa dziewczynka mogła tam znaleźć schronienie?

Dopiero koło Roveto Chiara przebudziła się z czegoś w rodzaju transu, cudem wyszperała dwa tysiące lirów w kieszeni zakietu i trochę drobnych w portmonetce, żeby zapłacić za wjazd na autostradę.

Uprzytomniła sobie nagle, że nie ma ani dokumentów, ani grubszej gotówki i co gorsza, kluczy do domu.

Postanowiła obudzić Carla Pozzaniego, który opiekował się willą. Co pół roku przysyłała mu regularnie czek wraz z prośbą o sprzątanie i wietrzenie, nikt jednak nie kontrolował, czy rzeczywiście wykonuje jej polecenia, pozostawało więc tylko mieć nadzieję, że wszystko jest w porządku, że nie odcięto na przykład dopływu wody albo nie wyłączono telefonu.

W pewnej chwili Sara chwyciła ją za ramię.

- Nie pędź tak - poprosiła błagalnym głosem. Chiara zauważyła, że pragnąc jak najszybciej dotrzeć na miejsce, przekroczyła dozwoloną prędkość sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Minęła zakręt, zatrzymała się po prawej stronie szosy.

- Przepraszam, maleńka,

obietuję, że nie będę już tak pędzić - zapewniła ją łagodnym tonem i objęła ramieniem; jak mogła zapomnieć, że niecały rok temu mała przeżyła wypadek samochodowy, w którym zginęła jej matka? Myśl ta uświadomiła Chiarze, że Sara obdarzyła ją ogromnym zaufaniem: wsiadła z nią do samochodu, przejechała kawał drogi nie okazując strachu. Poczuli się głęboko wzruszona.

- Już nie będę tak pędzić - powtórzyła, całując małą w główkę.

- Dokąd jedziemy? - odezwała się wreszcie Sara.

- Do pięknego domu z

niebieskimi okiennicami, z ogrodem i całą masą drzew, na których jest pełno śniegu.

- Czy to jest ra... raj? - szepnęła zaciekawiona.

- Nie, skarbie, ale jest tam bardzo ładnie i będziemy cały czas razem. Nawet w nocy.

Jak długo?, pomyślała,
ruszając powoli.

- A mamy tam nie ma? -

zapytała z wahaniem Sara.

Chiara wzięła ją za rękę.

- Nie, nie ma, ale wiesz przecież, że jest w niebie, kocha cię i patrzy na ciebie...

Mała zastanawiała się przez chwilę. Potem powiedziała do siebie:

- Ale ja na nią nie patrzę.

Chciała pewnie powiedzieć, że nie widzi matki. Nie trzeba jednak było niczego jej już tłumaczyć. Nie wiadomo dlaczego Sara zmieniła nagle temat: - Czy tam, gdzie jedziemy, są inne dzieci?

- Och, nie. Zamieszkamy tam tylko my obie. Będziemy się bawić, pracować w ogrodzie, zabiorę cię nad jezioro.

- Będę grzeczna - obiecała Sara poważnym tonem.
- Zawsze jesteś grzeczna - powiedziała Chiara zdecydowanie. Odwracając się w stronę Sary zobaczyła, że mała potrząsa przecząco głową.
- Jestem niegrzeczna.

Chiara ścisnęło się serce.

- To nieprawda. Zawsze jesteś grzeczna - powtórzyła z naciskiem.

Sara znów potrząsnęła głową, wcale nie przekonana. Szarpnęła Chiare za ramię i zapytała: - Jak coś przeszkrobię, będziesz mnie bić?

- Nie, kochanie. Nigdy nie będę cię bić. - Poczowała, że łzy napływają jej do oczu.
- I nie pójdziesz do ra... rajy?

Chiara stłumiła szloch. Boże, modliła się w duchu, jeśli rzeczywiście istniejesz i jesteś dobry, nie pozwól, aby Margherita zobaczyła z nieba, jaką krzywdę wyrządziła córce.

- Nie, Saro - odparła pewnie brzmiącym głosem. - Zawsze będę z tobą. Do rajy pójdziemy razem, ale mamy przed sobą dużo, dużo czasu.

Mała puściła jej ramię i z westchnieniem ułożyła się na siedzeniu. Parę minut później już spała.

Chiara nigdzie się już teraz nie spieszyła. Była bardzo zmęczona i kiedy za zakrętem zobaczyła łagodne wzgórza pokryte śniegiem, opanował ją bezdenny smutek. Wspomnienia, dawno już pogrzebane, znowu się odnowiły. Ujrzała w myślach siebie sprzed paru lat, przestraszoną i niepewną. Przypomniała sobie dni spędzone na gorączkowym urządzaniu domu, smutne wieczory w pensjonacie, gdy znużenie nie pozwalało jej, na szczęście, na rozpamiętywanie przeszłości.

Czego wtedy chciała? Przed czym się broniła? Marco dzwonił każdego wieczoru, błagając, żeby wróciła, na przemian cierpliwy i zły, zrezygnowany i pełen nadziei. Prosił o pomoc, a ona niczego się nie domyślała.

Teraz dopiero zdała sobie z tego sprawę i ogarnął ją gorączkowy niepokój.

Lekki jednakże, regularny oddech Sary od razu ją uspokoił. Popełniliśmy wiele różnych błędów, ale gdyby nie one, nie urodziłaby się Sara, pomyślała patrząc na małą z rozczuleniem. Ta dziewczynka przywróciła nas do życia. O, tak, Mauro miał rację.

Prawie nie zauważyła, że dojechała już do miasteczka. Wspomnienia, smutek, wzruszenie nagle zniknęły bez śladu. Jak znaleźć ulicę, na której mieszkał Carlo Pozzani? Wszyscy mieszkańcy już spali, kawiarnie były zamknięte, ulice puste. Wjechała w uliczkę jednokierunkową i znalazła się na placu, z którego widać było jezioro. Zaparkowała samochód na chodniku, skłonna czekać tak do rana. Po drugiej stronie placu zobaczyła trzech chłopców. Wsiadła i skierowała się w ich stronę.

XXV

- Co tak stoisz? Wejdz, czuj się jak u siebie!

Marco zdjął bezmyślnie płaszcz i spojrzał ukradkiem na zegarek: trzecia w nocy. Zdażył już wytrzeźwieć i marzył tylko o tym, żeby pójść spać. We własnym domu. Sam. Dał się jednak zaciągnąć do mieszkania tej Resy, a przedtem włóczył się z nią od baru do baru i pił na umór.

- Nie będziesz miał mi za złe, jeśli opuszczę cię na chwilę? - powiedziała kokieteryjnie dziewczyna i podała mu szklankę whisky.

Marco odstawił ją, jak gdyby parzyła. Z początku nic nie wskazywało na to, że wieczór skończy się w ten sposób. Wybrał się na normalną kolację z kolegami, ale jeden z nich przyprowadził przyjaciółkę i właściwie mu ją podrzucił. Usiadła obok niego, taka wydekoltowana, swobodna i dowcipna. A poza tym świetna w sztuce flirtowania. Nazywała się Resy, miała około trzydziestki i pracowała w biurze prasowym pewnej firmy płytowej.

Gdy poczuł kilkakrotnie, że dotyka go noga, pomyślał, że od ponad roku, to jest od dnia, w którym zostawił Margheritę na via Alberto Mario, nie dotknął kobiety. Myśl ta zasmuciła go, a także, co dziwniejsze, podnieciła: wszystko to sprawiło wino, które pił bez umiaru, aby się rozluźnić. Kiedy po kolacji Resy wystąpiła z propozycją, żeby gdzieś jeszcze wstąpić, był już zbyt wstawiony, aby zrozumieć, że zaprowadzi go to prosto do jej łóżka.

Za kilka minut wróci do pokoju, pewnie uperfumowana, w przezroczystym peniuarze, oczekując, że Marco zachowa się tak jak wszyscy mężczyźni w podobnych sytuacjach. Zanim zdążył to sobie wyobrazić, skierował się w stronę drzwi. Nazajutrz wyśle jej kwiaty z przeprosinami, postanowił zbiegając po schodach.

Dlaczego uciekłem?

zastanawiał się, kiedy znalazł się w samochodzie. Ta dziewczyna nie liczyła ani na romans, ani na małżeństwo. Chciała jedynie przeżyć zwykłą przygodę. Jestem samotnym wolnym mężczyzną, pomyślał, włączając silnik, powinienem mieć skrupuły zupełnie kiedy indziej.

„Nie zapomnę nigdy tego, co mi zrobiłeś. Zniszczyłeś mi życie!”

Głos Chiary w noc sylwestrową. Chociaż wyrzuty sumienia dręczyły go cały czas, dopiero przed trzema tygodniami zrozumiał, jakim wstrząsem był dla niej jego związek z Margheritą. Później żałowała chyba tego, co wykrzykiwała, próbowała go przekonać, że był to jedynie skutek nadużycia alkoholu, ale on i tak dobrze wiedział, że powiedziała prawdę.

Była moją żoną i utraciłem ją, myślał dalej. Kochałem tylko ją. Margherita doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

„Ani razu nie powiedziałaś:

kocham cię”, zarzuciła mu podczas jednej z ostatnich kłótni. To prawda, przyznał ze smutkiem, przez całe lata wmawiałem sobie, że uczucie, jakim ją darzę, to miłość, ale wspomnienie Chiary nigdy mnie nie opuściło. Przez kilka miesięcy sądziłem, że jej nie kocham, i to zgubiło nas wszystkich.

W sylwestra przyjął

zaproszenie do domu Guarduccich

tylko dlatego, że wcześniej się

dowiedział, iż będzie tam

również Chiara. Była to jedyna,

niepowtarzalna okazja do

spotkania się z nią poza

instytutem. Czy mógł powiedzieć jej w jakimś momencie: kocham cię nadal, daj mi jeszcze jedną szansę? „Nigdy nie zapomnę tego, co mi zrobiłeś!”, krzyknęła mu prosto w twarz Chiara z takim bolesnym grymasem, jakiego jeszcze nie widział.

Jestem jej przeszłością,

pomyślał, wróciła do równowagi tylko dzięki temu, że ją pogrzebała. Wkraczając ponownie w życie Chiary, przywoływał dawne przykre wspomnienia. Muszę na zawsze się jej wyrzec.

Hamując przed bramą na via Alberto Mario, doznał jeszcze dotkliwszego uczucia całkowitej utraty bliskiej osoby niż wtedy po rozwodzie, kiedy zobaczył, jak odchodzi z Paolem Lusardim.

Gdy otwierał drzwi wejściowe, usłyszał, że dzwoni telefon. Pomyślał od razu o Sarze i podbiegł szybko do aparatu.

- Czy moja córka jest u

ciebie? - zapytał szorstki i zdyszany głos.

Rozpoznał go natychmiast. Był tak zdumiony, że dzwoni do niego matka Chiary, czego nie robiła od lat, iż zapomniał, o co go zapytała.

- Czy Chiara przyjechała do ciebie? - powtórzyła Lucia Basile.

- Nie. A dlaczego miałyby...
- Trzy godziny temu zniknęła z instytutu razem z Sarą. Rzuciła się jak szalona do samochodu i nikt nie wie, gdzie pojechała!

To prawdziwy koszmar, pomyślał Marco. Chiara, tak jak Margherita, zabrała dziecko i ruszyła w nieznanym kierunku.

- Może zatrzymała się u Giovanni? - zapytał zdruzgotany.
 - Dzwoniłam już do wszystkich, do wszystkich! Byłeś moją ostatnią nadzieją. Nie telefonowali do ciebie z instytutu? Chiara wróciła do domu i zaraz wezwano ją z powrotem, bo opiekunka nie mogła znaleźć Sary.
- W głosie byłej teściowej słychać było wyraźnie pretensję, ale Marco nie zareagował.

- Zaraz będę u ciebie - powiedział.

Lucia byłaby pierwszą osobą, do której Chiara by zadzwoniła, żeby ją uspokoić, była też pierwszą osobą, którą by uprzedzono, gdyby nie daj Boże zdarzył się jakiś wypadek, pomyślał Marco, wychodząc z domu. Nie zdążył nawet zdjąć płaszcza.

Lucia Basile otworzyła drzwi z zaaferowaną miną.

- Przepraszam cię, właśnie rozmawiam przez telefon.

Dała mu znak, żeby poszedł za nią.

- Właśnie przyjechał Marco - mówiła do słuchawki. Po chwili ciszy dodała zniecierpliwiona: - Oczywiście, co to za głupie uwagi! Nie jestem przecież źle wychowana!

Prawdopodobnie rozmawiała z Giovanną, a Giovanna prosiła ją, żeby była uprzejma wobec Marca. Następnie Lucia zaczęła wymieniać całą listę imion i nazwisk, pewnie osób, do których już dzwoniła, próbując na próżno dowiedzieć się czegoś o Chiarze.

- Siadaj, skoro już tu jesteś.
- Lucia podeszła do Marca. - Miałam nadzieję, że cię więcej nie zobaczę! - powiedziała prowokującym tonem.

Mimo powagi sytuacji Marco uśmiechnął się. Matka Chiary nic a nic się nie zmieniła: wciąż była tak samo impulsywna i zadziorna. Zignorowała całkowicie prośbę córki o uprzejme potraktowanie byłego zięcia.

- Usiądziesz wreszcie czy nie?

Denerwujesz mnie. Nie czujemy przecież przy zmarłym! - krzyknęła.

- Przepraszam - odparł,
lokując się na kanapie.

Lucia usiadła wyprostowana naprzeciwko niego na brzegu krzesła i przyglądała mu się niechętnie.

- Przykro mi - powiedział Marco, spuszczał wzrok.
 - Na nic się nie zdadzą krokodyle łzy. Chiara była już szczęśliwa, pogodzona z losem, ale znowu pojawiłeś się ty! Jeśli jej się coś stało...- przerwała, załamując ręce.
 - Nie wiesz, gdzie mogła pojechać? - zapytał Marco, przejęty jej słowami.
 - Już prawie od czterech godzin telefonujemy wszędzie z Giovanną. Nie mam pojęcia, co robić dalej! Kiedy ta idiotka wróci, policzę się z nią! Jeśli wróci - dodała, szlochając.
- Marco milczał.

- Piera Berti, koleżanka

Chiary, mówi, żeby się nie martwić. Jej zdaniem Chiara tak się przeraziła zniknięciem małej, że gdy po długich poszukiwaniach wreszcie ją odnalazła, postanowiła uciec z nią z instytutu.

Czy chciała uspokoić Marca, czy samą siebie?

Marco ciągle milczał.

- Podobno twoja córka bardzo źle znosiła pobyt w instytucie! Powiedz coś wreszcie! Czy to nie dziwne, że Chiara nie przyjechała z Sarą do ciebie, skoro jesteś jej ojcem?

Marco westchnął.

- Byłem bardzo złym ojcem, Lucio. Poza pracą nic mi się w życiu nie udało.

Lucia głośno przełknęła ślinę.

- Wybacz mi - mruknęła po chwili - ale martwię się o Chiare. Jak mogłeś ją opuścić? Byliście tacy zakochani! - wybuchnęła nagle.

- Ciągle jestem w niej

zakochany - wyszeptał.

- Trzymaj się z daleka od Chiary! Nic dobrego nie może jej od ciebie spotkać!

Patrzyła na Marca nieprzytomnym wzrokiem, znów powróciły dawne urazy.

- Wiem, Lucio. Jak tylko

Chiara się odezwie, zabiorę Sarę i zniknę. Chciałem to już zrobić kilka tygodni temu, ale Chiara mi nie pozwoliła.

- Zupełnie oszalała na punkcie tego dziecka! Dzisiaj... wczoraj wyszła dwie godziny wcześniej z pracy, żeby kupić Sarze prezent na urodziny. Troska się o nią, wraca do domu tylko po to, żeby się przespać, a wcześniej rano już pędzi z powrotem.

Marco pokiwał głową. Pomyślał o pudle z lalką, które zostało w bagażniku. On też po południu poszedł do sklepu z zabawkami po upominek dla Sary. Boże, spraw, abym mógł go jej dać. I żeby Chiarze nic się nie stało, modlił się w duchu.

Chiara zadzwoniła o wpół do siódmej. Ponieważ Lucia zasnęła dopiero co na kanapie, telefon odebrał Marco.

- Słucham - powiedział z

bijącym sercem.

Chwila ciszy.

- Kto przy telefonie? -

zapytała niepewnie Chiara.

- To ja, Marco. Gdzie jesteś?

Co się stało?

- Nie martw się. Jestem z Sarą nad Iseo, mała teraz śpi. Nie martw się - powtórzyła. Nawet nie zapytała, co Marco robi w domu jej matki, jak gdyby był to szczegół bez znaczenia.

Lucia wyrwała mu słuchawkę.

- Chiaro, co ty wyprawiasz?

Chcesz, żebym dostała zawału? - krzyczała. W chwilę potem dodała: - Nic ci nie jest?

Chiara musiała ją przekonać, bo twarz Lucii wyraźnie się rozjaśniła.

- Oddaję słuchawkę Marcowi - powiedziała na koniec. - To jego wezwałam, nie wiedziałam już, co robić.

- Chiara? Zaraz tam będę, tylko...

- Nie, proszę cię... - Ten jej zdecydowany ton, który tak kochał. - Przyjechałam tu dla Sary. Uważam, że na razie nie powinieneś się z nią widywać. O ósmej skontaktuję się z instytutem i poproszę o kilka dni urlopu. Zostanę tu z małą. Zadzwonię do ciebie, kiedy twój przyjazd będzie wskazany. Telefon w każdym razie działa... Zaufaj mi, tak będzie dla Sary najlepiej.

- Nie wątpię - odparł Marco - ale chciałbym ci pomóc, być przy tobie.

Wydawało mu się, że widzi, jak potrząsa głową.

- Nie ma takiej potrzeby.

Muszę kończyć, Marco. Możesz mi dać jeszcze na chwilę mamę?

- Czy czegoś wam nie brakuje?

- Praktycznie wszystkiego. Ale człowiek, który pilnował domu pod moją nieobecność, wybierze się dziś do Mediolanu z listą rzeczy. Resztę kupię na miejscu.

Lucia zanotowała skrupulatnie
to, co miała dostarczyć. Kiedy
skończyła rozmawiać przez
telefon, była wyraźnie
odprężona, ale i
zdezorientowana.

- Nie rozumiem - stwierdziła - skąd jej przyszło do głowy, żeby jechać nad Iseo. Nienawidziła tego domu, mówiła, że jej noga nigdy tam nie postanie.

Marco natomiast rozumiał. Wiele lat temu ten dom oznaczał dla Chiary schronienie, ratunek. I gdy znów poczuła się zagrożona, właśnie w nim się schroniła. Ale Lucia nie potrafiłaby tego pojąć.

- Muszę iść - oświadczył. - Jeśli będziesz mnie potrzebować, znajdziesz mnie w agencji albo w domu.

Lucia potrząsnęła głową.

- Na pewno nie będę! - odparła stanowczo. - Nie zadzwoniłabym i dziś w nocy, gdybym zupełnie nie straciła głowy!

- Wiem, ile cię to musiało kosztować - przytaknął ze smutkiem, kierując się w stronę drzwi.

- Poczekaj! - zatrzymała go. - Zrobię ci kawy - mruknęła niechętnie.

Zniknęła, zanim zdążył uprzejmie odpowiedzieć, że dziękuje, że nie ma na nią ochoty.

Wróciła pięć minut później z małą tacką.

- Usiądź jeszcze na chwilę - powiedziała, podając mu filiżankę. Stała naprzeciwko niego i przyglądała mu się z uwagą.

- Znakomita - pochwalił Marco.

Wstał i odstawił pustą
filiżankę.

Lucia odprowadziła go do drzwi. Kiedy chciał podać jej rękę na pożegnanie, wyciągnęła ramiona i uściskała go.

- Tak cię kochałam! -

zaszlochała. - Jak mogłeś nam to zrobić?

O ósmej Marco wrócił na via Alberto Mario. Wziął prysznic, ogolił się, wypił jeszcze jedną kawę i o dziesiątej zjawił się w agencji. Był zbyt napięty, aby odczuwać zmęczenie, niepokój o Chiarę nie pozwalał mu skupić się na pracy. Czy ma dość sił, by znieść ten niespodziewany powrót do przeszłości? Czy pobyt nad Iseo nie obudzi zbyt przykrych wspomnień?

Jego samego, gdy myślał o tym białobłękitnym domu, ogarniała niewytłumaczalna melancholia. Pewnej odległej niedzieli uciekł stamtąd, by popędzić do Margherity, i to był początek katastrofy. Margherita to była choroba, gorączka, szybko jednak wyzdrowiał. Popełnił błąd, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo była słaba i niezrównoważona. Wspominał Margheritę z rozrzewnieniem, a także, jak zwykle, z ogromnym poczuciem winy. A przecież był dobrym i wiernym partnerem...

Ożeniłbym się i opiekował nią, pomyślał. Ona jednak chciała od niego miłości, a tego, niestety, nie potrafił jej dać. Znów jego myśli pobiegły ku Chiarze. Kochał jej poczucie godności, odwagę, mały nosek, twarde, a zarazem łagodne

spojrzenie niebieskich oczu. Ostatnio często mu się śniła. Budził się nagle i pragnął jej fizycznie.

Muszę sobie znaleźć jakąś Resy i wyładować się, pomyślał trochę cynicznie. Mając czterdzieści lat nie mogę przecież żyć jak mnich.

Dobrze jednak wiedział, że jego problem nie polega na braku seksu i że jakaś krótka przygoda nie wybawiłaby go wcale z samotności.

Vianello zastukał do drzwi i wręczył Marcowi grubą broszurę, zmuszając go tym samym do powrotu do rzeczywistości.

- To jest bilans za zeszły rok

- wyjaśnił. - Musisz go

spokojnie przejrzeć. Dochody są wprawdzie bardzo wysokie, ale zyski znacznie mniejsze, bo ponieśliśmy duże wydatki na działalność agencji.

- Były przewidziane w budżecie

- zauważył Marco. - Wszystkie kampanie reklamowe przekroczyły niestety planowane koszty. W tym roku trzeba je ściśle określić i dokładniej kontrolować. Na przykład fotomodelki dostały nie wiadomo czemu podwójną stawkę.

- Stawki najbardziej znanych modelek nie mogą być sztywne. Jeśli chcesz je zaangażować wtedy, kiedy tobie to odpowiada, musisz zapłacić im więcej. O'Toole nakręciła dla nas sześć filmów reklamowych i połowę swego wynagrodzenia zarobiła pracując na czarno. Wiesz, co to oznacza, prawda? Tych kosztów nie możemy do niczego dopisać. A to tylko jeden z przykładów.

Vianello przerwał na moment, po czym mówił dalej: - Wybacz mi, że cię zanudzam, ale zapłaciliśmy w ten sposób osiemdziesiąt osiem miliardów lirów za wynajęcie willi, ogrodów, prywatnych mieszkań i tak dalej. Jeśli właściciele odmówią wystawienia rachunków, trzeba będzie w przyszłości przerzucić się na dekoracje teatralne.

- To nie to samo -

zaprotestował Marco.

- Rozumiem potrzebę

autentyzmu, ale nie może być tak, żeby kampania reklamowa najważniejszego klienta przynosiła „Agencji Zambiasi” zysk netto w wysokości ledwie dziesięciu milionów.

Mimo woli Marco zmuszony był podziwiać zawodowe kompetencje Vianella. Był najbardziej skrupulatnym księgowym, jakiego można sobie wymarzyć, i po raz pierwszy Marco zapragnął uczynić go swym współnikiem.

- W każdym razie - przerwał mu Vianello - masz tu bilans i sam zobacz, jak to wszystko wygląda. Ten rok zamknjemy dwustoma milionami zysku, co obiektywnie biorąc, nie jest mało, ale mogłoby być znacznie więcej, gdybyśmy bardziej kontrolowali wydatki.

Uwagi Marca nie uszła zakamufLOWANA pretensja.

Rzeczywiście, w ostatnich miesiącach bardzo zaniedbał firmę. Śmierć Margherity, choroba Sary i związane z tym przeżycia nie pozwoliły mu się skoncentrować na działalności agencji, pracownicy musieli więc radzić sobie sami.

- Rozumiem, to nie był dla ciebie łatwy rok - przyznał Vianello, jak gdyby czytał w jego myślach. - Ale mam nadzieję, że teraz już będzie lepiej. Życzę ci tego - dodał łagodniejszym tonem.

Po Vianellu przyszła Giusi Lozza. Kiedy wróciła do agencji, zabrała się z zapałem do swej pierwszej kampanii reklamowej. Przypominała Marcowi Margheritę z czasów ich pierwszych spotkań, pełną pomysłów i entuzjazmu. Po wyjściu Lozzi musiał rozstrzygnąć spór pomiędzy dwiema skłóconymi sekretarkami.

O wpół do drugiej wszyscy opuścili biuro. Marco został sam i mógł się wreszcie odprężyć. Miał ochotę zadzwonić do Chiary, ale pomyślał, że pewnie odpoczywa, i nie chciał jej przeszkadzać.

Chiara jednak nie odpoczywała. Wyszła właśnie z sypialni, gdzie spokojnie spała Sara, i usiadła w salonie, żeby przemyśleć wszystko to, co wydarzyło się zeszłej nocy. Zniknięcie Sary, odkrycie, że leży zwinięta pod biurkiem, szalona jazda nad Iseo, poszukiwanie Carla Pozzaniego, jego zaspany, nieufny głos, gdy pojawił się w końcu w oknie, jej nalegania z ulicy, aby otworzył, bo jest właścicielką domu, Chiara Basile.

Była prawie czwarta rano, kiedy tłumacząc się i przepraszając Pozzani otworzył cicho drzwi. Poza ogrzewaniem, które zresztą zaraz włączył, wszystko działało. Widać było, że uczciwie zapracowywał na pieniądze, które Chiara wypłacała mu za pilnowanie i utrzymywanie domu w porządku.

Chociaż zdziwił go ten nagły przyjazd w środku nocy, nie dał niczego po sobie poznać. Zgodził się pojechać do Mediolanu z listą rzeczy do przywiezienia, a gdy Chiara powiedziała mu, że zapomniała torebki, zaofiarował się pożyczyć jej pieniędzy. W dalszym ciągu nie zadawał żadnych pytań.

Sara leżała przytulona do Chiary aż do szóstej. Jak tylko Chiara próbowała położyć ją na kanapie albo do łóżka, zaraz budziła się i zaczynała płakać. Wreszcie usnęła wyczerpana. Spała, kiedy Chiara dzwoniła do matki, żeby ją uspokoić i natknęła się na Marca, jak również wtedy, gdy telefonowała do dyrektora Instytutu i do kadr, aby wyjaśnić, co się stało, i uprzedzić, że zamierza wziąć urlop. Choć zachowała się nieodpowiedzialnie, porywając małą pacjentkę w środku nocy, nie zauważyła przez telefon żadnej reakcji z tamtej strony: wszyscy wiedzieli, że Sara jest dla niej szczególnym przypadkiem, przymknięto więc oczy na to, że postąpiła wbrew obowiązującemu regulaminowi.

Zastrzegła sobie, że nie poda terminu powrotu do pracy. Z zeszłego roku zostało jej dziesięć wolnych dni, mogła więc je spokojnie wykorzystać, szczególnie że dział finansowy nalegał zawsze na wybieranie całego urlopu. Ale co potem? Czy wystarczy niecały miesiąc, żeby rzeczywiście pomóc Sarze? Jedno było pewne: pobyt małej w Instytucie na nic się zdał i w żadnym razie nie powinna tam wrócić.

Kładąc się na kanapie, Chiara pomyślała ze smutkiem i poczuciem bezsilności, że w ciągu niemal czterech miesięcy posunęła się niewiele naprzód: dziewczynka potraktowała śmierć matki jako karę za to, że była „niegrzeczna”. Nie trzeba było jednak gruntownych rozważań, żeby stwierdzić tak oczywistą reakcję, zupełnie jak wyjętą z podręcznika. Czyżby niechęć, jaką żywiła do ojca, miała być, zgodnie z jej dziecięcą logiką, pokutą za winę? Sara nie wspomniała ani razu o Marcu w trakcie jazdy nad Iseo, jak gdyby eliminując go, odpychając, chciała pozbawić się jedynej pociechy, ponieważ uważała, że na nią nie zasługuje. Chociaż była to sensowna interpretacja, nie przekonywała Chiary; musi być jakiś inny powód, bardziej konkretny. Ale jaki?

Zorientowała się, że się zdrzemnęła, kiedy poczuła, że Sara szarpie ją za ramię. - Gdzie jesteście? - zapytała.

Obudziła się i zaraz przysłała do salonu.

- W pięknym miejscu, o którym mówiłam ci w nocy. Przygotuję coś do zjedzenia, potem pójdziemy na spacer. Wiesz, że dzisiaj są twoje urodziny? Kończysz cztery lata. Tyle - wyjaśniła, pokazując cztery palce.

Sara powtórzyła ten sam gest.

- Cztery. Tyle - powiedziała z zainteresowaniem.

Raz jeszcze Chiara zauważyła, że Sara jest opóźniona w rozwoju co najmniej o rok, szczególnie jeśli chodzi o wysławianie się i umiejętność zabawy. Rodzice najwyraźniej nie przywiązywali wagi do potrzeby rozmawiania i bawienia się z dzieckiem. Chiara pomyślała ze smutkiem o Marghericie. Iluż przyjemności pozbawiła się sama, nie poświęcając czasu córce...

- A ty ile masz lat? -

zapytała Sara, pokazując swoją rękę.

Chiara poruszyła trzykrotnie jej dziesięcioma palcami i dodała jeszcze cztery.

- Tak dużo! - zdziwiła się mała.

- Bardzo dużo. Musisz zjadać wszystko z talerza, żeby urosnąć tak jak ja. Wiesz, co zrobimy? Po obiedzie pójdziemy do sklepu i wybierzemy razem prezent na twoje urodziny.

- Jaki prezent?
- Jaki chcesz.

Pluszowy miś został w

Mediolanie; po powrocie do domu rzuciła go na ziemię i pobiegła zadzwonić do instytutu. To było dopiero wczoraj wieczorem, a jej wydaje się, że minęła już cała wieczność, odkąd Noemi powiedziała: „Nie możemy znaleźć Sary”.

- Lalki nie - powiedziała Sara, marszcząc brwi.
- Wybierzesz coś, co będzie ci się podobało. A teraz siadajmy do stołu.
- Chce mi się siusiu.

Chiara zaprowadziła małą do łazienki, pomogła jej usiąść na sedesie. Pomyślała, że trzeba jej kupić płaszcz, bieliznę i trochę ubrań. Pozzani wróci wczesnym popołudniem i przywiezie między innymi jej książeczkę czekową oraz pieniądze, o które prosiła przez telefon matkę.

- Skończyłam - oświadczyła Sara, schodząc z sedesu. Przy pomocy Chiary naciągnęła majtki i udały się do kuchni.

Przed wyjazdem Pozzani zrobił trochę zakupów; podczas gdy Sara spała, Chiara przygotowała zupę jarzynową i zapiekankę z serem. Przyglądając się, jak mała pałaszuje, pomyślała, że przynajmniej odzyskała apetyt, a to już jest coś.

Pozzani przyjechał o wpół do czwartej z dwiema dużymi walizkami i wypchaną torbą. Chiarze zachciało się śmiać. To było dla matki charakterystyczne: za każdy razem, kiedy wyjeżdżały gdzieś z Giovanną, zmuszała je do zabrania masy bezużytecznych rzeczy. Zgodnie z powiedzeniem „nigdy nic nie wiadomo”, wkładała do walizki buty, ubrania, które na pewno nie mogły się przydać.

Sądząc po tym, co jej przysłała, Lucia musiała uznać, że Iseo to jakaś dziwna okolica, coś pomiędzy biegunem północnym, absolutnym pustkowiem a centrum życia światowego. W drugiej walizce Chiara znalazła parę kaloszy, trzy opakowania aspiryny i komplet od Armaniego, który miała na sobie w sylwestra u Guardaccich. Gdy zdołała wszystko ułożyć i porozwieszać - Sara przyglądała się jej z wielkim zainteresowaniem - okazało się, że jest już wpół do piątej.

- Teraz możemy pójść na spacer
- zaproponowała Chiara.

Dziewczynka roześmiała się,

kiedy Chiara otuliła ją wielkim szalem.

- Nie jest zimno - stwierdziła.
- Ale na dworze, tak. Teraz pójdziemy kupić ci płaszcz.
- A zabawkę?
- Zabawkę też, skarbie.

Usadowiła małą w samochodzie i po dziesięciu minutach były w centrum miasteczka. W sklepie pod arkadami znalazła od razu wszystko, co potrzebne było Sarze. Dziewczynka, bardzo podniecona, sama wskazywała rączką ubrania, które najbardziej przypadły jej do gustu. Chiara zauważyła ze zdziwieniem, że mała nie raczy nawet spojrzeć na ubranka czerwone, żółte czy też w jaskrawe wzory, jakie wybierają na ogół jej rówieśnicy. Czyżby nie radowały jej intensywne barwy i ich różnorodność?

Po załatwieniu sprawunków w sklepie odzieżowym skręciły za róg i weszły do pawilonu z obuwem. Sara uparła się, żeby Chiara kupiła jej białe buciki.

Sklep z zabawkami był po drugiej stronie placu. Sara w nowym granatowym płaszczu co chwilę przystawała przyglądając się swoim butkom i Chiara musiała niemal ciągnąć ją za rękę. Kiedy jednak weszły do środka, ożywienie Sary zniknęło bez śladu. Wygląda teraz na bardzo czymś zaniepokojoną, stwierdziła ze zdumieniem Chiara.

Pokazując ręką półki pełne kolorowych pudełek, lalek, różnych gier, Chiara powiedziała serdecznie do małej: - Możesz wybrać, co tylko chcesz.

Obejrzyj sobie najpierw

wszystko.

Sara uchwyciła się jej
płaszczka.

- Chodźmy stąd - zaczęła

błagać drżącym głosem. Była już teraz wyraźnie przerażona. Chiara wzięła ją na rękę i szybko opuściła sklep, nie mówiąc nawet do widzenia. Pewnie jest zmęczona i wyczerpana wydarzeniami ostatniej doby, pomyślała.

- Może wrócimy do domu? - zaproponowała.

- Tak - szepnęła mała, ale gdy podeszły do samochodu, cofnęła się z tym samym zalęknionym wyrazem twarzy. Chiara otworzyła drzwiczki i kiedy sadzała ją na przednim siedzeniu, poczuła, że Sara napina wszystkie mięśnie.

- Teraz pojedziemy do domu i ułożymy w szufladzie wszystkie twoje nowe ubranka - powiedziała, włączając silnik. - Pomożesz mi prawda?

Sara milczała. Pochyliła się do przodu, jakby czegoś szukała, potem uklękła i wychyliła się do tyłu. Chiara udawała, że na nią nie patrzy, ale zauważyła, że z wielkim przejęciem kontynuuje swe poszukiwania. Gdy w końcu usiadła, na jej twarzy pojawiła się bezmierna ulga spowodowana tym, że tego co usiłowała odnaleźć, nie było.

„U takich małych dzieci jak
Sara nękające ją koszmary
koncentrują się na ogół na
jednym szczególnym przeżyciu”,
przyszły Chiarze na myśl słowa
Valsecchi. Po raz pierwszy
pojawiła się szansa wyjaśnienia
zagadki. A więc chodzi o
zabawkę... Nienaturalne

zachowanie Sary w sklepie było reakcją na jakiś stłumiony bodziec. Może na wspomnienie wypadku? Ale jaki związek może istnieć między wypadkiem a zabawką? Zmusiła się do zachowania spokoju, lecz ręce na kierownicy lekko jej drżały. Dlaczego spostrzegła to dopiero teraz? W ciągu czterech miesięcy, które spędziła w instytucie, Sara nie zainteresowała się żadną zabawką, chociaż świetlica pełna była lalek, samochodzików, układanek. Unikała zawsze bawiących się dzieci. Chiara przypomniała sobie wyraźnie, że Sara podeptała lalkę swojej współlokatorki, i aż drgnęła. Tak, to mogło być to! „Lalki nie”. Ponury głos Sary. Chiarę ogarnęło podniecenie, wiedziała, że jest już bardzo bliska prawdy. Kiedy zaparkowała przed domem, stwierdziła, że Sara śpi. Wzięła ją delikatnie na rękę i zaniósła do łóżka. Zdjęła z małej płaszczyk, bućki, przykryła ją kocem. Potem położyła się obok i patrzyła na dziewczynkę z niepokojem i miłością.

XXVI

Ze snu wyrwał ją krzyk Sary. Chiara zapaliła światło i pochyliła się nad nią. Sara potrzasała konwulsyjnie głową, zakrywała piastkami oczy i wydawała krótkie, przejmujące jęki.

- Saro, Saro - zawołała

Chiara, dotykając łagodnie jej ramienia. Dziewczynka otworzyła oczy i powiodła dookoła pustym wzrokiem.

- Saro, jestem tutaj -

zawołała znowu Chiara, odgarniając jej z czoła długie, potargane włosy.

Dziewczynka westchnęła głęboko: - Chiaro, to ty? - zapytała wreszcie drżącym głosem.

- Tak, skarbie. Przyśniło ci się coś przykrego, ale jestem przy tobie.

Objęła dziewczynkę,

przycisnęła mocno do siebie i zaczęła kołysać.

- Nie odejdziesz?

- Nie odejdę. - Pocałowała ją w czoło. - Teraz śpij. Jutro rano pójdziemy do ogrodu, ulepimy ślicznego bałwana. A jeżeli będzie słońce, popłyniemy statkiem do miasteczka, które nazywa się Montisola.

Sara, przytulona do Chiary, rozluźniła się i odprężyła.

- Teraz już śpij, maleńka - powtórzyła Chiara. Kilka chwil później usłyszała miarowy oddech dziewczynki. Budzik na szafce wskazywał dziesięć po pierwszej. Chiara wyciągnęła ostrożnie rękę w stronę lampki, zgasiła światło i znów objęła Sarę.

Nie była już senna. Mając małą przy boku, tonęła w oceanie czułości. Dopiero teraz, pomyślała, spełniło się moje pragnienie macierzyństwa. Ogarnął ją niewysłowiony spokój. To Sara i tylko Sara była tym dzieckiem, na które czekała przez czternaście lat. Warto było czekać tak długo, żeby przeżyć tę cudowną chwilę szczęścia i ukojenia. Nie będę mogła już się z nią rozstać, pomyślała. Jest moja, tak jak bym ją dziś w nocy urodziła.

Początkowo nie usłyszała albo raczej nie zamierzała zwracać uwagi na jakiś denerwujący dźwięk. Ale dzwonek dzwonił coraz głośniejsze. Odruchowo schowała głowę pod kołdrę, jak gdyby chciała w ten sposób sprawić, żeby zamilkł.

Wstrzymała na chwilę oddech i dzwonek rzeczywiście przestał dzwonić. Musiało mi się przyśnić, pomyślała. Nadstawiła ucha: cisza.

Sara poruszyła się nieznacznie, zsuwając główkę z ramienia Chiary, która przytuliła ją z powrotem i wpatrzyła się w ciemność.

Dzwonek znów zaczął dzwonić. Raz, dwa, trzy, coraz bardziej natarczywie i z coraz krótszymi przerwami. Dochodziła druga. Kto to mógł być o tej porze? Wstała ostrożnie, aby nie obudzić Sary, i po ciemku na palcach podeszła do drzwi. Zapaliła światło w korytarzu i podniosła słuchawkę domofonu.

- Kto tam? - zapytała.

Ponieważ musiała mówić szeptem, powtórzyła wyraźnie pytanie: - Kto tam?

- To ja, Marco.

Nacisnęła odruchowo przycisk i otworzyła drzwi. Zobaczyła, jak wchodzi przez bramę i powoli zmierza w stronę domu.

Kiedy stanął w progu, rzuciło jej się w oczy, że jest bardzo zmęczony i przygnębiony.

- Wybacz mi. Nie mogłem wytrzymać w Mediolanie - usprawiedliwiał się.

Kiwnęła potakująco głową ze ściśniętym gardłem, zmieszana i przestraszona.

- Doczekałem do północy, potem wsiadłem do samochodu i przyjechałem - dodał.

Chiara znów kiwnęła głową. Uzmysłowała sobie, że nadal trzyma rękę na klamce i nie wpuszcza go do środka. Usunęła się.

- Wejdz - powiedziała.

Marco wszedł, Chiara, ciągle bardzo zakłopotana, zamknęła za nim drzwi. Gdy podniosła wzrok, zauważyła, że patrzy na nią bez ruchu. W za obszernym płaszczu, zwisającym z ramion, wyglądał jak kukła. W milczeniu wskazała na wieszak.

Odwrócił się teraz i spojrzał jej w twarz. Przez długie sekundy stali tak naprzeciwko siebie, aż Chiarze wydało się, że słyszy bicie własnego serca. Wreszcie Marco uniósł ramiona i wyciągnął je nieśmiało ku niej. Zamknęła oczy i

nagle znalazła się w rozpaczliwym uścisku. Z ust Marca wyrwał się jęk podobny do szlochu. Chiara zrozumiała, że to jego serce, a nie jej wali jak młotem. Trwała tak dalej wstrzymując oddech, jakby znalazła się nad przepaścią. Zostaw mnie, prosiła go w duchu przerażona. Ale z osłupieniem stwierdziła, że jej ręce, bez udziału woli, podnoszą się i dotykają lekko twarzy Marca. Chwytał je i ucałował.

Wrażenie obcości od razu zniknęło. Te ręce są moje, pomyślała Chiara, i pragnę go całą sobą. Poczowała się nieco zawiedziona, kiedy Marco cofnął się i jego ramiona znów zwisły bezradnie.

- Wybacz mi, nie powinienem był - wyszeptał zachrypniętym głosem.

- Kocham cię - odpowiedziała po prostu.

Usłyszała w dali pianie koguta, a potem niespokojny oddech Marca.

- Kocham cię - powtórzyła. Jej twarz jaśniała.

Marco patrzył na Chiarę z niedowierzaniem przez dłuższą chwilę, po czym już bez onieśmienia wziął ją ponownie w ramiona i obsypał jej twarz pocałunkami.

- Nie chcę cię już więcej skrzywdzić, za bardzo cię kocham.

Chiara roześmiała się.

- Nie ma w tym nic złego - powiedziała. Czując, jak narasta jego podniecenie, szepnęła uszczęśliwiona: - Nie w sypialni, tam jest Sara.

Wąskie łóżko było w nieładzie i puste. Chiara uniosła głowę znad poduszki: czy to wszystko jej się tylko śniło? Zaraz jednak wróciła do rzeczywistości. Włożyła szlafrok i poszła do kuchni. Marco stał przy kuchence i na jej widok zrobił rozczarowaną minę.

- Och, chciałem ci przynieść kawę do łóżka.

Przytuliła się do niego.

- Masz dużo czasu, żeby

nadrobić wszystkie zaległości - zażartowała. Poważniejąc dodała:

- Musisz szybko się ubrać i wyjść, zanim Sara się obudzi. Nie powinna cię tu zastać. Trzeba ją najpierw przygotować do tego spotkania.

Rozmawiali długo o małej, leżąc w mocnym uścisku. Łączyła ich nie tylko namiętność, ale potrzeba więzi, wzajemnej pomocy. Dwukrotnie przed zaśnięciem Chiara wstawiała na palcach, żeby sprawdzić, czy dziewczynka śpi spokojnie.

- Za dziesięć minut będę

gotowy - zapewnił ją Marco. - Wypiję tylko kawę.

Ale nie zdążył. Sara stała w drzwiach prowadzących do kuchni i patrzyła na niego z takim strachem, jakby ożyły wszystkie męczące ją koszmary. Marco chciał zbliżyć się do córki, lecz Chiara dała mu znak, by się zatrzymał. To ona przykucnęła przed małą i tłumaczyła: - Tatuś chciał się z tobą zobaczyć i zrobił ci niespodziankę. Wiesz, że bardzo cię kocha, prawda?

Sara spojrzała na Chiarę spode łba i zacisnęła usta, nic nie odpowiadając. Zareagowała najpierw lękiem, teraz wróciła dawna niezuzasadniona niechęć do ojca. Na widok rozpachy malującej się na twarzy Marca, Chiarze ścisnęło się serce. Muszę zrozumieć, muszę ją odblokować, postanowiła.

Niespodziewane pojawienie się Marca wszystko skomplikowało. Dała mu znowu znak, tym razem żeby opuścił kuchnię.

- Saro, kochanie, popatrz mi w oczy. Czy wiesz, że tatuś bardzo cię kocha? - powtórzyła, gdy już zostali same.

Milczenie.

- Odezwij się, proszę. Czy był dla ciebie niedobry? Krzyczał? A może cię bił?

Po chwilowym wahaniu Sara przecząco pokręciła głową.

- No to dlaczego nie chcesz do niego podejść? Mnie możesz zaufać, skarbie. Boisz się taty? Czy kiedy go widzisz, coś ci się przypomina i masz ochotę się rozpłakać? - nalegała Chiara.

Przesadzam chyba, pomyślała,

robiąc sobie wyrzuty. Powinnam być ostrożniejsza, bo może znów zamknąć się w sobie. Tymczasem patrzyła jej prosto w oczy.

Sara otworzyła i zamknęła usta, jakby chciała coś powiedzieć, nadal jednak uparcie milczała. Ileż to już razy i z iloma dziećmi Chiara przeżywała podobny moment rozpaczliwej bezsilności...

- Czy poprosić tatę, żeby sobie poszedł? - zapytała łagodnie.

- Tak - szepnęła ponurym

głosem Sara.

- Żeby już więcej nie wracał i zostawił nas same?

Sara niepostrzeżenie drgnęła i na jej twarzy pojawił się wyraz niepewności.

- Tak jak mama? - spytała.

Chiara usiadła i posadziła sobie Sarę na kolanach. Uniosła jej buzię.

- Mama poszła do raju, ale nie zostawiła cię przecież samej. Zostawiła cię z tatą. Ale jeśli go nie chcesz, powiemy o tym mamie i tata sobie pójdzie. Powiedz mi, kochanie, chcesz, żeby sobie poszedł?

- Tak.

- Ale musisz mi coś wyznać: dlaczego chcesz, żeby sobie poszedł?

- Jest niedobry - syknęła Sara przez zaciśnięte usta.

- Och, nie wiedziałam!

Specjalnie nie dodała nic więcej, mając nadzieję, że jej zdziwiony wyraz twarzy skłoni dziewczynkę do wyznań.

Mała rzeczywiście dała się sprowokować.

- Ja też jestem niedobra - oświadczyła nieoczekiwanie i bez związku zrezygnowanym tonem.

- Ależ, Saro, to nieprawda!

Nie mów tak.

- Właśnie że prawda. Cały czas płaczę i kapryszę, a mama mnie bije i odchodzi - wyjaśniła, marszcząc brwi.

Ona też pielęgnuje swoje poczucie winy, pomyślała Chiara, powstrzymując płacz. Oparła policzek o jej główkę.

- Wszystkie dzieci grymaszą,

skarbie. A wszystkie mamy są troszkę nerwowe. Moja też biła mnie i moją siostrę, ale jednocześnie bardzo nas kochała. Twoja mama chciała być z tobą, lecz miała wypadek. Byłaś przy tym, prawda? Bardzo duża ciężarówka zderzyła się z waszym samochodem. Mama uleciała do nieba, a ty byłaś ranna. Zabrano cię do szpitala i później wyzdrowiałaś.

- Chciałam pójść do raju z mamą - powiedziała poważnie Sara.

- Małe dzieci nie idą do raju.

Pamiętasz, co mówiła ciocia Egle? Masz tatę. Chciałabyś zostawić go samego?

- Tata jest niedobry!

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, dlaczego - powtórzyła łagodnie Chiara.

- Dlatego... i już.

- Niedobry tata nie odwiedza córeczki, nie chce się z nią widywać. Dlaczego nie zrobimy próby? Zawołamy go i zobaczymy, czy cię kocha, czy weźmie cię na ręce i czy będzie cię całował jak kiedyś. Zostanę tu z tobą i jeśli przekonam się, że jest naprawdę niedobry, odeślę go z powrotem do Mediolanu, chcesz?

Sara kiwnęła potakująco głową, zbyt przejęta, żeby wypowiedzieć bodaj słowo. Chiara wstała z klęczek i trzymając ją na rękach stanęła w drzwiach do kuchni.

- Zaraz go zawołamy -

powtórzyła porozumiewawczym tonem i pocałowała dziewczynkę w czoło. Potem głośno krzyknęła: - Marco, czy możesz przyjść na chwilę do swojej córeczki?

Stał na progu salonu i skierował się z wahaniem w ich stronę.

Chiara nie odrywała od niego oczu. Przytul ją mocno, błagała w myślach. Masz jedyną okazję, żeby okazać Sarze miłość i uwolnić ją od lęku.

Patrzyła, jak zbliża się do nich niczym na zwolnionym filmie, czuła, że Sara przywiera coraz mocniej do jej ciała. Przymknęła oczy i prędko je otworzyła: przez łzy zobaczyła, jak Marco wyciąga ręce do małej, delikatnie i powoli zabiera ją z jej ramion, jakby była drogocennym i kruchym skarbem.

I kiedy przygarnął ją już do siebie, kiedy lęk, wahanie, delikatność zniknęły, jakby zerwała się tarna: miłość wybuchła w gwałtownym uścisku, tysiącach pocałunków, imieniu córki powtarzanym jednocześnie z bólem i radosnym uniesieniem.

W końcu twarzyczka Sary wychyliła się z ramion Marca i Chiara ujrzała, że maluje się na niej nie tajone szczęście.

- Tato - powiedziała wyraźnie,
jakby dopiero teraz go
rozpoznała.

- Co, córeczko?

- Nie odchodź, będę grzeczna.

- Nigdzie nie odejdę, obiecuję ci, skarbie.

- Będę grzeczna - powtórzyła Sara z powagą.

Była w jej uroczystym tonie jakaś nie zauważalna nutka niepokoju, niczym daleki sygnał alarmowy, który rozbrzmiewał coraz bliżej i coraz głośniejsze.

Nagle Chiarze wydało się, że uczestniczy w scenie z niemego filmu. Z przerażeniem zobaczyła, że usta Marca otwierają się w uśmiechu, a ręce stawiają małą na ziemi. Wiedziała, co uczyni Marco, i chciała go powstrzymać, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Przerażenie ustąpiło miejsca rozpaczy zmieszanej z ciekawością. Jak zaczarowana śledziła rozwój sytuacji prowadzący do nieuchronnej katastrofy.

Marco wziął Sarę za rękę i podszedł z nią do kanapy; leżało na niej duże pudło, które podał małej z miłym uśmiechem, mówiąc coś, czego Chiara nie dosłyszała. Tak jak w sklepie z zabawkami Sara cofnęła się przestraszona, a Marco roześmiał się i znów poruszył wargami.

Chiara zacisnęła powieki; teraz Marco zdejmie pokrywkę z pudełka, wyjmie lalkę, pokaże ją Sarze... Gdy otworzyła oczy, Sara krzyczała i wyrwała się z ramion ojca. Lalka upadła na ziemię.

Marco spojrział na Chiarę, błagając wzrokiem o pomoc.

- Nie rozumiem - wybełkotał.

Teraz, pomyślała Chiara,

przypominając sobie, że już kiedyś przeżyła podobną chwilę, że musi powtórzyć te same słowa i gesty.

Pochyliła się więc, żeby podnieść lalkę.

Nie bacząc na przerażenie dziewczynki, zmusiła ją, aby spojrzała na prezent.

- Saro - nakazała stanowczym tonem. - Musisz mi powiedzieć, czego się boisz, to jest tylko lalka.

- Nie chcę jej, wyrzuć ją - zaszlochała Sara.

Chiara zwróciła się do Marca.

- Czy Margherita podarowała

Sarze lalkę? W jakich okolicznościach? To dla mnie bardzo ważne. Sięgnij pamięcią wstecz.

- Chyba w dzień wypadku - Marco cofnął się myślami do wydarzeń sprzed roku. - Pośród rzeczy, które mi wówczas zwrócono, była też duża lalka Przerwał. - Myślisz, że Sara łączy ją ze śmiercią matki?

- Możliwe. Co się stało z lalką?

- Kiedy po wielu dniach Sara odzyskała przytomność, przyniosłem lalkę do szpitala. Myślałem, że mała się ucieszy, ale ona wybuchnęła płaczem i zaczęła drżeć jak w febrze.

Teraz Sara już nie drżała. Stała nieruchoma, przytulona do Chiary, i przysłuchiwała się rozmowie, jakby wszystko rozumiała. Boże, pomyślała Chiara, spraw, żeby zrozumiała również, jak bardzo ojciec ją kocha.

- Marco, zastanów się. Zanim przyniosłeś jej lalkę, jak Sara zachowywała się wobec ciebie?

- Normalnie. Odzyskała
przytomność dzień wcześniej i
byłem pierwszą osobą, którą
zobaczyła. Pamiętam, że
uśmiechnęła się do mnie,

wyciągnęła rączki. Tamtej nocy spałem w fotelu przy jej łóżku. Od czasu do czasu budziła się i wołała mnie...

Chiara pokiwała głową:

intrygująca zagadka wyjaśniła się. Teraz było wiadomo, co stanowiło ów szczegół, o którym mówiła Valsecchi: Sara powiązała wspomnienie matki z lalką, którą od niej dostała. Zabawka ta zaczęła dla niej oznaczać wypadek, stratę, stąd przeświadczenie, że mama odeszła, aby ukarać ją za niegrzeczne zachowanie.

Spojrzała Marcowi prosto w oczy i zauważyła, że on też pojął, jakie było tło psychicznych zaburzeń Sary.

- Kiedy przyniosłem lalkę do szpitala - powiedział - Sara zobaczyła we mnie wroga, ojca, który mógłby jej przypominać, jak bardzo była niegrzeczna.

- Odpychała cię. To

uzasadniona reakcja. Dzieci mają nadzwyczaj rozwinięte mechanizmy obronne.

Trzymała nadal lalkę, którą Marco, nie mając o niczym pojęcia, przywiózł dla córki w prezencie.

- Zanim mama poszła do raju, podarowała ci lalkę, bo cię kochała - tłumaczyła małej. - A tę kupił ci tatuś, bo też cię kocha. Widzisz? Uśmiecha się do ciebie, jest twoją przyjaciółką, chce się z tobą bawić, spać w twoim łóżku i być cały czas z tobą. Mamusie są niekiedy nerwowe, a tatusiowie ciągle pracują. To dlatego ofiarowują lalki swoim córeczkom. Patrz na nią, Saro. Czy można się jej bać? Chyba nie. Myślę, że jest grzeczną dziewczynką, taką jak ty.

W miarę jak Chiara mówiła, wzrok Sary zatrzymywał się coraz dłużej na lalce. Była w nim najpierw niechęć, potem nieufność, ciekawość, wreszcie zainteresowanie.

- Nie kaprysi? - zapytała.

- Ależ tak, wszystkie dzieci kapryszą. Tak to już jest.

- Jej mama też przebywa w... raju?

- Mogę ci coś powiedzieć w tajemnicy? Tatuś znalazł ją samiuteńką w samochodzie. Nic o niej nie wiemy. Nie wiemy nawet, jak się nazywa. Chcesz dać jej jakieś imię?

- Dina.

- Bardzo ładne. Jeśli się zgodzisz, zatrzymamy ją. Wiesz, Dina nie ma domu.

Sara przycisnęła lalkę do siebie.

- Tak, chcę ją zatrzymać.

Chiara zauważyła, że twarz Marca tchnie spokojem. Pochyliła się do ucha Sary i szepnęła: - Nie sądzisz, że powinnaś podziękować tatusiowi? To przecież on przywiózł ci Dinę.

Mała nawet się nie zawahała; przytulając do siebie lalkę, podbiegła do ojca. Podniosła na niego przepełniony miłością wzrok.

- Dzięki, tato - powiedziała.

- Dzięki ci, Boże - odetchnęła z ulgą Chiara.

Epilog

Wzięli ślub szesnastego kwietnia o wpół do dziewiątej rano.

Giovanna i jej mąż byli świadkami. Wzniesli toast kawą z mlekiem i o jedenastej znaleźli się znowu nad Iseo. Marco od pewnego czasu dojeżdżał codziennie do pracy, Chiara zaś wzięła bezpłatny urlop do czerwca.

Nazajutrz wrócili z Sarą do Mediolanu i zamieszkali chwilowo u matki Chiary. Postanowili sprzedać willę przy via Alberto Mario i poszukać domu, gdzie mogliby zacząć nowe życie bez zmór przeszłości i przykrych wspomnień.

Willą miała zająć się agencja Giorgia. Spotkanie z pierwszym z trzech ewentualnych klientów ustalone było na następny dzień, meble już sprzedali, dom został odmalowany, gaz i światło wyłączone.

Do Lucii przyjechali o pierwszej i zaraz po obiedzie Marco musiał pędzić do pracy. Sara pomogła Lucii sprzątnąć ze stołu, potem usiadła koło niej na kanapie i zaczęła opowiadać, że Dina jest bardzo zadowolona z przebywania z nimi, że w nowym domu będzie pokój dla cioci Egle i że od wczoraj może nazywać Chiare „mama”, bo wyszła za mąż za tatusia.

Lucia zobaczyła po raz pierwszy Sarę w końcu stycznia. Od razu ją zaakceptowała i bardzo polubiła. Sara była zachwycona charakterystycznym sposobem mówienia oraz tym, jak traktowała Chiare.

- Nie ucz się od niej -

powtórzyła Lucia. - Była zbuntowanym dzieckiem. Całymi dniami bawiła się na ulicy!

Chiara siedziała naprzeciwko i próbowała się skupić na wykazie statystycznym, który przysłali jej z instytutu. Nie było to jednak łatwe przy ich paplaninie.

W pewnej chwili Lucia wskazała na nią palcem i powiedziała ironicznie: - Przeszkadzamy pani doktor.

- Mama pracuje - broniła jej Sara.

- Ładna mi praca! Powinna zająć się rodziną!

- Co to jest rodzina? -

zapytała Sara.

- Ty i tatuś. Dobrze, że chociaż ja tu jestem!

- Opowiedz mi historię o

Tol... Tomciu Paluchu.

Chiara odłożyła papiery i przyknęła oczy. Co nie pozwala mi być szczęśliwą?, pomyślała, słuchając głosu matki. Mam wreszcie wszystko, o czym marzyłam. A jednak była stale przygnębiona, dręczyło ją niezrozumiałe uczucie, że coś bezpowrotnie straciła. Znienacka poderwała się z fotela.

Matka przerwała swą opowieść.

- Dokąd się wybierasz?

- Mogę was zostawić na pół godziny? Chcę się trochę przejść

- odpowiedziała. W tym momencie podjęła już decyzję.

Nałożyła płaszcz, wzięła torebkę i wyszła. Nawet nie zauważyła, kiedy znalazła się koło samochodu. Bezwiednie otworzyła drzwiczki, wsiadła, uruchomiła silnik. Przejechała ze sto metrów i ruszyła przed siebie.

Nie oszukuj się, zganiła siebie w myślach. Dobrze wiesz, dokąd jedziesz. Teraz dobrze już znała powód swoich ciągłych rozterek.

Zaparkowała przy chodniku. Szła ze spuszczoną głową, nogi jej drżały. Brama była otwarta, weszła na podwórze. Krzaki forsycji kwitły na żółto, blado połyskiwały hortensje. Okrążyła narożnik i znalazła się w ogrodzie przy via Alberto Mario. Rozpoznawała każdy krzak, każdą roślinkę, każdą kępę trawy.

Odetchnęła głęboko, podniosła wzrok: dom stał na swoim miejscu, spokojna i przyjazna przystań, otwarte okiennice przypominały ramiona wyciągnięte w serdecznym geście. Wbiegła do środka z wrazeniem, że wraca do swego dzieciństwa. Salon był pusty, a jednak emanował ciepłem, jakby wciąż znajdowały się w nim białe kanapy, stary stół, obraz Fiumego. Jak gdyby dom cierpliwie na nią czekał. Musnęła palcami ścianę; była solidna i przyjemna w dotyku. Chiarze zdawało się, że inne pokoje też ją wołają, przeszła więc przez nie wszystkie, czując, że ogarnia ją wreszcie upragniony spokój. W tym domu nie mieszkali zmory, lecz radość i smutek, nadzieje i klęski, śmiech i łzy. Tu splatały się dobre i złe losy ludzi, którzy żyli pod jego dachem.

To tutaj wprowadziła się przed
czternastoma laty jako
szczęśliwa mężatka. Tutaj
dobiegło kresu młode życie
Margherity. Tutaj pojawiła się
maleńka Sara i stawiała swe
pierwsze kroki. Dom zaś, jak
stary druh patrzył na wszystko z
dystansem, wiedząc, że wszelkie
trudności zostaną
przezwyciężone, urazy
zapomniane, trudne problemy rozwiązane.

Margherita wyszła stąd, aby umrzeć, ale przecież w jakiś sposób tu powróciła. Nie mogę jej stąd wypędzić, pomyślała Chiara, pozwalając łzom spływać po policzkach. Nasze życie jest tutaj, dom czeka na nas: na Marca, Sarę i na mnie. Nie możemy stąd odejść, pomyślała znowu, doznając niemal fizycznego wrażenia, że ściany obejmują ją i pochwalają jej decyzję.

Poczuła, że uścisk staje się silniejszy, i usłyszała swe imię.

- Nie możemy stąd odejść - powtórzyła głośno, nie odwracając się.

- Wiem - odpowiedział wolno Marco. - To twój dom, nigdy tak naprawdę go nie opuściłaś.

Chiara odwróciła się pomału.

- To także dom Margherity. I twój. I Sary.

- Chiaro, proszę cię, nie płacz.

- Dobrze, nie będę -

uśmiechnęła się przez łzy i wyprostowała. Nie mogła znieść tego głosu pełnego rozpacz i poczucia winy. Wzięła Marca pod rękę. - Musimy kupić nowe meble. A także być może wymienić piecyk gazowy.

- Kocham cię, Chiaro.

- Ja ciebie też. Ale na kilka tygodni mam zamiar zniknąć z twego życia, żeby urządzić dom. Powinniśmy zburzyć niektóre ściany, bo obiecałem Sarze, że ciocia Egle będzie miała u nas swój pokój.

- Och, nie - jęknął

żartobliwie. - Nie pozwolę ci już nigdy mnie zostawić.

- Zobaczymy. Na razie chodźmy obejrzeć piecyk.

**Ruszyła tanecznym krokiem,
pociągając go za sobą.**

- Kanapy postawimy w tym samym miejscu - oświadczyła, kiedy przechodzili przez salon.

Marco zmusił ją do zatrzymania się na miejscu.

- Jest coś, o co od wielu tygodni chcę cię zapytać.

- Och, cóż za poważny ton!

- Chiaro, tamtego wieczoru,

gdy wybiegłaś z domu, zabrałaś ze sobą różową paczuszkę. To miał być dla mnie prezent. Co było w środku?

Nie mogę mu powiedzieć, zdecydowała błyskawicznie Chiara. Nigdy mu tego nie powiem. W naszym życiu i tak jest zbyt wiele bolesnych wspomnień.

- Różową paczuszkę? - spytała,

potrząsając głową. - Przykro mi, ale nie pamiętam.